



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

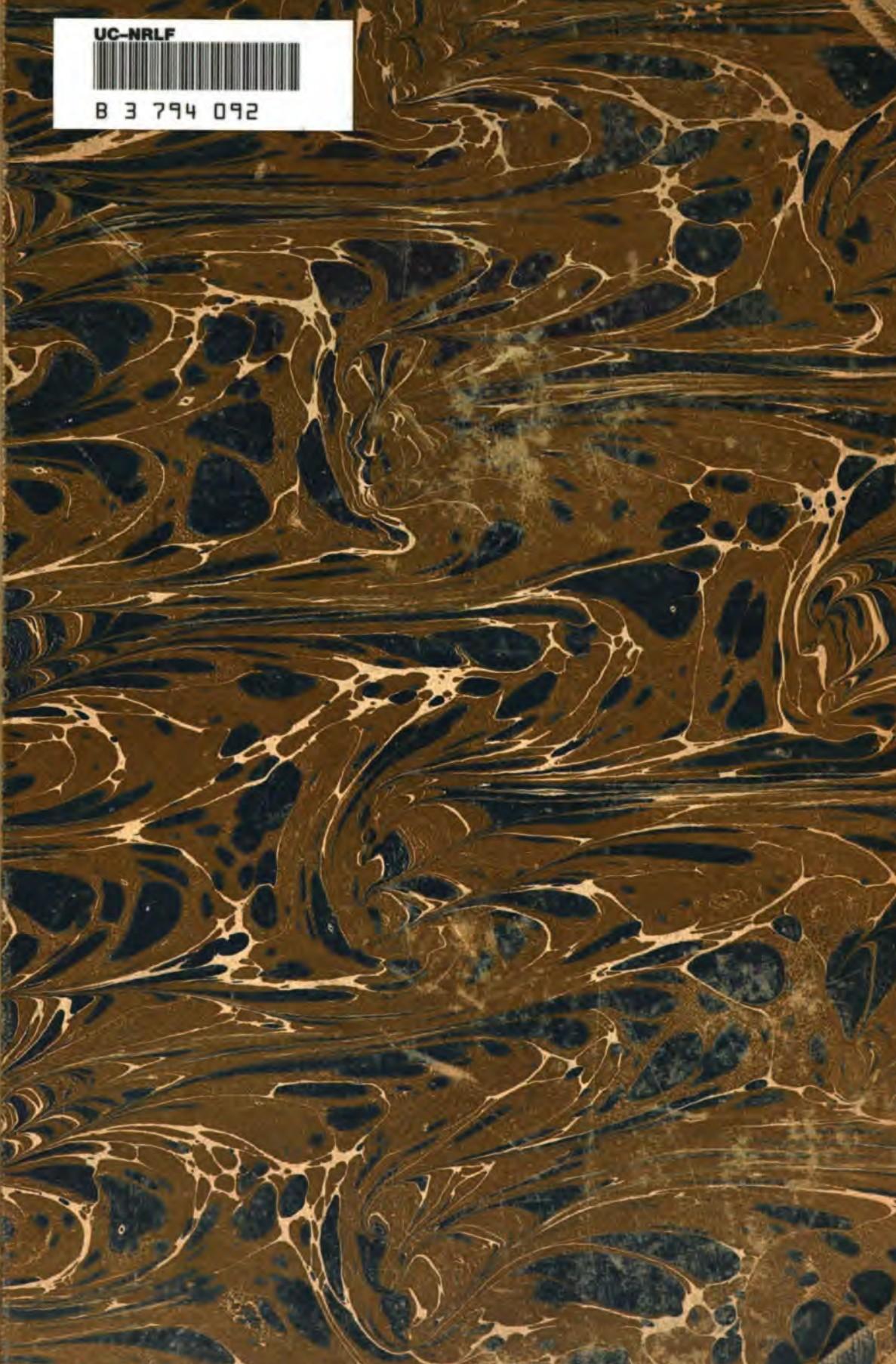
### About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

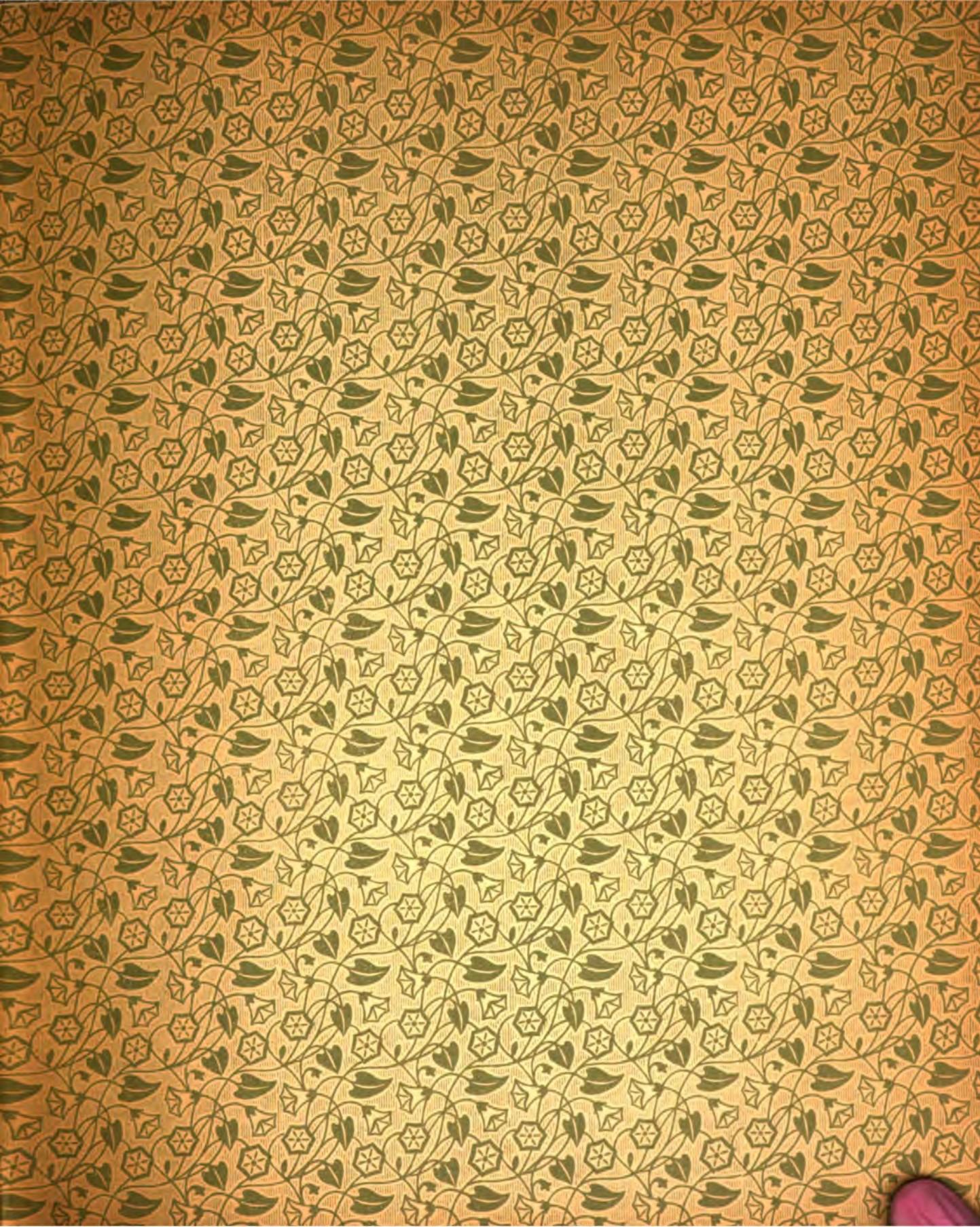
UC-NRLF

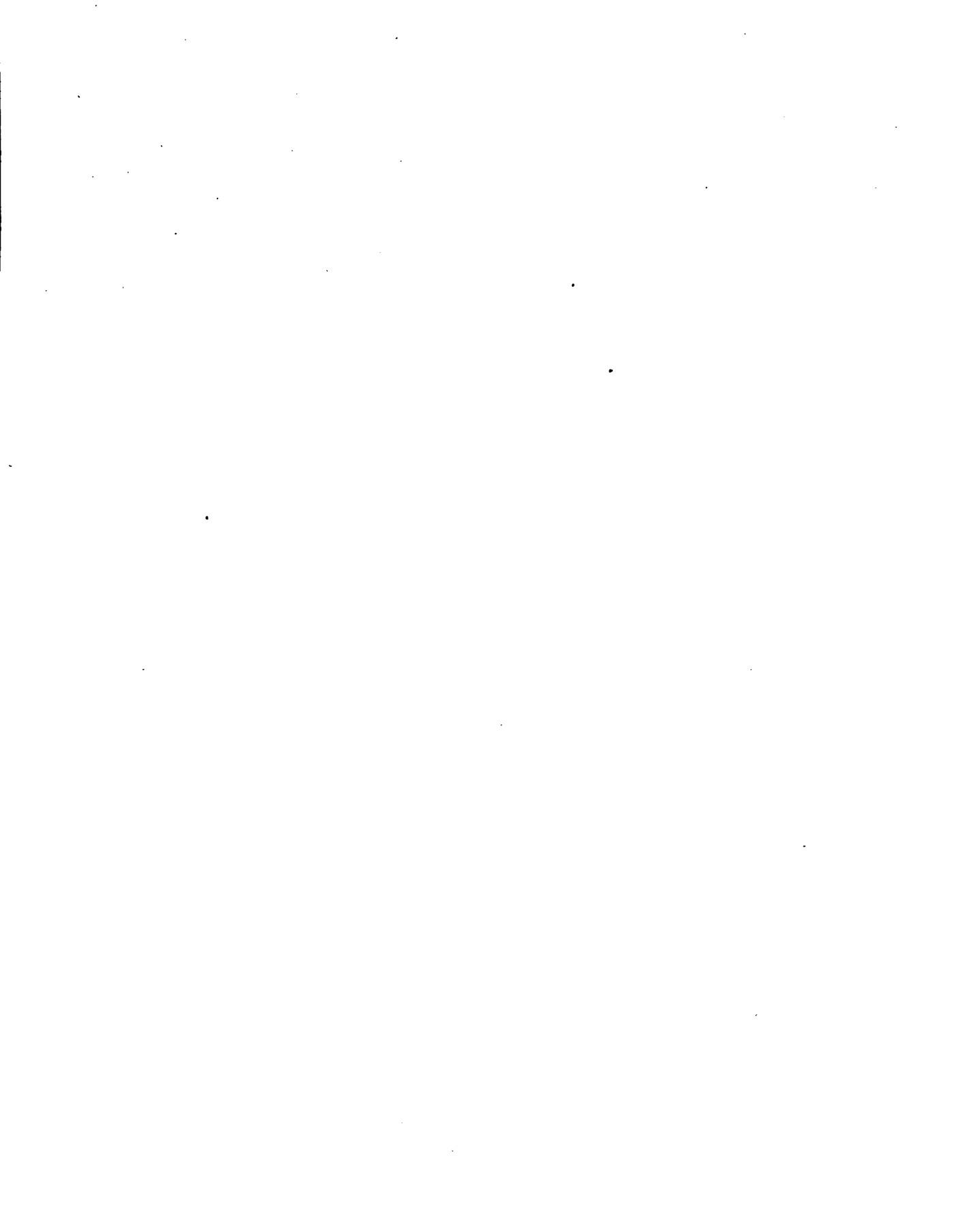


B 3 794 092











# C H I M E R A

Wydawnictwo  
S. K. W.

TOM IV. ZESZYT 10-11-12. 1901.  
REDAKCJA I ADMINISTRACJA:  
WARSZAWA — KSIĄŻĘCA 7.

## TREŚĆ.

Nr 10-11-12. — PAŹDZIERNIK-LISTOPAD-GRUDZIEŃ 1901.

---

CYPRYAN KAMIL NORWID . . . . .	<i>Wanda</i> . . . . .	1
Ozdoby M. WAWRZENIECKIEGO, oparte na motywach ornamentacyjnych, zebranych z ceramiki prehistorycznej, budowli, oraz sprzętów drewnianych.		
ANDRZEJ GLIDE . . . . .	<i>Prometeusz zle spętany</i> . . . . .	37
Inicjały ze starych drzeworytów.		
EDWARD POREBOWICZ . . . . .	<i>Ballady szkockie i angielskie</i> . . . . .	111
Inicjały i przerwywki w stylu anglosaskim M. WAWRZENIECKIEGO.		
TADEUSZ MICIŃSKI . . . . .	<i>Historia dwojga kochanków i pani Hoan-tho</i> . . . . .	131
Inicjały ST. DĘBICKIEGO.		
JAN KASPROWICZ . . . . .	<i>Judasz</i> . . . . .	143
Rysunki E. OKUNIA.		
MARYA KOMORNICKA . . . . .	<i>Czarne Płomienie</i> . . . . .	164
Nagłówek Kolo Mosera; zakończenie z „Mangi” SHIOKOKU		
JERZY RODENBACH . . . . .	<i>Z cyklu: „Królestwo milczentu” i „Życie zamknięte”</i> . . . . .	187
Stronnicza tytułowa i zakończenie z rysunków F. KHNOFFA.		
WACŁAW BERENT . . . . .	<i>Próchno</i> . . . . .	216
Rysunki ST. TURBIA-KRZYSZTAŁOWICZA.		
JÓZEF JEDLICZ . . . . .	<i>Sny i tęsknoty</i> . . . . .	369
Nagłówek i zakończenie E. OKUNIA.		
OTOKAR BRZEZINA . . . . .	<i>Tajemnicze w sztuce</i> . . . . .	380
Nagłówek M. WISZNICKIEGO; zakończenie AUG. DONNAY'A.		
MARYA KOMORNICKA . . . . .	<i>Nazajutrz</i> . . . . .	388
Zakończenie HOKUSA'I'A.		
TADEUSZ MICIŃSKI . . . . .	<i>Minotaur</i> . . . . .	392
Winietka boczna M. WAWRZENIECKIEGO.		
LEOPOLD STAFF. . . . .	<i>Pogoda jesienią</i> . . . . .	395
Winietka boczna z „Mangi” SHIOKOKU.		
KAZIMIERA ZAWISTOWSKA . . . . .	<i>Jesienią nocą</i> . . . . .	398
Zakończenie KORINA.		
HENRYK ZBIERZCHOWSKI . . . . .	<i>Wicher rozpetany</i> . . . . .	400
Zakończenie FR. SIEDLECKIEGO.		
MARYAN ZBROWSKI. . . . .	<i>Przebudzenie</i> . . . . .	403
Zakończenie HOKUSA'I'A.		
JERZY EEKHOUD . . . . .	<i>Chwała Lutterathu</i> . . . . .	406
Zakończenie IGN. PIEŃKOWSKIEGO.		
JOHN KEATS. . . . .	<i>Hyperion</i> (Księga III) . . . . .	422
Nagłówek HIROSHIGE'A; zakończenie M. WAWRZENIECKIEGO.		
FRYDERYK NIETZSCHE . . . . .	<i>Fragmenty z „Zaratustrą”</i> . . . . .	428
Nagłówki i zakończenie J. MEHOFFERA (z motywów dekoracyjnych do polichromii skarbcu wawelskiego).		
BRONISŁAWA OSTROWSKA . . . . .	<i>Z motywów ludowych</i> . . . . .	456
Inicjały J. MEHOFFERA; zakończenie HOKUSA'I'A.		
H. C. ANDERSEN. . . . .	<i>Świnie w lesie (bajka)</i> . . . . .	460
Rysunek początkowy J. STANISŁAWSKIEGO; zakończenie ze starego rękopisu, przerysowane przez ST. DĘBICKIEGO.		

MO VIVI  
AMOR VITIAO

PG 1001

C4

v.4

MAIN

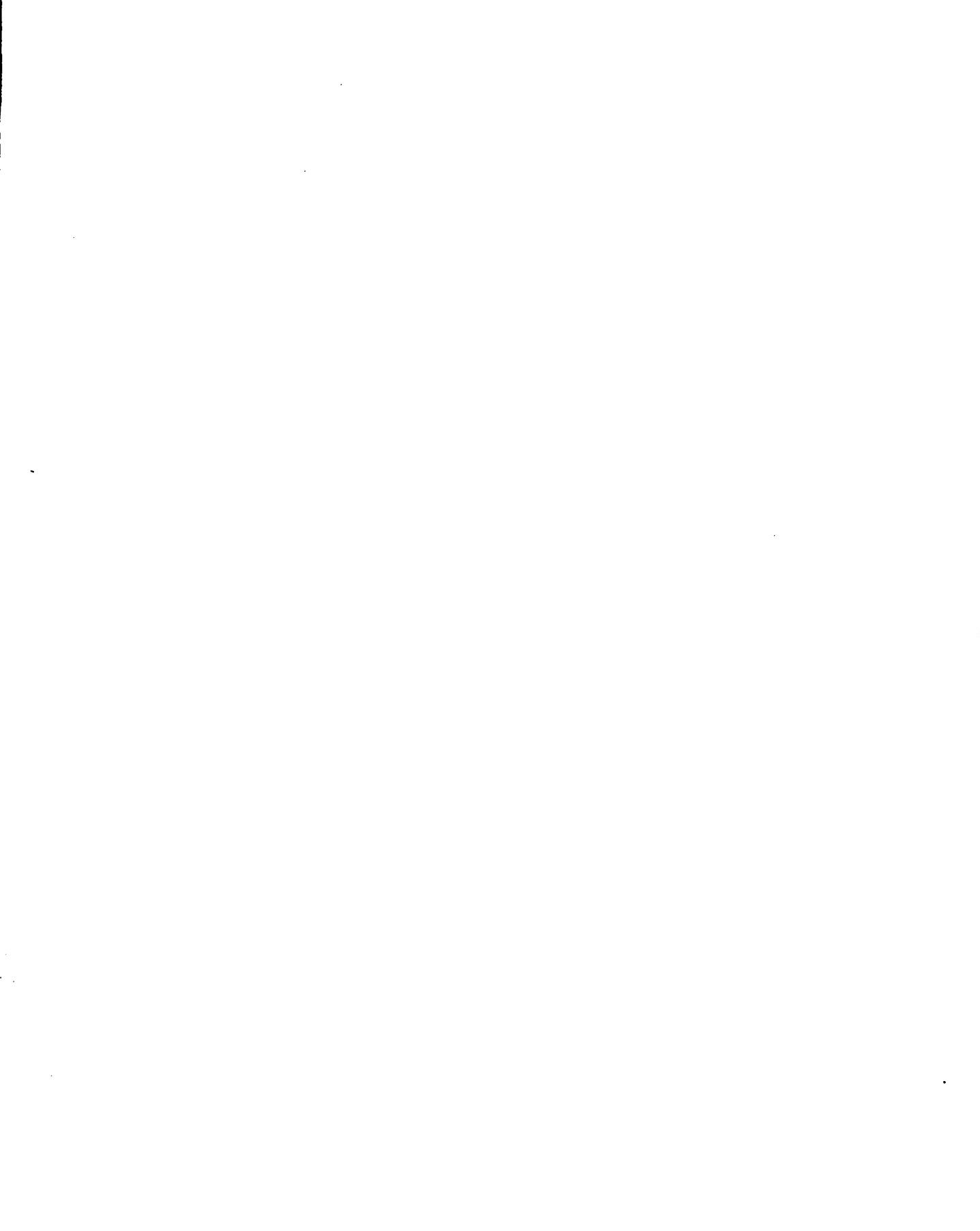
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8





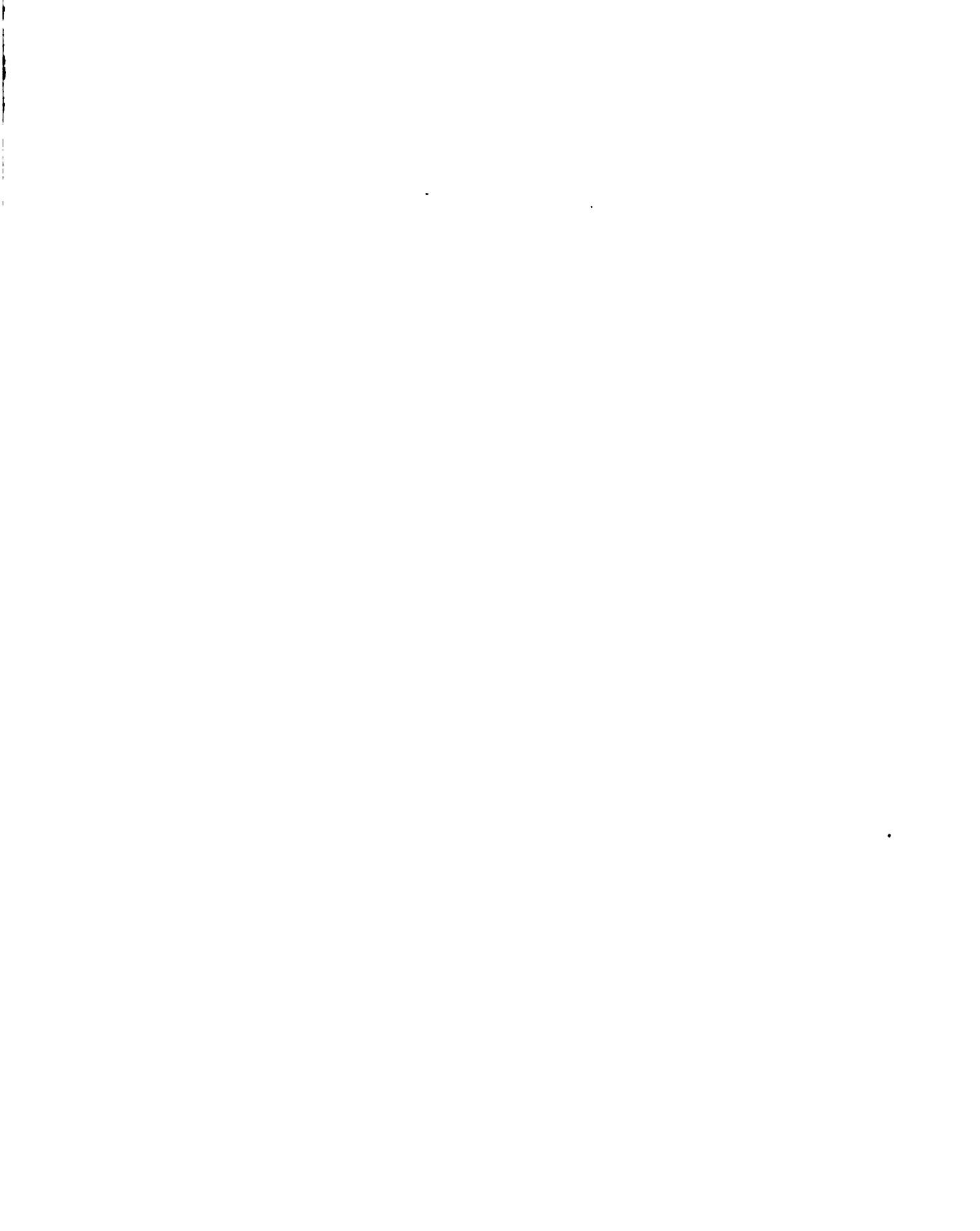
AMUL  
MILK

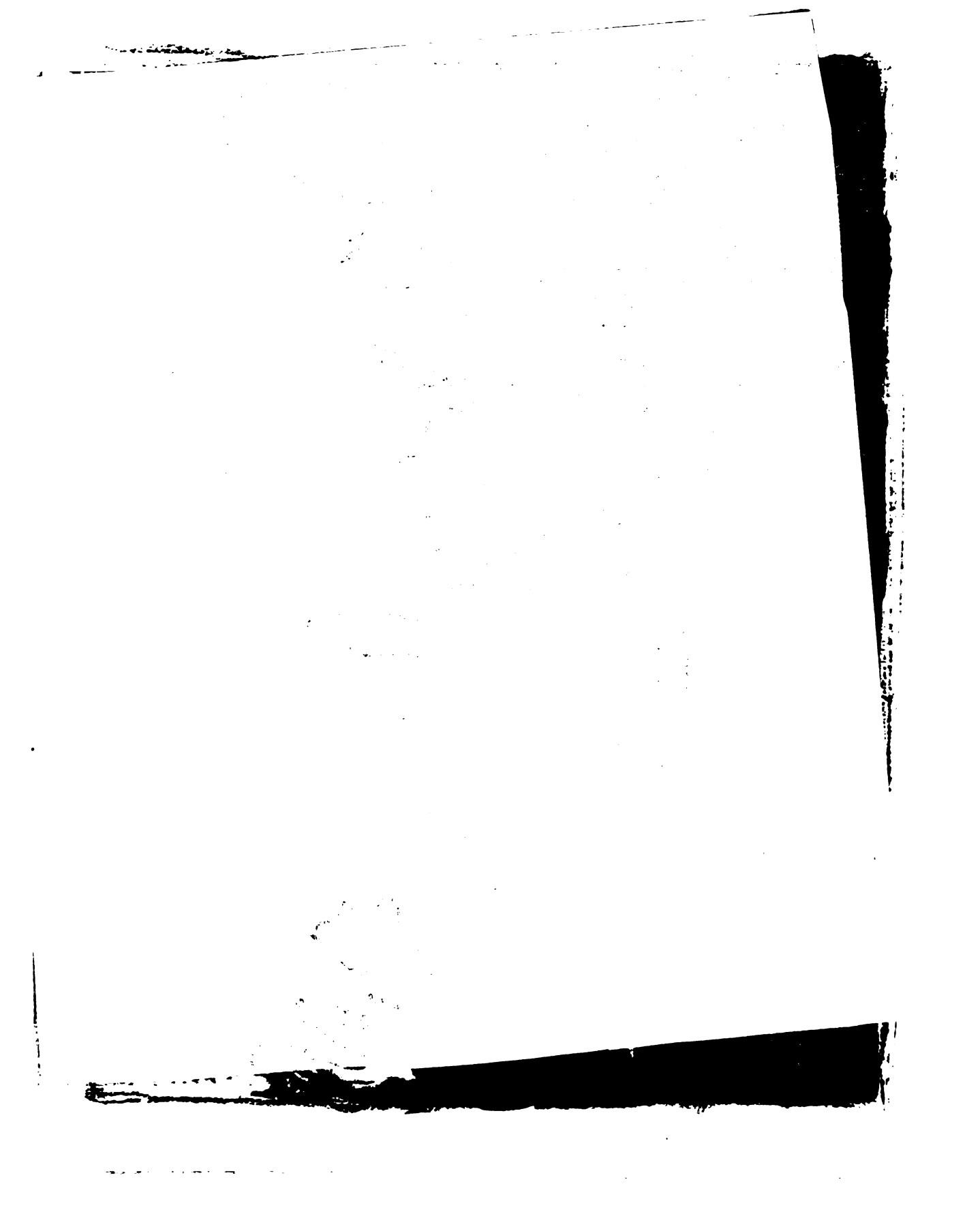
**CHIMERA.**



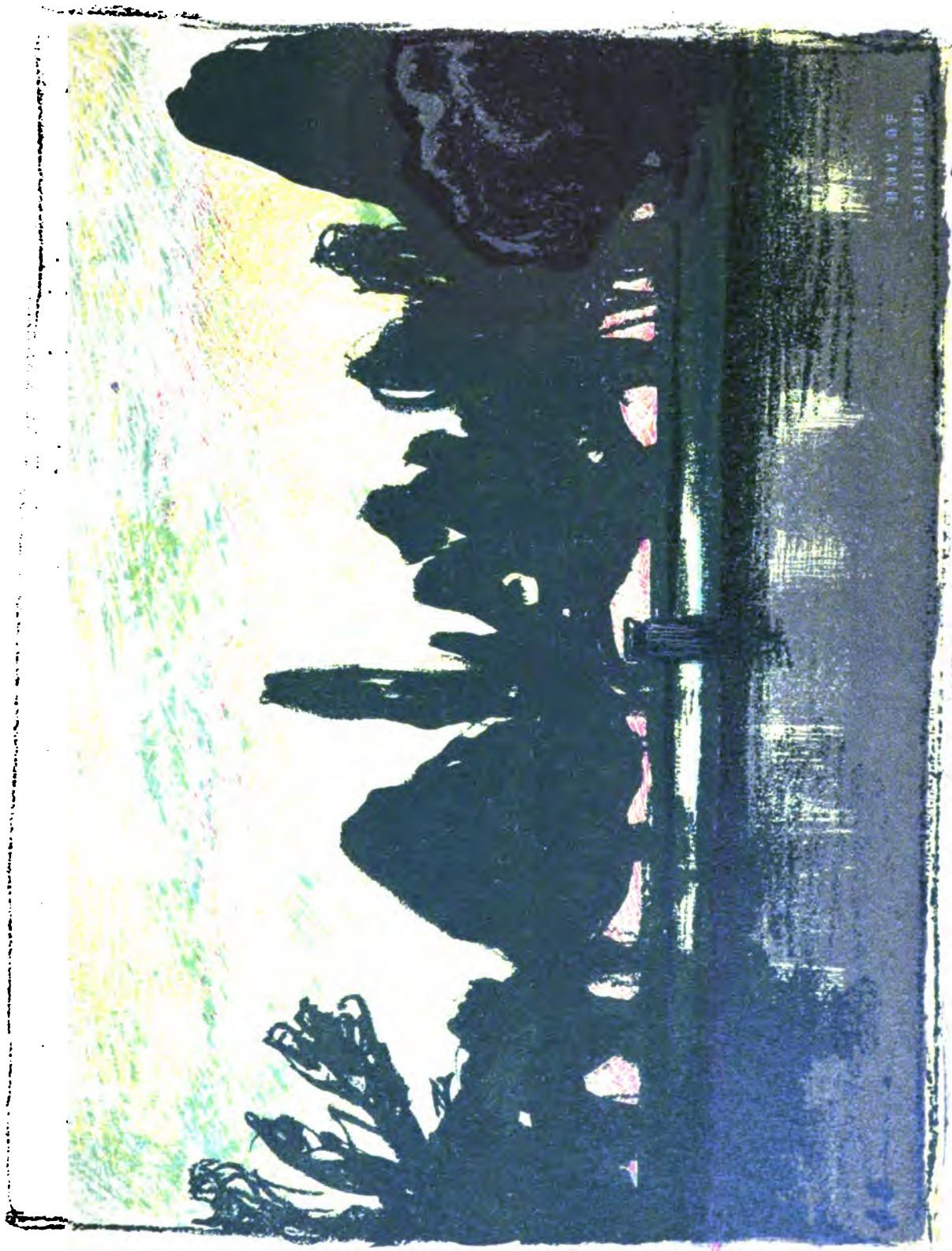


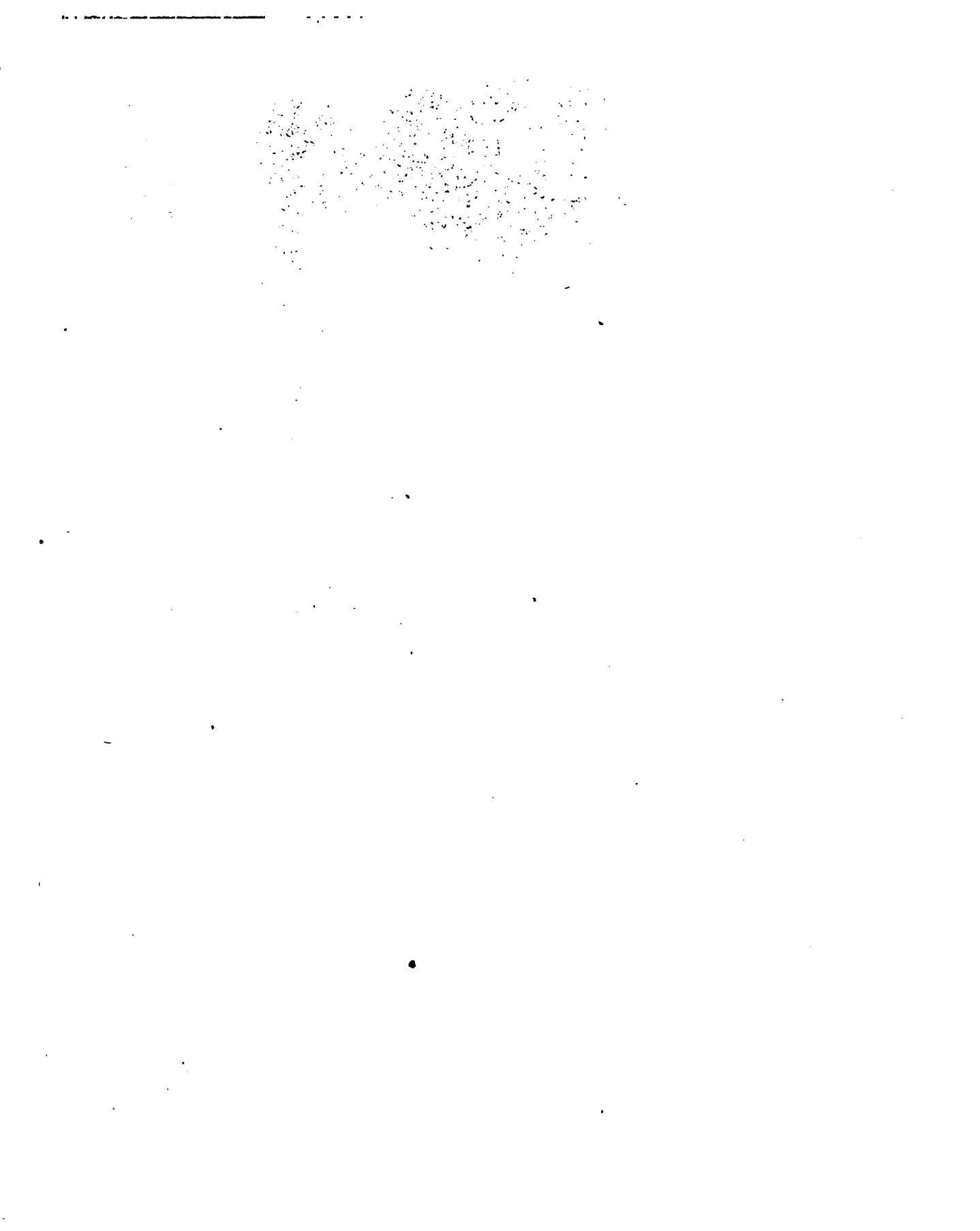
TOM CZWARTY. PAŹDZIERNIK — GRUDZIEŃ 1901.  
WARSZAWA, KSIĄŻĘCA 7.

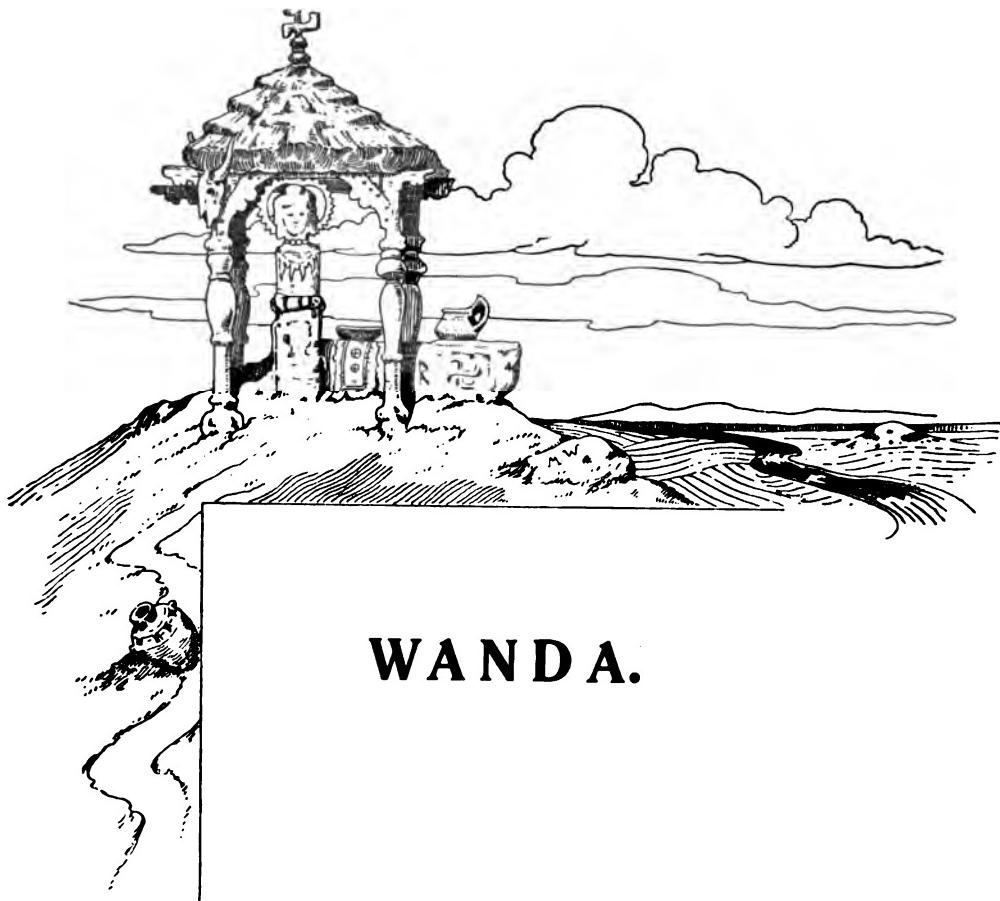












RZECZ W OBRAZACH SZEŚCIU.

PRZEZ

C. K. NORWIDA.

1852.

Na autografie tego utworu, użyczonym nam łaskawie przez p. Annę Norwid, autor dopisał własnoręcznie na kartce okładkowej, co następuje:

*(Rzecza ta była już lat temu kilka napisaną i podaną do druku, rękopism zginął, mimo iż podobało się komuś w dziennikach głosić o tem — ktoby go znalazł, nich odrzuci przypiski, objaśnienia i wstęp przedzą, a rzeczą samą uważa jako studyum przedwstępne, więcej jeszcze ogólne i liryczne. Podobnie z zaginionym rękopisem KRAKUS\*) uczynić można, jeżeli by się znalazły.*

*Że dwa razy ściśle to samo TWÓRZYĆ byłoby to POTIWÓRZYĆ, rękopism niniejszy jest zupełnie oryginalny, lubo w myśl ogólnej jednoznaczny z poprzednim). PRZYPISEK AUTORA.*

---

\*) KRAKUSA autor odnalazł widać później sam, tragedię tę bowiem obejmuje wydany u Brockhausa w r. 1863 tomik p. t. Poezye Cypryana Norwida. (PRZYPISEK REDAKCYI).

*MOGILE WANDY*

POŚWIĘCA

*AUTOR.*

„*Tak kościół trzyma, że gdy Pan umierał,  
Na PÓŁNOC, głowę skloniwszy, pozierał.  
„Na Oliwnej  
„Gorze dziwnej  
„Kończąc mękę, skłaniał rękę  
„Ku — PÓŁNOCNYM LUDZIOM...“*

**STARĄ PIEŚŃ** (PRZEPISANA Z KSIĄŻKI W KLASZTORZE NA GÓRZE ŚWIE TOKRZYSKIEJ W PUSZCZY).

MA22874

## O S O B Y.

WANDA.

GRODNY.

PANNA.

PACHOŁ - TRĘBACZ.

CHÓR WIEŚNIAKÓW.

„ ZNACHORÓW.

„ WÓJTÓW.

„ PIASTÓW.

„ SIEWCÓW.

„ OWCZARZY.

„ ŁOWCÓW.

SKALD.

ŽYD.

BOJAN.

CZUDY — LECHY — WIESZCZE — STARCY —

DZIEWKI — DZIATWA.

RYTYGER.

ROTNY.

WEISWORT.

CHÓR RUNNIKÓW.

WOJSKA RYTYGEROWE — POCZET STRAŻY  
PRZYBOCZNEJ.



I.

## PRZED GRODEM.

### PIERWSZY Z CHÓRU.

*Przychodzimy spytać się o zdrowie  
Pra-wielmożnej pani naszej słodkiej —  
Grodny, niechaj wyjdzie i odpowie  
Czekającym u progu jak stokrotki  
Kiedy słońce skryje się w dąbrowie...*

### CHÓR.

*Czekającym u progu i przed bramą  
Niech odpowie jasno i toż samo...*

### PIERWSZY Z CHÓRU.

*Chcemy wiedzieć, dla jakiej przyczyny  
Nie siaduje nasza pra-wielmożna,  
Jako niegdyś, w czas szarej godziny  
(Kiedy dusza każda więcej z-bożna)  
Czemu nie siaduje na przed-wniściu,*

# MO VIKU ANAGOTLIAO

6

CHIMERA

*Błogosławiać wracającym z pola  
Po murawach jak krople po liściu...*

CHÓR.

*Czemu nie siaduje na przed-wniściu,  
Chcemy wiedzieć, ta jest nasza wola...*

PIERWSZY Z CHÓRU.

*Ludzie dobrzy — — owo pachoł grodzki  
W bramie wtórej stawa z rogiem turzym,  
Pod-trębujuć zapiew wojewodzki...  
Przemawiając słowo głosem dużym...*

PACHOLEK, trąbiąc przestankami, przybliża się.

PACHOŁ.

— Nowość głoszę — i to, co się święci,  
A ty słuchaj, mężu, białogłówko,  
Sercem słuchaj, myślem zamysł w słowo  
I na kiju naznacz dla pamięci...

— Pra-wielmożnej trzeba rzeczy takiej,  
Takiej rzeczy trzeba jej koniecznie  
(a ku temu pieśń jest, zioło, znaki),  
By rozplakać mogła się serdecznie...

— To wypłacze one swe milczenie,  
Oną serca niewymowną bliznę,  
Oną niemoc, one z-nie-mowlenie —  
— To wypłacze oną swą niemczynę!..

— Kto więc słowo ku płakaniu umie,  
Albo zioło gorzkie a zbawienne,

*Albo jaką dziwną rzecz rozumie,  
Albo o tem mial poczucie senne;  
Niechaj zbiega, a niech zbiega skoro,  
Niech przynosi, a przynosi sporo...*

Uderza w trąbkę.

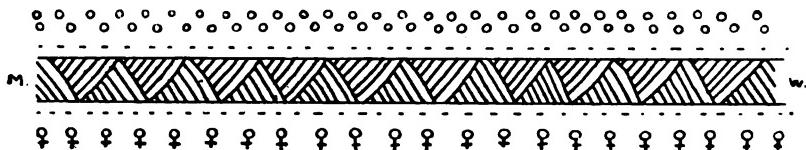
— *Jeśli KMIET jest, srebrny plug dostanie,  
Jeśli CZUD jest, miedzią kute sanie,  
Jeśli BOJ jest, to szczyt ma w nagrodę,  
A LECH dobre słowo i pogodę...*

CHÓR.

*Jeśli kmiet jest, srebrny plug dostanie,  
Jeśli człek jest, Boskie zmilowanie...*

CHÓR odchodzi w jedną stronę, pomrukując pieśń, a PA-  
CHOŁ w drugą, potrzebując.





II.

## ŚRODKOWA IZBA ZAMKU.

PANNA

„*Ciszy — ciszy — moja złota!.. ciszy...“*  
Te słów kilka Pani wciąż powtarza;  
Spytać o co — — nie słyszy.  
— Dawniej kobzy dudarza,  
Co siadywał w bramie, słuchała,  
Dziś — i o tem ni słowa,  
Dziś, o niczem — wszystko zapomniała,  
A wie wszystko, i jak się co dzieje,  
I nic się przed nią nie uchowa,  
I nic jej nie rozśmieje...“

GRODNY.

*Co rozpłacze, może to znajdziemy,*

*Że odejdzie on zawianiec niemy...*

PANNA.

*Żeby można konia ze skrzydłami,  
Co to o nim grecki dziadek śpiewał,  
Albo jabłoń złotą z owocami,  
Abo żeby z nieba kto nazrywał  
Róż błękitnych.... albo królewica,  
Coby jasne miał jak ona lica...*

GRODNY.

*Królewica!... a z osiennych panów  
Może tego, cośmy - to spotkali...  
Rudowłosych władycę germanów,  
Co szczyt noszą drzewny, pas ze stali...  
— Co nocami głazy toczą z granic,  
Święte Miedzy prawo mając za nic...*

PANNA.

*Albo — albo — żeby bajki takiej,  
Co to wszystkie bajki w sobie mieści,  
I powieści, aż się wypowieści,  
Albo żeby sama dala znaki,  
Co w tej ulży bolesci...*

GRODNY.

*Rozrzewnienia!.. Wczora rzekła do mnie:  
„Rozrzewnienia! bo po mnie...“*

GRODNY i PANNA rozchodzą się — WANDA wchodzi i, czyli sama jest, ogląda się.

## WANDA.

— Łado — Łado — po twym ja przykładzie  
 Taka ładna, że lud cały w ładzie,  
 Że odbijam słońce jak jezioro,  
 Kiedy ludzie wodę czystą biorą...  
 I niczego, zda się, myśl nie łaknie,  
 I nic nie brak... tak!.. aż czegoś braknie...

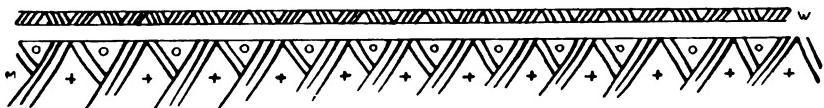
Kładąc rękę na sercu:

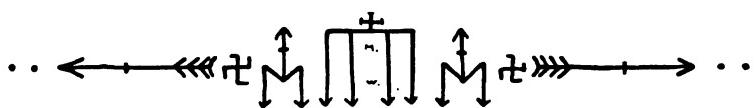
Ha!.. kolczyka, widzę, brak... kolczyka  
 U srebrnego stanika,  
 Co odprysnął właśnie, gdy westchnęłam...

Zsuwając rękę:

I ty drugi, odpryśnij jak gwiazdeczka,  
 I ty taśmico, zwiń się — przełam --  
 Niech wyfrunę, oj! jak gołębeczka...

• • • • • • • • • •





III.

### KOCZOWISKO GERMAŃSKIE.

#### ROTNY.

*Runniki wszystkie, a z młotami ostremi,  
Co na głazach sinych ryc umieją  
I siadują na ziemi  
Sami — rzadko się śmieją —  
A te zwłaszcza, co strzałami wróżą  
I na DUMIE cichej posiwieli;  
Zwołać szeptem, niech oczy zamrużą.  
Niech jak widma staną wokoło, bieli...  
— Wkoło darni ocienionej jodłą  
Niechaj staną, gdzie lwia leży skóra  
I dymiące odpoczywa siodło...*

RYTYGER, wchodzi z pocztem swoim.

*Hurra!...*

RYTYGER, skinąwszy ręką.

— *Spocząć...*

ROTNY.

*...spocząć...*

*hurra...* Wojska ustępują  
[ w ciemność lasu.

Kiedy RYTYGEROWE WOJSKAokoła rozstępują się — RYTYGER siada na skórze rozesłanej —aczyna się ściemniać — RUNNIKI chórem długim wysuwają się po murawie i otaczają RYTYGERA, przy którym służba jego stoi.

RYTYGER, podnosząc dzban.

— *Tym miodem zdrowie piję Weiswortowe...*

WEISWORT.

— *Niech się obróci w powodzenie wasze —*

RYTYGER.

*Chcę wiedzieć wojnę wygram i królowę,  
Albo nie wygram?...*

WEISWORT.

*Rzucaj, królu, czaszę*

*Na las, daleko tak, jak możesz rzucić...*

RYTYGER podnosi się i ciska w ciemność drzew — orły spłoszone wzlatują.

CHÓR RUNNIKÓW.

— *Tak a nie tak: nie nasza rzecz.  
Ludzie — radzi się smucić.*

*Wieszczba jak miecz — póki nie błysnął miecz...*

Po chwili:

*Póki nie błysnął miecz — wieszczba jak miecz...*

WEISWORT.

*Rozkocha się królowa tak, jak nie bywało*

*Z dawien dawna:*

*Cztery orły wzleciało —*

*Będzie sławna —*

*— Rozkocha się... i biale skapie ciało ..*

CHÓR.

*I rozkocha się tak, jak nie bywało...*

RYTYGER.

*Stokroć wdzięczny, o! wielce wam rady...*

CHÓR.

*Wieszczba jak miecz — to, słowo gdy wycisnie,*

*Próżna pochwa zostawa... wieszcz blady...*

WEISWORT.

*Co poczęte było bezumyślnie,*

*— Koncz umyślnie...*

RUNNIKI, pochylają czoła i cofają się — RYTYGER wy-  
chyla miód.

RYTYGER.

*...o! wielce wam rady...*

CHÓR RUNNIKÓW odsuwa się szepcząc — służba rozpiną namiot, w którym i światło wraz rozbłyska.

RYTYGER, sam — w głębi namiot i służba.

*Łyskaniem pierwej mdławem uprzedzony,  
Jak piorunowa rozłożę się kręsa,  
Królowę wezmę... i lud rozpierzchniony...  
— Do wieszczby fortel dołączę jak lisa...  
Bogi są dobre — czasem niedolężne:  
Kiedy im ludzkie nie posłuży ramię,  
Świecą i wiszą, jak tarcze mosiężne  
W pięćset czterdziestej zawieszone bramie...*

Po chwili:

*A ONA? Weiswort mówi — „SKĄPIE CIAŁO”...*

Po chwili:

*O! każę tratwy Fenickich żeglarzy  
(Co jeźdzą bursztyn łowić) — każę złupić,  
Wonności zabrać wszystkie — każę kupić  
Konch, szkła od wszystkich Sydońskich farbiarzy,  
W dalekim Rzymie wannę z alabastru  
Zamówię... taki NIMFEON urobię  
Dla niej, jak ledwo grób stawiałbym sobie,  
I będę miłość pil... jak miód ten z plastru...*

Po chwili, klaszcząc w dłoń:

*Hej! Ojce — co tam siedzicie w Walhali,  
Gdy przyjdzie stanąć mnie pomiędzy wami,  
Spowiniętemu w jasną taśmę stali,  
Powiecie: „SYN JEST NASZ,” powiecie sami...*

Po chwili:

*Wando!... O! moja ty Ryttygerowa,  
 Jako cię kochać będzie wojsko całe  
 I złotowłosa każda białogłówka,  
 Co z nami dzieli trud a przedzie chwałę,  
 Każda z gwiazdzących w tarczy brzeg ustami,  
 Każda toporzeć rzucająca dziewczątka  
 I każdy starzec, co pomaga snami,  
 WID, DUCH, i lasów szum, i małe drzewka...*

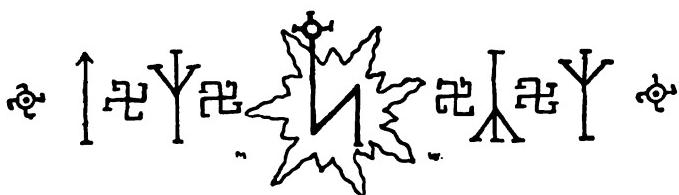
Odsuwa się w głąb' — ku namiotowi.

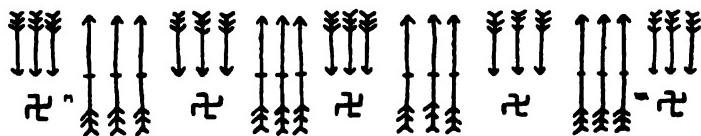
*Ty! — skoro uściszę dasz — wyprawę zrobię  
 Przeciw ogromnej Fenrysa wilczycy,  
 Mur Alp skrzącemi młotami przeżlobię,  
 Rzym spalę — woły zegnam z okolicy,  
 Po dwieście rogów kładąc na ołtarze  
 Co dzień — weselić się pastuchom każdej...*

Wchodząc w namiot:

*Hej! Ojce — co tam siedzicie w Walhali,  
 Gdy przyjdzie stanąć mnie pomiędzy wami,  
 Spowiniętemu w jasną taśmę stali,  
 Powiecie — SYN JEST NASZ — powiecie sami...*

Noc zapada.





IV.

## ŚRODKOWA IZBA ZAMKU.

WANDA, przechodząc zwolna przez środkową komnatę grodu.

— *Tego ja nie wiem, co się dzieje ze mną,  
Ani dla czego jestem nieszczęśliwą;  
Kocham — wszelako mogę być i zmienną,  
I niekoniecznie-m Rytygera chciwą,  
I niekoniecznie mi potrzeba kogo,  
Która tysiące mam życzliwe sobie — !  
Tylko mi smutno, tylko mi ubogo,  
Że nic nadzie mnie nie stoi w osobie,  
Że, jakbym była na tej góry szczycie,  
Sama — jak chmurki płatek na błękitie...*

*O! żeby źle mi zrobił człowiek który,  
Albo Bóg żeby zgrzebną wdział mi szatę,*

*Nowemi ptaszkę swoją odział pióry,  
I dał mi jaką gdzie na puszczy chatę,  
Z gołębi parą na dachu zielonym,  
Z kamiennym progiem i oknem plecionem...*

Przechodzi.

GRODNY.

*Z załamanemi tam poszła rękoma...*

PANNA.

*Stąpa — a jakby była nieruchoma...*

GRODNY.

*Trzeba na oku mieć, jak dziecię chore.*

PANNA.

*Które wołanie godzin jest?*

GRODNY.

*już wtore —*

PANNA odchodzi w głąb korytarza za WANDĄ.

SKALD wchodzi i stawa u drzwi głównych.

GRODNY.

*Kto-ś jest i za czem?...*

SKALD.

*My — Skald się zowiemy ...*

GRODNY.

*A śpiewasz jaką pieśń?...*

## SKALD.

*Nie jestem niemy — —  
 Bywa — że śpiewam — naprzód, pieśń do ciszy,  
 By usłyszano, skoro śpiewać zacznę;  
 Potem, malowną, żeby, kto już słyszy,  
 Oglądał także... potem rzeczy znaczne  
 Dla ducha — potem, z serca głębokości  
 Wywlekam drżący czysty ton — ten wiodę  
 Dalej i szerzej, aż echo zazdrości,  
 A potem wraz go rozkroplam jak wodę  
 W snop tęcz... a potem w grzmot uderzam suchy,  
 Jakby się bitwa gdzieś toczyła zdala  
 I potykały się w powietrzu duchy  
 Półkami grubych chmur na siebie wbite;  
 Gdzieś gwiazdy promieniem przeszyte...*

## GRODNY.

*Zaprawdę — śpiewasz pieśń, która uboży,  
 Przeto iż rzadki słuchać ci podoła...*

## SKALD.

*My, Skaldy, jemy chleb on dziwny Boży,  
 Chleb, co opada z dosytnego stołu;  
 A który skrzydła zgarnią przezrocze  
 Bieluchnych duszyc...*



## GRODNY.

*... czy mają warkocze  
 Duszyce owe?...*

SKALD.

*... długie jako sznury,*

*Któremi charty karcą..*

GRODNY.

*... i tejże natury?...*

SKALD.

*Bywa...*

GRODNY, dotykając Skalda po ramieniu.

*— niżej — izba jest przestrona,*

*Wokolo dwieście jasnych stoi włoczni,*

*A w środku ogień modrzewiowy — — spocznij...*

SKALD.

*Gościnnosć niechaj będzie pochwalona... Wychodzi*

Wchodzi ŻYD.

GRODNY.

*Kto-ś jest i za czem?...*

ŻYD.

*... z dalekiego wschodu*

*Jam jest — z za morza, na cztery miesiące*

*Fenicką nawą — potem, na rok cały*

*Przez ziemię... jestem z wielkiego narodu*

*Doktor — a leczę na febry trzęsące;*

*Także nabole suche i zastrzały;*

*Zaniemówienie; często na ślepotę...*

GRODNY, pokazując gościowi ławę w dali.

*Spocznij...*

ŻYD.

*... mam także i pierścienie złote  
Z talizmanami wielce skutecznemi,  
Które Tyryjczyk ryje — mam i maście,  
Wonne! że szczypta, na osób dwanaście...*

GRODNY.

*Osoba, zda się, mądra. .*

Do żyda:

*... ponizej*

*Spotkacie kilku u wnijścia żołnierzy,  
Ci wam czekalną otworzą komnatę.*

ŻYD.

*Niech będzie szczęsne miejsce i bogate... Wychodzi.*

Wchodzi powoli starzec na kiju oparty.

GRODNY.

*Kto-ś jest i za czem?...*

BOJAN.

*Bojanem się zowię —*

*A jestem z Matki śpiewak...*

GRODNY.

*... a pieśń jaką  
Śpiewać...?*

BOJAN.

*... co jak oczy w głowie  
Patrzy — a siebie nie zna — oto taką...*

GRODNY.

*A czy się królom śpiewało już kiedy?*

BOJAN.

*Do kości — panie — do kości... obręcze  
Miedziane mialem na nogach... a biedy!..*

GRODNY.

*A czy umiecie pieśnią wywiać tęczę...?*

BOJAN.

*I łabędziowe stado wrócić w locie...*

GRODNY.

*A jak to w waszej robicie prostocie?*

BOJAN.

*Z serca...*

GRODNY.

*... Niewieście umiesz także zwrotki?...*

BOJAN.

*Bywało — rzucę słowo — to jak kotki  
Główę na głowę zakładają...*

GRODNY.

*... czemu*

*Przy tem jesteście biedni...?*

BOJAN, obracając się do laski swojej.

*... powiedz jemu  
Bo ja pomówić radbym o czem innem...*

GRODNY.

*Wieszczyowi — jak wy — każdy dom gościnnym...*

BOJAN.

*Tak jest —*

GRODNY.

*... i każdy chętnie was uważa...*

BOJAN.

*Tak jest — szczególnie przed bitwy poczęciem,  
Gdy nastrajamy RAPSOD... też się zdarza  
Przy uczcie... bawią się jak ze szczenięciem ...*

Po chwili:

*Oj! za Dunajem za szumnym — bywało —  
Ze Cesarzowi śpiewałem Rzymスキemu,  
Co stał — ot, blisko tak, z garsteczką małą  
Konnych...*

GRODNY, wskazując lawę.

*A, proszę, co śpiewałeś jemu?*

BOJAN.

*Sławę!*

GRODNY.

*... a konie ich jakie....?*

BOJAN.

... Cesarski

*Płowy — w czerwonej do kolan purpurze...*

GRODNY.

.... a orszak?..

BOJAN.

... pachoł jeden dziarski

*Z laską, na której jest tablica w górze,  
Rozeskrzydlona w orła — reszta, młodzież,  
Twarda, jakobys wyrył Aść w marmurze:  
Pół - zbroje jasne noszą i pół - odzież...*

GRODNY.

*Właśnie?... no... miodem pokrzepcie się, starcze,  
Bo niżej, w izbie dużej — są tam różni  
Czudowie — świata różnego podróżni,  
I ci, co pieśni nucąc, czyszczą tarcze...*

BOJAN.

*Zdrowia... Wychodzi.*

GRODNY uderza w szczyt miedziany, jeden z zawieszonych po dwóch stronach głównego wnijścia.

Wchodzi POGOŃ i staje we drzwiach.

GRODNY.

*Wszelaki człowiek, gość, ma być uczczony,  
I niechaj braku nie będzie w usłudze:  
Niewiasty z jednej, może z drugiej strony,*

*Przedwszystkiem starcy; — wszakże ludzie cudze,  
 I zaklinacze — niemieckie runniki,  
 I Baby, które leczą, — mieć na oku...  
 — Rozliczne sprawy są, różne praktyki...  
 Rozumiesz...*

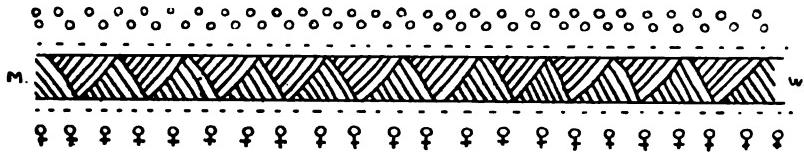
POGON.

*.... baczę....*

GRODNY.

*... a unikać tłoku — —*

• + • - ⊕ ⊕ ↴ ↴ ⊕ ⊕ - + -



V.

## W KRUŽGANKU ZAMKOWYM.

WANDA uchodzi — RYTYGER w ubraniu Skalda po-  
stepuje za królową.

WANDA.

— *Powiadam tobie — nie ścigaj mnie, Panie!..*

RYTYGER.

*Wando!*

WANDA.

*Co miałam rzec, rzekłam...*

RYTYGER.

*Kobieta!...*

— *Zawołam imię moje — niech się stanie —  
Niech mnie porąbię Lechy...*

WANDA.

*Nie zabito*

— *Nikogo, w grodzie tym... nigdy...*

RYTYGER.

*Zaiste —*

— *Jeżeli każdy toż opłaca myto  
I jako mary wychodzi przejrzyste...*

WANDA.

— *Książę!.. powiadam tobie ... całą mocą  
Bolesci, które dla ciebie zakryte,  
Ze słońce gaśnie — błonia się wilgocą —  
Ciemności na świat lecą niespożyte...*

— *Mnie, nie czas... lud mię postawił na szczytcie  
Jako najbielszy śnieg .. i jestem oto....  
Odlatująca w słońce całe życie,  
Ani się cieszyć mogę tą białotą!..*

— *Wszech-samstwem mojem, stałam się... sierotą!..*

RYTYGER.

*Więc cóż?.. to lud twój chce, ażebyś w bieli  
Stojąca płaczem rozciekła wiecznym,  
By błonia niżej zielone widzieli:  
— A ty? w błękitie sama podsłonecznym...*

WANDA.

— *Książę!.. łzy mojej nie widziałeś...*

RYTYGER, wyciągając rękę ku piersiom Wandy.

... *Oto —*

— Po srebrnej blasze, na piersiach się gonią  
Dwie... jak listeczki białe pod jabłonią...

WANDA, wyciągając rękę ku oknu.

— A owo dziesięć nad tą konwią złotą,  
Którą polewać lubię kwiat wieczorem...

RYTYGER, oczy zasłaniając.

A owo jedna jeszcze... lecz człowiekza!!..

WANDA.

*Ustąp...!*

RYTYGER.

*Kobietą jesteś... i bez miecza...  
Jam Skald ... poczekam w bramie ... gdzie za  
[dworem...!]*

WANDA, zatrzymując Rytygera.

*Tyś król... a Wanda ja... klękam... na Bogi...  
Uchodź... i uchodź szczęsny... Gdybyś z laty,  
Germański orle, poznał ten ból srogi,  
Co jest, z miłości bezmiernie bogatej,  
Tak ścieśniającym wszystko naokolo,  
Że człowiek nie śmie nastąpić na zioło,—  
To wtedy wspomnij o mnie... lodowatej!..*

Uderza w szczyt miedziany — GRODNY wchodzi.

WANDA.

*Ten Skald niech srebrny weźmie pas na drogę...  
Uchodzi.  
Chwila milczenia.*

GRODNY.

*Co tak spoglądasz, wieszczu, na podłogę?..*

RYTYGER.

*Pieśń mam... a nuty doszukać nie mogę...*

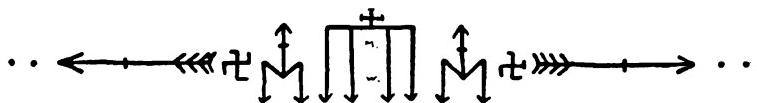
Po chwili :

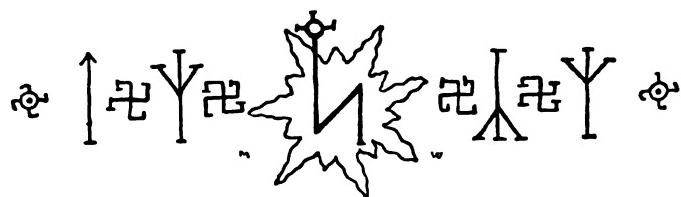
— Ale wynajdę ją! gdzieś! w mieczów wrzawie:  
I, jak dziewczę na ręku skrzydlatą  
Bohaterowie noszą, tak podniosę...

— Zgielk będzie, lament będzie w onej sprawie,  
Chorągwia głuchy łomot, jak za kratą  
Orły — gdy jagnię zoczą białowłose...

GRODNY.

— Dziwna rzecz Skaldy!.. szumne to a bose...





VI.

## POLE POD KRAKOWEM.

Na przodzie sceny namiot Wandy — dalej CHÓRY ściągają — każdy, około namiotu przechodząc, śpiewa — w głębi wiśla.

BABY.

*Pod białemi brzozami dziwne zebrałyśmy zioła  
W czyste płachty i w kosze z łoży uwite zielonej,  
Sypkie próchna odłamy z miejsca, gdzie stała sto-  
[dola,  
Stu podołać mogąca kmietom, gdy plon w niej złóżony ---  
Złote z mrowisk kadzidło i latające nasiona,  
Wody różne we dzbanach, czystych jak cegła czerwona ...*

## DZIATWA.

*Dzieci — wnuki — my także, co dźwignąć mogły  
 [rączyny,  
 Co po ziemi potoczyć drżące zdążyły ramiona,  
 Za matkami, babkami, na święte niesiem daniny...*

## RAZEM.

*Niech się pokój uczyni, Wandy niech błysnie ko-  
 [rona...  
 Niech zabłysnie słoneczkiem na góry — lasy — do-  
 [liny —  
 Przechodzą.*

## ZNACHORÓW CHÓR.

*Słowa — Słowa — a ciche, te, co przy duchu spoczęły,  
 I od ojca na syna w ostatniej schodzą godzinie —  
 Te niesiemy, i laski pokarbowane, i skrzynie  
 Jaworowe, co znakiem się osobliwym zamknęły...*

## WÓJTY.

*Łado — Łado — niech będzie dobrze po świata krainie...*

## RAZEM.

*Niech się pokój uczyni, Wandy niech słowo zastynie.  
 Przechodzą.*

## PIASTY.

*— Miodu plastry białego w lipowych niesiem do-  
 [nicach  
 I motyle, co w nocy brzeczą po kwietnej pasiece,  
 Dziś zaklęciem osiadłe na podniesionych gromni-  
 [cach...  
 Niech wzlatują co wieczór, kiedy zajaśnią te świece...*

## SIEWCY.

*Pierwo-ziarna perłowe, z wieńców dożynnych kruszzone...*

## OWCZARZE.

*I lekarstwa niesiemy dziwne...*

## ŁOWCY.

*I dziwne stworzenia,  
Zabłąkane niekiedy z dalekich światów w tę stronę:  
Wiedźmy, ptaki i rzeczy, na które niema imienia...*

## CZUDY.

*Z ziem odległych, z za morza lazurowego, wiezione  
W szklanych, miednych naczyniach, w przedzió-  
nych torbach z amiantu,  
Rzeczy droższe niesiemy od wszech-brylantów-bry-  
flantu...*

## RUNNIKI.

*Słowa ciche i uśmiech, a długie miecze i młoty  
My niesiemy, jak w dimurze przesuwające się grzmo-  
ty...  
Ciszej:*

*Na głos trąbki Germańskiej—dalej—urnami z ra-  
mienia,  
Dalej wiencem około Caesarowego strzemienia...*

Głośniej:

*Słowa dziwne niesiemy, pełne rdzennego nasienia!..*

Przechodzą.

CHÓRY przechodząokoło namiotu i półkregami stają w dali, tak, iż namiot Wandy na przodzie sceny stoi, a w głębi, gdzie nie domykają się półkręgi chórów, widać płynącą wisłę i brzeg spadzisty.

## DZIEWKI.

*Teraz wy — wieszczowie, siwe głowy,  
Stańcie pośrodku — co ma być?  
Ogłoście, moźnemi słowy...*

LECHÓW - CHÓR, podnosząc tarcze.

*A niedhaj żyje — co ma żyć,  
A niedhaj zadrzy, co ma drżeć...*

Wieszczce wysuwają się chórem i stają przed namiotem — PRZEDNI-STARZEC w głęb' namiotu wchodzi — chwila milczenia.

PRZEDNI -STARZEC, wychodząc.

*Sen się stał dziwny do prawielmożnej Pani —*

## RZESZA.

*A - a!..*

## STARZEC.

*... wszyscy, z czem kto jest, tu zebrani,  
Złożyć mają w KOPIEC swoje rzeczy,  
I — rzeczono jest, że to uleczy...*

CHÓRY, rozsuwają się ku środkowi sceny.

*I — rzeczono jest: że to uleczy...!*

W głębi sceny rośnie mogiła, przy śpiewach i w porządku takim, jak się scena ta rozpoczyna — tylko, że śpiewy są przycichłe i odległe.

TREBACZE, od obu stron namiotu.

*Lada — lada...*

LECHY.

*Ona!..*

CHÓRY.

Wanda — góra!..

## STARZEC - PRZEDNI

*— Jako pawia białego pióro  
Na wietrze:  
Stapa cicho, strzelista...*

DZIEWKI.

— A koronę ma w prawej ręce swojej...

WIESZCZE

*— A jest jako powietrze  
Czysta —*

CHÓRY.

— Owo przeszła — owo pod kopcem stoi...

WANDA.

*— Dobrzy ludzie!.. widziałam cień ogromny Boga,  
Przedchodzący po polach jak szeroka droga,*

*A to był tylko ręki jednej cień — ta ręka  
 Jakby przebitą była, bo słońce padało  
 Przez wnętrze dłoni, nawskróś, jak przez wypaść  
 /sęka.*

*Ja stałam — i patrzyłam w to rozdarte ciało,  
 Jak ptak z ciemności w jasną pogląda szczelinę,  
 I dano mi jest wiedzieć — to...\*)*

Bierze gromnicę zapaloną z rąk PLASTA i wchodzi na stos — potem, ciszej, kończy:

... że dla was zginę...

RZESZA.

*Co jest? co rzecze?...*

WANDA.

*... każdy rozrzenił się szczerze  
 I przyniósł, na co stać mu... to jest dość na wieki  
 Żywota dla was... dziwni, będą z was żołnierze  
 I PROWE-BOG szczególnej użyczy opieki...  
 — A co jest ze mnie, dam was...*

STARZEC.

... gore!...

CHÓRY.

*... dymów skrzydła białe  
 Zebrały się, skręciły... rozchodzą w dwie strony...*

\*) Objasnenie w dewizie na pierwszej karcie (*w druku na 3-ej str.*) pod dedykacją znajduje się. PRZYPISEK AUTORA.

STARZEC.

*Błękit widzę... ratunku! wody!..*

RZESZA.

*.. wisłę całą*

*Na stos wylać!..*

STARZEC.

*— widziałem tylko blysk korony...*

TRĘBACZ, od stosu lecąc.

*— Nie wiszę na stos... w wiszę przelalo się ciało...*

RZESZA.

*— Co jest?..*

LECHY.

*— Niemce!..*

RYTYGER, na koniu, w poczcie zrzucających płaszcze swoje RUNNIKÓW — zdala WOJSKA, w kurzawie ledwo widne.

RYTYGER.

*...porąbię w wióry i rozmiotę!..*

LECH, z konia podając się włócznią.

*— Zaczekaj! — w ranę świeżą patrzący — w czer-*  
*/woną*

*Ranę... Sępie!.. jeśli trza korony,*  
*To pójdziesz w pław, psie rudy. — pójdziesz za ko-*  
*[roną]...*

RYTYGER.

## *Królowa, gdzie jest?..*

RUNNIKI.

— — nie jest...

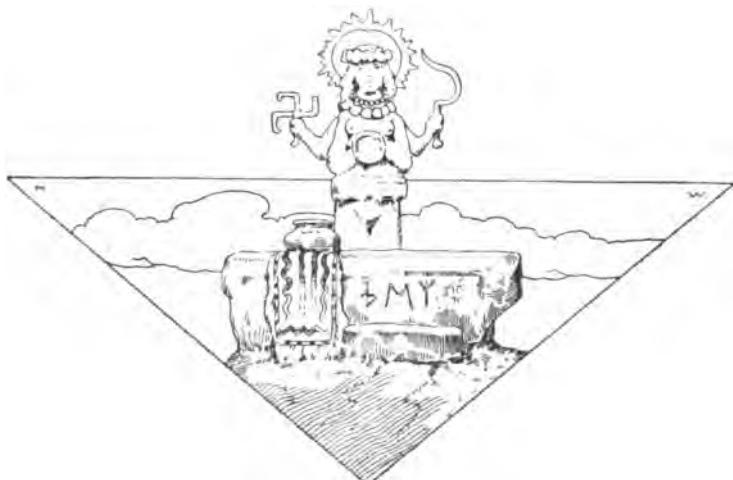
**RYTYGER**, obracając się do poczty.

... chłopy!.. w inne strony!

*— Na świat — na Rzym — gdzie szaleć jeszcze czas  
si luźno!*

*A miłość nie jest jednym bezsilnem... ZA PÓZNO...,*

## KONIEC RZECZY O WANDZIE



PISALEM 1851: Cypryan Kamil.

## Prometeusz źle spętany.

Orzel, sęp lub gołąbka.  
WIKTOR HUGO.



mając, jak nam się zdaje, nic złego na myśli, podał mu chustkę, którą tamten upuścił przed chwilą. Pan otyły podziękował krótko i miał już iść dalej w swoją drogę, gdy wtem, zmieniając zamiar, pochylił się ku chudemu i poprosił go zapewne o jakieś objaśnienie, które ten widać mu dał, bo pan otyły, wydobywszy niezwłocznie z kieszeni kałamarz przenośny i pióro, podał je bez dalszych ceregieli panu chudemu, podobnie jak kopertę, którą trzymał dotąd w ręku. I przecho-

drugiej po południu, w maju, roku 189..., widziano rzecz następującą, która mogła się wydać dziwną:

Na bulwarze wiodącym od Magdaleny do Opery, jakieś tłustego pana, w średnim wieku, nie odznaczającego się zresztą niczym oprócz rzadkiej swej otyłości, zaczepił z uśmiechem jakiś pan chudy i, nie

dzący mogli widzieć, jak pan chudy napisał na niej niezwłocznie jakiś adres. — Ale tu rozpoczyna się dziwaczna strona tego zdarzenia, której nie zanotował jednak żaden dziennik: pan chudy, oddawszy pióro i kopertę, nie zdążył jeszcze uśmiechnąć się na pożegnanie, gdy pan otyły, zamiast podziękowania, dał mu nagle z rozmachem w twarz; poczem skoczył w dorożkę i znikł, zanim ktokolwiek ze zwabionych tą sceną widzów (byłem w ich liczbie), ochłonąwszy ze zdumienia, mógł wpaść na myśl, by go zatrzymać.

Dowiedziałem się później, że był to Zeus, bankier.

Pan chudy, widocznie zawstydzony uwagą, jakiej mu nie skąpiła publiczność, twierdził, mimo iż krew płynęła mu z nosa i wargi rozdartej, że prawie nie czuł policzka. Błagał, aby mu chciano dać pokój, i wobec stanowczych jego nalegań, przechodnie usunęli się ostatecznie. Czytelnik pozwoli, że przestaniemy zajmować się, w danej chwili, kimś, kogo dość często spotykać będzie w dalszym ciągu.

## KRONIKA MORALNOŚCI PRYWATNEJ.

### I.



ie będę mówił o moralności publicznej, bo jej niema, ale, co się tego tyczy, mała anecdota:

Gdy Prometeusz, na wyżynie Kaukazu, doświadczył wystarczająco, że łańcuchy, czopy, kaftany dla waryatów, mury bezpieczeństwa i inne

zbytnie ostrożności, koniec końców, pozbawiały go tylko władzy w stawach, — aby zmienić położenie, uniósł się nieco lewym bokiem, przeciągnął prawe ramię i, pewnej jesieni, między czwartą a piątą po południu, zeszedł na bulwar wiodący od Magdaleny do Opery.

Różne znakomitości paryskie mijaly się na wyścigi przed jego oczyma. Dokąd oni idą? zadawał sobie pyta-

nie Prometeusz i, siadając w jednej z kawiarni przed szklanką piwa, spytał: „Garson? dokąd oni idą?“

HISTORYA GARSONA I MILIONERA.

— Gdyby pan widywał ich, tak jak ja, przechodzących codziennie, rzekł garson, mógłby pan równie dobrze spytać, zkad oni idą. Wyjdzie to na jedno, ponieważ przechodzą tedy co dzień. Ja powiadam sobie: skoro znowu przechodzą, to znaczy, że nie znaleźli. Czekam teraz, aby pan spytał mnie, czego oni szukają, bo zobaczy pan, co mu odpowiem.

Wówczas Prometeusz spytał: Czegóż oni szukają?

Garson ciągnął dalej: Skoro nie zostają tam, dokąd szli, znaczy, że to nie jest szczęście. Pan może mi wierzyć albo nie, — i, zblizywszy się, dodał ciszej: Czego szukają? Swojej osobistości; — pan nie tutejszy?...

— Nie, rzekł Prometeusz.

— Zresztą, to znać, rzekł garson; tak: osobistości; co my nazywamy tutaj idiosynkrazyą. Tak ja (mały przykład), tak jak mnie pan widzi, przysiąglby pan, że jestem garsonem z kawiarni! Otóż nie! proszę pana, to tylko dla przyjemności; może mi pan wierzyć albo nie: ja mam swoje życie wewnętrzne: robię spostrzeżenia. Osobistości, oto jedyna rzecz zajmująca; a potem stosunki między osobistościami. Bardzo dobre urządzenie, tu, w naszej restauracji; stoliki na trzy osoby; wytlومaczę panu za chwilę ich użytek. Zechce pan zapewne wkrótce zjeść obiad, nieprawdaż? przedstawi się pana...

Prometeusz był nieco znużony. Garson ciągnął dalej: Stoliki na trzy osoby, tak, to wydało mi się najwy-

godniejszem: trzech panów przychodzi; przedstawia się ich nawzajem (naturalnie, o ile tego żądają), bo w naszej restauracyi każdy musi przed obiadem powiedzieć swe nazwisko; a nadto, czem się zajmuje; jeżeli jedni drugich oszukują, tem gorzej. Wówczas wszyscy siadają (nie ja, rzecz prosta), zaczynają rozmawiać (nie ja również) — ale ja wprowadzam w stosunek; słucham; śledzę; kieruję rozmową. Pod koniec obiadu znam trzy istoty z ich strony wewnętrznej, trzy osobistości! Oni, nie. Ja, pojmuje pan, słucham, wytwarzam stosunek; oni podlegają tylko stosunkowi. — Pan mnie spyta: co mi to wszystko przynosi? — O! nic a nic. Mam przyjemność w stwarzaniu stosunków... O! bynajmniej nie dla swojej korzyści .. jest to, jakby kto powiedział, uczynek zupełnie bezinteresowny.

Prometeusz zdawał się nieco zmęczony. Garson ciągnął dalej: Uczynek bezinteresowny! czy to nic panu nie mówi? — Mnie wydaje się to niesłychanem. Myślałem długo, że to właśnie odróżnia człowieka od zwierząt — uczynki bezinteresowne. Nazywałem człowieka: zwierzę zdolne do uczynku bezinteresownego; — potem znowu myślałem wprost przeciwnie: że to jedyna istota, niezdolna działać bezinteresownie; — bezinteresownie, pomyśl pan; bez powodu — tak, rozumiem pana — powiedzmy: bez pobudki; niezdolna! I wówczas zaczęło mnie to dręczyć. Mówiłem sobie: dla czego dzieje się tak? dla czego dzieje się inaczej?.. Nie znaczy to jednak, abym był determinowany... ale, co się tego tyczy, mała anegdota:

Mam przyjaciela — może mi pan wierzyć lub nie — który jest milionerem. Jest, oprócz tego, rozumnym człowiekiem. Powiedział on sobie: uczynek bezinteresowny? jakby tu zrobić? I proszę zrozumieć, że nie chodzi tu wcale o uczynek, który nic nie przynosi, bo bez tego... Nie, uczynek bezinteresowny: uczynek nie mający żadnej

pobudki. Rozumie pan? żadnego interesu, żadnego zamłowania, nic. Uczynek bez żadnych widoków osobistych, zrodzony z siebie samego; uczynek bez celu również; a więc bez pana; uczynek wolny; Uczynek-autochton!

— Hę? — wtrącił Prometeusz.

— Proszę, niech pan dobrze zważa na moje słowa, rzekł garson. Przyjaciel mój wychodzi z domu rano, z biletom 500-frankowym w kopercie i z ręką gotową do policzka.

Chodzi o to, by znaleźć kogoś bez wyboru. Upuszcza więc chustkę na ulicy, ktoś ją podnosi (dobroduszy, skoro podniósł), i Milioner odzywa się doń:

— Przepraszam, czy nie znasz pan czasem kogo?  
Tamten:

— Owszem, wiele osób.

Milioner: — W takim razie, ufam, że będziesz pan łaskaw napisać jego imię na tej kopercie; oto stół, pióro, ołówek...

Tamten pisze, jako człowiek dobroduszy, potem: — A teraz, czy wytłومaczysz mi pan?..

— To dla zasady, odpowiada Milioner; poczem (zapomniałem dodać, że jest bardzo silny) wymierza mu policzek, który miał gotowy w ręku; poczem wskakuje do dorożki i znika.

Rozumie pan? dwa uczynki bezinteresowne naraz! ten bilet 500-frankowy pod adresem wybranym nie przez niego, i policzek wymierzony komuś, kto sam się wybrał, aby podnieść jego chustkę. Nie, doprawdy! toż to chyba dość bezinteresowne!

A stosunek? Założybym się, że pan niedoś gębo-ko roztrząsnął stosunek; bo, ponieważ oba uczynki były bezinteresowne, jest on, jak my tu nazywamy, powracającym: jeden dostał 500 franków za policzek, drugi dostał

policzek za 500 franków... a potem sam już nie wiem... człowiek gubi się w tem — Niech pan tylko pomyśli! uczynek bezinteresowny! niemasz nic bardziej demoralizującego. — Ale panu zaczyna chcieć się jeść; bardzo pana przepraszam; człowiek się zagada... Pan będzie łaskaw powiedzieć mi swe nazwisko, — abym mógł przedstawić...

— Prometeusz, rzekł Prometeusz z prostotą.

— Prometeusz! Czyż nie mówiłem, że pan z pewnością nietutejszy... A co pan robi?

— Nic, rzekł Prometeusz.

— O! nie. Nie, rzekł garson ze słodkim uśmiechem. — Dość spojrzeć na pana, aby poznać, że pan coś robił.

— Oh, to już dawno, wyjąkał Prometeusz.

— Tem gorzej, tem gorzej, ciągnął dalej garson. Zresztą, niech pan będzie spokojny: przy przedstawianiu, mówię nazwiska, gdy panowie zażądają; ale, co kto robi, nigdy. — A więc, a więc: — pan robił...

— Zapałki, wyszeptał rumieniąc się Prometeusz.

Nastąpiła chwila dość przykrego milczenia. Garson zrozumiał, że nalegał niepotrzebnie, Prometeusz czuł, że niepotrzebnie odpowiedział.

— Ostatecznie, już ich pan nie robi... — ozwął się znowu garson, tonem pocieszającym. Ale w takim razie, cóż? Muszę przecież zapisać cokolwiek, nie mogę napisać ot tak: Prometeusz, bez niczego. Pan musi jednak mieć jakąś profesję, jakiś zawód... Koniec końców, co pan umie robić?

— Nic, powrócił do swego Prometeusz.

— W takim razie zapiszmy: literat. — A teraz, może pan będzie łaskaw wejść do sali; na powietrzu nie mogę nakryć stołu. I krzyknął do wnętrza restauracji: — Raz, na trzy osoby stolik! raz!..

Przez dwoje drzwi weszło dwóch panów. Widać było, jak podawali swoje nazwiska garsonowi; ale ponieważ nikt nie ządał przedstawiania, obaj niebawem zasiedli przy stole.

A gdy już siedzieli:

*II.*



oi panowie, rzekł jeden — jeżeli przyszedłem do tej restauracji, mimo że źle tu dają jeść, to tylko dla tego, aby mózg porozmawiać. Mam wstęp do posiłków samotnych, i system stolików na trzy osoby podoba mi się, bo we dwóch można się pokłócić... Ale panowie jesteście jacyś milczący?

— To pomimo woli, rzekł Prometeusz.

— Mogę ciągnąć dalej?

— Proszę pana.

— Uważam tedy, że w ciągu jakieś godziny, poświęconej na posiłek, trzej nieznajomi mają czas dać się poznać wzajemnie, o ile nie będą jedli zbyt wiele, — o co zresztą tutaj nietrudno, — i o ile mówić będą mało, unikając punktów ogólnie zwykłych, to jest, o ile opowiadać będą tylko

to, co w sobie mają ściśle indywidualnego. Nie utrzymuję, aby ta rozmowa była nieodzowna, ale jeśli nie macie panowie do niej upodobania, to — zważywszy, że dają tu jeść bardzo źle — po co przyszliście do tej restauracyi?

Prometeusz był bardzo zmęczony; garson, pochylwszy się nad nim, rzekł pocichu: To Kokles. A ten, co zaraz zacznie mówić, to Damokles.

Damokles zaczął mówić:

#### HISTORYA DAMOKLESA.

Panie, gdybyś mi pan powiedział to przed miesiącem, nie mógłbym, ściśle biorąc, nic odpowiedzieć; ale po tem, co mi się zdarzyło przeszłego miesiąca, nie zostało się nic z tego, co myślałem poprzednio. Jeżeli przeto wypowiem niektóre z dawnych myśli, to dla tego tylko, że znajomość ich pozwoli panom łatwiej zrozumieć to, co odróżnia od nich nowe myśli moje. — Otóż, panowie, od miesiąca, czuję, że jestem istotą oryginalną, jedyną, mającą niewątpliwie szczególne jakieś przeznaczenie. — Możecie tedy wnioskować panowie, że poprzednio czulem coś wbrew przeciwnego. Prowadziłem najzwyczajniejsze w świecie życie i za obowiązek miałem następującą formułę: być podobnym do najpospolitszego z ludzi. Teraz uznaję, zaiste, że człowiek pospolity wogóle nie istnieje, i twierdzę, że najdaremniejszą z ambicji jest ubieganie się o podobieństwo do wszystkich, bo wszyscy składają się z każdych, a każdy nie podobny jest do nikogo. Mniejsza o to; robiłem wszelkiego rodzaju wysiłki; zatapiałem się w statystyce; obliczałem ilości średnie — zapominając że ostateczności stykają się, że idący spać bardzo późno spotyka się ze wsta-

jącym bardzo wcześnie, i że kto ubiega się koniecznie za siedzeniem w samym środku, może łatwo usiąść między dwoma krzesłami. — Kładłem się spać codzień o dziesiątej. Sypiałem po ósm godzin i pół. Starałem się, w każdej z mych czynności, naśladować największą większość, a w każdej ze swych myśli mniemanie najpospolitsze. Nie mam zatem powodu kłaść na to wszystko szczególnego nacisku.

Ale oto, pewnego ranka, zdarzyła mi się przygoda ściśle osobista. Znaczenie takiego faktu w życiu człowieka statecznego ocenić się daje dopiero w ciągu dalszych następstw. Bądź co bądź, stanowi on precedens, i to jest straszne. Ja go już mam.

*III.*



o, proszę wyobrazić sobie, pewnego ranka odebrałem list.— Panowie, brak zupełny zdziwienia z waszej strony wskazuje mi, że opowiadam źle swą historię. Powinienem był powiedzieć wam naprzód, że — co się tyczy listów — nie oczekiwałem żadnego. Odbieram tylko trzy listy na rok: jeden od gospodarza mego z żądaniem, aby mu zapłacić komorne; drugi od mego bankiera, zwiastujący, że mogę to zrobić; trzeci, na nowy rok, ... nie mogę panom powiedzieć od kogo. Adres był pismem zupełnie mi nieznanem. Brak jakichkolwiek cech charakterystycznych, który później wykryłem w niem przy pomocy wezwanych na radę grafologów, nie pozwolił mi dowiedzieć się nic bliższego. Nie znaleźli oni żadnych wskazówek, oprócz oznak wielkiej dobroci; inni dostrze-

gali raczej cechy słabości. Nie mogli orzec nic stanowczego. Co do pisma... mówię, zważcie to panowie, tylko o adresie na kopercie; bo w kopercie nic nie było, żadnego listu, żadnej karteczki; tak jest — ani wiersza, ani słówka. W kopercie nie było nic, prócz biletu pięciusetfrankowego.

Zabierałem się właśnie do swej czekolady; ale zdumienie me było tak wielkie, że dałem jej wystygnąć. Szukałem w myśl... Nikt mi nie był nic winien. Mam dochody stałe, panowie, a drobne oszczędności coroczne wetują poniekąd ciągłą zniżkę renty. Nie spodziewałem się nic od nikogo. Nie prosiłem nigdy o nic. Nawyknięcia mego bardzo regularnego żywota nie pozwalały mi nawet życzyć sobie czegokolwiek. Zastanawiałem się długo, trzymając się najlepszej metody: *Cur? unde? quo? qua?* — Zkąd, dokąd, któredy, dla czego? Ale bilet bankowy nie mógł dać odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Myślałem: to zapewne omyłka; będę ją mógł naprawić. Ta suma była niewątpliwie przeznaczona dla kogoś noszącego toż samo nazwisko. Szukałem więc, w książce adresowej, owego imiennika, który może oczekivał już pieniędzy z niecierpliwością. Ale nazwisko moje nie jest dziś bardzo używane, i przekonałem się, przerzuciwszy fascykuł olbrzymi, że wskazywało tylko mnie jednego. Myślałem, że adres na kopercie doprowadzi mnie do lepszych rezultatów, i, że nie mogąc znaleźć adresata, wpadnę na ślad wysyłającego. Wówczas to uciekłem się do grafologów. Ale nic, nic — i oni nie mogli mi nic powiedzieć; spotęgowałem tylko jeszcze swą troskę. Te pięćset franków, z każdym dniem, udręczają mnie coraz bardziej; chciałbym się pozbyć ich, i nie wiem, jak to zrobić. Bo ostatecznie... Albo też, jeżeli ktoś dał je mnie bez pomyłki, winienem mu przynajmniej wdzięczność. Chciałbym zatem być wdzięcznym — a nie wiem, komu.

W nadziei, że nowy traf wybawi mnie z tego utrapienia, noszę przy sobie ten banknot. Nie rozstaję się z nim ani we dnie, ani w nocy. Tylko to mam na myśli. — Dawniej byłem człowiekiem pospolitym, lecz wolnym zarazem. Dziś jestem niewolnikiem tego banknotu. Ta przygoda nadaje mi wyraźne znaczenie: byłem byle kim, dziś jestem kimś.

Od owej przygody, mam popsuty cały porządek życia; szukam nieustannie, z kimby módz pomówić, a jeżeli na obiad zachodzę bardzo często do tej restauracyi, to dla tego, że przy tutejszym systemie stolików na trzy osoby, mam nadzieję znaleźć pewnego dnia, między dwoma przypadkowymi towarzyszami, kogoś, co pozna charakter pisma na tej oto kopercie...

Kończąc te słowa, Damokles wydobył z gębi piersi westchnienie, a z kieszeni surduta pożółkłą i zbrudzoną kopertę. Nazwisko jego rozpościerało się na niej, wypisane wszystkimi literami, nie przedstawiającym, nic szczeólnego pismem.

Wówczas zaszło coś niezwykłego: Kokles, który do tej chwili siedział bezmownie, nie przerwał wprawdzie milczenia, — ale podniósł nagle na Damoklesa rękę, którą garson zaledwie zdążył w sam czas powstrzymać w ruchu. Skutkiem tej interwencji, Kokles mógł opanować się i wyrzec smutnie następujące słowa, które zrozumiano dopiero znacznie później: — Ostatecznie, lepiej się stało, bo gdybym panu był oddał policzek, uważałybyś pan może za stosowne zwrócić mi ten banknot, a... on nie należy do mnie. — Potem, ponieważ Damokles zdawał się oczekiwany jakiegobądź wyjaśnienia jego gestu: — Ja to, dodał, wskazując kopertę, napisałem tutaj pański adres.

— Ale zkadże pan znałeś moje nazwisko? rzekł Damokles, który miał zamiar wziąć zajście to za obrażenie.

— Przypadkiem — rzekł Kokles łagodnie; — zresztą, niema to wielkiego znaczenia w całej tej historyi. Moja przygoda jest jeszcze ciekawsza od pańskiej; pozwólcie panowie, że opowiem ją w kilku słowach:

**HISTORYA KOKLESA.**

Nie mam w świecie wielkich stosunków; i nawet, przed tem, co panom zaraz opowiem, nie miałem o nich wogóle wyobrażenia. Nie wiem, kto mnie wydał na świat, i zastanawiałem się długo, czy mam jakikolwiek powód, aby wlec dalej to życie. Wyszedłem na ulice, poszukując jakiejś determinacyi z zewnątrz. Ułożyłem sobie, że od pierwszej rzeczy, jaką mi traf przyniesie, zależeć będzie moje przeznaczenie; bo, będąc z natury, zbyt dobrodusznym, sam nie umiał nadać sobie kierunku. Pierwszy czyn, wiedziałem to, miał umotywować moje istnienie. Ponieważ, jak powiedziałem, jestem z natury dobroduszy, więc czynem tym było podniesienie z ziemi chustki od nosa. Ten, co ją upuścił, oddalił się dopiero o parę kroków zaledwie; pobiegłem za nim i oddałem mu zgubę. Biorąc ją, nie miał miny zdziwionej; nie — zdziwiłem się ja, ujrzawszy, że podaje mi koperte, tę oto właśnie. — Chciej pan, rzekł z uśmiechem, napisać na tej kopercie jakiś adres. — Jaki? spytałem. — Czyjkolwiek, odparł. — To mówiąc, przysunął do mnie wszystko, czego potrzeba do pisania. — Ponieważ nie pragnąłem wcale wyłamywać się z pod sprężyn i pobudek zewnętrznych, uległem. Ale, jak panom już mówiłem, nie mam w świecie wielkich stosunków. Nazwisko, które napisałem, a które nie wiem jak przyszło mi do głowy, było

dla mnie nazwiskiem jakiegoś nieznajomego. Zrobiwszy, czego żądał, skloniłem się, uważając, że mój już wolny, i właśnie mialem się oddalić, gdy wtem dostałem straszliwe uderzenie w twarz.

Osłupiałem tak dalece, że nie spostrzegłem nawet, co się stało z moim policzkodawcą. Gdy przyszedł do siebie, otaczał mnie tłum ludzi. Wszyscy mówili. Niektórzy chwytali mnie i chcieli prowadzić do sąsiedniej apteki. Ledwie zdołałem wyrwać się z pod ich opieki, twierdząc, że nic mi nie jest, mimo że krew ciekła mi z nosa i że w szczęście czułem ból przejmujący.

Nabrzmienie twarzy trzymało mnie tydzień cały w pokoju. Przepędziłem go na rozmyślaniu:

Dla czego człowiek ten wymierzył mi policzek?

Zapewne przez omyłkę. Jakąż bowiem mógłby mieć do mnie urazę? Nie zrobiłem nikomu nic złego; nikt więc nie może mi źle życzyć: зло jest czemś, co się wyrządza przez wzajemność najczęściej.

A jeżeli to nie omyłka — myślałem, bo po raz pierwszy zacząłem myśleć. Jeżeli ten policzek był mnie istotnie przeznaczony. Eh! co mnie to obchodzi! dodałem zresztą. Przez omyłkę czy nie, dostałem bądź co bądź ten policzek, a... czy go oddam? — Powiedziałem już panom, że jestem z natury dobroduszny; a potem, wprawia mię w kłopot jedna okoliczność: jegomość, który mnie wypoliczkował, był daleko silniejszy ode mnie.

Gdy twarz mi stęchła i gdy mogłem nareszcie wychodzić, szukałem wprawdzie mego policzkodawcy; tak, ale, aby mu nie wejść w drogę. Zresztą nie spotkałem go ani razu, i jeżeli nie wszedłem mu w drogę, to zupełnie bezwiednie.

Ale — i mówiąc to, pochylił się ku Prometeuszowi — patrz pan, jak dzisiaj wszystko się wiąże, wikła, zamiast się wyjaśnić! — Dowiaduję się oto, że dzięki memu policzkowi, ten pan dostał pięćset franków...

— Ah! ależ pozwól pan, rzekł Damokles.

— Jestem Kokles, panie, rzekł tamten, skłoniwszy się Damoklesowi; — Kokles! i mówię ci swe nazwisko, drogi Damoklu, pewny, że będzie ci przyjemnie dowieść się, komu zawdzięczasz swój zysk niespodziany...

— Ale...

— Tak — wiem: nie mówmy: komu; powiedzmy: czyjemu cierpieniu... Bo wiedz pan i nie zapominaj, że pańska korzyść zakiełkowała na glebie miego nieszczęścia...

— Ależ...

— Nie sprzeczaj się pan daremnie, proszę pana. Miedy pańskim zyskiem i moją przykrością zachodzi jakiś stosunek; jaki, nie wiem — ale stosunek jest...

— Ależ, panie szanowny...

— Nie nazywaj mnie pan szanownym panem.

— Ależ, drogi Koklesie...

— Mów mi: Koklu — poprostu...

— Ależ, raz jeszcze, mój Koklu poczciwy...

— Nie, panie — nie, Damoklu — naprzóźno będziesz wysiąłał się na wymowę, bo mam jeszcze na twarzy znak od policzka... małą bliznę, którą zaraz panom pokażę...

Rozmowa zaczęła przybierać charakter niemile osobisty. Teraz wyszedł na jaw takt garsona.

*IV.*



datnym manewrem — wywróciwszy poprostu pełny talerz na kolana Prometeusza — ściągnął nagle na niego uwagę tamtych obu. Prometeusz nie mógł powstrzymać okrzyku, a głos jego po głosie tamtych wydał się tak głębokim, że wszyscy zrozumieli natychmiast, iż milczał do tej pory.

Rozdrażnienie Damoklesa i Koklesa zjednoczyło się.  
— Ale pan nic nie mówisz — wykrzyknęli obaj...

PROMETEUSZ MÓWI.

— O, panowie, to, co mógłbym powiedzieć, ma tak mały związek... Nie widzę nawet, w jaki sposób... I na-

wet, im bardziej o tem myślę... Nie, doprawdy, nie mam nic do powiedzenia. Każdy z panów ma swoją historię; ja jej nie mam. Chciejcie mnie wytlumaczyć. Wierzcie, że z niekłamanem zajęciem słucham opowiadań obu panów o przygodzie, którą chciałbym... mówiąc... Ale nie zdołam nawet wyrazić się z należytą łatwością. Nie, doprawdy, musicie mię usprawiedliwić, drodzy panowie: jestem w Paryżu zaledwie od dwóch godzin. Nic jeszcze nie zdążyło mi się przytrafić — wyjątkowy nieoszacowane spotkanie z wami, pozwalające mi przeczuwać, czem może stać się rozmowa paryzka, gdy ją ludzie dowcipni...

— Ale przed przybyciem tutaj... — rzekł Kokles.

— Byłeś pan gdzieś przecież, dodał Damokles.

— Tak wyznaję, rzekł Prometeusz... — ale, raz jeszcze, to nie ma żadnego związku...

— Mniejsza o to, rzekł Kokles, przyszliśmy tu, aby rozmawiać. My obaj, Damokl i ja, wydobyliśmy już swoje zapasy; pan jeden nie przynosisz nic; słuchasz tylko; to niesprawiedliwie. Pora na pana powiedzieć coś, panie...

Garson uczuł całym swym taktem, że nadeszła chwila przedstawienia, i wsunął nazwisko, jak gdyby uzupełniając zdanie poprzednika.

— Prometeusu — rzekł z prostotą.

— Prometeusu? powtórzył Damokles. — Wybacz pan, ale zdaje mi się, że to nazwisko już...

— O! przerwał natychmiast Prometeusz, to nie ma absolutnie żadnego znaczenia.

— Ależ, jeżeli nic nie ma znaczenia, zniecierpliwili się obaj tamci, to po cóż właściwie przyszedłeś pan tutaj, kochany panie...?

— Prometeusu, dokończył Prometeusz z prostotą.

— Kochany panie Prometeusu — bo ostatecznie, jak to zauważyłem przed chwilą, ciągnął dalej Kokles, restauracja ta wzywa do mówienia, a zresztą, nic mnie nie

przekona, że dziwaczne nazwisko, które pan nosisz, jest jedyną wyróżniającą pana rzeczą; jeżeli dotąd nic pan nie zrobiłeś, to zrobisz coś jeszcze; do czego byłbyś pan zdolny? odsłoń nam pan swój rys znamienny: co pan masz, czego nie ma nikt inny? dla czego nazywasz się pan — Prometeusz?

Zatopiony falą tych pytań, Prometeusz spuścił głowę, i łagodnie, tonem poważniejszym jeszcze, odpowiedział, pod musem, niewyraźnie prawie:

— Co mam, panowie? — Co ja mam — ? Ach! orła.

— Co takiego?

— Orła — albo może sępa... niemasz pod tym względem jedności w zdaniach.

— Orła! Pyszna facecya! — orła... i gdzież to?

— Zatem chcecie go panowie ujrzeć koniecznie? rzekł Prometeusz.

— Tak, rzekli, jeśli nie poczytasz pan tego za zbytnią ciekawość.

Wówczas, nazbyt zapominając, gdzie się znajduje, Prometeusz zerwał się nagle i wydał wielki okrzyk, gromkie wezwanie do swego orła.

I oto zaszła ta rzecz zdumiewająca:

#### HISTORYA ORLA.

Jakiś ptak, który zdaleka miał pozór olbrzymi, ale zblizka okazał się bynajmniej nie tak wielkim, zaciemnia na chwilę niebo bulwaru, spada jak wicher ku kawiarni,

tłucze szybę wystawową i, wybijając Koklesowi oko jednym uderzeniem skrzydła, rzuca się, z hałaśliwym szczebiotem, tkliwym, tak, lecz i nakazującym zarazem, na prawy bok Prometeusza.

Ten ostatni otwiera natychmiast kamizelkę i ugaszczą ptaka kęskiem swojej wątroby.

*V.*



umult w kawiarni powstał  
ogromny.

Głosy niezgodne i niezrozumiałe już zupełnie — urozmaiciły się, bo inni nadeszli tymczasem.

— Ale proszę uważać! mówił Kokles.

Protestacyję jego zgłuszył  
rosnący z każdą chwilą hałaś, ponad który wybiły

się pojedyńcze słowa i zdania:

— To! orzeł? cóż znowu! — ależ przypatrzcie się  
temu biednemu, wyszarzanemu ptakowi! — To... orzeł!  
Dajcie-ż spokój!.. co najwyżej sumienie.

Faktem jest, że wielki orzeł wyglądał bardzo mizernie; chudy, trzepoczący się, wypierzony i gdyby sądzić z żarłoczności, z jaką znęcał się nad bolesną swą strawą, głodny od trzech dni przynajmniej.

Tymczasem coraz nowi przybysze jeśli kręcić się koło Prometeusza i napomykać mu prawie do ucha: Ależ panie, nie myśl-że pan, że ten orzeł czemkolwiek pana wyróżnia. Orła, w gruncie rzeczy — mam-że panu to wyznać? — orła swojego ma każdy z nas.

— Ale, wrącił ktoś...

— Ale nie nosimy go przy sobie w Paryżu — dokonczył inny. — W Paryżu ludzie źle patrzą na to. Orzeł zawadza. Przypatrzy się pan tylko, co zrobił. Jeśli przyjemnie panu karmić go własną wątrobą, nikt panu tego nie zabrania, twierdzę wszakże, że dla otaczających widok jest przykry co najmniej. Ilekroć chcesz pan to robić, ukryj się.

Prometeusz mruczał zmieszany: Wybaczcie, panowie, — oh! przykro mi rzeczywiście. Co począć?

— Ależ człowiek pozbywa go się przed wejściem do kawiarni, mój panie.

I jedni mówili: Dusi go się.

Drudzy mówili: Sprzedaje go się. — Toć redakcye dzienników na to tylko istnieją, łaskawy panie.

Pośród wzmagającej się wrzawy, nikt nie zauważył, że Damokles zażądał nagle rachunku od garsona.

Garson przedstawił mu pozycye następujące:

<i>3 obiady całkowite (z rozmową)</i>	..	<i>30 fr.</i>
<i>i szyba wystawowa</i>	..	<i>450 fr.</i>
<i>i oko szklane dla Koklesa</i>	..	<i>3 fr. 50</i>

..... a resztę proszę zachować dla siebie, rzekł Damokles wsuwając swój banknot garsonowi. Poczem wymknął się uszczęśliwiony.

Koniec tego rozdziału może wzbudzać już tylko znacznie mniejsze zajęcie. Poprostu, restauracya opróżni-

ła się zwolna. Prometeusz i Kokles domagali się nadaremnie swojej części rachunku. Damokles zapłacił wszystko.

Prometeusz pożegnał się z garsonem, z Koklesem, i, wracając powoli na swój Kaukaz, rozmyślał: Sprzedać go? — zadusić? — czy obłaskawić może?...

## UWIĘZIENIE PROMETEUSZA.

I.



zwartego czy piątego dnia potem, Prometeusz, zadenuncyowany dzięki przyjaznej pieczołowitości garsona, dostał się do więzienia jako fabrykant zapałek bez patentu.

Więzienie, wyosobnione od reszty świata dawało widok tylko na niebo; z wewnętrz miało pozór baszty starożytnej; wewnątrz nudził się Prometeusz.

Garson przyszedł odwiedzić go.

— Oh! rzekł mu z uśmiechem Prometeusz, jakżem szczęśliwy, że cię widzę. Schłem i dogorywałem już niedawno. Mów, ty, co przychodzisz ze świata; mury tej

ciemnicy odgraniczają mnie odeń, i nic już nie wiem o tych obu. Co się z nimi dzieje? — A przedewszystkiem, co ty porabiasz, mój przyjacielu?

— Od państwowego skandalu, odpowiedział garson, prawie nic; nikt prawie nie przychodzi do naszej restauracji. Straciliśmy dużo czasu na naprawienie wystawy.

— Niewymownie mi to przykro,—rzekł Prometeusz; — no, ale przynajmniej Damokles? Czy nie widziałeś się od owej chwili z Damoklesem? Wyszedł wtedy tak szybko z restauracyi; nie zdążyłem z nim się pożegnać. Bardzo tego żałuję. Zrobił na mnie wrażenie człowieka bardzo dobrego, nader przyzwoitego i sumiennego; opowiadał o swojem zmartwieniu z wielką prostotą i wzruszył mnie.— Czy przynajmniej odszedł od stołu nieco rozpogodzony?

— Nie trwało to długo, rzekł garson. Widziałem się z nim nazajutrz; jego niepokój pogorszył się jeszcze. Płakał, mówiąc ze mną! Trapi go nadewszystko stan zdrowia Koklesa.

— Czyż Kokles ma się tak źle? spytał Prometeusz.

— Kokles? — Ależ nie, odpowiedział garson. Powiedziałbym raczej, że widzi lepiej, odkąd patrzy jednym tylko okiem. Pokazuje wszystkim swe szklane oko i cieszy się, gdy go żałują. Gdy się pan z nim zobaczy, niech mu pan mówi, że z nowym okiem bardzo mu do twarzy; że nosi je nie bez wdzięku; ale niech pan doda, że musiał bardzo cierpieć...

— Cierpi zatem bardzo?

— O ile mu się tego nie mówi — tak, być może.

— Ale w takim razie, jeżeli Kokles ma się dobrze i nie cierpi nawet, czemże się trapi Damokles?

— Tem, że Kokles musiał bardzo cierpieć.

— A zalecasz mi mówić to właśnie...?

— Mówić, tak, ale Damokles to myśli; i to go zabija.

— Cóż porabia poza tem?

— Nic. Ta jedyna troska pochłania go całkowicie. Miedzy nami mówiąc, jest to człowiek zaprzepaszczony. — Powiada, że, gdyby nie jego 500 franków, Kokles nie byłby w tak opłakanym stanie.

— A Kokles?

— Mówi to samo... Ale zbogacił się teraz, co się zowie.

— Jakto? w jaki sposób?

— Oh! nie wiem dobrze; — ale litowano się nad nim bardzo w dziennikach, zaczęto zbierać nań składki.

— A on cóż z tem robi?

— To lis! Za pieniądze, które dlań zebrano, myśli założyć przytułek.

— Przytułek?

— Niewielki, tak; tylko dla jednookich. Mianował się już jego dyrektorem.

— Ho, ho! wykrzyknął Prometeusz; zajęłeś mnie żywo.

— Spodziewałem się tego, rzekł garson...

— A powiedz jeszcze... a Milioner?

— Oh! ten to pyszny chłop! — Jeżeli pan myśli, że wszystko to niepokoi go choć trochę!! Tak samo, jak ja: robi spostrzeżenia... O ile to pana bawi, mogę pana przedstawić — gdy pan ztąd wyjdzie...

— W rzeczy samej, ale dla czegoż ja siedzę tutaj? zaczął nareszcie Prometeusz. O co mię oskarżają? Czy nie wiesz, mój przyjacielu, ty, który wiesz tyle rzeczy?

— Dalibóg, że nie, skłamał garson. Ale wiem przy najmniej tyle, że to tylko więzienie prewencyjne. O reszcie dowie się pan, gdy pana skażą.

— No i to dobrze! rzekł Prometeusz; wolę zawsze wiedzieć.

— Żegnam pana, rzekł wówczas garson; już późno. To szczególne, jak z panem czas ucieka... Ale jeszcze jedno pytanie: pański orzeł? Co się z nim dzieje?

— Prawda! nie myślałem o nim wcale, rzekł Prometeusz. I, po wyjściu garsona, zaczął myśleć o swoim orle.

ON MUSI ROSNĄĆ, A JA CHUDNAĆ.

I ponieważ Prometeusz nudził się, więc pod wieczór przywołał swego orła. — Orzeł stawił się.

— Czekałem cię oddawna, rzekł Prometeusz.

— Czemużeś nie przyzwałeś mnie wcześniej? odpowiedział orzeł.

Po raz pierwszy spojrzał Prometeusz na swego orła, uczepionego byle jak na splątanych kratach izby więziennej. W pozłocie zachodu wydawał się jeszcze bezbarwniejszym: był stary, brzydki, skarły, skrywywiony, zrezygnowany, opłakany; wydawało się, że zbraknie mu sił do lotu; co widząc, Prometeusz zapłakał z litości nad swoim orłem.

— Wierny mój ptaku, rzekł doń, zdajesz się cierpieć — powiedz: co ci jest?

— Głodny jestem, rzekł orzeł.

— Jedz, rzekł Prometeusz, odsłaniając swoją wątrobę.

Ptak zabrał się do jedzenia.

— Sprawiasz mi ból, rzekł Prometeusz.

Ale orzeł dnia tego nie rzekł już nic więcej.

*II.*



azajutrz, Prometeusz o świecie  
już zapragnął swego orła; jał  
przywoływać go z głębi ró-  
żaności jutrzennych, i słońce  
wschodziło właśnie, gdy orzeł  
się stawił. Miał o trzy pióra  
więcej. Prometeusz szlochał  
z rozrzewnienia.

— Jakże późno przycho-  
dzisz, rzekł, głoścząc jego  
pióra.

— Bo nie latam jeszcze dość prędko, rzekł ptak.  
Ledwie unoszę się nad ziemią...

— Dla czego?

— Jestem taki słaby!

— Czegóż ci potrzeba, abyś mógł latać prędko?

— Twojej wątroby.

— Masz; jedz.

Nazajutrz, orzeł miał ósm piór więcej; a po kilku

dniach zaczął wyprzedzać jutrzenkę. Prometeusz chudł za to.

— Mów mi o świecie, prosił go nieraz Prometeusz; co się dzieje z tamtymi?

— O! teraz bujam wysoko, odpowiadał orzeł; nie znam już nic, prócz nieba i ciebie.

Skrzydła jego rozrosły się powoli.

— Piękny ptaku, co opowiesz mi dzisiejszego ranka?

— Błąkałem się ze swym głodem po wyżynach powietrznych.

— Orle! czyliż nigdy nie staniesz się mniej okrutnym?

— Nie! Ale mogę stać się bardzo pięknym.

Prometeusz, rozkochany w przyszłej piękności swojego orła, dawał mu z każdym dniem jeść coraz więcej.

Pewnego wieczora, orzeł nie odleciał.

Nazajutrz, również.

Zajmował swemi ukąszeniami więźnia, który znowu zajmował go swemi pieszcztami, ale który jednocześnie chudł i sechł z miłości, cały dzień głaszcząc tylko jego pióra, w nocy drzemiąc pod jego skrzydłem i karmiąc go do sytości. — Orzeł nie ruszał się już z więzienia ani w dzień, ani w nocy.

— Słodki mój orle! ktoby to był pomyślał?

— Że co?

— Że nasza miłość taka cudna będzie.

— Ah, Prometeusu...

— Czy wiesz, powiedz, mój słodki orle! dlaczego ja tu siedzę zamknięty?

— Cóż cię to obchodzi? Czyliż nie jestem z tobą?

— Prawda; nic mnie to nie obchodzi! Ale przynajmniej, czyś zadowolony ze mnie, piękny orle!

— Owszem, jeżeli znajdujesz mnie bardzo pięknym.

### *III.*



owróciła wiosna; na kratach baszty zakwitły wonneglicyny.

— Pewnego pięknego dnia wyruszmy ztąd, rzekł orzeł.

— Doprawdy? wykrzyknął Prometeusz.

— Bo ja stałem się bardzo silnym, a ty bardzo chudym, i mogę cię porwać.

— Orle, mój orle... porwij mnie.

I orzeł uniósł Prometeusza.

#### **ROZDZIAŁ. MAJĄCY ZACIEKAWIĆ DO NASTĘPNEGO,**

Owego wieczora, Kokles i Damokles spotkali się. Zaczęli rozmawiać; ale jakiś przymus widoczny ciążył między nimi.

— Cóż chcesz? mówił Kokles. Stoimy na wbrew przeciwnych stanowiskach.

— Tak ci się zdaje? odpowiedział Damokles. Ja pragnę najgoręcej, byśmy się mogli porozumieć.

— Mówisz tak, ale rozumiesz tylko siebie samego.

— A ty, ty nie słuchasz mnie nawet.

— Wiem z góry wszystko, co powiesz za chwilę.

— Powiedz zatem, jeżeli wiesz.

— Po co? skoro utrzymujesz, że wiesz lepiej, niż ja.

— Niestety! gniewasz się, Koklesie; — ale na miłość nieba, powiedz-że: co mam zrobić?

— Ah! dla mnie już nic, proszę cię bardzo; zrobiłeś mi już oko szklane ...

— Szklane, w braku lepszego, mój Koklesie.

— Tak — zrobiwszy mnie naprzód jednookim.

— Ależ, to nie ja, drogi Koklesie.

— To była rzecz najmniejsza; zresztą, miałeś z cze-gó za nie zapłacić — dzięki mojemu policzkowi.

— Koklesie! zapomnijmy tą przeszłość!..

— Bez wątpienia! chciałbyś ją zapomnieć.

— Ależ nie to chcę ci powiedzieć.

— Cóż chcesz powiedzieć w takim razie? No, mów-że!

— Nie słuchasz mnie.

— Bo wiem z góry, co powiesz za chwilę!...

Spór, z braku nowej materyi, zaczynał już przybierać tok bardzo niemiły, gdy wtem obaj zostali nagle potrąceni przez afisz wędrowny. Widniało na nim:

DZIŚ O 8 WIECZOREM

W SALI

POD NOWIEM

PROMETEUSZ ROZPĘTANY

MÓWIĆ BĘDZIE

O SWOIM  
ORLE.

*O 8<sup>1</sup>/<sub>2</sub> Orset przedstawiony pokazać kilka sztuk.*

*O 9 garson zajmie się kwestą na rzecz przytułku Koklesa.*

— Muszę to zobaczyć, rzekł Kokles.

— Idę z tobą, rzekł Damokles.

*IV.*



ala Pod Nowiem, punktualnie o 8-ej, zapełniła się tłumem słuchaczy.  
Kokles zajął miejsce po lewicy centrum, Damokles po prawicy; reszta publiczności umieściła się w pośrodku.  
— Grzmot oklasków powitał wejście mówcy; Prometeusz wdrapał się na stopnie estrady, posadził orła koło siebie, poprawił sobie włosy. W sali drgające milczenie...

**BLĘDNE KOŁO LOGICZNE.**

— Panowie, zaczął Prometeusz, nie mając, niestety! żadnej pretensyi, aby to, co powiem, mogło was zająć,

wziąłem z sobą zapobiegliwie tego oto orła. Po każdym nudnym ustępie mojej przemowy, pokaże on kilka sztucek. Mam nadto przy sobie fotografie sprośne i race kolorowe; w najpoważniejszych miejscowościach mojej przemowy, będę się starał za pomocą tego wszystkiego rozerwać publiczność. Przypuszczam więc, panowie, że wolno mi liczyć na trochę uwagi. Za każdą nową częścią przemowy, będę miał zaszczyt, panowie, zrobić was świadkami karmienia orła, — bo, panowie, przemowa moja ma trzy części; mniemałem, że nie powiniennem odrzucać tej formy, która tak dobrze się godzi z moim umysłem klasycznym.

— Po tem exordium w swoim rodzaju, wymienię niezwłocznie, z góry i bez żadnych fałszywych ozdób, dwa pierwsze punktu przemowy:

Punkt pierwszy: Trzeba mieć orła.

Punkt drugi: Zresztą każdy z nas ma jakiegoś.

Z obawy, aby nie zostać posądzonym o jakieś z góry powięte uprzedzenie, i bojąc się, z drugiej strony, ograniczyć swobodę swych myśli, przygotowałem przemowę tylko do tego miejsca; punkt trzeci wypłynie sam przez się z dwóch pierwszych; zostawiam tu namiętności, zapalowi, uniesieniu wolność zupełną. — Na zakończenie, orzeł, panowie, będzie kwestował.

— Brawo! Brawo! krzyknął Kokles.

Prometeusz popił wody. Orzeł, wykręcając się zgrubnie, okrzyknął potrzymać Prometeusza, poczem ukłonił się publiczności. Prometeusz rzucił okiem po sali, uśmiechnął się do Damoklesa, do Koklesa, i ponieważ żaden znak znudzenia nie objawiał się jeszcze, odłożył na później race i ciągnął dalej:

V.



hociąbym użył całej zręczności retorycznej, nie zdołam, panowie, wobec przenikliwości waszych umysłów, ukryć po kuglarsku fatalnego błędnego koła logicznego, t. zw. *petitio principii*, które oczekuje mnie na samym wstępie przemowy.

Panowie, choćbyśmy robiли nie wiem jakie wysiłki, nie unikniemy nigdy takiego lub innego błędnego koła logicznego. Otóż — co to jest błędne koło logiczne? Panowie, pozwolę sobie powiedzieć: każde błędne koło logiczne jest stwierdzeniem temperamentu; bo, gdzie brak zasad, tam stwierdza się temperament.

Gdy oświadczam: Trzeba mieć orła, moglibyście wszyscy okrzyknąć się: Dla czego? — Otóż, czyliz mogę wasm odpowiedzieć coś, co nie dałoby się sprowadzić do następującej formułki, w której stwierdza się mój temperament: Nie lubię ludzi; lubię to, co ich pożera.

Temperament, panowie, to rzecz, która powinna się stwierdzać. Nowe błędne koło logiczne, powiecie. Ale wykazałem przed chwilą, że każde błędne koło logiczne jest stwierdzeniem temperamentu; a ponieważ mówię, że należy stwierdzać swój temperament (bo to rzecz wielkiej wagi), powtarzam: nie lubię ludzi; lubię to, co ich pożera. — Otóż, co pożera człowieka? — Jego orzeł. Zatem, panowie, trzeba mieć orła. Sądzę, iż udowodniłem ten punkt wystarczająco.

...Niestety! widzę, panowie, że, nudzę was; niektórzy ziewają. Móglbym, co prawda, wstawić tu kilka żartów; ale poczułybyście niezawodnie całą ich sztuczność, bo umysł mam nieuleczalnie poważny. — Wolę puścić w obieg kilka rozpustnych fotografij; uspokoją one tych, których nudzą me słowa; co pozwoli mi ciągnąć dalej.

Prometeusz popił wody. Orzeł, wykręcając się zgrubnie, okrążył potrykroć Prometeusza, poczem ukłonił się publiczności. Prometeusz ciągnął dalej:

CIĄG DALSZY MOWY PROMETEUSZA.

— Panowie, niezawsze znałem swego orła. Oto co doprowadza mnie, drogą rozumowania, noszącego w logice (która studyuję, zresztą, dopiero od tygodnia) jakąś nazwę właściwą, której już nie pamiętam, — oto co, powtarzam, doprowadza mię do wniosku, że jakkolwiek jedynym orłem tutaj obecnym jest mój, każdy z was, panowie, jeżeli chodzi o orła, ma jakiegoś.

Przemilczałem dotąd swoją historię; zresztą, sam dotąd nie rozumiałem jej dobrze. A jeżeli teraz decyduje się wam ją opowiedzieć, to dla tego, że, dzięki orłu meu, wydaje mi się ona dzisiaj poprostu cudowną.

*VI.*



oi panowie, powiedziałem wam, że niezawsze widziałem swego orła. Przed poznaniem go, byłem nieświadomy i piękny, szczęśliwy i nagi, sam nie wiedząc o tem. O cudne czasy! Na dzwoniących strug tysiącem stokach Kaukazu, lubieźna Azya, szczęśliwa i naga również, trzymała mnie w objęciu. Spolem staczałismy

się z gór w doliny; czuliśmy śpiew powietrza, śmiech wody, balsamiczną woń najprostszych kwiatów. Częstokroć odpoczywaliśmy pod rozległemi konarów sklepieniami, pośród kwiatów, kiedy szmerne owadów roje leciuchno wzajem się muskały. Azya poślubiała mnie, srebrnemi pluszcząc śmiechami; potem, zwolna, szmery owadów, listowia i strug niepoliczonych, zlewając się, kołysały nas do najbliższego ze snów. Dokoła nas, wszystko sprzyjało, wszyst-

ko osłaniało osamotnienie łąsze nieludzkie. Nagle, pewnego dnia, Azya mi rzekła: Powinienbyś zająć się ludźmi.

Musiałem wyszukać ich naprzód.

Gotów byłem chętnie zająć się nimi; ale to znaczyło przedewszystkiem mieć litość nad nimi.

Byli bardzo nieoświeceni; wynalazłem dla nich kilka rodzajów ognia; i odtąd zaczął istnieć mój orzeł. Od tego dnia wiem, że jestem nagi.

Na te słowa oklaski posypały się z różnych punktów sali. Nagle Prometeusz wybuchnął głośnym łkaniem. Orzeł zatrzeszczał skrzydłami, zakwilił. Gestem okrutnym Prometeusz otworzył kamizelkę i nadstawił ptakowi bolesną swą wątrobę. Oklaski spotęgowały się. Potem orzeł, wykręcając się zgrabnie, okrążył potryzkroć Prometeusza; ten popieli wody, skupił się przez chwilę i ciągnął dalej swą mowę takiemi słowy:

*VII.*



o tej chwili moi panowie, zwyciężała wrodzona mi skromność; chciejcie mnie usprawielić; pierwszy-to raz mówię publicznie. Teraz wszakże zwycięża ma otwartość: panowie, zajmowałem się ludźmi o wiele więcej, niż wam powiedziałem. Panowie, zrobiłem wiele dla ludzi. Panowie, kochałem ludzi, namiętnie, szalenie, opłakanie.— Zrobilem dla nich tyle, iż moźnaby prawie powiedzieć, że zrobilem ich samych; bo czemże byli przedtem? — Byli, ale nie mieli świadomości istnienia. — Niby ogień gwoli oświeceniu ich, z całej mojej miłości dla nich stworzyłem im, panowie, tę świadomość. — Pierwszą rzeczą, jaką sobie uświadomili, była piękność własna. Oto co wpływało na rozmnożenie rodzaju. Człowiek przedłużał swe istnienie we własnej potomności. Piękność pierwszych ludzi powta-

rza się, jednak, obojętna, i bez historyi. To mogłoby trwać długo. — Wówczas, pełen troski, nosząc już w sobie bezwiednie jajko, z którego wylągnął się z czasem mój orzeł, zapragnąłem czegoś więcej, czegoś lepszego.<sup>1</sup> To rozmnażanie się, to cząstkowe przedłużanie swego istnienia zdawało mi się wskazywać w nich jakieś oczekiwanie — tymczasem, w istocie, oczekwał tylko mój orzeł. Nie wieziałem o tem; sądziłem, że to oczekiwanie jest w człowieku; umieszczałem to oczekiwanie w człowieku. Zresztą, ponieważ uczyniłem człowieka na obraz swój i podobieństwo, pojmuję teraz, że w każdym człowieku oczekiwano coś niewyklutego; każdy z nich miał w sobie jaje przyszłego orła... A potem, nie wiem już sam; nie umiem tego wytlumaczyć. — Co wiem, to że, nie zadowalając się daną im świadomością istnienia, chciałem dać im nadto racyę bytu. Dałem im ogień, żar i wszystkie sztuki, których pierwiastkiem jest płomień. Rozgrzewając ich umysły, wywołałem w nich wykwit pożerającej wiary w postęp. I cieszyłem się dziwnie, że zdrowie człowieka zużywało się na jej wytwarzanie. — I to nie już wiary w dobro, lecz chorej ufności w polepszenie. Wiara w postęp, panowie, oto był ich orzeł. Orłem każdego z nas jest nasza racya bytu, panowie.

Szczęście człowieka zmniejszało się, opadało, ale mnie było wszystko jedno: orzeł zrodził się, panowie! nie kochałem już ludzi, kochałem to, co z nich żyło. Przestała dla mnie istnieć ludzkość bez historyi... historya człowieka to historya orłów, panowie.

*VIII.*



wałtowne oklaski wybuchań-  
ły tu i ówdzie; Prometeusz,  
zmieszany, jął się tlomaczyć:

— Panowie, skłamałem;  
chciejcie mi wybaczyć; nie  
szło to tak prędko; nie ko-  
chałem zawsze tylko orłów:  
przez długi czas przenosiłem  
nad nie człowieka; pogwał-  
cone jego szczęście było mi  
drogiem, bo, naruszywszy je,

czulem się niejako odpowiedzialnym za nie, i ilekroć my-  
ślałem o niem, — pod noc, smutny jak zgryzota, przyby-  
wał po strawę mój orzeł.

Chudy był w owej dobie, szary, niespokojny, ponu-  
ry, a brzydki jak sęp. — Panowie, spojrzyjcie nań teraz,  
i zrozumiejecie, dla czego przemawiam, dla czego zgroma-  
dziłem was tutaj, oto dla tego, że odkryłem rzecz na-  
stępującą: orzeł może się stać bardzo pięknym. — Owóż,

każdy z was ma jakiegoś orła; przed chwilą stwierdziłem to wam dostatecznie. Orła? — Niestety! być może, sępa, panowie! — Panowie, trzeba mieć orła...

A teraz doszedłem do ważnej kwestyi: — po co orła?.. Ah! po co? — niech on sam powie. Oto mój orzeł, panowie; przynoszę go wam... Orle! czy odpowiesz teraz?..

Pełen niepokoju, Prometeusz zwracał się do swego orła. Orzeł siedział nieruchomo i nie wydał głosu... Prometeusz ciągnął dalej z widocznem strapieniem:

— Panowie, badałem nadaremnie mojego orła... Orle! mów-że teraz: wszyscy cię słuchają... Kto cię posyła? — Dla czego mnie wybrałeś? Zkąd przybywasz? Dokąd dąysz? Powiedz: jakiej-że jesteś natury?.. (Orzeł milczał uparcie.) — Nic, nic! ani słowa! ani krzyku! — Myślałem, że do was się odezvie, do was obcych; oto dla czego wziąłem go z sobą... Mamże więc mówić tutaj sam jeden? — Wszystko milczy! wszystko milczy! — Co to ma znaczyć?.. Badałem naprawóżno.

Potem, zwracając się do zgromadzenia:

— Oh! miałem nadzieję, panowie, że pokochacie mojego orła, że miłość wasza da jakąś racyę bytu jego piękności. — Oto dla czego oddawałem mu sie, napawałem go aż do sytości krwią mojej duszy... ale widzę, że podziwiam go sam jeden... Oh! czyliż niedość wam, że jest piękny? — albo może podajecie w wątpliwość jego piękność? — Przyjrzyjecie mu się przynajmniej... żyłem tylko dla niego — i teraz przynoszę go wam: oto on! — Ja żyłem dla niego — ale on, dla czego on żyje! — Orle! którego wykarmiłem krwią własną, duszą własną, którego pieściłem całym żarem mojej miłości... (tu łkania przerwały mowę Prometeuszowi) — mam-że zatem opuścić ziemie,

nie dowiedziawszy się, dla czego cię kochałem? ani co będziesz robił, ani czem się stanieś, po odejściu mojem, na ziemi... na ziemi, nadaremnie badałem... nadaremnie...

Zdanie ostatnie uwieźło mu w gardle; łzy tłumiły mu głos.

— Chciejcie wybaczyć, panowie, ciągnął dalej po chwili, uspokoiwszy się nieco; — chciejcie wybaczyć, że mówię wam o tak poważnych rzeczach; ale gdybym znał jakieś jeszcze poważniejsze, mówiłbym o nich bez wahańia...

Prometeusz otarł spocone czoło, popił wody i zaczął dalej:

KONIEC MOWY PROMETEUSZA.

— Dotąd przygotowałem tylko właściwie...

...Na te słowa wszczął się wielki ruch w sali; wielu zbyt znudzonych słuchaczów chciało wyjść.

— Panowie, wykrzyknął Prometeusz, — błagam was, zostańcie; to już nie będzie trwało długo; ale najważniejsze rzeczy zostały do powiedzenia, jeżeli was jeszcze nie przekonałem... Panowie! — zmiękniecie się... Dalej-że! prędko: kilka rac; a najświętniejsze zostawiam na koniec...

— Panowie, siadajcie, przez litość; patrzcie: myślicie, że oszczędzam? zapalam 6 rac naraz. — Zresztą, garson, proszę kazać zamknąć drzwi.

Race zrobiły dość dobre wrażenie. Prawie wszyscy, którzy powstały już, usiedli z powrotem.

— Ale teraz, na czemże właściwie stanąłem? zaczął dalej Prometeusz. — Liczyłem na rozped nabyty; wasze poruszenie przerwało go...

— No, więc tem lepiej, krzyknął ktoś.

— Ah! wiem... ciągnął dalej Prometeusz — chciałem powiedzieć wam jeszcze...

— Dosyć! Dosyć!! — krzyczano ze wszystkich stron.

— ...że powinniście kochać swego orła.

Kilka ironicznych „dla czego” ozwało się z różnych kątów.

— Słyszę, panowie, zapytania „dla czego;” odpowiadam: bo wówczas stanie się on pięknym.

— Ale jeżeli my za to zbrzydniemy?

— Panowie, w tem, co wam przynoszę, niema żadnego interesu...

— Tak, to widać.

— To są słowa poświęcenia; panowie, trzeba się poświęcić dla swego orła... (Poruszenie; wielu obecnych powstaje). Panowie! nie podnoścież się, błagam... przejdę zaraz do aluzyj osobistych... Zbytecznym byłoby przypominać tutaj historię Koklesa i Damoklesa. Wszyscy tu zgromadzeni znacie ją; a więc! mówię to im w oczy: tajemnicą ich życia jest oddanie się zupełne swemu długowi, którym dla ciebie, Koklesie, jest twój policzek, dla ciebie, Damoklesie, twój banknot. Koklesie, powinieneś był pogłębiać swą bliznę i próżną swą orbitę, a ty, Damoklesie, zatrzymać swe pięćset franków, być je dłużnym w dalszym ciągu bez żadnego wstydu, być dłużnym więcej jeszcze, być dłużnym z radością. Oto wasz orzeł; bywają inne, bywają zaszczytniejsze. Ale to jedno powiadam wam: jakiś orzeł pozera nas nieodzownie, występek lub cnota, obowiązek lub namiętność; przestańcie tylko być byle kim, a nie ujdziecie mu. Ale... (tu głos Prometeusza zanikł prawie wśród wrzawy powszechnej) — ale jeśli nie będziecie karmili z miłością swego orła, zostanie on szarym, nędznym, niewidzialnym dla wszystkich, nieszczerym, niegodnym mąk, jakie sprawia, pozbawionym piękności; wówczas to ludzie zwać go będą sumieniem. —

Panowie, trzeba kochać swego orła, kochać, aby się stał pięknym; bo dla tego-to właśnie, że pięknym będzie, powinniście kochać swego orła... Teraz, skończyłem, panowie; orzeł mój zacznie zaraz kwestować; panowie, powinniście kochać mojego orła. — Tymczasem puszczać kilka rac . . . . .

Dzięki dywersji pyrotechnicznej, zgromadzenie rozeszło się bez zbytnich trudności; ale Damokles zasiębił się, wychodząc z sali.

## CHOROBA DAMOKLESA.

### I.



zy wie pan, że on się ma niedobrze? — rzekł garson, spotkawszy Prometeusza w kilka dni później.

— Kto taki?

— Damokles — oh! bardzo niedobrze: — dostał tego przy wyjściu z pańskiej konferencji...

— Ale czego, tego?

— Lekarze wahają się; —

jest to choroba tak rzadka... mówią o zwęźnieniu kolumny...

— Kolumny?

— Kolumny. — Jeżeli coś niespodzianego i cudownego nie uratuje go, choroba może się tylko pogarszać. Źle z nim bardzo, upewniam pana, i powinienny pan odwieźć go.

— A ty często odwiedzasz go, przyjacielu?

— Ja? co dzień. Niepokoi się bardzo o Koklesa; noszę mu o nim wiadomości.

— Czemuż on sam go nie odwiedzi?

— Kokles? — zbyt jest zajęty. Pańska przemowa, czyż pan nie wie? zrobiła na nim niesłychane wrażenie. Mówią już tylko o poświęcaniu się i spędza czas na szukaniu po ulicach nowego uderzenia w twarz, które przyniosłoby trochę pieniędzy jakiemuś nowemu Damoklesowi. Nadstawią nadaremnie drugi policzek.

— Uprzedź Milionera.

— Noszę mu wiadomości codzień. Dla tego to nawet właściwie, odwiedzam codziennie Damoklesa.

— Czemuż on sam go nie odwiedzi?

— Powtarzam mu to często, ale odmawia. Nie chce być znanym. A jednak Damokles ozdrowiałby może, poznawszy swego dobroczyńcę: mówiłem mu to nieraz, ale obstaje przy swojem, chce zachować swe incognito — i zrozumiałem nareszcie, że właściwie interesuje go nie Damokles, lecz jego choroba.

— Obiecywałeś kiedyś przedstawić mnie..?

— Choćby zaraz, jeżeli pan sobie życzy.

Poszli bez zwłoki.

## II.



ie znając osobistość Zeusa, przyjaciela garsona, obiecaliśmy sobie mówić o nim jak najmniej.

Przytoczymy więc poprostu kilka zdań następujących:

### INTERVIEW Z MILIONEREM.

Garson: — Jesteś pan bardzo bogaty, nieprawdaż?

Milioner, zwracając się nawpół do Prometeusza: — Jestem daleko bogatszy, niż można sobie wyobrazić. Ty należysz do mnie; on należy do mnie; wszystko należy do mnie. — Myślicie, żem bankier, a jam coś zupełnie innego. Wywieram na Paryż wpływ ukryty, ale mimo to bardzo znaczny. Ukryty, bo nie ubiegam się oń. Tak, mam przedewszystkiem ducha inicyatywy. Puszczam w ruch. Potem, gdy interes jest już w pełnym biegu, porzucam go i nigdy już doń nie powracam.

Garson: — Państkie uczynki są bezinteresowne, nieprawdaż?

Milioner: — Ja tylko, ten tylko, czyj majątek nie ma granic, może działać z bezinteresownością bezwględną; człowiek — nie. Ztąd pochodzi moje zamiłowanie do gry; nie do wygranej, zrozumiecie, panowie — do gry; bo czyliż mógłbym wygrać coś, czego nie mam już z góry? Czas nawet... Czy wiecie panowie, ile mam lat?

Prometeusz i garson: — Wygląda pan jeszcze młodo.

— Milioner: — Zatem nie przerywaj mi, Prometeuszu. — Tak, mam namiętność do gry. Moją grą jest pożyczanie ludziom. — Pożyczam, ale na żart. Pożyczam, ale na zgubne imię; pożyczam, ale z miną, jakbym dawał. — Lubię, aby nie wiedziano, że pożyczam. Gram, ale ukrywam swą grę. Robię doświadczenia; gram, jak Holender sieje; on zasadza niewiadomą cebulkę; ja, pożyczając ludziom, zasadzam coś w człowieku i bawię się, obserwując, jak to puszczam kiełki. Człowiek bez tego byłby taki czczy wewnętrznie! — Pozwólcie, że opowiem wam ostatnie swoje doświadczenie. Pomożecie mi potem obserwować. Słuchajcie naprzód, zrozumiecie potem. Zrozumiecie.

Wyszedłem na ulice, szukając sposobu, aby komuś sprawić cierpienie przez dar zrobiony komuś innemu, i aby sprawić radość temu drugiemu przez зло wyrządzone pierwszemu. Policzek i banknot pięciusetfrankowy wystarczają do tego. Jednemu policzek, drugiemu banknot. Wszakże to dość jasne? Mniej jasnym jest sposób rozdania ich.

— Znam ten sposób, przerwał Prometeusz.

— Jakto? znasz pan... rzekł Zeus.

— Spotkałem przypadkiem Damoklesa i Koklesa; o nich to właśnie przeszedłem z panem pomówić: — Da-

mokles szuka pana i przyzywa; dręczy się; jest ciężko chory; — przez litość, pokaż mu się pan.

— Panie, skończmy o tem, — rzekł Zeus; — nie przyjmuję rad od nikogo.

— Czy nie mówiłem panu? rzekł garson.

Prometeusz zwrócił się już do wyjścia, lecz nagle zatrzymał się jeszcze.

— Bardzo pana przepraszam, rzekł. Chciej pan wybaczyć niedyskretną może prośbę. Oh! pokaż mi go pan, bardzo pana proszę! Takbym go chciał zobaczyć...

— Co takiego?

— Pańskiego orła.

— Ale ja nie mam orła, mój panie.

— Nie ma orła? On nie ma orła!! Ależ...

— Najmniejszego, nawet na schowanie we wkleśliwości dloni. Orły (i Zeus śmiał się), orły, toż to ja je rozdaję.

Zdziemienie Prometeusza było wielkie.

— Wiesz pan, co powiadają? spytał garson bankiera.

— Cóż takiego?

— Że pan jesteś Panem Bogiem!

— Kazałem o sobie tak mówić, rzekł tamten.

*III.*



rometeusz odwiedził Damokle-  
sa; potem zaczął odwiedzać  
go często. Nie mógł widzieć  
się z nim za każdym razem;  
ale przynajmniej garson udzie-  
lał mu o nim wiadomości. Pe-  
wnego dnia przyprowadził z so-  
bą Koklesa.

Przyjął ich garson.

— No! jakże się miewa?  
spytał Prometeusz.

— Źle. Bardzo źle, odpowiedział garson. Nieszczęśli-  
wy nic nie je od trzech dni. Trapi go nieustannie los  
banknotu; szuka go wszędzie i nigdzie nie znajduje; zdaje  
mu się, że go zjadł, przeczyszczając więc, myśląc, że od-  
najdzie go w swych odchodach. Ilekroć powróci do przy-  
tomności, przypomina sobie zaraz całą przygodę i dręczy-  
się jeszcze bardziej. Ma żal do pana, panie Koklesie, bo  
utrzymuje, że panwikłasz jeszcze sprawę jego długu, i że

wskutek tego nie może już w niej trafić do ładu. Najczęściej wszakże mówi zupełnie od rzeczy. W nocy pilnujemy go we trzech, ale tak się rzuca na łóżku, że przeszkadza nam spać.

— Czy można go zobaczyć? rzekł Kokles.

— Owszem, ale znajdziecie panowie, że zmienił się bardzo. Niepokój trawi go strasznie. Wychudł, wychudł, wychudł. Nie wiem nawet, czy poznacie go panowie? — A on, czy też was pozna?

Weszli na palcach.

#### OSTATNIE DNI DAMOKLESA.

Sypialnia Damoklesa pełna była wstępnego lekarstw zaduchu. Był to nizki i wąziutki pokoik. Dwie lampki nocne oświecały go ponuro. W alkowie, pod ogromną stertą kołder widać było niewyraźnie Damoklesa rzucającego się w gorączce. Mówiąc, zwracał się do kogobądź, na traf, mimo iż nikt go nie słuchał; głos jego był ochrypły i przytłumiony. Przejęci zgrozą, Prometeusz i Kokles spojrzeli na siebie; chory, nie słysząc ich wejścia, ciągnął dalej, jakby był sam, swoją historię:

— I od owego dnia, mówił, poczęło mi się zdawać naraz — i że życie me przybierało jakieś znaczenie, i że niepodobna mi było żyć dalej! Te pięćset franków, nie-nawistne, wstępne, zdawało mi się, że winienem je wszystkim, i nie śmiałem dać ich nikomu — bo w ten sposób zabrałbym je wszystkim pozostałym. Marzyłem tylko, aby ich się pozbyć — ale jak? — Kasa oszczędności! byłoby to tylko zwiększyć swój kłopot; dług mój obciążyłby się jeszcze wszystkimi procentami od mego dłużu; z drugiej

znów strony, myśl pozostawienia tej sumy w jałowym bezruchu była mi wprost nieznośną; sądziłem, że obowiązkiem moim jest puszczać w obieg nieustanny te pieniądze; nosiłem je ciągle przy sobie; regularnie co tydzień zmieniałem banknot na drobniejszą monetę, potem te drobne znowu na inny banknot. Nie zarabia się, ani traci, przy takiej zmianie; jest to szal obiegowy, poprostu.

A do tego dochodziła się mąka: że oto mam te pięćset franków dzięki policzkowi otrzymanemu przez kogo innego!

Pewnego dnia, jak wiecie, spotykam się z wami w restauracyi...

— O panach mówi, rzekł garson.

— Orzeł Prometeusza tłucze okno wystawowe, wybija oko Koklesowi... Jestem zbawiony!! — Bez powodu, przypadkowo, opatrznosciowo wsunę mój przeklęty banknot w jakąś szparkę tych wydarzeń. Nie mam już dłużu! Jestem zbawiony! — Ah! panowie! cóż za omyłka... Od tego dnia zacząłem konać! Jak wam to wyjaśnić? Czy zdolacie kiedykolwiek zrozumieć moje udrczenie? Te pięćset franków, jestem je winien ciągle, a już ich nawet nie posiadam!

Próbowałem tchórzliwie pozbyć się swego dłużu, ale nie spłaciłem go. Pośród duszących zmor nocnych, budzę się często, złany potem, rzucam się na kolana i krzyczę na cały głos: „Panie! Panie! komu ja byłem winien? — Panie! komu ja byłem winien?“ Nie wiem, nie wiem, komu, ale winien byłem. — Obowiązek, panowie, to rzecz przerażająca; ja umieram dlań oto!

A teraz, co najbardziej mię trapi, to że dług ten przekazałem na ciebie, Koklesie... Koklesie! oko twe nie należy do ciebie, ponieważ nie do mnie należały pieniądze, z których ci je kupiłem. „Cóż masz, czego nie do-

stałeś," powiada Pismo... dostałeś od kogo? od kogo? od Kogo?? — O męko nie do zniesienia!

Głos nieszczęśliwego łamał się, nabrzmiewał łzami, dławiał się w czkawkach i szlochach. Prometeusz i Kokles słuchali z ciężkiem sercem, ujawszy się za ręce i drząc ze wzruszenia. Damokles mówił dalej, zdając się ich spostrzegać:

— Obowiązek jest straszny, panowie... lecz o ileż straszliwszym jest wyrzut sumienia, że człowiek chciał się wyzwolić z jakiegoś obowiązku... Jak gdyby dług mógł przestać istnieć przez to, że komu innemu wpakowało się go na kark... — Ależ twe oko pali cię, Koklesie! — Koklesie!! jestem pewny, ono musi cię palić, to twoje szklane oko; wyrwij je! — Jeżeli cię nie pali, powinnoby cię palić. — Toż ono nie należy do ciebie, to oko... A jeżeli nie należy do ciebie, należy zatem do twego bliźniego... należy do kogo? do kogo?? do Kogo??

Nieszczęśliwy płakał; tracił głowę i siły; od czasu do czasu wpatrywał się uparcie w Koklesa i Prometeusza, zdawał się poznawać ich i krzyczał do nich:

— Ale zrozumiejecie-ż mnie przez litość! Jeżeli dopominam się od was litości, to nie chodzi mi o zimny okład na czoło, ani o kubek świeżej wody, ani o żadną tyzannę, lecz o to, byście mnie zrozumieli. Pomóżcie-ż mi zrozumieć siebie samego, przez litość! — Mam coś, co dostało mi się, nie wiem, zkad, i co winien jestem, komu? komu? Komu?? — i aby pewnego dnia pozbyć się tego dłużu, przypuszczając, że jest to w mojej możliwości, zacznę z tego czeagoś robić podarunki innym! Innym!! — Koklesowi dam jałmużnę z oka szklanego!! ale ono nie należy do ciebie, to oko, Koklesie! Koklesie!! oddaj je. Oddaj je komu? komu? Komu??

Nie mogąc dłużej znieść tego, Kokles i Prometeusz wyszli.

*IV.*



to, rzekł Kokles, zstępując ze schodów, jaki bywa los człowieka, który zbogacił się przez cierpienia bliźnich.

— Ale cierpisz-że pan przyjmniej? spytał Prometeusz.

— Z powodu oka od czasu do czasu, rzekł Kokles, ale z powodu policzka już wcale nie; pieczenie, jakie po nim czulem, ustało zupełnie. I nie

chciałbym, gdyby można było cofnąć wszystko, nie dostać go: on odsłonił mi istotę dobroci. Pochlebia mi on; niesłuchanie rad jestem z niego. Myślę nieustannie o tem, że ból mój wyszedł na korzyść bliźniemu i przyniósł mu pięśiset franków zysku.

— Ale ten bliźni umiera z tego, Koklesie, rzekł Prometeusz.

— Czyż-eś mu pan sam nie mówił, że trzeba karmić

swego orła? — Cóż pan chcesz? Damokles i ja, nie mogliśmy nigdy się porozumieć; stanowiska nasze są wbrew przeciwnie.

Prometeusz pożegnał się z Koklesem i pobiegł do bankiera Zeusa.

— Przez litość, pokaż się pan! rzekł mu; albo przyjmniej daj się pan poznać. Nieszczęśliwy umiera w męczarniach. Pojmuję, że go pan zabijasz, skoro masz w tem przyjemność; ale niech wie przynajmniej, kto go zabija — niech odpocznie w tej świadomości.

Milioner odpowiedział: — Nie chcę stracić swego uroku.

*V.*



zrobiło mu to uszczerbku.

— Komu? spytano.

— *Temu*, rzekł konając już Damokles — temu, co mi dał... coś.

— Nie! — bo to był Pan Bóg, odparł zręcznie garson.  
Damokles umarł z tem dobrem słowem.

statnie chwile Damoklesa były godne podziwu; przed samym zgonem, miał kilka owych słów, co to wyciskają łzy największym bezbożnikom, a u dobrze myślących zdobywają pochwałę: że były budujące. Dominującem jego uczuciem było to, co wyrażają tak pięknie następujące słowa: Mam nadzieję przynajmniej, że nie

OBCHÓD POGRZEBOWY.

— O! mówił Prometeusz do Koklesa, opuszczając pokój, gdzie wystawiono ciało — wszystko to jest okropne! Koniec Damoklesa wstrząsnął mną do głębi. Prawdaż to, że moja konferencja była powodem jego choroby?

— Nie mogę tego twierdzić napewno, rzekł garson, wiem tylko, że poruszyło go niesłychanie to, co pan mówił o swym orle.

— O naszym orle, poprawił Kokles.

— Miałem tak głębokie przekonanie, rzekł Prometeusz.

— To też przekonał pan i jego... słowa pańskie były takie przejmujące...

— Myślałem, że nie słuchano mnie... dla tego kłamłem tak mocny nacisk... gdybym wiedział, że on słuchał...

— Coby pan powiedział?

— To samo, wyjąkał Prometeusz.

— Lecz w takim razie?

— Lecz nie powiedziałbym tego już teraz.

— Więc pan nie ma już przekonania?

— Damokles miał go za wiele. Zapatruję się inaczej na mego orła.

— Ale, ale, a gdzież on jest?

— Nie obawiaj się, Koklesie, mam oko na niego.

— Żegnani was. Ja wkładam żałobę, rzekł Kokles.

Kiedy się zobaczymy?

— Ależ... na pogrzebie, przypuszczam. Przemówię nad grobem, rzekł Prometeusz. Muszę coś naprawić przy tej sposobności. A potem zapraszam was: biorę na siebie stypę pogrzebową, a wyprawię ją w tej samej restauracji, gdzieśmy po raz pierwszy widzieli się z Damoklesem.

*VI.*



łoku wielkiego na pogrzebie nie było; Damokles był mało znany; śmierć jego przeszła niedostrzeżona przez tych wszystkich, którzy nie interesowali się historią niniejszą. Prometeusz, garson i Kokles znaleźli się na cmentarzu w towarzystwie kilku zaledwie nienających nic do roboty słuchaczy z konferencyi. Wszyscy oglądali się na Prometeusza; wiedziano, że miał mówić; po mrukiwano „co też powie?“ bo pamiętano, co powiedział wtedy. Zdumienie ogólne wyprzedzało jego przemowę, a pochodziło ztąd, że nie poznawano Prometeusza; był tłusty, świeży, uśmiechnięty; uśmiechnięty do tego stopnia, że uznano jego zachowanie się za nieprzyzwoite prawie, gdy, uśmiechając się ciągle, zbliżył się brzegu mogiły, poczem, zwróciwszy się do niej tyłem, wypowiedział te proste słowa:

## HISTORYA TYTYRA.



zanowni słuchacze, którzy raczycie poświęcić mi chwilę uwagi, — osnową krótkiej mojej przemowy dzisiejszej, będą następujące słowa Pisma:

— *Pozwólcie zmarłym grzebać zmarłych.* Nie będziemy się już więc zajmowali Damoklesem. — Raz ostatni widziałem was zgromadzonych, gdy mówiłem wam o swym orle;

Damokles umarł z tego; pozwólmy zmarłym... a jednak z jego to powodu, a raczej dzięki jego śmierci, zabiłem teraz mego orła...

— Zabił swego orła!!! wykrzyknęto.

— Co się tego tyczy, mała anegdota... Niech wam się zdaje, że nic nie powiedziałem.

I.

a początku był Tytyr.

I Tytyr, będąc sam, nudził się, otoczony dokoludnieczka bagnami. — Otóż, Menalk, przechodząc, rzucił ideę w mózg Tytyra, a ziarno w bagnie przed nim. I idea ta była ziarnem, a ziarno to było Ideą. Przy pomocy boskiej, ziarno zakielkowało i stało się małą roślinką. Tytyr, co ranek



i co wieczór, klękał przy niej i dziękował Bogu, że mu ją dał. I roślina rosła, a ponieważ korzenie miała potężne, osuszyła wkrótce glebę dokoła siebie najzupełniej, tak, że Tytyr miał kawałek gruntu stałego, na którym mógł stąpać, składając głowę do odpoczynku i zabezpieczać pracę rąk swoich.

Gdy roślina, rosnąc ciągle, przewyższyła Tytyra, Tytyr zaczął kosztować rozkoszy snu pod jej cieniem. Ale

drzewko, które było dębem, rozrastało się coraz potężniej, tak, że wkrótce praca rąk Tytyra okazała się niewystarczającą do pielienia i radlenia ziemi naokół dębu, do podlewania drzewa, obcinania niepotrzebnych gałzek, oskrobywania narośli, oskubywania zbytecznych pędów, obierania dębu z gąsiennic i zabezpieczania w odpowiednich porach zbioru jego plonów, zarazem licznych i rozmaitych. Przybrał więc sobie pielarza, radlarza, podlewacza, obcinacza, oskrobywacza, oskubywacza, obieracza gąsiennic i kilku chłopców owocarskich. A ponieważ każdy musiał ściśle pilnować swych zajęć osobistych, był widoki, że każda praca wykonana będzie dobrze.

Do obliczania wypłat, wszystkim tym robotnikom, Tytyr zapotrzebował wkrótce buchaltera, który niezadługo podzielił z kasyerem troski o fortunę Tytyra; bo ta wzrastała jak dąb.

Gdy między oskrobywaczem i oskubywaczem powstały pewne nieporozumienia co do wzajemnych granic ich władzy, Tytyr pojął nieodzowność stałego rojemcy, który przybrał sobie zaraz dwóch rzeczników: za i przeciw; Tytyr wziął sekretarza do zapisywania ich orzeczeń, a ponieważ zapisywano je tylko dla tego, aby służyły za dowód w przyszłości, zjawił się dozorca wyroków. Tymczasem z ziemi zwolna powstawały domy; i okazała się potrzeba policyi ulicznej, strażników przeciwko wszelakiej samowoli. Tytyr, przeciążony zajęciami, zaczął chorować; sprowadził tedy lekarza, który poradził mu ożenić się — a ponieważ pośród tylu ludzi Tytyr nie mógł już sam wystarczyć, musiał wybrać sobie pomocnika, co sprawiło, że mianowano go naczelnikiem gminy. Odtąd rzadko już bardzo zdarzała mu się wolna chwila, w której mógł używać przyjemności łapania ryb na wędkę, mimo iż okna jego domu wciąż otwierały się na bagna.

Wówczas Tytyr ustanowił dni świąteczne, aby lud

jego mógł się bawić; ale, ponieważ zabawy kosztowały drogo, a nikt z osobna nie miał wiele pieniędzy, więc Tytyr, aby mózg ich pożyczać wszystkim, zaczął pobierać podatek od każdego.

Ów dąb, w pośrodku równiny (bo pomimo powstającego miasta, pomimo wysiłku tylu ludzi, nie mogło to nigdy przestać być równiną), ów dąb, powtarzam, w pośrodku równiny, umieszczony był, bez żadnej trudności, w ten sposób, że jedną stronę miał w cieniu, drugą — w słońcu. Pod dębem zatem, od strony cienia, Tytyr wy mierzał sprawiedliwość; od strony słońca załatwiał potrzeby swe naturalne.

I Tytyr był szczęśliwy, bo czuł, że życie jegoypełnione jest zajęciami i przynosi innym pożytek.

*II.*



siłowania człowiecze dają się wykształcać i rozwijać. Działalność Tytyra, pod wpływem zacho-  
t i pobudek, zdawała się wzrastać nieustannie; wrodzo-  
na pomysłowość wskazywała mu coraz nowe zajęcia, to też  
wkrótce ujrzano go przy pracy nad unieblowaniem, wykle-  
jeniem obiciami i całkowitem urządzaniem swego miez-  
nika. Zachwycały się harmonijnym przystosowaniem obić  
i dogodnością każdego sprzętu. Pełen zręczności i pomy-  
słów, Tytyr celował w empiryzmie; zrobił nawet do wie-  
szania swych gąbek na ścianie kunsztowne wieszadło,  
które po kilku dniach przestało zupełnie wydawać mu  
się wygodnym.

Obok swego pokoju, kazał Tytyr urządzić pokój do  
spraw narodu; do obu pokoi prowadziło to samo wejście,

# ROZMOWA AMORILLAO

102

CHIMERA

na znak, że sprawy narodu i sprawy Tytyra to jedno; ale, z powodu tego wejścia wspólnego, które obdzielało obie komnaty tem samem powietrzem, oba kominki nie mogły naraz ciągnąć, i, w porze zimnej, gdy napalono w jednym, drugi dymił nie do zniesienia. To też Tytyr przyczyniał się odtąd otwierać okno, ilekroć zabierano się do zapalania ognia.

Ponieważ Tytyr opiekował się wszystkiem i pracował nad rozmnożeniem wszelkich gatunków, nadszedł czas, że ślimaki przechadzały się po alejach jego ogrodu w tak wielkiej obfitości, iż z obawy, aby nie zdeptać którego, nie wiedział, gdzie postawić nogę, i ostatecznie zdecydował się mniej często wychodzić z domu.

Sprawdził czytelnię wędrowną i zaabonował się u jej zarządczyni. A ponieważ zwała się ona Eulalia, przyczyniał się, co trzeci dzień, spędzać u niej wieczór. W ten sposób, Tytyr zapoznał się z metafizyką, algabią i teodyceą. Tytyr i Eulalia zaczęli wspólnie i z powodzeniem uprawiać gwoli rozrywce różne sztuki piękne, a ponieważ Eulalia okazywała specjalne upodobanie do muzyki, wynajęli fortepian, na którym Eulalia wykonywała drobne utwory, komponowane dla niej od czasu do czasu przez Tytyra.

Tytyr mawiał do Eulalii: Ta masa zajęć zabija mnie; sił mi już nie staje; czuje, że się zużywam; wszystkie te odpowiedzialności potęgują drobiazgową moją sumienność a o ile ta wzrasta, o tyle mnie ubywa. Co robić?

- A gdyby tak wyjechać ztąd? rzekła mu Eulalia.
- Ja nie mogę: mam swój dąb.
- A gdybys go porzucił? rzekła Eulalia.
- Porzucić mój dąb! Cóż ci znowu przyszło do głowy?
- Przecież jest już dość duży i może nadal rosnąć sam?

— Ale ja przywiązałem się do niego.

— Odwiąż się, odparła Eulalia.

I wkrótce potem, przekonawszy się, że, ostatecznie, wszystkie zajęcia, odpowiedzialności i różne skrupuły równie mało go zatrzymują, jak sam dąb, — Tytyr uśmiechnął się, rozwinął żagle, ruszył w świat, zabrawszy kasę i Eulalię, i pewnego dnia pod wieczór szedł z towarzyszką swą bulwarem wiodącym od Magdaleny do Opery.

*III.*



wego wieczora, bulwar miał dziwną powierzchowność. Czuć było, że gotuje się coś niezwykłego, uroczystego. Olbrzymi tłum, poważny, niespokojny, tłoczył się, zapychając chodniki i wylewając się niekiedy aż na ulicę, wolną jedyne dzięki niesłychanym wysiłkom ustawionych w dwa szeregi gwardzistów paryzkich.

Przed restauracyami, werendy, rozszerzone nieproporcjonalnie przez ciągłe dostawianie krzesel i stołów tamowały drogę najzupełniej i czyniły ruch jakikolwiek stanowczo niemożliwym. Niekiedy, niecierpliwszy widz jakiś stawał na krześle na chwilę, póki go nie zmuszono zejść. Wszyscy czekali najwidoczniej; czuć było niechybnie, że między wybrzeżami chodników, osłanianą przez gwardzistów ulicą, przesunie się coś za chwilę. — Wyszukawszy z wiel-

kim trudem stół i wynajawszy go za bardzo wielką cenę, Eulalia i Tytyr zasiedli przed dwoma szklankami piwa i spytali garsona:

— Na co oni czekają?

— Zkądże pan spadł? rzekł garson; czyliż pan nie wie, że czekają na Melibeusa? Toć przechodzić ma między 5 i 6-tą... i właśnie — niech państwo posłuchają: zdaje mi się, że słyszać już jego dudki.

Z oddali bulwaru dobiegły wątpli dźwięk piszczałki. Tłum natężył jeszcze uwagę, zadrgał cały. Dźwięk rósł, zbliżała się, wzmagala nad miarę.

— O, jakież to wzruszające! rzekła Eulalia.

Chylące się ku zachodowi słońce słało promienie swe wzdłuż przez bulwar cały. I, jak gdyby wychodząc z tego przepychu zórów wieczornych, ukazał się wreszcie Melibeus, poprzedzany jedynie przez proste dźwięki swej fletni. Nie można było z początku rozróżnić dobrze jego powierzchności, ale gdy podszedł bliżej:

— O, jakiz on zachwycający! rzekła Eulalia.

Melibeus tymczasem, doszedłszy przed Tytyra, odjął od ust fletnię, zatrzymał się nagle, ujrzał Eulalię... i spostrzeżono, że był nagi.

— O! rzekła Eulalia, przychyliwszy się do Tytyra, jakiż on piękny! jakie kształty ma zgrabne! jaką fletnię przedziwną!

Tytyr był nieco zmieszany.

— Spytaj-że go, dokąd idzie? rzekła Eulalia.

— Dokąd pan idziesz? spytał Tytyr.

Melibeus odpowiedział: — Eo Romam.

— Co on mówi? zaczęła znów Eulalia.

Tytyr: — Nie zrozumiesz tego, droga przyjaciółko.

— Ale ty mi wytłomaczysz, rzekła Eulalia.

— Romam, powtórzył z naciskiem Melibeus, — urbem quam dicunt Romam.

Eulalia: — O! jakież to miłe, co on mówi! — Co znaczą te słowa?

Tytyr: — Ależ, droga Eulalio, upewniam cię, że w tem niema nic tak bardzo miłego; słowa te znaczą prostu, że idzie do Rzymu.

— Do Rzymu! powtórzyła Eulalia z rozmarzeniem — o! tak pragnęłabym zobaczyć Rzym!

Melibeus, przyłożywszy znowu piszczalkę do ust, rozpoczął z powrotem pierwotną swą melodyę; na te dźwięki, Eulalia, w ekstazie, podniosła się nawpół, potem wstała, zbliżyła się, wsparła na ramieniu, które Melibeus zaokrąglił zapraszająco, i oboje, idąc dalej bulwarem, oddali się, zgubili, znikli w stanowczym teraz już zmroku.

Tłum, rozkiełznany nareszcie, miotał się hałaśliwie. Ze wszystkich stron słychać było pytania: Co powiedział? — Co zrobił? — Co to była za kobieta? A gdy w kilka chwil potem ukazały się gazety wieczorne, cyklon rozszalał ciekawości rozerwał je w jednym okamgnieniu; i dowiedziano się nagle, że ta kobieta była to Eulalia, i że ten Melibeus był to nagosz jakiś idący do Włoch.

Wówczas ciekawość cała opadła nagle, tłum roz płynął się, jak woda z tam uwolioną, i wielkie bulwary opustoszały. — Tytyr znalazł się znowu sam, otoczony dokoluteńką bagnami.

Niech wam się zdaje, że nic nie powiedziałem.

Śmiech niepohamowany wstrząsał przez kilka chwil całem zgromadzeniem.

— Panowie, jestem szczęśliwy, że historya moja zdołała was rozerwać, rzekł, śmiejąc się także, Prometeusz. Od śmierci Damoklesa, odszukałem znów tajemnicę śmiechu. — A teraz, już-em skończył, panowie; pozwólmy

zmarłym grzebać zmarłych, a sami śpieszmy na śniadanie.

Jedną ręką wziął pod ramię garsona, drugą Koklesa; wszyscy wyszli z cmentarza; przed bramą reszta zebranych rozproszyła się.



dewszystkiem, i rad jestem, że mi się to udało; winien wam byłem to zadośćuczynienie; znudziłem was tak strasznie za tamtym razem.

Zwolna doszli z powrotem na bulwary.

— Dokąd pójdziemy? spytał garson.

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to — na pamiątkę pierwszego naszego spotkania — do waszej restauracji.

aruj pan, rzekł Kokles, — pańska opowieść była zachwycająca, i rozśmieszyłeś nas pan, co się zowie... ale nie widzę związku...

— Gdyby był jakiś, nie śmieilibyście się tak do bólu boków, rzekł Prometeusz; nie szukaj pan w tem wszystkiem zbyt głębokiego znaczenia; — chciałem rozerwać was

- Mijasz ją pan, rzekł garson.  
— Nie poznaję wystawy?  
— Bo odnowiliśmy ją zupełnie.  
— Zapomniałem!... zapomniałem, że mój orzeł....  
Bądźcie spokojni: już tego drugi raz nie zrobi.  
— Więc to prawda, rzekł Kokles, to, coś pan mówił?  
— Co takiego?  
— Że go pan zabiłeś?  
— I że za chwilę będziemy go jedli... Czyżbyś pan o tem wątpił? rzekł Prometeusz: w takim razie, nie przypatrzyłeś mi się pan najwidoczniej? — Za jego czasów, czyż zdobyłem się kiedykolwiek na uśmiech? — I nie byłem chudy jak szczapa?  
— Tak, to prawda.  
— Pożerał mnie od dość dawna; doszczętnie do przekonania, że teraz na mnie kolej. — Siadajmy! dalejże, do stołu, panowie! — Garson... nie posługuj: przez ostatnie wspomnienie o Damoklesie, zajmij jego miejsce.

Stypa była weselsza, niż nam wolno tutaj powtórzyć, i orzeł, według zdania ogólnego, okazał się wyśmienitym. Przy wetach wszyscy po kolei pili za jego zdrowie.

- Właściwie zatem nie przydał się on na nic? spytał Kokles.  
— Jakże możesz powiedzieć to Koklesie! — nasycił nas swojem mięsem. — Gdy go badałem, nie odpowidał... Ale jadłem go bez żadnej urazy: gdyby mnie był mniej dręczył, byłby mniej tłusty, a gdyby nie był tak tłusty, byłby mniej wyśmienity.

— Z jego piękności wczorajszej cóż pozostało?  
— Zachowałem wszystkie jego pióra.

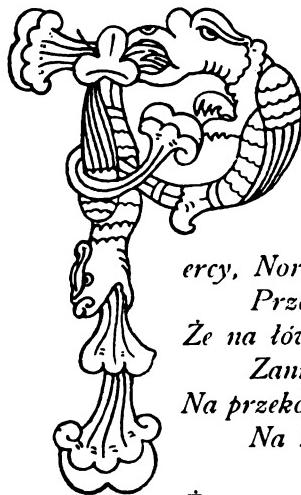
*Jednem z nich napisalem tę książeczkę; aby ci się, rzadki czytelniku-przyjacielu, nie wydała zbyt nędzna.*

Przełożył I. N.

Andrzej Gide.

## Ballady angielskie i szkockie.

*STARA BALLADA O ŁOWACH W CZEWIOCIE. \*)*



### CZEŚĆ I.

ercy, Northumberlandu pan  
Przez Boże przysiągł imię,  
Że na łow pojedzie w góry Cheviotu  
Zanim trzy doby minie,  
Na przekór hrabi Duglasowi,  
Na złość jego drużynie.

Że mu najłustsze w lesie jelenie  
Wybiję i z góra wywlecze...  
— Hola! Ja jemu te łowy skróce, —  
Tak dzielny Duglas rzecze.

---

\*) *THE ANCIENT BALLAD OF CHEVYCHASE. Th. Percy, Reliques of ancient english Poetry, London 1675 T. I. Nr. 1.*

*Graf Percy przybył do Banborow,  
Szła za nim dworzan chmara:  
Samych łuczników tysiąc i pięćset,  
Z trojga hrabstw dzielna wiara.*

*Zaczęły się te łowy Cheviotu  
W poniedziałek o świecie:  
Mogło żałować wielkiej uciechy  
Nienarodzone dziecię.*

*Nagonka poszła środkiem puszczy,  
Kolejno biorąc mioty;  
Łucznicy stąpali po stoku gór,  
Na łukach trzymali groty.*

*Gdzie bór prześwitał, tedy zwierz  
Mknął, na dwie strony party.  
A za zwierzyną pośród krzów  
Śmigaly lotnic charty.*

*Zaczęły się te łowy Cheviotu  
W poniedziałkowe rano,  
A do godziny dziewiątej już  
Jeleni sto zażgano.*

*Złożono wszystek martwy łup  
Rzędami na polanie;  
Przyjechał hrabia Percy sam  
Patrzeć na ćwiartowanie.*

— Duglas przysięgał, odgrząał się,  
Że stanie mi na drodze:  
Tymczasem widzę, że mię zwiódł —  
I Percy zaklął srodze.

*Ozwał się szlachcic z Northumberland,  
Najbliżej stał w orszaku:  
— Tam oto ciągnie dzielny Duglas,  
Widzę z nim wojsk jak maku.*

*Wspaniały widok kopij i dzid,  
Mieczów i różnej broni:  
Nie znajdzie wśród chrześciańskich niw  
Mężniejszych serc i dłoni.*

*Dobrych łuczników tysiące trzy,  
Junaczych w każdym calu:  
Wszyscy są rodem z nad Twydu fal,  
Od granic Tivedalu. —*

*— Przestańcie rąbać cząbry jelenic  
I naszykujcie strzały:  
Od chwili, jak was matka rodziła,  
Tak wam się nie przydały. —*

*Odważny Duglas na czele rót  
Sunie, rumakiem toczy:  
Świeci się na nim stal polerowna,  
Rycerz to wielkiej mocy.*

*— Hola! gadajcie, co wy zacz  
I zkad mam takich gości?  
Kto wam pozwolił chodzić na łow  
Pośrodku moich włości? —*

*Zaraz mu pierwszy odpowiedź dał  
Graf Percy w tym sposobie:  
— Nic raczej sprawy zdawać nikomu,  
Com zacz i co tu robię,*

*I będę chodził do twoich kniej  
Na łów na przekór tobie.*

*Już co najtłuszczy jeleni Cheviotu  
Padł, z kniei go wywleczem — —  
— Za to, — rzekł Duglas, — musi paść  
Dziś jeden z nas pod mieczem. —*

*W takie się Duglas odezvie słowa  
I przemówiąwszy doda:  
— Tyle szlachetnej gubić młodzieży  
Szkoda, doprawdy szkoda.*

*Ty, Percy, lordem jesteś swojej włości,  
Jam hrabią w hrabstwie mojem:  
Niech nasi ludzie staną na stronicę,  
My skończmy ręcznym bojem. —*

*— Klątwa na tego klejnot szlachecki,  
Kto z góry nie przystanie:  
Jeśli tak myślał, hrabio Duglasie,  
Twoje niedoczekanie.*

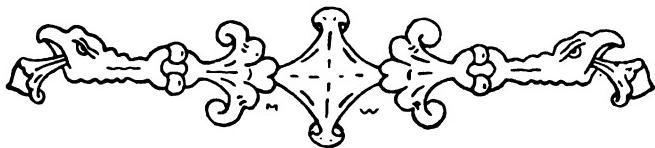
*Nie żyje w Anglii, Szkoci lub Francji  
Człek zrodzony z ziemianki,  
Abym z pomocą Boga i szczęścia  
Nie stanął jemu w szranki. —*

*Ożwał się szlachcic z Northumberland.  
Ric. Wytharynton mianem:  
— Nikt w dobrej Anglii mię nie połamie  
Przed królem, moim panem.*

*U'y dwaj jesteście możli lordowie,  
Jam szlachcic jest mizerny,*

*Lecz nikt nie rzecze, że gdy wódz walczył,  
Ja w polu stałem bierny.  
Póki miecz dźwigam, zostanę panu  
Sercem i dłonią wierny. —*

*O tym okropnym, krwawym dniu  
Śpiew pierwszy tutaj macie;  
Jak się skończyły łowy Cheviotu,  
Powiem, gdy posłuchacie.*





CZEŚĆ II.

Anglicy luki swoje napięli,  
Serca ich nie niewieście:  
Za pierwszym strzałem, mężów szkockich  
Zabili sto dwadzieścia.

Ale pozostał Duglas na stoku,  
Kapitan pełen sławy,  
I tam okazał dzielność prawdziwic,  
Odwrócił gotując krwawy.

Duglas rozdzielił swój huf na troje,  
Jako kapitan biegły;  
Trzy garści ludu, zniżywszy dzidy,  
Z trzech stron na wroga biegły.

Śród tego nasze luki angielskie  
Spijaly krew obficie

*I niejednemu z dzielnych rycerzy  
Skróciły cześć i życie.*

*Potem Anglicy rzucili łuki,  
Szerokie miecze brali:  
Aj, był to widok srodze wspaniały:  
Na lśniących hełmach błysk stali.*

*Błysk po misiurkach i po ryngrafach,  
Pancerzach okutych złotem;  
Niejeden rycerz wprzód chwilą wolny  
Zwalił się pod brzeszczotem.*

*Starli się wreszcie Duglas i Percy,  
Kapitanowie wdali;  
Pot zlał im czola, tak sickli mieczmi  
Z medyolańskiej stali.*

*Dzielni junacy cięli skwapliwie  
I wymieniali ciosy.  
Aż im z pod hełmów krew wytryskała  
Jak grad lub krople rosły.*

*— Poddaj się, Percy! — tak Duglas rzecze, —  
A ja ci dary złożę;  
Wszystkich zadziwisz, kiedy wystąpisz  
Na króla Jakuba dworze.*

*Okup daruję i to rozgłoszę  
Wszedy o mętwie twojem,  
Że najdzielniejszym jesteś z rycerzy,  
Com ich zmógl ręcznym bojem. —*

*— Przenigdy! — tak lord Percy odpowie; —  
Ustąpić się nie godzi:*

*Przysiąłem, że się nie poddam człeku,  
Co go ziemianka rodzi. —*

*A wtem świsnęła strzała puszczena  
Od angielskiego strzelca;  
Utkwiła w boku lorda Duglasa  
Głęboko aż po jelca.*

*Przeszła wątrobe, przeszła jelita,  
Trwała, utkwiwszy w ciele,  
I nie przemówił więcej w tem życiu:  
Jeno tych słów niewiele:  
— Sieczcie i kólcie, śmierć moja bliska,  
O wierni przyjaciele! —*

*Tedy lord Percy wsparł się na mieczu,  
Widząc, że Duglas pada;  
Ujął martwego męża za rękę:  
— Żal mi cię! — tak powiada.*

*— By cię ocucić, dalbym z mych włości  
Dochody za trzy lata:  
Męża silniejszej dłoni i serca  
Nie znalazłem pośród świata. —*

*Widział śmierć jego szkocki wojskownik,  
Pan Montgomery Hugo;  
A trzymał w ręku z mocnego drzewa  
Toczoną włócznię długą.*

*Przez hufy strzelców popędził cwałem  
W te strony, gdzie stał Percy,  
I nie zatrzymał rumaka w biegu,  
Aż był przy jego piersi.*

*W lorda Percy'ego drzewce wymierzył  
I natarł całą siłę.  
Ostrze hartowne potężnej włóczni  
Percy'ego skroś przebiło.*

*Po drugiej stronie sterczało drzewce  
Na łokieć, albo więcej:  
Lepszych dwu wodzów nie wzięła śmierć  
Za człowiecczej pamięci.*

*Był jeden lucznik z Northumberland  
Percy'ego świadkiem skonu,  
A trzymał w ręku silny łuk  
Z zylastego jesionu.*

*Strzałę założył na łokieć długą,  
Dociągnął do żelezca  
I posłał smutny, gorzki grot  
W piersi szkockiego jeździecza.*

*W Montgomery'ego ugodził piers  
Smutną i gorzką strzałą;  
Łabędzie pierze serdeczną krewią  
Całe się uwałało.*

*Żaden tam rycerz nie cofnął kroku,  
Stali jak mur, waleczni;  
Jeden w drugiego ze wszystkiej mocy  
Strasznemi sickli mieczmi.*

*Zaczęła się ta bitwa w Cheviotic  
Tuż przed dziewiątą rano;  
Kiedy dzwoniły wieczorne dzwony,  
Jeszcze nie dokonano.*

*Zaczem walczono po stronach obu  
 Przy jasności miesiąca;  
 Wielu rycerzom brakło sił  
 Na nogach stać do końca.*

*Z tysiąc pięciuset angielskich strzelców  
 Pięćdziesiąt trzech zostało,  
 Na trzy tysiące szkockich dzid  
 Pięćdziesiąt i pięć ocalało.*

*Nie mogli ustać na stokach gór,  
 Stracili wszyscy życie;  
 Żałitoby się tak ciężkiej klęski  
 Nienarodzone dziecię.*

— — — — —  
*Nazajutrz kładli zmarłych na nosze  
 Z brzóz i leszczyny szarej;  
 Niejedna wdowa łzami rzeźnemi  
 Oblała męża mary.*

*Jeknęły błonia Northumberlandu  
 I Twydalskie tkały:  
 Junaków jak dwaj martwi wodzowic  
 Nie było w Marchiicalej.*

*Króla Jakóba tam w Edynburgu  
 Wieść doszła w szybkim locie,  
 Że dzielny Duglas, kasztelan Marchii,  
 Zabity na Cheviocie.*

— Gorze mi! — wołał i głośno biadał  
 I załamywał dlonie:  
 — Jak on drugiego wojsk kapitana  
 Nie znajdę w żadnej stronie. —

*Króla Henryka dobiegły wieści  
W londyńskiej tam stolicy,  
Że zginął Percy, Marchii kasztelan,  
Na Cheviockiej granicy.*

— *Bóg zbaw mu duszę!* — mówił król Henryk;  
— *Z jego się wolą stało!*  
*Tak jak on dzielnych wojska hetmanów*  
*Ledwie mi stu zostało.*  
*Lecz, na me życie, pomszczę ja ciebie,*  
*Twój skon pokryje chwałą!* —

*Król Henryk wyrzekł swoje zaklęcie*  
*Jak pan możnego tronu;*  
*Za śmierć swojego lorda Percy'ego*  
*Wydał bój Homeldonu.*

*Trzydziestu sześciu szkockich wojaków*  
*Poległo na rubieży,*  
*Z mieczów siekących odbity blask*  
*Chodził od wiezy do wiezy.* —

*Tak się skończyły łowy w Cheviocie*  
*Bojem i mordem potwornym:*  
*Starzy ich powód znają i zową*  
*Bitwę pod Otterbornem.*



*DUCH LUBEGO WILLIAMA.* \*)



*od dom Margrety zleciał duch,  
Stanął u drzwi w noc ciemną;  
Do bram kołacze, biada i płacze,  
Zaklina ją daremno.*

*— Czy to mój ojciec Filip stuka,  
Czy Janek brat rodzony,  
Czy to mój wierny, luby Willie  
W ojczyste wraca strony? —*

*— Słodka Margreto, droga Margreto,  
Odpowiedz słowkiem małom:  
Jeszcze raz wiare mi przysięgnij,  
Jak ja ci przysięgłem. —*

*— Ja wiary tobie nie przysięgę,  
I prośne twoe zachody,*

---

\*) *SWEET WILLIAM'S GHOST.* Th. Percy, *Reliques.* T. III,  
str. 126.

*Aż do mnie wejdiesz, aż ucalujesz  
Me usta i jagody. —*

*— Jakże wejść, skoro ducha miego  
Już ciało nie obleka?  
Gdy ucaluję krasne usta,  
Śmierć twoja niedałcka.*

*Słodka Margreto, droga Margreto,  
Ozwij się słówkiem małecm,  
Jeszcze raz wiare mi przysiegnij,  
Jak ja ci przysięgałem. —*

*— Ja wiary tobie nie przysiegnie,  
I prózno czas swój gubisz,  
Aż mię zawiedziesz na swój cmentarz,  
Pierścieniem swym zaślubisz. —*

*— Me kości leżą na cmentarzu,  
W nadmorskiej leżą glebic,  
A jam jest tylko duch, Margreto,  
Co mówi tu do ciebie. —*

*Ściągnęła dlon jak lilia białą,  
Dlon jego czule bicze:  
— Oto jest moja wiara, Willie,  
Niech Bóg twojej duszy strzeże! —*

*Zielony swój jedwabny strój  
Do kolan zakasała,  
W długą jak życie noc zimową  
Szła w trop martwego ciała.*

*— A jest tam miejsce, Willie mój,  
U stóp, czy w głowach może?*

*A znajdę-z kącik przy twoim boku,  
Gdy w trumnie się ułożę? —*

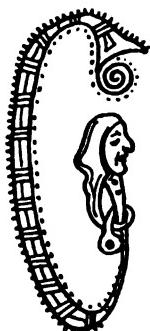
*— W głowach, Margreto, miejsca niema,  
U stóp się znaleźć nie może,  
Ani się znajdzie przy mym boku,  
Ciasne jest moje łóże. —*

*Czerwony kogut zapiął raz,  
A szary zapiął potem:  
— Słyszysz, Margreto? już na mnie czas,  
Już na mnie czas z powrotem. —*

*Nic więcej do niej nie rzekł duch,  
Ani tam dłużej bawił,  
Jeknął i zniknął w chmurze mgły  
I samą pozostawił.*

[ — O, stój, kochanku wierny, stój! —  
Margreta zawołała;  
Zbladła jej twarz, przygasł jej wzrok,  
Upadła i skonała.]





*PIĘKNA ŁANI.* \*)

*hodziła panna, chodziła panna  
Przez cieniste ogrody,  
A tam młodego naszła rycerza  
Przecudownej urody.*

*Chodziła panna, zrywała panna  
To ogrodowe kwiecie,  
Tam napotkała młodego chłopca  
Najpiękniejszego w świecie.*

— *Oddaj mi wianek, piękna panienko,*  
*Oddaj wianek dziewczęcy,*  
*Oddaj mi wianek, piękna panienko,*  
*Moje ty sto tysięcy.* —

*Wziął ją za rękę, wiódł na murawę,  
Na mileńkie pieszczoty,*

---

\*) *THE BONNY HIND.* F. J. Child, *Englisch and shottis:  
popular Ballads.* T. II, Nr. 50.

*A kiedy wstali z darni zielonej,  
Dał grzebień szczerozłoty.*

— *Może mieć będę córeczkę małą,  
Może mieć będę syna;  
Niechaj-że wiedzą, zacny dworaku,  
Jaka jest ich rodzina. —*

— *Nie jestem dworak, luba dziewczyno,  
Przybyłem dzisiaj z za morza,  
Anim był dworny, chyba dla ciebie,  
Moja paniczko hoża.*

*Zowią mnie Jackiem tam na pokładzie,  
Albo mnie zowią Janem,  
Lecz kiedy jestem w rodzica domu,  
Jack Randal zwę się mianem. —*

— *Kłamiesz, o, kłamiesz, mój piękny panie!  
Lord Randal nie ma syna;  
Lorda Randala ja jestem córką  
I w domu jam jedyna. —*

— *Kłamiesz, o kłamiesz, piękna dziewczyno.  
I nie znasz w kłamstwie sromu;  
Ja jestem lorda Randa synem,  
Powracam dzisiaj do domu. —*

*Sięgnęła ręką za pas złocisty  
Po sztylet obosieczny,  
I otworzyła nim w piersiach ranę  
Dla swojej krwi serdecznej.*

*Podniósł rękoma swą piękną siostrę,  
Po lachach łzy mu płyną;*

*I pogrzebał ją, i pochował ją  
Pod zieloną olszyną.*

*I jechał dalej do ojca dworu  
I oziewał się śpiewem:  
— O moja łani, o moja piękna  
Pod tem zielonym drzewem. —*

*— Czemu to płaczesz nad piękną łanią?  
Czemu to myślisz o niej?  
Jest w mym zwierzyńcu jeleni stado  
I nikt ci ich nie bronii.*

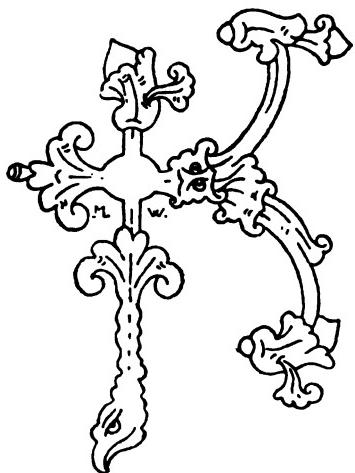
*Jest osmdziesiąt srebrzysto siwych,  
Ile chcesz, wybierz ino. —  
— O moja łani, o piękna łani  
Pod zieloną olszyną. —*

*— Dla czego szlochać nad piękną łanią  
I żalić się jej straty?  
Zabierz ty lepsze, ja gorsze wezmę,  
Zwierzyńiec moj bogaty. —*

*— Nie dbam o twoje, ojczyce, jelenie  
I gardzę twoją zwierzyną;  
O moja łani, o piękna łani  
Pod zieloną olszyną!.. --*



*SIR PATRICK SPENCE.* \*)



*ról siedział w Dumperlinśkiej wieży*

*Przy purpurowem winie:*

*— Kto poprowadzi okręt mój,  
Kto puści po głębinie? —*

*Ozwał się jeden stary lord,*

*Po ręce siedział prawej:*

*— Najlepszy żeglarz jest Patrick Spence  
Na wszystkich mórz dzierżawy. —*

*Król zaraz pisał długą list,*

*Dolożył swojej pieczęci,*

*Nad morzem przyjął Sir Patrick Spence*

*Posła królewskiej chęci.*

\*) *Child, l. c., T. III, Nr. 58 A.*

*Przeczytał pisma pierwszy wiersz,  
 Zaśmiały mu się oczy;  
 Podczas gdy czyta drugi wiersz,  
 Łza mu się z nich potoczy.*

— *Któryż mię dworak zgubić chciał,  
 Kto, taki nieżyczliwy,  
 Namówił króla, że mię śle  
 Na morze w czas burzliwy? —*

— *Hola, majtkowie, statek w mig  
 Szykujcie do podróży! —  
 — Nie może być, patronie nasz,  
 Nie minie noc bez burzy.*

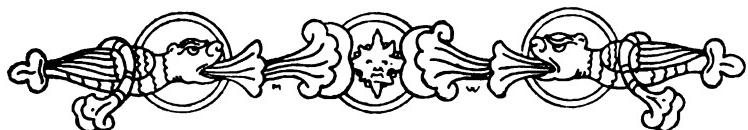
*Miesiączek młody nosił dziś  
 W objęciach miesiąca drugi,  
 Obawiam się, patronie nasz  
 Okropnej wnet szarugi... —*

*Wieczór junacy niestrwożeni  
 Korkowe pasy brali.  
 Rano skórzane ich kaptury  
 Igrały w morskiej fali.*

*Długo niewiasty siedzieć będą,  
 Wachlarzem chłodząc szyje.  
 I czekać, rychło Sir Patrick Spence  
 Do lądu znów przybije.*

*Długo na brzegu stawać będą  
 Z grzebieniem w puklach złotym,  
 Czekając na swych lubnych mężów, —  
 Nie ujrzą ich z powrotem.*

*Hen tam, hen tam, za Aberdoor,  
Sir Patrick martwy leży  
Pięćdziesiąt sążni w glebi wód,  
— Z nim szkockiej kwiat młodzieży.*



PRZEŁOŻYŁ Edward Porębowicz.

HISTORYA DWOJGA KOCHANKÓW  
I PANI HOAN - THO. Z CHIŃSKICH  
PORCELAN I KSIĘGI: KIM — VÂN —  
KIÊU — TÂN — TRUYEN.



o wszystkie czasy w krainach człowieka ro-  
dzą się dziwne zioła: snów i zbrodni.

Wśród przemian morza i lasów morwowych \*) —  
widząc, przeżyłem ból głęboki serca.

O dobre — stare księgi — czytane przy lampie — čmy  
leczą do białych róż... ptaki błękitne wlatują do sadów  
i nie wstrzyma ich siatka.

---

Kieu była piękna: jej uśmiech, jako woń kwiatów;  
słowa, jak perły rzucane; z błysku warkoczy widziałeś  
chmury, a śnieg z jej oblicza.

---

\*) Morze przemienia się w pole morw — pole morwowe staje  
się dnem fal.

Pod arkadą brwi — dwa głębokie stawy, pełne wód jesiennych.

Czar jej mógl burzyć królestwa i grody.

Ale w cichem ustroniu — za szkarłatem namiotów i zasłon — księżyc słuchał jej lutni.

Była uroczystość grobów — wielkie tłumy jaskólek i papug — powozy i konie w pióropuszach — posagi i stèle mogił, złoto, popioły, barwne latawce.

Cień się przedłużał, słońce zapadało, tłum cichnął, dwie siostry szły brzegiem strumienia. Za mostkiem opuszczona mogiła.

— Bez latarń — bez kadzideł — tak pusta — dlaczego?

— Inaczej było w salonach śpiewaczki — tłum strojny — na ogród szły pieśni. Lecz robak przegryzł miąższ orchidei. Cudzoziemiec zasłyszał, zdaleka przybył.

Pokój zimny i milczący. Wazon rozbity, agrafa złamana.

Podwórzec pusty, na wyzłobieniach karoc i podków dywan czarnego mchu. —

Serce Kieu nagle poczuło chłód, czy powiął nocny wiatr? Wyjęła sztylet, rozpadły się włosy, na korze kreśli archaiczny wiersz o feniksie.

— O siostro, zaśmiała się Wan, czy masz łzy dla cieniów minionych?

— Kiedyż bo dola szczędziła nadpiękność?

— Trudno cię pojąć — powietrze wilgotne i duszne, mary się zlatują — droga powrotu daleka.

Wtem wiatr zaszumiał, w gałęziach błyszczą żrenice, na białym koniu nadjeżdża młodzian — szaty miał jak noc majowa błękitno-zielone.

Nad żlebem górskiego potoku ściągnął rumaka, pół-księzycem szabli rozcina wężowiska lian. A nad nim różowy cień hortensyi.

W mrokach nocy powiewały blade rokiciny — dzwon oznajmiał zamknięcie przestworów \*), biały strumień zło-wieszczo się pienił.

Kieu wróciła za kwieciste jedwabne zasłony — księ-życ w czarne już zaglądał wąwozy — rosa migała kropla-mi złotemi — nieruchomo zwieszały się kiście akacyi — a ścieżka w dal bez końca.

„Przeszedł — i oto wszystko — pełen znudzenia, jak inni — przeminie, jak wszystko.“

Rączką wsparta o przybór pisania śni —  
— wtem ujrzy postać przezroczą, jak rosa, zawieszoną na ciszy powietrznej.

„Moje zimne mieszkanie — tam — za ścieżką grobo-wą — pode mną strumień, nade mną most.

Rzucano dyademy perel pod stopy moje, po śmierci Ty jedna dałaś mi łzę.

W spisach umartwionych Twé imię, Twa barka wio-zła już mnie.“

I jej ręka z za mogiły wiodła Kieu przez melodyę wierszy, ale z piersi dziewczęcia wylatał głuchy jęk.

Matka zbudzona wstrząsnęła lekko jej ramię: „Kwiatuszku jabłoni, czemuż to kąpiesz się w chmurze deszczowej?

\*) Wieczór ścieśnia i zamyka przestrzeń.

Padają liście, padają kwiaty. Miłośćią coraz bardziej upojeni, sercami coraz bardziej zmieszani.

Dnie, jako cień chmury nad rzeką — noc rozświetlona i wonna, pełna słów księżykowych, zaklęć na góry i morza.

Raz patrzyli w jezioro.

Sanh rzecze:

„Zwierciadlna wieża swój blask rzuciła na wodną pokrzywkę.“

Kieu:

„Im wyższą jest wieża, tem głębszy mrok jej w zatokach.

Tysiąc jesieni mię czeka i kwiat zatruty niewoli.“ —

— — Księżyc oparł znużony głowę na listkach akacyi.  
Lampa złocista przygasła, wiatr porusza wachlarze.

Ona z ogrodu skał, wśród jezior i nenufarów — ku niemu szła, silą wiedziona nieznana.

W ręku lutnię trzymała, dźwięk jej jak chory słowików — przechodził chwilą w ton groźny rozpaczliwy i zemsty.

Przy blasku lampy to żywa, to upiorna — kochanka swego poila tępnotą.

Wtem zahukała kukulka, drzewa otrząsnęły się łączami, słońce — kruk czarny — już błyska — krwawiącem góry zwierciadłem.

Pożegnawszy ojca w świątyni, szedł Sanh na podwórzec załobny.

Rzeki Tau błękitna wstępna daleko — daleko — tu i ówdzie na brzegach wierzby.

Ileż gałązek zieleni.

Wziął za rękę — westchnienia krótkie, westchnienia długie.

Czara stygnie, rozwiewa się łączność, słowa się duszą.  
— Góry i morza nas dzielą — rzecze Kieu.

Jeśli trudno, oczy zamknąwszy, ująć ptaka, — cóż serce?

Wyznaj żonie, rzuć w głębiny złoty pierścień słów.  
Raz deszcz i wicher — potem cisza.

Skoro w domu ciepła wiosna, czem na dworze nie-pogody?

...Ukrywać pod prąd — i ukrywać z prądem — i przy-walać głowy swoje górami pod niebo!..

Miłość Twoja! zapamiętam, coś mówił.

Lata się starzeją — i my — idźmy — gdziekolwiek. —  
Ta czara niechaj będzie wspomnieniem — aby wy-chylić ją raz wtóry, czekam Cię — po roku smętnym —  
w takąż noc. —

Na konia wskoczył Sanh — zaś ona — oderwany od sukni łachmanek.

Las jesionów na posepny rdzawy ton — góra przele-cze — pył kłębiący opada na lęk.

Widzieć jej nie dają już tysiące drzew.

Ona wraca — i noc głuchą pozostaje sama.

On również samotny przebiega wieczorne przestworza.

Tak podobnie gród księżyca: jedna w mroku straż,  
a druga — srebrzy pyłem opuszczony szlak.

---

Widać w sali bogatej tę, co rządzi pałacem: córkę mandaryna — imię jej — Hoan-tho.

Aż dotąd była szczęśliwa i z młodzieńcem splatała włosy, przedając jedwab' — swe dni.

Wtem poznała, że w ogrodzie zakwitł tajemniczy kwiat.

Przytłumia gniew serca, lecz ogień wciąż więcej przepala.

„Gdyby wyznał — dla niższej byłabym względną.

On sądzi — jestem daleko, a drzewa ni gwiezdy nie mówią.

Ha, mrówko, próbuj się wymknąć.

Zawrę wieko tej wazy, okuję blachą dokoła — a wieści — niech sobie rzuca wiatr po domach sąsiednich.” —

— — — — Oto Sanh za powrotem w czerwonym pałacu — uczta obmycia z pyłu bardzo radosna — obficie krążą puhary — ale co wchodzi w serce Małżonki — i co z niego wylata?

On widzi Jej myśl, swą troskę zasypał ziemia, potoku wiąże uczucia, jakoby nici pajęcze.

Śmiała się często, jak przebudzona z odurzeń, lecz zamknięta w swej dumie — z góra niedostępnych spogląda mu w oczy.

— O czem-że myślisz, Dostojna Pani?

— O perłach i kamykach, o złocie i mosiądzu — te dłonie sobie niegdyś dowierzały...

Podziwiam sposób motyla i pszczoly zbierania miodów tu i tam...

Byłam napisem, z którego się śmiano. —

(On chciał utrzymać w powietrzu grom blizki — bał się pociągnąć lianę, aby nie zadrżały cały las:) — Co do muszek i karminu,\*) nie zbliżały się do mej latarki — oh, lecz księżyc miał okrągłość ramion — ...

— Ojciec Twój samotny, trzeba, abyś znów jechał do niego. —

\*) Malujące swą twarz hetery.

Te słowa rozświeciły serce młodzieńca.

— — —  
Wieże błękitniały — złote góry dymiły rosą — a rumak pędzi. —

Hoan rzecze:

— Ładem podróż daleka, wodą naprost. Niech przygotują okręt, wybiorę ludzi — niech wezmą powrozy i łańcuchy — ja ją wyczerpię — a sama siebie nasyczę — a w końcu z nich się wyśmieję. —

— — —  
Żagle na wichrze, maszty na chmurach — Pies i Jastrząb przybrali bandę ludzi zbrojnych sznurem.

Na jedwabnych zasłonach — przy płonącej lampie — cień samotnej kobiety. Smutek jej rozszczepiał się jako jedwab czerwony.

Na ściętych morwach księżyc kołysze dzikie maszkarę i widma.

Wspominała wiosenny krajobraz, patrząc na pustkę dokoła.

Splot włosów, na które przysięgał, opadł na jej ramiona.

— Ileż fal zatopiło ten księżycowy pałac \*... .

— O czem on myśli?..

— Miłość mocna, jak łańcuch gór — sto papyrusów, tysiąc ksiąg srebrnych — płaca to mała za dawne jego serce.

— Jakąż doskonałość posiadam, że niebo i ziemia są o mnie zawistne?

— Jakaż wina cięży na mojej młodej głowie?

— — —  
\*) W którym żyje bogini miłości Nga.

— By ją okupić — zużyłam połowę wdzięków i jeszcze nie dosyć —

— — Zimny wiatr nocy kołatał, jak pijany, w jej okno — księżyc zakrył swą tarcz.

Gwiazdy Szczęścia iskrzyły w brylantach.

Ona się modli — do nieba płyną aromaty kadzideł — oczy jej nie schną — i wciąż — i wciąż —

— — —  
Zarośla się rozchwiały gwałtownie — czarne cienie zbrodniarzy — wycie szatanów — błysnęły obnażone tasaki.

Zmrożona grozą nie wie, co się dzieje — wtem gałąź odurzeń spadła na jej oczy.

Jak w śnie — koń tętni — unosi przez pola — a komnata i książki w płomieniach.

Wiesniacy się zbiegli, gaszono pożar — gdzie młoda Pani? nad brzegiem ruczaju krew — szukano w studni głębokiej, w więdnących zagajach — wtem na popiele spalonej komnaty ujrzano czarne przetłcone kości —

— pogrzebano je, poświęcono, nałożono post —  
Sanh płakał.

Był czarodziej, który umiał zakląć talizmany, zwołać duchy i przeniknąć do stolicy mroków.

Miał on zawsze wieści o tem, co się dzieje w ogrodach raju, u dziewięciu źródeł.

Przed ołtarzem legł, dusza z niego wyszła na czas, gdy się spalały tajemnicze zioła.

Wróciwszy, tak powiedział:

— Tam jej niema, ale na głazach opisane przewiny, które wymazać musi w tem życiu.

W sali ogromnej, jak świątynia, jarzą się za dnia świece.

Na łóżu zdobnym w siedm kosztowności przegięta pani Hoan-tho, — a blada Kieu — jak drzewko wyrwane — leży na podłodze.

Pani Hoan-tho kaza bambusem otrącać to ciało, zdając się być ogniem białym, posagiem żywym, całopłomiennym.

Ona się ślania, czerwone kwiaty zraszają śnieg.

— — —  
Mąż i żona wychylają czary w tłumie zebranych gości — a blada służąca nalewa mu wino.

Sanh czuje, że rozum się płacze.

— Wszak odeszła Kieu Drogą Samotną — wśród wąwozów pustych błaka się jej cień — spalone jej kości złóżylem do ziemi.

Hoan zadrgała śmiechem:

— Jeśli Panu nie dogodzisz — rozkażę znowu biczować.

Kwiat niewoli posiada wszystkie talenty, — o mój mężu, posłuchaj! —

Dziewczę ulega, choć miotane rozpaczą po borach ciemnych — klęka za parawanem u progu — i trąca melodyę, jaką wypłakuje drzewo Dong, rzucone w zimowy ogień.

Twarz Sanha wybucha śmiechem, ale łzy płyną mu przez serce.

Idzie do złotej łožnicy, prowadzi go Pani Hoan-tho.

— — —  
Wyliczać — i po co? zdarzenia...  
Oto pod niebem jesieniem — w ręku jednego człowieka.

Mgły się klębia ogromne, jak napowietrzne jeziora.

Śpiew ptasząt zamiera bez dźwięku.

Wszędzie nieznane wody i góry.

— To życie — niech minie — lecz przyszłe — co? gdy  
nanowo ożyję<sup>†</sup> i wspomnę te lasy wieczorne — choćbym  
zwierzęciem była — dowiodę mojej miłości — ku źródłom  
dziewięciu poniosę kwiat niewiadnącej miłości. —

— — —  
Przed wrota wysokie zajechał pędem wóz.

Olbrzym o twarzy bladej wyszedł na ich spotkanie.

W komnacie wzniesionej nad ziemią kadzidła i gwar.

Kobiety strojne w motyle, a brwi ich w kształt je-  
dwabników.

Kilku gamratów siedzi, stukają w kostki i karty.

Pośród sali bezwstydu bożek o białych brwiach.

Wieczorem ścielą mu dymy, rano przynoszą mu  
kwiaty.

A mniej szczęśliwa ponęta rozciąga się przed nim  
naga, szepce zaklęcia i tchem swym rozżarza trybularz —  
potem zasiada na ganku, a z brzękiem zlatują się pawie.

— — —  
Z ręku wyrwano Kieu żelazne śmierci narzędzie.

Ohydna Megiera wytrząsa nad nią ramieniem.

Twarz jakby kora areki<sup>\*)</sup>) — trzy węże wzniosły swe  
żądla.<sup>\*\*)</sup>

Chciałaś pozbawić mię drogiej zapłaty — strzeż się,  
bezdomna włóczęgo!

Niejedna zimowa zawieja chwytała w polu bez ognia  
bladą schyloną postać, co biegła z zakrytem obliczem.

<sup>†</sup>) Gorzka, odpychająca.

<sup>\*\*)</sup> Duchy kusicieli.

Aż pośród ciemnych puszczy — gdzie skłębione kwiaty pną się po dzikich urwiskach — a tysiącletnie sofory jak przesła olbrzymiego mostu między zielenią — tam gdzie jelenie i sarny błądzą nielękliwą gromadką — świątynia bez wiernych, lecz z bóstwem.

Tam schroniła się Kieu, uciekając od ludzi, którzy szargali nią jak więcierzem po lepkich namułach.

Znały zwierzęta ją, znały ją leśne polany i obłoki, pędzące od morza.

Nieraz wśród głuchej nocy grał śpiżowy gong — i złote bóstwo o śniącym obliczu wsłuchiwało się w straszne dźwięki.

Z błękitnych lotosów jeziora wznosiły się duchy zwiewne, muzykowie gwiazd opiewali prawa głębokiej przyszłości.

Na drzewach roztaczały się jedwabne materye, kądzidła z niewidzialnych waz — i purpurowe żarznie, jak pożar spalający wieczność.

---

Słyszał Sanh o pustelnicy, która żyje wśród fioleto-wych borów, daleka od pyłu dróg.

Przywdziawszy białą szatę żałoby, szedł prosić o modlitwę połączenia z duchem Kieu.

I ujrzał —

ubraną w szafirowe lotosy, sarny pokładły się wokoło — ptaki świegotały na gałęziach, dzwoneczki same się poruszały bez wiatru.

— — A Pani Hoan-tho patrzyła z krużganków przez kratę.

Wzięła Kieu lutnię — uderzyła w struny i tak grała piosenkę swawolną:

„Drzewo Mai traci owoce — jeszcze ich siedm — dla wybranych, co mnie szukają, chwila stosowna.

„Drzewo Mai traci owoce — jeszcze ich trzy — dla wybranych, co mnie szukają, chwila stosowna.“

— — Sanh patrzył w ziemię.

„Me księzyce niepełne, moje róże uwiędle — moje serce jest smutkiem, moje życie jest plamą.“

— — Sanh wyciągnął miecz z pochwy.

„Chcę mieć sarkofag — niebo i ziemię — napis pamiętać — księżyca i gwiazdy. Nieznany we mnie śpiewa, gra — nieznany tańczy bóg — cała natura weseli się we mnie... ptaki! zlatujcie się na moje ciało.“

— — Pani Hoan-tho przebita na ziemi.

Pod sennemi wiklinami zwolna płynie łódź.  
Mroki się snują nad głębiną.  
Czerwona latarnia oświetla ich bliskie twarze:  
Kieu i Sanh.  
Na jedwabiu malują niebiosa i morze.  
Uczuli bezmiar.  
Związali się kwiatem lilij wodnych — rzucili się w nurt.

Oto są — wśród ogromnych pustych przełęczy.

W dole — pod nimi — barka księżyca ślizga się po ciemnym jeziorze.

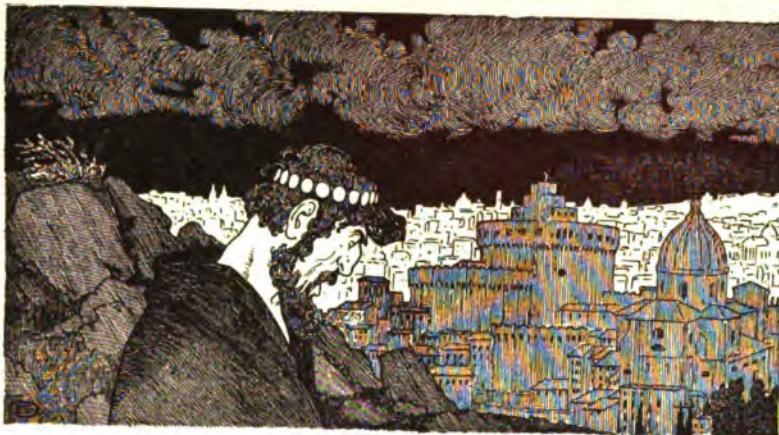
Wulkany gwiazd przeglądają się w głębinach — i splatają się w różowe wiszące ogrody.

Z wysokiej stromej wieży, strzegącej trzech światów,  
Pani Hoan-tho, anioł czarny, spala w ogniu przewiny kochanków.

— — Była to, jakoby noc słów księżykowych, zakleć na góry i morza.

Tadeusz Miciński.

Judasz.



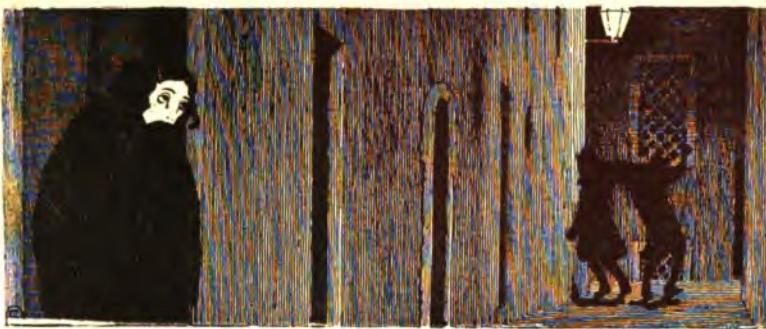
*zemu mnie ścigasz?  
Gdzieś Twoja święta, uwielbiana  
[miłość?  
Ni jednej chwilki wytchnienia!..*

*Widzę Cię w słońcu!  
W chmurach Cię widzę —  
we wszystkiem, czego ni dotknę —  
we wszystkiem,  
na czem żrenice me spoczną,  
jeśli się kiedy, idąc straszną drogą,*

*na tą nadludzką zdobędę odwage,  
by podnieść głowę do góry,  
ach! i zmęczonej uchylić powieki,  
na której cięzy  
ten ciężar wstydu — — —*

*A czyż ja darmo, o dziewczyno,  
będę dziś pukał w twoje wrota?  
Pokaż-że mi się w okieneczku,  
wszak potaniała dzisiaj cnota!..  
Hi hi hi hi hi!!!  
Mówią, zem rudy? Zamknij oczy,  
garścią srebrników gust ci zmienię:  
rudy nie rudy, byle tylko — — —*

*A! znak od tego powroza?  
Hi hi hi hi hi!!!  
Czart się to wczoraj rzucił mi na szyję  
i tak mnie słodko połechtał,  
aż mi ta krwawa wystąpiła prega,*



*Szydzisz-li ze mnie,  
żeś taką pomstę wywarł na mej duszy?  
żeś mnie wypędził w świat,  
abym się błagał, jak ten pies obity,  
i zdradzał swoich przyjaciół?  
Nie! ślepiec jestem, po omacku schodzę  
z Twojej Golgoty, czepiąc się ręką  
zbrojnych pachołków, co Ci twarz opluli,  
ale to czuję, że nie żar urągan  
aż do obłędu mnie piecze,  
tylko bezbrzeżny Twój ból...  
Czemuś mnie stworzył, o Panie,  
takim nędznikiem  
i czemu  
po tylu wiekach do uszu mi kładziesz  
szum owej zgrai, którą prowadziłem  
w cichą, miesięczną noc  
pomiędzy krzewy oliwek,*

*gdzie On upadał z biedzony  
przed szubienicy widziadłem?..*

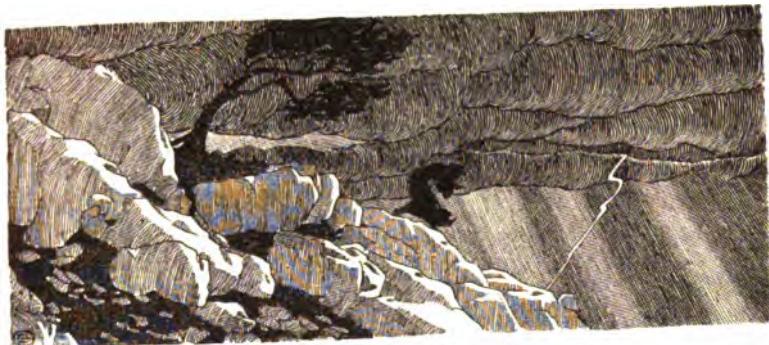
*Przyjacielu! przyjacielu!  
a co tam chowasz w zanadrzu?  
Masz choćby jeden haust dla przyjaciela,  
co cię serdecznie za to pociełuż?  
Trzeba mi zalać robaka —  
Tak! — nie wiem — —  
jakaś okropna szaruga,  
rycząca rykiem tluszczy,  
która spełniła mord jeruzalemski,  
pod dach mnie dzisiaj zagnała  
jednego, widzisz, z tych biednych,  
z tych niedomyślnych i głupich prostaków,  
co w dłoni widzą — dłoni,  
w całunku — całunek!..  
Dawnom cię, bracie, nie widział,  
alec ja dobrze pamiętam  
twoje oblicze,  
twoje przymknięte powieki,  
z pod których wielki, ciche patrzy smutek  
w wielką i cichą głębinę  
ludzkiej niedoli...  
Tak! dobrze, dobrze pamiętam ---  
na Weroniki widziadłem je chuście  
w wieńcu cierniowym na skroniach - - — —*

*Piękną masz siostrę!  
Chodź w mo objęcia ---  
sam ja przybywam, bez tego żołdactwa,  
co cię powiodło na te pustą góre.  
pod ten straszliwy krzyż — — —*

*Nie będę darmo, o dziewczyno,  
pukał dziś w twoje wrota:  
pokaż mi się w okieneczku,  
już potaniała cnota! — — —*

*O mój ty, bracie luby,  
jaką ty siostrę masz!  
Takem cię dawno nie widział —  
weź przyjaciela w dom!  
Tak! tak! pamiętam te oczy,  
na Weroniki chuście  
patrzące cicho i smutnie  
w cichą i smutną głębinę  
tej naszej ludzkiej niedoli — — —*

*Nie powiedziała, żem rudy  
i że mam krwawą na szyi  
pręgę wisielca,  
tylko siwe przymrużyła  
oczęta,  
a dziś żał jej, że jej suknia  
pomięta!..*



*Nie podnos na mnie tej ręki!  
Boję się — — boję — — —  
Sambyś się splamił,  
gdybys mi wyciął policzek!..  
Wszakci nie siedzę przed królem Herodem  
i trzcinę nie mam w dłoni  
ani purpury na barkach!  
Wszakci ja nie mam tych oczu,  
co z pod przymkniętej powicki  
patrzę tak smutnie i cicho  
w smutną i cichą głębinę  
tej naszej ludzkiej niedoli...  
Czekaj — — nie jestem tchórzem — — —*

*Czemu ten wicher tak wieje?  
Zaszczęściło coś w krzewach — — —  
ktoś mnie potrącił w ramię — — —  
nikogo przecież nie widzę — — —*

*A! to ta gałąz oliwna,  
na której jeszcze pozostał  
i w tym się wietrze kołyse  
mój stryczek!  
Zdjeli Cię z krzyża?!.  
Po co przychodzisz do mnie  
taki milczący, spokojny  
w tej sukni z białych mgieł,  
wlokącej wyrzut i rozpacz?!  
Zabij mnie! zabij!  
a tylko mego imienia  
na pośmiewisko nie dawaj!  
Ze mnie, Judasza  
Iskaryoty,  
swego drogiego nie rób przyjaciela!  
Zwij mnie zbrodniarzem i lotrem,  
tylko tak nie gardź mną!..*

*Sza!  
Nic! nic! to liść zwiedły upadł —  
O moje życie! —  
Któzby się trwożył  
szelestu śmierci,  
która mu gryzie wynędziała duszę?  
ktożby się lękał kamienia,  
spadającego w czarną, głuchą przepaść?*

*Nalej-że mi, karczmareczko,  
mocno przepalonej,  
a ty, bratku, graj wesoło,  
gach u twojej żony! — — —*

*Z siekiem — — dygoce — — a! zębami dzwonię — — —  
psy mnie obsiadły, kiedyś szedł w te stole*



*po zarobiony grosz —  
należe mi, karczmareczko,  
mocno przepalonej — — —*

*Jakto? Srebrników trzydzieści  
za głowę tego Człowieka,  
który wam w sercu taki przestrach budzi?  
I spać nie daje,  
ani spokojnie zasiadać do stołu?  
Który na wasze królestwo  
idzie z pożogą swoich twórczych słów,  
mających zniszczyć świętynię występu?  
Mających na miejscu zdrady  
postawić miłość i wierność?  
Trzydzieści marnych srebrników  
za pocahunek,  
złoszon na uśmiechach druha, przyjaciela,  
któremu imię — Chrystus?!*

*Arcykapłani!  
W przedśionkach waszej bożnicy  
jam się wychował!  
twarzą padłem na ziemię,  
kiedy o jutrzni  
szedł w cztery strony uśpionego świata  
głos waszych złotych trąb  
i świętych dwanaście pokolen  
wzywał przed arką przymierza,  
przed znaki wieczystej Tory...  
Nim jeszcze krwawa ta prega  
na mej się szyi odbiła,  
z wargą patrzałem otwartą  
w żrenice wasze i usta,  
by z nich wyczytać waszą świętą wole...*

*Spełniam ją dzisiaj, tylko więcej płakać!  
Dajcie mi setkę!  
Jakto? za dużo?  
Za to, że wczoraj, gdym ukląkł w pustyni  
i chciał przebłagać Pana,  
aby zdjął ze mnie tę wieczystość haniby,  
wicher się zerwał gwałtowny  
i przeraźliwym przyguszył poświstem  
moją modlitwę?  
Za to, że każdy oddech tego wiatru,  
każdy szum jego, każdy jego wiec  
i każde łkanie, każde uderzenie  
w krzew czy też piasek,  
w sosnę czy skałę,  
w mgłę albo obłok,  
w blask,  
w falę jeziora  
albo wybrzeże mórz —  
o grzbiet wędrowca lub w tygrysa sierć,  
o róg jelenia czy też w ślepie żubra,  
o kłyb padalca  
czy o skorupę ślimaka,  
w ono idące w bezkresową przestrzeń  
jasnowidzenie proroka,  
czy o tłukącą się w ciasnej okrąży  
ślepotę cizby tej,  
co pragnie Jego krwi —  
za to, że w każdym juku, w każdym szumie  
i w każdym biczu pomsty żądnych wichrów  
i łka i grzmi i jeczy i wyje  
to szubieniczne: zdrajca! zdrajca! zdrajca!..*

*Wiecie:*

*Nie jestem człowiekiem, u którego chciwość*

i żąda zysku radaby ukradkiem  
 stanąć za tablic Mojżeszowych głazem  
 i przechylona ponad ich krawędzią,  
 radaby zetrzeć niespokojną ręką  
 znaki przykazan  
 i na ich miejscu wyryć słowo: pieniądz —  
 jak wy to dzisiaj czynicie,  
 tak sobie lekceważąc  
 ten przyjacielski ust mych pocatunek!  
 Chcę dziewięćdziesiąt...  
 Miejcie-że litość!  
 Rodzony ojciec mój  
 z nędzy popełnił zbrodnię —  
 muszę ratować rodzonego ojca!  
 Tyle go właśnie wybawi od kaźni  
 i włos jego siwy  
 nie będzie wstydem okryty...  
 Co? co? mój ojciec nie żyje?  
 Od niepamiętnych czasów leży w grobie,  
 a imię jego wolne jest od plamy?  
 Któz to wam kazał zaglądać w rejestra  
 i tak mnie ubiedz i skrzywdzić,  
 wyszachrowawszy tyle — tyle grosza?!  
 Prawda! nie żyje  
 i nie odwróci gniewnych, smutnych ocz  
 od swego syna — Judasza!..  
 A w jakiej wy cenie  
 macie też starą, biedną moją matkę?  
 Czy nie wzruszają was łzy,  
 które wylewa az po koniec świata,  
 że syn jej jedyny  
 znalazła w swej duszy odwagę,  
 aby się taką skalą przeohydą?  
 Jam go nianczyła — tak powie —

*skąpiłam chleba swym ustom,  
by moje dziecko nie zaznało głodu!  
Jam mu śpiewała: Luli!  
śpij, mój synaczku, śpij,  
matka do serca cię tuli,  
chroni od os i zmij —  
śpij, mój synaczku, śpij!  
A gdy się zbudzisz, mój mały,  
znajdziesz rodzynki, migdały —  
śpij, mój synaczku, śpij,  
matka do serca cię tuli,  
luli, mój synku, luli! —*

*Arcykapłani!  
Serca wy macie kamienne!  
Trzy wam opuszczę —  
złóżcie osmdziesiąt  
i siedem — siedem przydatku  
za to, że patrzyć muszę  
w te dziwnie przymknięte powieki  
na Weroniki chuście,  
z pod których wielki, straszny patrzy smutek  
w tę wielką, straszną głębinę  
mojej i waszej niedoli  
i nędzy!..  
Jam go w ranną wiodła zorzę.  
by jaśniął, jak ona!  
Raczej krzyżne wybierz łóże,  
niżby dusza two — o Boże! —  
miała być splamiona!  
Dajcie pięćdziesiąt!  
Jeszcze wam dużo?  
Zgoda! czterdzieści i dziewięć — — —  
i pięć — — i cztery — — —*

*Wezmę trzydzieści, bo patrzyć nic mogę,  
aby na świecie był ktoś taki biały  
i czysty,*

*kiedy ja duszę mam brudną!*

*Wezmę trzydzieści, bo patrzyć nie mogę,  
by tłum go w tryumfie wiódł  
w bramy świętego miasta  
i rzucił mu palmy!*

*A to hozanna! — hozanna! — hozanna!*

*Wezmę trzydzieści, bo patrzyć nie mogę,  
aby On zwał się Chrystus, ja zaś — Judasz!*

*Ażeby jego było przeznaczeniem  
umrzeć na Krzyżu, który po wiek wieków  
otoczony będzie czcią,  
gdy ja się mam błagać  
po wszystkiej ziemi  
wzgardzon i oplwan,  
zdrajca i kłamca  
i uwodziciel —  
Judasz! — — —*

*Nalej-że mi, karczmareczko,  
mocno przepalonej,  
a ty, bratku, graj wesoło,  
gach u twojej żony — —  
ponoć przyjaciel twój  
czy brat — — !*



*Czemu mnie ścigasz?*

*Wczoraj —  
lat temu tysiąc, może sto, a może  
zaledwie kilka upłynęło godzin,  
zdawało mi się, że nadszedł już kres  
mých niepokojów...  
Utrudzon grzechu nieskończoną drogą,  
w dalekiej siadłem krainie,  
pod ścianą dojrzałych zbóż.  
Zacząłem kłosy rwać,  
i łuszczyć ziarna pšeniczne,  
i sycić głód.  
Cisza i spokój  
promienistemi oprzedziały siccimi  
rozległy, kłosisty łan.  
Głębie powietrza falowały żarem,  
polnych koników ćwierkał rói.*

zdaleka płynął brzęk kosy  
 lub teskny śpiew przodownicy.  
 I przyszła na mnie zaduma...  
 Rękoma objąłem kolana  
 i skronie - m schylił ku ziemi,  
 i zapatrzyony w listek sennej trawy,  
 co się położył na mej twardej nodze,  
 słuchałem brzęku tej kosy,  
 i tego świerku szarańczy,  
 i tego śpiewu zniwiarki.  
 Od niepamiętnych już czasów  
 nie miałem chwili —  
 może nie miałem jej nigdy! —  
 gdzieby ma dusza  
 tak zapomniała o swej gorskiej nędzy.  
 Czyżby zginął ból?  
 Czyżbym ja, Judasz  
 Iskaryota,  
 źródło upodlen i cierpien,  
 spełnił już swoją pokutę?..

Lat tysiąc,  
 a może wiecej, lub mniej,  
 a może tylko sto,  
 albo zaledwie kilka chwil  
 trwał mój słoneczny sen...  
 Podniósłem głowę  
 i wpółwyżartemi oczyma  
 od żrących kurzów i wstydów,  
 od deszczów, błyskawic i gromów,  
 ah! i od żałów i płaczów,  
 i od mej całej czelnej zbrodniczości,  
 spojrzałem w stronę zachodu.  
 I oto w krwawych oblaskach,

*na miejscu kuli słonecznej,  
spostrzegłem przymknięte powieki.  
A z pod tych powiek  
dwie ciche, głębokie grenice  
z nieopisanym gubiły się smutkiem  
w głębiach sinawych mgieł,  
wypełniających przepaść  
pomiędzy niebem i ziemią  
i swojem gestem obrzeżem  
dotykających łanu,  
przez moje nędzne skazonego stopy.  
I mgły się klebić poczęły,  
i wrzec z taką mocą i sycząc,  
jak gdyby Ten, co mnie stworzył  
i na tę hanbę przeznaczył,  
wziął w swoje garści wszystkie głębie mórz  
i gdzieś w bezmierne rzucił je ognisko,  
w lej przeolbrzymi połączonych razem  
wszystkich wulkanów, jakie są w wszechświecie  
na milionach milionów gwiazd...  
Ach! a to wrzenie i ten syk potworny  
szły z taką siłą na me biedne uszy,  
żem nic nie słyszał, tylko: Judasz! Judasz!  
Klamca i zdrajca  
i uwodziciel —  
Judasz!..*

*Gdzieś mi uciekać?  
gdzie znaleźć bezpieczny schron?  
Przyjacielu! otwórz mi wrota swe!  
Dawnom cie, dawno nie widział — — —  
weź przyjaciela w dom!  
Piękną masz siostrę —  
może to żona — ?*

*Ponoś Chrystusa zdradził pocałunkiem —  
 wszystkoć przebaczą! przyjmij mnie w swój dom!  
 Mówią po świecie, żem ja wziął srebrniki —  
 ty wiesz najlepiej, żeś ty je targował!  
 Zdrada mnic twoja nie piecze!  
 Wszyscy śmy zdrajcy!  
 Człek człowiekowi jest równy —  
 ja zwę się Judasz, i tyś jesteś Judaszem,  
 wszyscy my, bracie, Judasze —  
 weź przyjaciela w dom — — —*

*Nalej-że mi, karczmareczko,  
 mocno przepalonej,  
 a ty, bratku, graj wesoło,  
 gach u twojej żony —  
 ponoć przyjaciel twój,  
 czy brat — — —*

*Pomóż-że zdjąć mi to ciernie — — —  
 Panie! może mi jesteś krzyw,  
 iżem Cię takiej pozbawił ozdoby?  
 Masz przecie jasny krążek wokół skroni,  
 niech mnie przynajmniej pozostało Twoja —  
 tak, Panie Chryste! — cierniowa korona!  
 Tylko dla czego te kolce  
 takie są wielkie?  
 Czemu ten splot taki długi,  
 że siedemkrotnie głowę mi opasał  
 i jeszcze mi się pod te nogi ściele,  
 ach! i za każdym wbija mi się krokiem  
 w me stopy?..*

*Mówisz, żem rudy? gust ci zmienię  
 błyszczącą kicsą złota —*

*tylko niech będzie ochota! — —  
 Zdradziła brata — —  
 Zdradziła męża — —  
 nie powiedziała,  
 że mam tę krwawą na szyi  
 prege wiśielca,  
 tylko siwe przymruzyła  
 oczyta,  
 a dziś żał jej, że jej suknia  
 pomyięta...*

*Wierz, życie marnie! nie żałuj!  
 Dam ci swój stryczek, po co masz po świecie,  
 biedna niewiasto, rozwłóczyć swą hanibę!  
 Nie! zginimy razem — naprzód ty, a potem —  
 mam tu w zanadrzu kropelkę, wystarczy,  
 wprzód ty, dziewczyno, a potem — — —*

*Czemu mnie ścigasz?  
 Gdzieś twoja wielka, uwielbiana miłość?  
 Gdzieś Twoja litość?  
 I czem Twe słowo, któreś rzucił z krzyża  
 konająccemu lotrowi?  
 Wygnal mnie w śnieżną pustynię — —  
 jakaś nieziemska szaruga!  
 wicher mi garbi plecy,  
 że prawie ziemi dotykam tą brodą!  
 Ha! na czworakach,  
 jak zwierze! — —  
 I tyś jest zwierzem, i ja jestem zwierzem — —  
 wszyscy my, bracie, zwierzęta!  
 Co? może Jemu urągać będziemy  
 za tę naturę zwierzęcą?  
 Hej! Panie Chryste!*

*ja i ten brat mój — — —  
 Po piersi zapadam w śnieg!  
 Coraz to większe zaspy!  
 Ława mi siega po szyję —  
 dlawi mnie! dusi!.. a! gine — !  
 Zelzyj, o Panie, zelzyj!..  
 Dloni mi podajesz, o Chryste?!*  
*Nie chcę! nie chcę!  
 Nie stój nadę mną, ach! z temi oczyma,  
 które widziałem dawno — dawno — dawno —  
 na Weroniki chuście — — —  
 Nikt Cię nie prosił, abyś mnie załował —  
 sam się wewlokę na ten stromy szczyt,  
 na turnię lodową.  
 tam Twoje zaspy nie sięgną!..*

*Jakaż to przepaść zawrotna!..  
 A tam, z tej głębi mgieł —  
 cóż to się snuje!..  
 Cóż to tak idzie na mnie?  
 Boże, dziecięta idą szlakiem śniegów,  
 bielutkie mają giezłeczkę,  
 w ręku lilije,  
 a naokoło ich skroni  
 kregi jasności,  
 rozświetlającej ten ponury świat.  
 Idą —  
 śpiewają —  
 cóż one śpiewać mogą?  
 Cicho!..  
 Czemu wy na mnie idziecie?  
 wy, białe, niewinne duchy! — —  
 Jam go w ranną wiodła zorzę,  
 by jaśniał jak ona — ...*

*Pochłonь mnie, ciemna przepaści!  
Lub wy przepadnijcie,  
wy, niewiniątka!..*

*Sza!  
Ktoś mnie potrącił w ramię!  
To kamień w przepaść spadł!..  
Sza! to ta gałąz oliwna,  
na której wisi mój stryczek!  
To liść jej się ruszył!..  
Któzby się trwożył  
szelestu śmierci,  
która mu gryzie wynędzniały duszę?  
Któzby się lękał kamicnia,  
spadającego w czarną, głuchą przepaść!?*



*Przyjacielu! przyjacielu!  
Pomóż zdejmować mi ciernie!*

*Jakaś nieziemska szaruga  
na świecie —  
weź przyjaciela w dom —  
dobytku swego nie chowaj  
pod klucz!  
Bogaty jestem — trzydzięści  
mam — widzisz — w kieszeni srebrników!*

*Nie podnoś na mnie tej ręki —  
boję się — boję —  
sambyś się splamił,  
gdybyś mi wyciął policzek!  
Nie pierwszy ja zdrajca,  
i nie ostatni,  
i nie jedyny!..  
Kain maczugę wziął, by zabić Abla,  
a mem narzędziem morderczem*

*ten przyjacielski całunek!  
 Jakaś różnica?..  
 jedno i drugie zabija!  
 Jestem złodziejem i tchórzem —  
 aleć nie pierwszym,  
 i nie ostatnim,  
 i nie jedynym...  
 Zabij mnie! zabij!  
 tylko tak nie gardz mną!*

*Nie! Ślepiec jestem! po omacku schodzę  
 z Pańskiej Golgoty, csepiając się ręką  
 zbrojnych pachołków, co Mu twarz opluli,  
 ale to czuję, że nie zar urągan  
 aż do obłędu mnie piecze —  
 tylko bezbrzesny, Chrystusowy ból!  
 Tylko przymknięte powieki,  
 na które patrzyć się muszę  
 na Weroniki chuście  
 tyle, ach! tyle lat!..  
 Tylko te smutne ęrenice,  
 gubiące się w glebi  
 mojej i waszej niedoli...*



Jan Kasprowicz.

## Czarne płomienie.



### IDYLLA.

Kochał się obłok w topoli.

Topola rosła samotna, przed domem z zamkniętymi oknami, u krawędzi zachwaszczonego trawnika, pełnego fiołkowych dzwonków i rudego szczawiu. — Była jak wieża gotycka wysoka, prosta jak słup dymu w dni jasne i bezwietrzne, — cała zielona, bez jednej gałęzi suchej, bez jednej rany w korze. Miała liście migotliwe, jasne w maju i ciemniejsze latem. Śpiewała szumem w chmurne noce przed burzą i gardłami ptaków o świcie. Kochały ją szczególnie motyle czerwone i białe: w gorące popołudnia letnie polatywały chmuramiokoła, jak wkrąż filaru — i siadały, zmęczone, na mgnienie, w jej liściach.

Topola patrzała daleko naokół w marzeniu strzelistem i bezświatkiem.

Prawie codziennie, w skwarne popołudnia letnie, gdy niebo się pali ogniem granatowym, podnosił się z za ziemi

wielki, srebrny obłok. — Topola widziała go z daleka, jak wzbijał się z głębiną nad linię widnokręgu — i dreszczem powitalnym migotały jej listki misterne. Obłok podnosił się zwolna nad węzłem rzeki, nad szeregiem chat, tonących w słonecznikach i jarzębinie, nad płotami, pełnemi powoju — i stawał nieruchomy, witając topolę błyskiem posęennej radości.

— Bywaj mi topolo — moja topolo śliczna! Szukalem po całym świecie takiej drugiej — i wracam, boś jedna od samej siebie piękniejsza. — Od wczoraj urosłaś jeszczе. Czego chcesz w niebie, że się do niego tak wyciągasz?

— Ogród samotny, dom pusty — wyglądam na świat szeroki — patrzę na dymy wiejskie, na łąnie pasące się w zbożu, w mrok boru...

— O topolo, drzewo zielone, próżno w góre lecisz gałęziami, nie rozweseli cię świat nizinny. Zapaściłaś korenie w smutnej ziemi — i w niej zostaniesz. Trzeba ci smukłe nogi wyrwać z gruntu — trzeba liście rozpuścić jak pióra, lecieć ze mną...

— O srebrny obłoku, gdybyś wiedział, jak mocno mnie trzyma ziemia. Ma wielką, czarną rękę — żywi mnie nią i dlawi. Gdybym się wyrwać chciała — musiałabym umrzeć —

— Czemu się lękasz śmierci? Patrz na mnie. — Ja codziń ginę i codziń się odradzam. Każdy wiatr rwie mnie na strzępy i każde słońce mnie gromadzi. Rozpraszam się i skupiam, jestem wciąż nowy — a ten sam, i ty mnie nawet poznajesz.

— Jakie cię poznać nie mam, obłoku srebrny, jakże nie mam poznać twojej dziwnej tajemniczej twarzy i twoego smutku?

Odkąd pamiętam, widzę cię codziń o zachodzie, jak idziesz naprzeciw słońca — odkąd pamiętam, drzę codzien-

nie, gdy krwawo-złoty, posepny, świecisz w ciemnościach  
po słońca zachodzie.

— I czemu drżysz, topola moja śliczna, gdy krwawo-złoty, posepny, świecę ci słońcem w ciemnościach?  
gdy słońcem chcę być dla ciebie?

— Bo przyjdzie noc, obłoku srebrny, posepny —  
przyjdzie noc burzy — gdy wyślesz piorun swój po mnie —  
gdy wiatr twój stopy me wyrwie z ziemi, i liście rozpuści  
jak pióra — i porwie za tobą w świat.

DWIE MOCE.

Wyszłam po burzy do sadu, zapadał zmierzch, płakały rzęsto gałęzie.

Czego płaczecie, o zielone liście — czego płaczecie nademną drzewa sadu?

„Że wyje dotąd burza w nędznej twojej piersi, że napoila ulewa ziemię — lecz niezgaszona płonie w tobie żądza.“  
Przeszła burza, o drzewo zielone — wicher mojej woli odpędził chmurę moją — i piorun mój. Odpędzony na zawsze ten, którego na wieki pożądam — jak pies odpędzony ode drzwi moich.

„Jako posępna ulica leśna jest twoja dusza bez niego — i jako martwy kamień wapienny. I nie rozświeci się już słonecznie — aż go zobaczysz, — i jako „wapno“ surowe w deszczu — nie buchnie ogniem, aż wróci.“

O płaczcie, płaczcie, płaczcie zielone drzewa sadu, płacz wilgotny, wonny zmierzchu po wieczornej burzy, strzą-

saj łzy czyste na moją boleść. Wąż pożądań uczepił się mych piersi i lwica szalu targa me wnętrzności i żadza złego pożera mnie. O zmierzchu! o drzewa!

Wy, które jak ja znacie tęsknoty na śmierć skazane, — wy, których stopy biedz nie mogą za pożądaniem.

Jak dębowy korzeń tysiącletni silna jest moja wola — ; jak dębowy korzeń ziemię — tak objęła swe przeznaczenie — i żadna moc jej nie wzruszy.

„Cudowne jest pożądanie twoje — gorącym wichrem targa konary dębu i upaja je.“

Wiekuiste jest pożądanie moje, zwarło się z moją wolą, jak wąż-dusiciel z dębem, — i targa nią. I nie rozluźni swoich strasznych splotów — i nie pęknie pierń dębowy.

Jak wola moja potężne moje pożądanie, niezwalczone nikczemną pięknością swoją i wieczne wieczną wzgardą mojej woli.

Że iść nie mogę za niem — kocham je, i że je skazałam na śmierć — umrzeć nie może, a szaleje w konarach mojej woli i targa nią aż w jej korzeniach.

I że na nic się nie zda jego płomień — kocham je. Kocham wąż u mych piersi i lwicę u wnętrzności moich — Płaczcie nade mną, o zielone drzewa, że pragnę aż do śmierci — i aż do śmierci gardzę.

## MIŁOŚĆ.

Kocham pierwszy raz — choć tyle, ach, tyle pocałunków spaliło mi usta. Kocham najpiękniejszego syna ziemi, przepyszne zwierzę ludzkie ze świecącemi oczyma i duszą śpiącą — Kocham ohydnie i cudownie, kocham i nie-nawidzę, pragnę i pogardzam; zabijam się tą żądzą i wólam jego śmierci. Umrę, jeżeli on żyć będzie, — a gdy umrzesz — niema dla mnie życia. — Kocham bezwstydnie, bezwzajemnie — i po to tylko, by kochał i zginął.

Ty o tem wiesz, cudowny, głupi zwierzu — wiesz i nie wiesz — bo mózg twój wspiera się na twem drgającym ciele jak kretowisko na wulkanie. — Czujesz ten przerażający we mnie płomień — i dla tego biegnesz weń fatalnie, jak rozhukany koń w płonący dom. Lecz twoja dusza, tępsha niż twe przepyszne, twe mądre, twe zwiąciskie ciało, — nie zdobędzie się nigdy na pewność, że jesteś kochany — kochany przeze mnie, — która cię odpy-

cham, która cię szyderstwem smagam — i policzkuję ręką — i znieważam każdem spojrzeniem.

O nieopisany uroku opalonej twarzy — o słodka grozo purpurowych ust i oczu stalowych! Zamykam na całe dni powieki, by widzieć was, by wami się upajać. Uciekam w jaskini ze złotym swoim cielcem i boską cześć oddaję bałwanowi. A gdy wychodzę na światło, wzgardą i gniewem w proch skruszywszy bożka, — o! ta radość władania nim i sobą! — Żelazną ręką dławię zachwyt i pragnienie, plwam na cudne oczy, uragam piersi dyszącej — smagam twarz jedyną — jedyną — napawam się jej bladością i rumieńcem, jej upokorzeniem i szalem...

Chcę cię smagać, smagać, smagać, az dosmagam się w tobie tego bezwzględnego bólu, który ducha budzi nawet w zwierzęciu. Chcę dokatować się w tobie jękiu z najgłębszych otchłani, z tej przepaści nędzy, gdzie się chroni dusza zadowolonych i sytych. Chcę zbudzić w tobie ducha — o ty, który mi objawiłeś ciało, — zbudzić ducha i straszną jego mękę i jego posłuszeństwo mej woli — która jest twojem przeznaczeniem.

Czysta byłam przed tobą, nietknięta przerażającą mocą kochania — tej okropnej, brutalnej miłości, która gardzi i wyje pożdaniem. — Jak płaty wiosennego kwiecia padały na mnie tamte kochania. — Nawiał je wiatr — i wiatr ode mnie odgonił. — Ale ty!

Szarpnęłaś mnie cynicznem wyznaniem — i nie zabiliłam cię. Pod memi oczyma tarzałeś się w grzechu — i nie zabiliłam cię. Padłeś mi do nóg wstydu pełen i szaleństwa — i nie zabiliłam cię.

Tylko od tych obrazów rozpaliła się moja krew ogniem

nieczystym — piekielnym, wiecznym pożarem zakazanej żądzy — i umieram. I umrę, jeżeli ty nie padniesz z mej ręki.

Pokalałeś mnie oczyma swemi — i musisz zginąć. Pokalałeś mnie pałcem bluźnierstwem słów — i musisz zginąć. — Pokalałeś mnie zniewagą dotknięcia — i niema tortury, której nie wymyślę dla ciebie. Niema zemsty, zdolnej wyczerpać moją żądzę nienawistną. Niema konania dość długiego, by okupiło konanie mego ducha w szale tego pożądania, w otruciu żądzą ciebie.

I to, że skrzydło ptaka niebieskiego nie zakryło nigdy naszych głów. Że nie poznaly dusze nasze ani drgnienia wieczności wspólnej; że nie pachniały nam zboża w słońcu i nie zaszumiał nad nami las i nie otoczyły ciszą łąki wieczornemi mgłami dymiące, — że nic prócz brudu i nędzy miasta nie było wokoło nas. Że wśród brzodty, jak w pustynnym kraju naftowe źródła, buchały lawy naszych żadz — zwierzęcych żadz —

nie zazna dusza moja nad tobą zmiłowania, — nie rozluźni zaciętych szponów dreszcz litości, — nie zamroczy pałających oczu żal — —

Umrzyj, ty, którego istnienie zabija moje, — a nie jest warte jednej jego chwili. — Bezdzusny demonie namiętności, grzechu mojego ducha, śmiertelnie piękny kwiecie moich żadz — zgiń!.. o, zechciej zginąć — przesłodką śmierć ci zgotuję, i nie tknie mnie już nigdy kochanie. — Nie pragnie miłość moja szczęścia z tobą, ani rozkoszy, ani pojednania. Silna jak śmierć jest miłość moja — okrutna jak śmierć. O daj mi się! o zgiń!

Idziesz ku mnie — idziesz ku swej zgubie — po nochach zrywam się szalem radości — bo czuję to dążenie

twej ciemnej, twej zwierzęcej duszy. — Uchem dzikiego indyanina łowię tętent jej bawoli, jej rzenie w wietrze. Padłam na ziemię — słucham głuchego bicia kopyt niespokojnych — i nigdy rajska muzyka harmonii nie napoila mnie taką rozkoszą. Nigdy uścisk najszaleszny nie zatarwał mną tak okropnie, jak to drżenie ziemi pod tobą, gdy przelatujesz koło mnie — nie widząc mnie — w pogoni za mną. Bo już idzie — bo już idzie chwila — gdy staniesz przede mną — spieniony — a ja cisnę się na twój kark! za grzywę chwycę — i poniosę, poniosę — na śmierć poniosę — hurra!

SUSZA.

Był wieczór gorący, duszny, z niebem opajęczonem, bez gwiazd. Na wschodzie, w milczącej chmurze błyskały zielone błyskawice.

Zbudzili się, gdy zaszło płomieniste słońce, — po dniu przespanym w popiele.

Wyszli do sadu, by znaleźć wiatr, i chłód, i rosę — lecz noc wisiała zwiędłemi liśćmi na drzewach.

Zeszli nad wyschłe jezioro, gdzie w zapylonych tatarakach gasły płomyki świetlaków — padli na trawę, wyciągnęli się krzyżem na ziemi, szukając rosy.

A ziemia była gorąca i sucha, trawa zamieniła się w siano, — pajęki i mrówki jadowite, szukając rosy, wypełzały im na ręce i twarze —

## CZEMU.

Wyrwałam z włosów rózę, nim uwiedła, cisnęłam ją w leśne ognisko. Nim uwiednie, niech się spali.

Piłam wino z rzeźbionego kielicha, ogniste wino życia, aż męty w niem ujrzałam. Cisnęłam o głąz niedopitą czarę — nie zazna wstrętu serce odważne i mądre, i nikt pić nie ma z czarą poświęcanej.

Miałam serce drapieżne i szalem kochania rwało mi piers na strzepy. I przyszła cisza — bicie powolne... Wzięłam serce oburącz, oderwałam je od żył purpurowych — cisnęłam w przepaść. Żeby mi w piersi nie gniło spokojnie serce bezsilne.

O ty, który mi byłeś różą we włosach, świętym puharem, sercem drapieżnym, szalonem — czemu nie mogę cię zniszczyć jak rózę, jak czarę, jak serce! — Rozbić o skalę, cisnąć w otchłanie, spalić na stosie żywicznym — i ledz na twym popiele skargą spełnionych przeznaczeń...

KŁĘSKA.

Padł chrząszcz jadowity na kwiecie moich wspomnień,  
wgryzł się w samo serce kwiatu purpurowe:  
Żeś nie był szczęśliwy w godzinie mego szczęścia, że ból  
dręczył twe serce w dniu mojej wielkiej radości, żem  
była sama, gdy nas było dwoje.  
O czemu usłyszało ucho moje tę skargę? O czemu padła  
rdza na dojrzewające kłosy moich wspomnień!  
Gdy przeszła wiosna śpiewna i zadumana — i lato bolesne  
nadmiarem pożądania,  
Gdy zaszumiał łan szczęścia złotą słomą i wzywał kosy,  
by nie zniszczyć marnie,  
Wyszłam żniwiarka odważna ze sierpem, wyszłam żąc  
jęczmieni pełen chrzęstu, póki czas,  
Złote kiście garściami nosić do spichrza, gdzie dusza sa-  
motnie tępkní podczas zimy.  
Wyszłam żniwiarka z sierpem ostrym, wyszłam na doj-  
rzałe pole swej miłości.

O czemu padła rdza na złoty łan — o czemu padł twój  
jęk w pieśń mej pamięci!  
Zadrżała dusza moja na widok rdzy, sierp wypadł z ręki  
zdrętwiałej.

Przyjdź, suszo przedjesienna, wypal snopy mego szczęścia.  
Spadnijcie deszcze, niechaj porosną. Zbierać nie będę  
dję kłosów pordzewiałych, wspominać nie chcę swoich  
dni szczęśliwych — twój jęk! twój jęk!

## CZUWANIE.

Czuwam w ciemnościach jak sowa w drzewie, w ciemnościach drzewa zielonego majem.  
Nie wyjdzie w złoto dnia więzień pamięci, aż się dokona przemiana i chrzest.  
Leży w suchych liściach wąż chory, czeka na łuskę nową, by wyjść na słońce.  
Na barłogu wspomnień leży duch zbłąkany, tarza się omdlający w starej skorupie życia.  
O, jakiż chory duch mój-wspomnieniami! O jak mu ciężko pod brzemieniem lat!  
Kamienne brzemię tego, co minęło, nieznośne brzemię szczęścia i klęsk, których już niema.  
A ciężar zmarłego szczęścia większy od brzemiienia klęsk — albowiem jego miano: młodość.  
O, jakaś ty ciężka pamięci lat młodych, minionych — o jak ciężko i duszno reszcie młodości pod tobą!

Przepadnij we mnie, wspomnienie minionego szczęścia,  
patrz, oto uginam się pod tobą i tchnienie grobu  
mnie owiewa.

Przyjdź, deszczu wiosenny, rzęsisty, ty, co z przeszłorocz-  
nych kurzów i żdżbeł zmywasz ziemię. Zmyj ze mnie  
pamięć szczęścia, które było — ochrzcij mnie na  
szczęście, które jest.

**ŻAŁOŚĆ.**

O tęsknoto, czemu mnie pożerasz? Dokąd wyciagasz me  
ramiona drżące?

Nieprzebrana miłość lka w twoim płaczu. Kogo kochasz?  
za czem wołasz? kto cię odumarał — kto cię odszedł  
w dal?

Jakich kwiatów zapach jątrzy twoją rozpacz? Jaka pieśń  
tajemna szarpie twe struny żałosne?

Gdzie byłaś dotąd, żem wołała cię po polach i lasach —  
a nie odpowiadałaś mi?

Zkąd przybywasz, jak wśliznęłaś się do mego domu, żem  
się zbudziła w twojem objęciu?

Był dzień promienny i tysiąc kwiatów i twarzy i szat ja-  
skrawych. Był gwar i śpiew i ton. I przeszedł dzień.

Nastała noc i przyszłaś do mnie. Wkradłaś się w moje  
loże i, gdy sen mnie zmorzył, spadłaś na mnie.

Gdy sen mnie zmorzył, pijaną wiatrem, tańcem, śpiewem...

## TAJEMNICA.

Nie zdradzę tajemnicy swojej, nie powiem jej nikomu.  
Tego, o czem myślę bezustanku, czego są pełne moje dni  
i noce.

Zali jest dźwiękiem dla moich uszu, albo obrazem przed  
oczyma zamkniętymi, albo treścią myśli niewidzial-  
nych — nie powiem tego.

Lub czy jest płaczem samotnym, albo rozkoszą uśmiechu  
w ciemnościach, albo mądrością.

Złudzeniem czy rozczarowaniem, pragnieniem czy zamia-  
rem dojrzewającym; kochaniem czy lekarstwem na  
kochanie; lub nienawiścią.

Nie zdradzę tajemnicy swojej, nie powiem, czyli przez nią  
żyję, czyli od niej umieram.

Położę się w trawie, między jaskry i zioła dzikie, by roz-  
myślać o tajemnicy swojej; a niebo zakryje mi twarz  
błękitem.

\* \* \*

W nieskończoności nocy zimowych leżałem, objęty mrokiem, a rozpacz żarła mi serce.

Zielonym gajem, łąką majową, falą słoneczną, brzegami jezior błękitnych — szedłem, sierota bosy — świat drżał za szybą mych łez.

Na stosy suchych liści jesiennych, gdy kruki krakały w świszących chmurach, padałem piersią na ziemię, na ziemię chłodną, czarną.

I przyszedł dzień. Wstałem wysoki i dumny, a słońce rzuciło mi na ramiona płaszcz purpurowy, na głowę koronę blasków, pod stopy wiezie promieni.

Poszedłem czarny w promiennej chwale. Poszedłem w świat.

## SKAŁA.

Zwaliła się skała w poprzek mej drogi, runęła ogromna,  
rzucona ręką nienawistnych duchów, zamknęła prze-  
de mną świat.

Po bokach zawrotne przepaście, za mną przebyta pusty-  
nia, spiekła od słońca, żółta i naga. Cwałuje po niej,  
w pościgu za mną, śmierć na garbatym wielblądzie.  
Cwałuje wichrem, w pylnym tumanie, śmierć.

Nie dam się śmierci, nie dam się przepaściom, — uderzę  
w skałę toporem swej woli, skruszę ją w proch jak  
piorun — zerwę się z ziemi ptakiem — i przeleczę.

Żleś łup swój wybrał, wielblądzi jeźdźcze, chyże mam no-  
gi, niejedną wzięły przeszkodę; mocną mam głowę —  
jak granat skalę przewierci.

Albo za tobą na wielbląda skoczę, uzdę z twej garści wyr-  
wę i przeleczę — z śmiercią u boku, z śmiercią mar-  
twą strachem, przeleci skały, piaski i przepaście —  
życie radosne, młode, bohaterskie.

PEŁNAM SMUTKU,

o zmierzchu, gdy wczesny księżyc zimowy wgląda do pu-  
stej komnaty — i u stóp moich, na ziemi, otwiera  
drzwi blade, jakby do lochów tajemnych,  
gdy w głuchej, mrocznej komnacie pachną zwiędłych kwia-  
tów szare pąki — i za oknem, w mroźnym tchu wi-  
chury, drzewa śnieg strącą z drżących ramion,  
gdy nikt nie puka do zapomnianych drzwi, gdy tylko śpiew  
z za ściany ze mną płacze — —  
Pyta śpiew z za ściany, rozpłakany, pyta śpiew żałosny  
ze mną — czemu?  
Czemu niema dziś, co było wczora? Czemu płynie, pły-  
nie z życiem mojem czas?  
Czemu rzucić się nie mogę wpław w fale czasu, w nie-  
wstrzymane fale,  
i popłynąć w górę prądu — tam, gdzie się został trup za-  
bitej duszy —

## MĄDROŚĆ.

Kochaj i szalej, duchu młody, — daj się swemu sercu pożerać.

Moc wielka w szaleństwie jest i w kochaniu. I rozkosz. Ból wielki w szaleństwie jest i w kochaniu. A w bólu tym rokosz i moc.

Noś jarzmo miłości pokornej, chodź we włosienicy cierpienia. Noś ją na sobie we dnie i w nocy.

Aż krwią się zbroczy twe ciało, aż padniesz na ziemię słaby i bliski śmierci.

Otworzy się niebo konającemu, zjawi się słabemu Pan w potędze swojej.

I rzecze Pan: iżeś kochał i cierpiał — wezmę cię do chwaly swojej i nazwę synem. Jako ja, potężny będziesz, a światy klękną przed tobą.

I wstaniesz potężny z niemocy swojej. Wstaniesz nieśmiertelny z łażu swego konania.

Wywyższon ponad wszystko, kto kochał i cierpiał najwięcej, a nie liczył się z sercem swojem i stratami.

Potężny po wszystkie dni swoje, kogo łamały miłość i cierpieńie — kto konał z bólu, a nie odpędził śmierci.

Wielki i tajemniczy i po wszystkie czasy żywego — kto w miłości i cierpieniu żył otchłaniami swej duszy.

Albowiem znalazł skarb niewyczerpany i życie nim będzie po skończeniu wieków.

Kochaj i szalej, duchu młody, i daj się życiu pożerać.

Nie żył, kto nie zaznał konania i męczarni — nie poznał tajemnic otchłani swojej.

Słaby i po wsze czasy nikczemny, kogo nie złamały miłość i cierpieńie — kto lękął się ich, odpędzał je od siebie — jako glista zienna wywijał się ich szponom.

Śmiertelny, kto w twarz nie spojrzał śmierci, kto przed nią uciekał między liche rozkosze i spokój.

Albowiem nie poznał tajemnicy swojej i niewolnikiem jest swego przerżenia.

Kochaj i z bólu szalej, duchu młody, — a twoim będzie świat.

Albowiem rośnie skarb twój stratami twemi — i rośnie moc twoja konaniem z bolesći.

I przetrwa skarb twój czasy strat twoich. Żyć będzie moc twoja, gdy pomrą miłość i cierpieńie, jako liście i kwiaty pod zimą.

Przetrwa moc tajemna pożary młodości i zimny popiół wystudzenia.

A im więcej było płomienia — tem więcej będzie popiołu.  
I mocy więcej.  
Przejdą sny twe cudowne, zginą osłupieniem bolesnem  
w chłodzie pustki i śmierci.  
Lecz trwać będzie moc, która wyrasta z konań bolesnych  
i wielkiego kochania...



Marya Komornicka.

Z  
U  
T  
W  
O  
R  
Ó  
W  
J  
E  
R  
Z  
E  
G  
O  
R  
O  
D  
E  
N  
B  
A  
C  
H  
A



Z CYKLU: „KRÓLESTWO MILCZENIA.“

*Komnaty, choć pozornie gniazdem są milczenia,  
Stojąc w sprzętów bezwładnych ozdobie niczywej,  
Mają duszę i życie w sobie bez wątpienia,  
A nawet głos odporny na zewnętrzne wpływy,  
Który myśl ich rozkrąża przytłumionem echem.*

*Jedne patrzą z wysoka, w nich radość i zbytek;  
Inne — jak rozmownice z wyrzeczeń uśmiechem,  
Co ślubowały białość w klasztorze Wizytek.  
Inne jeszcze — zdradzone opłakują serce  
I roszą tą ulotnią cacka i kobierce.*

*Komnata bywa czasem dobrą niby siostrą,  
To znowu nienawistnie przyjmuje nas, ostro,*

*Gdy zmąćć treść jej marzeń, co śni w lustrze naga,  
Jak marzenie Ofelii w lustrze wód jeziora.*

*Dziwne życie ich ciągle zbogaca się, wzmagając  
Wspomnieniem; stare bowiem portrety z wieczora  
Ze swych czół Ofelicznych, zdobnych w zwiedłe kwiaty,  
W lustra omdlatym ruchem ronią wspomnień liście,  
Wspomnieni różowszych prawie, niż były przed laty.*

*Komnaty marzeń pełne!.. One żyją iście  
Snem piękniejszym, niż bywa to życie okolne;  
One rzecz nikłą w Symbol przecobrażać zdolne:  
Każda firanka biała — to dla nich dziewczyna,  
Która szatę z muślinu w oknie rozpościera  
I komunię przyjmuje w postaci księżyca;  
A żyrandol — to dusza jest kryształu szczerą,  
Co przy dotknięciu kurczy swych gałązek szkliwie.  
Mimoza, co szmer nawet odczuwa dotkliwie.*

*Komnaty marzeń pełne!.. One śnią na jawie:  
Im zda się, że fotele zebrane w półkole  
To grono starców drżących, w zgarbionej postawie,  
Co schorzali, zsiębnięci zasiedli przy stole.*

(ŻYCIE KOMNAT, I.)

*Błogość! — Komnata jest mi odludną ostoją...  
Marzenie me znużone — miast pod wiatru wianie  
Wędąc żagle — w lustrze przystani odnalazło swoją.  
Szlak mu przepadł gwiaździsty przez modre otchłanie,  
I wycieczki ku wyspom nie dla niego wcale;  
Ono śpi na dnie lustra, jak w martwym kanale...  
Pragnąć-że, by mi burza na falę zajadła  
Gnała ducha, co kotew zapuścił w zwierciadło?*

(ŻYCIE KOMNAT, III.)

*Elegię nucą codzieni wodotrysków chory;  
Niedostępna pociechom jest woda w fontannie,  
Gdyż, miotana tęsknicą, wzbija się do góry  
I pod ciężarem własnym spada nieustannie.*

*O smutku wodotrysków! — Wre, buchając, woda;  
Lecz nikt mąk ich nie pojmie, nic sił im nie doda,  
Gdy rwał ruchem lanc gibkich, wiecznie żądne nieba.  
Niestety! nadaremne są te wzloty chyże!  
Symbol ducha, co leci na słoneczne wyże,  
A na wiatr mu swe łkania wciąż rozpylać trzeba.  
Tak rozmach fontann mdleje, we łzy rozbryzgany;  
I czuć, jak — niby serce wygnanica — w ich łonie  
Płaczą serca ukryte pod koronką piany.*

*Wszelki miraż w basenie ich pierzcha i tonic,  
Kiedy w mory się woda rozbiega drgająca.*

*Ze zbytniej żądzy niebios, tracą niebo swoje!*

*Lecz gdy noc zetrze barwy, a przez chmur podwoje  
Zwolna bladie wypłynie oblicze księcia,  
Ku jego się litości fontanny zwracają.  
I wtedy, całe w dreszczach, z rozchwaniami pióry,  
Chwilami — niby z procy — miotają w lazury  
Migocących srebrzyście gołębic swych zgrają!*

*Niebo w dali jest jako lagun bezgranicze...*

*Smutku fontann! — Nie wzbić się ich grzywaczom wecale  
Do tych wyżni, by dziobać jasności opale  
I spijać z ust księżyca boskości słodycze!*

(SERCE WÓD, VIII.)

*Woda się dla cierpiących w szarytkę przemienia,  
Której ludzkie wystarczyć nie mogły uciechy  
I która postać wdzięczną i miłe uśmiechy  
Skrywa mniszym welonem i habitem cienia.  
Jej wstęp do wrzawy życia, jej miłość spokoju  
Są takie zaraźliwe, że niejeden, w znoju,  
Zszedł za nią w głęb' wód zbożną, w kaplicę pomroki,  
Gdzie nuci ton spokojna w gestwie trzcin wysokiej,  
Których zielone głucho wtórzą jej organy.*

*Ona śpiewa: „Schronienie zacisne w mej głębi  
Dla wszystkich, którym serca zniczecenie gnębi...“  
Ach, jakże nęci głos ten, boski, rozśpiewany! —  
Dla gorączek trawiących to chłód miękkiej leży;  
Kogo zmagnetyzuje swem wezwaniem fala,  
Ten w nią wchodzi, jak chory w zacisze szpitala;  
Później kona tam; woda w prąd go bierze świezy  
I niby w cienkie chusty otula... Zaiste!  
Ona śmiercią szczęśliwą dla niego się stała:  
Oto w wieczór dokola uspionego ciała  
Gwiazd świeczniki ton czarna zapala rzesiste...*

(SERCE WÓD, XI.)

*Październik się kamieni rozplakał o świecie.*

*W dni szare, dni cierpieniem przesiąkłe obficie,  
Wichura przez lat wiele kolująca, mściwa,  
Tęsknotą stare domy wstrząsa i podrywa.*

*Gmachy sędziwe, mroczne, o salach, krużgankach...  
Czas pobrużdził im czola stopy ciężkiej śpiżem,  
I tknięta dreszczem wspomnieni, smutku paraliżem,  
Ich dusza się w pożółkłych wstrzymała firankach.  
Mury mchem otulają swą ranę głęboką,  
Co broczy świeżą cegiel draśniętych posoką...  
Siedziby dawne: tam się dach zmurszały zgina,  
A odłamki dachówek, koralowych lisci,*

*Sypię się dookoła czarnego komina,  
Niby płatki z wiedzących bodziszkowych kisci.*

*Upadek domów! — Pustka! — Ruinā żałosna! —  
Ledwie kilka nimf z dawniej zostało gromady  
W kwieciu rzeźb, kiedy niegdyś tańczyła ich wiosna;  
Codzien brak jakicjś nowej uderza dryady.  
Smutny jest, jak rozłóżka, kres ich płasów taki,  
Bolesny niby schylek wesela lub żniwa...  
Faun jeszcze ze swej fletni — zda się — dźwięk dobywa,  
Lecz prawie nicobecne wkrąg już nimf orszaki.  
Długo, długo cierpiący, bicowane slotą,  
Dziś, racząc się na wety winnym gronem suchem,  
W ścian wnętrze się powoli zagłębiają oto  
Z zaledwie dostrzegalnym pożegnaniem ruchem.*

*Wszystko mija, umiera! — Głazy się spacyły;  
Bukiet rzeczbiony pada, rozbity na części,  
I w powietrzu echowem tak ponuro chrzęści,  
Jakby staczał się z wielkiej lat przeszłych mogiły.  
To opuszczenie straszne, to nieużywanie  
Życia — chwyla je z czasem i pcha ku zagładzie.  
— Los ten i drzewa stare na pował też kładzie.*

*Wicher obnaza ściany... jesień padła na nie!  
Twarz niczyja nie patrzy z po za ślepą szybą;  
Koniec!.. Bramy przestały śnić o słońcu złotem,  
A rozsypana zwietrzalych kamieni jest niby  
Gromadnym liści martwych, zmrożonych odlotem!*

*IV jakiemś mieście zamarłem, domostwa nad rzeką  
Na klęczkach w zimnej wodzie, i w modlach jak gdyby  
(Dewotek postać mają te stare sadyby),  
Syte smutku starości, żywot nędzny wleką;  
Do znoszenia zaś strąpien krępią ducha w sobie,  
Przesuwając kurantów zbożnie-gwarną mowę,  
Niby w dużym różaniku ziarna metalowe.*

*Domy stare, po jakiejś rocznicy w żałobie,  
Smutne i pełne wspomnień, z których wiele cięży.  
Przyjmują dziś już tylko ubogich i księży.  
Niegdyś, niegdyś, przed straszną twardych zim nawalą,  
Młodość, miłość — w ich okien śmiały się przecroczy,  
Jasnej jak oko, które śmierci nic widziało.*

*Lecz od czasu, gdy domostw zadumanych oczy  
Odczuły w szkliwie szyb swych, jak smętną koleją  
Giną godzin girlandy, twarzy młodych roje,  
Odtąd surowo, groźnie chłodem śmierci zieją...*

*(Domu, co po odejściu lat gorzko się żali,  
Oknami skazanemi są też oczy moje).  
Przeto czuję, jak z głębi tych połnocnych dali  
Wzrok bezawistnych oczu we mnie tkwi wlepiony.  
Oczu, co już się w życia nie zwracają strony,  
Lecz kierują spojrzenie ku stronie mogiły...*

*Oczy tych starych domów (oczy me im braćmi)  
Znikomem szczęściaiem ziemskaiem zdawna się znużyły.  
Lecz wzruszają tem bardziej, że śmierć wnet je zaćmi.  
Wzrok domów, co wnet mają w gruzy ledz pokotem!  
Świętokradztwo! Morderstwo motyką i młotem!  
Wszak starość tarcząby im powinna być trwałą  
I zdala od nich trzymać tak ohydne zbrodnie...  
Jednak wkrótce oskardy zagrążą się zgodnie  
W starych murach, tak świętych jako ludzkie ciało!*

(KRAJOBRAZY MIAST, IV.)

*W dzielnicy pobożnością świecącej zdalcka,  
Gdzie połać tylko schronieni i klasztorów drzemie,  
Domostwo postarzało i zapada w ziemię  
Pod pieczą Męki Bożej...*

*Chrystus krwią ocicka,  
Gwoździ kępę mu wrasta cierniowa korona  
W kędziorę; postać śniada, sina, wyniszczona,  
Jak gdyby ostrze włóczni, raniąc jego ciało,  
Żółcią i krew mu w szylach zabarwiło całą.  
Oczy mętne; na boku czarne piętno rany  
Jak wewnętrze róż spalone w orkanu powiewie...  
— Barbarzyńskie, ponure dzieło, gdzie skazany  
Na niciosanem wisi, sęków pełnem drzewie.*

*A wrażenie tej Męki odnawia się we mnie,  
Ilekroć wieczór spada krępową zasłoną;  
W dali bowiem, na niebie sposepniałem w ciemnie,  
Widać Noc, krewawym potem niby operloną...  
Tak, że wyrzec chcesz prawie: Noc ukrzyżowana! —  
Kazda gwiazda się wtwierca, wkształt srogiego twieka,  
W bezbronne ciało Nocy, i w pomrok — do rana —  
Z rozdarcia jej każdego blask promienny ścieka.  
Ach! co wieczór się wszczyna scena krzyżowania!  
Cierniem srebrnem wkrąg niebo opasują mroki,  
Nagle niewidnej włóczni pada cios głęboki,  
I raną w boku nieba księżyca się wyłania...*

(KRAJOBRAZY MIAST, XI.)

*Marzenia: lustra, kędy, pozbywszy się ciała,  
Stajem jak wniewbowzięci w odbiegłej przestrzeni;  
Marzenia: kądziel, z której dłoń nasza omdlała  
Snuje powoli pasma dymu i promieni,  
Babie lato, włos martwy i wichury wianie.  
Marzenia: w srebro stęgłychn snop lilij, gdy w krasie,  
Nocą mroczną, na czarnym szyb zaśni ekranie.  
Marzenia: w parku smutnym rozpęd na tarasie,  
Na duszy mej tarasie, gdy wieczór się mgławi,  
W świetle srebrnem księżyca rozpęd stada pawii,  
Wielkich, promiennych pawii, co, jak z ócz wachlarze,  
Rozwijają ogonów złote wirydarze.*

(Z NURTEM DUSZY, V.)

*Marzenia — klucze złote, by módz wynijsć z siebie  
I tu już stworzyć sobie inne życie, niebo,  
Gdzie duszy nic nie wiąże z realności glebą.  
Prócz tego, co jej drogie i co nią kolebie:  
Dzwonów roniących płatki gędzby swojej czarne  
W dusze, co się wydłuża w kanały milczenia,  
Łabędzi, jak ołtarze, strojnych w biel, ofiarne.  
Ach! już całe to życie we mnie się spromienia,  
Jakieś życie cudowne w krainie uroczej,  
Kiedy wszystkie dni równe weselnej niedzieli;  
Życie pełne ekstazy, kiedy nic nie wkroczy,  
Tylko marzenia krążą w szat muślinnych bieli...*

*W głosie tych marzeń błogich muta brzmi pieszcząca:  
Głos łabędzi, głos dzwonów, srebrny głos miesiąca  
Śpiewają jednym wspólnym upojeniem wyrazem,  
Który duszę podnieca i koi zarazem.  
Nieinaczej jak dusza, działa i przyroda:  
Dobiera szmery, dźwięki, ton jeden im poda  
I, kołysząc się z drżeniem gestej drzew kotary,  
Omywając swe rany przy upustów szumie,  
W owe głosy chóralne — rzeświące ból — umie  
Zespalać szelest liści i wód huczne gwary.*

(Z NURTEM DUSZY, VI.)

Z CYKLU: „ŻYCIE ZAMKNIĘTE.”

*W oczach nic się z ich dzieciów nie zatrze, nie pierzchnie,  
Wszystko, dając się sprawdzić, spływa na powierzchnię...*

*Są oczy, co mieć będą wzrok zawsze ubogi,  
Pragnęły bowiem szczerze wejść w klasztorne progi;  
Te kwitną, gdyś lubily storczyki i róże;  
Tamte nagi — widocznie szły przez winy duże:  
Jeszcze w nich kurtyzana pławi się kapiąca  
I rużem z lica zmytym wilgoć oka zmąca.  
W innych widać (zrodzonych przy martwym kanale)  
Łódź czarną, jakiej nie tknie żaden żeglarz wecale.  
— Łódź ta wgrążona w oczy, niby w lodowiska...*

*Ciąg bezkresny! — Znów życie! — Jutrzenka daleka! --*

*Niebo, co szafirowy czaprak w studniu ciska!  
Obłoki zagniezdzone w śrenicy człowieka!*

*Cała przeszłość każdego bywa w oczach jawną;  
One zdradzają wszystko, co ukryte zdawna:  
Śluby złamane; serca rozdarte niegodnie;  
Spojrzenie, z jakiem wonczas obmyślałeś zbrodnię;  
Wzrok dziewczyny, zamiarem kupczenia przeciętej,  
Gdy ją raz — choć na chwilę — kusiły dyamenty  
(Niejedna odda za nie kwitnące swe ciało —  
Lecz odtąd złą skarbnicą oko jej się stało).*

*W oczach trwa, co zabłysło tam na jedno mgnienie;  
Wszystko, krzepiąc, tężąc, zapuszczając korzenie:  
Porywy ducha, żądze, przełotnicze ozdoby;  
Dzwon ścichły — w ich wyrazie przeżył swą zagładę;  
Nawet w tych, co swej krasie i wceslu rade,  
Widać miłości dawne, jako wielkie groby. —*

(W OCZACH, III.)

*Jakieś światła!.. Odbicie - to gwiazd, czy blask lampy  
 Wydlusa w oczach świetlne — wkształt sceniczny — rampy?  
 Płomień - że to zewnętrzny? Skrzał - się tak gwałtownie  
 Na ognisku wewnętrznem pałające głownie?  
 Czy też latarnie z ulic, w ciągłym lśniąc migocie,  
 Co wieczór odbijają się w mrocznej śrenicy  
 I czynią jej ozdobne blasków dożywocie?*

*Zkąd jasność oczu? — Zkądse na dnie kadzielnicy  
 Zar ognisty? — Zkąd lawa w te flakony płynie?  
 Mrok - że drzew to, świetlakom otwarty jedynie?  
 Soczewki - teleskopu to szkliste, a może  
 Ekrany, kedy sunie gwiazd milcząca rzesza  
 I między szklami tęczę perłowca zawiesza? —  
 Matnia - to, gdzie ty, niebo, całe swe przestworze  
 Osadzasz? — Lub snadz okna to w sierot zakładsie,  
 Przed świata się badaniem kryjące zastoną  
 Z gazy, którą dziergały w arabeski szadsie? —*

*Lecz płomień just na tafle wkracza zaśniezioną;  
 Echem różowych ogní drzemiących szelesti  
 I głębiej, na dnie samem, w Domu Duszy błyska,  
 Gdzie wchodzią i wychodzą, i wokoło ogniska  
 Siadają Namętności o twarzy niewieściej.*

(W OCZACH, IX.)

*Artysta, który węglem rysował te Główy,  
Trocą barw podniósł wyraz w nich ostry cierpienia;  
Ich wargi — istne okna w klauzurze surowej —  
Szczelnie zwarte, iż rzekłbyś — wrzeciądze milczenia.  
Za to oczy, zwiększone otęczą kolistą,  
Zmodrzały ni to usta pod wodą przejrzystą, —  
Wołają, jakby jakieś Ofcie tonące.*

*Oczy strasznie rozwarte, obłykania gońce!  
Elzeneru to, czy też Eskurialu księźne,  
Których tęsknicy tutaj węglem utrwalono?  
Ofiary, pod szkła wierną leżące osłoną,  
Jako w stawie książęcym, ciche, niedosiężne.  
Oczy, co trwają, żyją w martwo-urodzonej*

*Twarzy... — Tak może zdobią perły i rubiny  
Królowym na wygnaniu zbyteczne korony.*

*Te twarze? — Uschłe lilie... Lecz słupkiem rośliny  
Jest oko: w niem przedłuża i wchłania się życie.  
Książyc żyje, gdyż takie ma oczy w orbicie...  
Ach! oczy, niegdyś pełne miesięcznej poświaty,  
Dziś stęgle, dają Główom tym szatu stygmaty! —  
Te oczy były martwe, a ożyły przecie,  
I mają w sobie niebo błękitne i kwiatki,  
Mają krajobraz zdjęty o zachodnicj porze  
I wszystko, co pojmały w ostatniej godzinie,  
I niech woda wchłonięta stokroć je opłynie,  
Miraży powiększonych spłukać z nich nie może.  
Oczy, gdzie zginala zielni i odblask przeszwięca,  
Oczy o gałce nagiej, która w centkach mierzchnie,  
Powracające, zda się, z pod wód na powierzchnię  
I mówiące, o czem tam duma topielica! —*

(W OCZACH, XL.)

*Oczy ślepców: przesmutne, rana blado-sina;  
Oczy żadne, bez treści; rozpuszczona cyna;  
Oczy ślepców: ogrody, gdzie padał śnieg życia;  
Oczy szklistsze, niż trupie. Ah, jakie ponure!  
Nagie; zda się, że widzisz alumna tonsure;  
Kanały, w których statków nie było odbicia;  
Pateny, gdzie nie przejrzy się nic: ni wotywa,  
Ni świece, ni dzieciaków śpiewających usta.  
Lampki nocne bez światła. Para baniek pusta.*

*Rodziły-ż się w tej ciemni? — Czy może w nie spływa  
Mrok ślepoty tak samo, jak wieczór, stopniowo?  
Lub może to zużycie? Toć tka wątek lity  
W tle czarnem lilię białą i różę ponsową,  
A później traci barwy w tkaninie zużytej.*

*Ach, jakie one smutne... Rozpaczy bezdenie!  
Rzekłbys: pieczęcie w głowę wciśnięte umarłq.*

*Te oczy, z których nigdy nie strzeli spojrzenie,  
To zwierciadło, gdzie srebro podlewą się starło;  
To basen bez fontanny, który w lód się ścina;  
To hostya, którą więzi szybek szklanych cela!..  
Oczy!.. Każdego dreszczem przejmie ich cembrzyna...  
Nieskończoności studnie kra cicha zaściela.*

*Sknerom podobne, chciwe, schowały me oczy  
 Złoto złego sboza i złoto warkoczy;  
 Ustron, gdzie mój duch tylko doznawał osłody;  
 Wskrzeszane wolą moją różane zachody;  
 Wreszcie stado łabędzi, co skrzydła rozpina  
 W poświatie księżyccowej, skrzydła w kształcie harfy,  
 Srebrną muzyką brzmiącej harfy Lohengrina! —*

*Kryje w oczach — oparów błękitnawe szarfy.  
 Mgły rzeczne, których srebrną strzepi deszcz opone,  
 I w tle ich gród i wieże, girlandą śpizową  
 Dębiąków na Anioł Pański co wieczór złaczone.  
 Chodzę, nosząc w żrenicach i kopułe ową,  
 Widzianą zmierzchem w drodze; noszę uroczyska,  
 Szczyty gór i dąbrowy, niebiosa i morze,  
 I kobiety przesmutne, by lilie w klasztorze;  
 Lecz te mi w głębie żrenic oddalenie wciska...  
 Mam w oczach nawet chrzcziny i białe wesela,  
 I more wód, co kanał poziomy zaściela.*

*Zmysłowych wspomnień raczej, niż duchowych, wątek,  
 Odbicia bowiem w oku — to treść mych pamiętek:  
 Refleksy lat dziecięcych, młodzieńczych podróży,  
 Mijających na zawsze chwil zarysy mgliste,  
 Przezytki czysto wzroczne, czyniące, zaiste,  
 Z oczu moich relikwiars z obrazami duży!*

(W OCZACH, XVII.)

*Jakże chory, w zadumie, życia precz odbiega,  
Które w innej postaci stawa mu przed okiem:  
Wszystko zwiędło i nagłym cofa się odskokiem...  
On patrzy na przedmioty już z wieczności brzega.*

*Wartało - ż kochać róże uczuciem tak szczerem?  
Dziś to wszystko już, wszystko — jest mu prawie zerem...*

*On oddala się... Ziemia we mgłach za nim leży. —  
Wzlata wysoko ni to na szczyt jakiejś wieży,  
Ni to w jakichś dziewczycznych górzach wchodzi pustkowie.  
Z litością patrząc na to, co się u nas zowie  
Namiętnością, własnością, obowiązkiem, celem,  
A drzewa w dole marnem, nikłem są dlań zielem.*

*Miłość? I graszka pusta! — I nadzieja płocha,  
 Że maj wieczny trwa w duszy i że ktoś cię kocha!  
 Jakże zawzięcie pedzisz za błędą chimera.  
 Wierząc, it, w zespołaniu z inną duszą szczerą.  
 Nie będziesz sam, ni w dwojgu, lecz zlany z nią w jednie...  
 Złuda! — Zwierciadł tylko masz przed sobą dwoje.  
 Gdzie się pewne odbicie odstrzela bezwiednie.  
 Ach, gdybyś choć na moment można było życie swoje  
 Bez granicznictwa, przebościć, wieczność zamknąć w chwile!  
 Ale staczać w tym celu walk daremnych tyle?..  
 Bo ktoś zdola z ciał dwojga jedno stworzyć serce.  
 Kto wedrzej się przebojem na szczęścia kobierce? —  
 Jaką marność — te ckiwe skotopasków tony.  
 Dreszcze, całunki, omdlenia miłosnych zachwyty...  
 Czczzo ci po nich, choć bywasz melancholii syty.*

*Ach, spojrzej tylko na te powszednie Jazony  
 I płonne ich zabiegi o rozgłosne imię...  
 (Sława? — można wyrzeźbić jej nazwę i w dymie!)  
 Czyż warto z karkołomem gnac suchwałstwem takiem,  
 By zostać na arenie zwycięzkim rumakiem?  
 Nie błahostka - to prózna? — Człowiek się wysila.  
 By osiągnąć tryumfy znikome, zwodnicze...  
 Miłość, sława — o nedzne - z, nedzne to zdobycze,  
 Gdy z nich groby wystawne czyni jedna chwila!*

(CHORZY U OKIEN, IX.)

*Gdy wieczór schodzi, duch się wnet ukoić zdola,  
Jakby dopadł równiny, gdzie spokój zupełny.  
Duch w ciągu dnia ogryzał cierpkie życia zioła  
I osty, które sporo wydarły mu wełny.  
Trosk tysiąc dniem: strzedz wełny, co się plami wszędzy  
I ciągle jakichś dymów pasmami spowita;  
Dzień w dzień słuchać pasterza, co zagania z grzedy,  
I zawsze u jednego poić się koryta...*

*Wieczorem odosabnia się duch i świadomic  
Prawie na puste błonie ze stada wybiega,  
Gdzie jego cień samotny drży na traw poziomie.  
Duch, jak gdyby wstrzymany u wód cichych brzega,  
Oko w oko ze sobą, do siebie się zbliży  
I — pod niebem usianem w światel nikłych krocie —  
Zoczy się wreszcie nagim w całej swej prostocie.*

*Duch przejść musi wieczorem chwilę niby — strzyży.*

(WIECZÓR W OKNACH, XV.)

*Cóż za modre akwaryum z siebie Pamięć czyni?..*

*W niej to wszystkie sny nasze, przeszłość i wspomnienia  
Chwilami z zakrzepłego wyjrzą światłociecia.  
Błam jaśni w grocie czarnej! — W niej, jak w ciekłej  
[skrzyni,  
Gdzie płaskorzeźba z mroku zalega przecródki;  
Część się życia naszego chroni od zaniku:  
Tam, zmarłyj swej miłości blysk odnajdziesz krótki  
(Perlę, co o zgubionym świadczy naszyjnikiu),  
Tam, nadziei twoich kruszec zadumany, głuchy,  
Wysilen (dzisiaj morszczyzn) koniuluszne ruchy,  
Ust niejednych — niestety! — muszla tam niczywa,  
A ryba grzech niejeden śmignie w głęb' najcichszą...*

*Niepodobna - z oczyścić Pamięć z tego dnia?  
Wszak te dotknięcia lekkie co chwila ją wicherzą,  
Na nowo ja trząc rany w jej łonie najkrwawsze.  
Co chwila, przeszłość wstaje, z pomroki rzekiona,  
I Pamięć, jut spokojną, rozfalaże zawsze...  
Zda się, że nieustannie jakas rzecz w niej konal  
Spotkać bowiem roskoszy dawniejszej upiora,  
Echo głosów, róz widmo, jakas strasna smora!  
To — jakbyś się powtórnie przyglądał ich śmierci...,*

*Wszystko, co w nas istnieje, mrowi się i wierci,  
Wszystko, co zapomniane, — nagle z niepokojem  
Zadrgnie i — choć dalekie — powraca raz jeszcze,  
Jako szelest listowia, muskanie i dreszcze...  
O, nie módz być doszczętnie wyludnionym zdrojem!  
Czut, że tonie Pamięci marszczę w każdej dobie  
Rzesza nieubłagana mar błędnych tysiąca,  
O którą zapomnienie rozbija się w tobie! —  
Akwaryum ludzkie! — Pamięć tak sywo czująca...  
Troska codzienna w szklanem więzieniu tam gości,  
Mak nieco lunatyczna puścienna przerasta,  
Tak jakbyś czuł, całując szybkę relikwiarza,  
Iż pod nią drgają z bólu święte, kruche kości.*

(AKWARYUM DUCHA, X.)

*Zachód się tryumfalny schyłkiem rządów stawa...  
 Miedsie zwycięskie wieczór podbiły widoczenie;  
 Szandary powiewają, posoka jaskrawa  
 Zaczerwienia niebiosa niby winotocznie.  
 Zda się, że flota wrała pierzcha na wsze strony,  
 A spokój błogi schodzi po walce stoczonej.  
 Pycha — kluczy jej rdsawych ostre słycharz gryzyty —  
 Wieniąc dzieło swe: łup jej piętrzy się obfito.*

*Złoto słońca, z mgieł srebrne odrzewia i przedsienie,  
 Przesz które wsrok się gubi w błękitnym terenie!  
 Klejnoty płyną z chrzestem, a dalej płomienie  
 Pochodni do nadiru wiodą skroś przez ziemię...  
 Cuda budowy! Zachód wspaniale-uroczy! —  
 Gwiazdy sieją już lilie na lazuru dale,  
 A niżej mokną błamły rozwianych warkoczy.  
 Leżąc ni to lny cienkie w jeziora kryształy;  
 Rzekłbyś: łan długich włosów Ofeliom skoszony.*

*Csary sjawisk bajecznych! — Pałac dsiwożony!  
 Minaret niebosężny z obłoków stawiany,*

*A przy nim jakieś dziwa płaczącą się co chwila:  
 To lśniący się lodowiec roztaapia w tumany,  
 To warga z mgły się kraśnej lubieżnie odchyla;  
 Tam chmura się przemienia w herbowne zwierzęta:  
 Znienacka powstał lampart o rozwartej paszczy.  
 Lub jednorózec sunie samotny wśród chaszczy.  
 Potem innych widowisk wabi nas ponęta:  
 Oto we mgły śnieżystej powiewnych muślinach  
 Jadą komunikantki w odkrytych berlinach  
 I rzucają grącele... Wszystko się rozbiela.  
 Aż zdaje się nicbiosom, że to dziś niedziela! —*

*A przepych ten zachodu, krew, złoto, purpury.  
 Groty alabastrowe, świątyń dziwnych mury,  
 Błękit mórz, kiedy na dnie Thuli czara tleje,  
 Ta świetność, co swych zwycięstw wtórnie streszcza dzieje,  
 Jest to obraz wspaniały starości Geniusza! —*

(KUSZĄCE OBŁOKI. III.)



PRZEŁOŻYŁA El-ka.



o kilku godzinach zbudzono go natarczywem kołataniem we drzwi. Po południowe słońce w pokoju powitał Jelsky grymasem i zwłokł się ciężko z łóżka. Nie śpieszył się jednak z otworzeniem drzwi. „Korekta, — artykuły, — sprawy bieżące,” — dudniało mu w uszach natrętnie. — „Dajże się ubrać! — krzyknął niecierpliwie. — Siądz sobie po de drzwiami, zdrzemnij się albo zdechnij, — co wolisz... Możesz również

obejść wszystkich czytelników i powiedzieć, że pan Jelsky prosi uprzejmie o pocałowanie w ucho... No, co powiesz, przedstawicielu najbiedniejszej na świecie profesyi?..“

— Jestem posłaniec.  
— Toż widzę, durniu!  
— I starszy człowiek jestem, — wnuków mam takich... I polak, panie.

Jelsky wyrwał mu niecierpliwie list z ręki. Rozrywając kopertę, łagodził po niemiecku: „Rodak pali? Niechże rodak weźmie sobie cygaro, — tam z pudełka.“

„*Szanowny panie*,“ — czytał. — Hm? Zosia Borowska... Oczywiście!... „*czy człowiek, czy potwór*...“ Mocne! „*nikczemna*...“ Po co ty się nad sobą znęcasz?... „*topic*...“ — Rozumie się! — „...*żli tu ludzie, żli, żli*.“ — Taak!... „*I też już nie stało*.“ Wierzę!

Jelsky marszczył się.

— Rodak wziął już cygaro?... No, to niechże rodak idzie sobie precz. I niech wstapi po drodze do redakcyi uprzedzić, że jestem chory i nie przyjdę dziś... Niech powie również, że jestem niespokojny o zdrowie i pomysłność pana redaktora, ponieważ dzisiejszej nocy zjawił mi się w gorączce szatan. — Streszczam się: mam katzenjammer życiowy w połączeniu z febrą i bólem głowy; do redakcyi nie przyjdę. Żegnam.

Posłaniec śmiał się i dławiał swem cygarem. Spojrzawszy jednak na bladą, zimną, prawie surową twarz Jelsky'ego, spoważniał natychmiast i cofnął się ku drzwiom.

— Jeżeli rodak odczuwa potrzebę obiegania tragicmem swych kolejnych życiowych i wyłudzenia wsparcia, — będę nad wieczorem w kawiarni *Muzeum*. — Niech będzie pochwalony! — rzucił na pożegnanie po polsku.

— Na wieki wieków, — brzmiała odpowiedź.

Posłaniec, biegnąc po trotuarach zwykłym truchtem łażęgi, kiwał siwą głową i mruczał: „Tego musi coś szarpać za one dudy, — za nerwy, — hę? Ten coś knuje. Coś... coś... we lbie tym warzy. Z gęby dyabel się śmieje, a w oczach śmierć się strachem zzyma. Człowiekowi takiemu nie mów, co pół świata zeszedł, taki ma na to oczy, czego i przez polową lunetę nie dojrzy. Widziało się i to! Bywają tacy ludzie, co z nimi kilka słów zagadasz, a on ci potem z głowy wyjść nie chce. I będzie ci się

naprzykrzał pamięci, będzie nękał, będzie ci trapił duszę, jakby o Zdrowaś Marya prosił. — Stary zboczył w po przecznice, aby mieć przyjemność kornego zdjęcia czapki przed kościołem.



Jelsky tymczasem chmurzył się dalej nad listem.

„Dobrzy ludzie...“ Hm!.. Hm!.. I tak dalej... „topić...“ Da capo!.. „Świat się na mnie zwali!“ — Przesadne! — „Myśle, że tam na świecie słońce już dziś wcale nie weszło...“ To jest kapitalne w naiwnej eksprezji!.. „Niech panu Pan Bóg...“ — i tak dalej... „Ja bo nie umiem...“ — Ślady leż na papierze!.. „ale na litość Boską! niech pan mną choć nie pogardza...“

Jelsky uderzył się po kolanach. — Kobieta! — krzyknął. — Kobieta! Sacré nom de nom, — kobieta!

„Sukienki już spakowałam...“ Sukienki są w tem wszystkiem, jak na mój smak, drobiazgkiem ogromnie rzewnym — „i czekam spłnienia pańskich obietnicy...“ Co ja jej, do dyabla, obiecać mogłem?!.. „Piekarza, gdy dzwonił z rana...“ — i tak dalej — „Boję się wszystkiego, — drże ciągle...“ — „Kanarek w klatce już nawet nie śpiewa...“ Śpiewa?! — zlituj-że się, kanarek wrzeszczy, nie śpiewa. — „...nie śpiewa i ciągle tylko na mnie patrzy. A ja już z tego tylko ustawnicznie płakać muszę...“ Za dużo wilgoci! — „i plotek także bardzo się boje.“ Rozumie się!.. „Klucz od zatrzasku przesyłam.“ Oczywiście!

ście! — Signum manu propria: *podła! podła! podła!* — *Zosia Borowska.* — Zosia! — nawet we własnych myślach Zosia!

— Taak!.. — Jelsky wypuścił cały zapas tchu z pierśi. „A wiesz ty, mały ptaku, że tybyś mogła wziąć każdego, żeby chociaż... choć przed rokiem tylko!“

„*Post scriptum.*“ No jakże? — post scriptum być przecież musi. — „*Snił mi się pan Müller całą noc. Czy miał krvotok?.. I że mnie przeklinał.*“

Tu Jelsky poczerwieniał nagle i zerwał gwałtownie cwikier. „Więc i ona go widziała?!“ Począł wielkimi krokami chodzić po pokoju. Siegnął na chwilę po rękopis Müllera, lecz odrzucił go niebawem.

„Do dyabla, — wołał, — w tych „nowych blagach“ jest coś więcej niż rozkoszny dreszcz dla histeryczek!“ — I znowu stanął mu przed oczyma pamiętnik Müllera, to niezrozumiałe, niepokojące wpisanie się jego w jakieś wyczucia tego, co się w tej chwili działo, wreszcie jego własne widzenie potem, — jej znowuż list i trwoga... „Czy ja tu czasem nietylko z Müllerem walczę, nietylko z nią, nietylko z sobą? Czy tu czasami nie wkradło się już coś...?“ Równocześnie prawie przyniósł kaprys myśli:

*Habe die Sonne nicht zu lieb...*

*Komm, folge mir in das dunkle Reich hinab...*

Chodził po pokoju twardym krokiem, chmurzył się, gestykulował do swych myśli. „Trzeba poprawić inteligencję koniakiem,“ — zdecydował po chwili. Niebawem mówił już do siebie spokojnie, prawie głośno, rozkoszując się jakby swych myśli swobodą.

— Tak, na to wszystko można, a nawet należy patrzeć z olimpijską ignorancją człowieka nauki, ale na to trzeba być profesorem fizjologii oraz radcą dworu. Ja zaś jestem dziennikarzem, więc głos powołania błaga, prosi, zebrze natrętnie, aby puścić na miasto jakąś Katie King

w postaci arcydzikiej kaczki. Swojskie gęsi podniosą gwałt, młodzież uniwersytecka się rozentuzyazmuje, literaci ogłoszą bankructwo nauki i — profesor fizyologii będzie się śmiał! — Źle mówię: — „on!“ się tylko ponad brodą uśmiechnie, ale za to oni: ci mniejsi, malutcy i wcale nie-widoczni roześmieją się po świecie srebrną gamą, nietyle nad moją kaczką, ile nad głupotą ludzi, którym nie wystarcza katedra uniwersytecka wraz ze wszystkiem, co się na niej mieści. Im głuchszy zakątek, tym głębszym basem roześmieje się — aptekarz, tem większy tryumf będzie świadcila nauka!

I tak oto, — filozofował dalej, — dusza współczesna skacze jak piłka między twardem kowadem nauki a lekkim młoteczkiem dziennikarza. I cóż dziwnego, że w takich czasach tryumfuje duch kobiety? One są lekkie i elastyczne.

Jelsky tonał w fotelu i ćmił gwałtownie cygaro. Nagle, nie podnosząc głowy:

— Ty! — słuchaj, co ja myślę!

Rzucił okiem na łóżko Müllera i znów poczerwieniał w jednej chwili. — Niema szelmy! — uciekł lotr! — I przed kim ja będę teraz gadał? przed kim myślał?..

Teraz mogę iść i zagrać w domino z sąsiadem kamienicznikiem... Tak, — domino jest głęboką filozofią dla ludzi mających senne sumienia wołów... Moja Zosiu, widzisz, rzecz jest taka, że ja się coś nie coś boję, tylko nie kanarka, lecz dyabelka, żeby mnie znowuż nie odwiedził. Nie ciebie mi, Zosiu, potrzeba, ale jakiegoś gmaszyska wiezły i nauki, abym mógł w cieniu tej piramidy odpocząć choć na chwilę. Potrzeba mi olimpijskiej brody królewskiego profesora i radcy dworu, abym mógł wyśmiać razem z nim tę „nową blagę“ i zmiażdżony wiedzą podręczników zasnąć snem fizyologicznie prawidłowym... Nie trzeba mi, Zosiu, klucza od twego zatrzasku, lecz klu-

cka do mych myśli swobodnych, trzeba mi filozofującego opryszka, aby mi skrzydeł użyczył swoich i pomógł przeskoczyć przez... przez twego kanarka, Zosiu, co już nie śpiewa.

Przeskoczyliśmy w życiu tyle przeskód w steeple-chase artystycznem, że nie potkniemy się chyba o ten... sentymencik polski... (Mam go zresztą w mocnym po-dejrzeniu o niesmaczne reminiscencye powieściowe!)

Hopp!.. — Oj nie! — Jelsky preżył ramiona.

Przyjacielu! — Müllerze! — Pająku!

I nagle przypomniało mu się: „*La sacra visione di te imploro, Beatrice mia!*“

Gwałtowny wybuch szalonego śmiechu pchnął go na fotel. Rzucał, trząsł i miotał nim ten śmiech, podobnie jak śmiertelny kaszel chorem ciadem jego przyjaciela.



Wyszedł z najwyraźniejszym zamiarem pójścia do Borowskiej, po niespełna pół godziny znalazł się niespodzianie na obcych schodach obskurnej kamienicy. Na drzwiach znalazł bilet wizytowy: *Jan Kunicki, cand. med.* — „I po co ja tu..?!” — Jelsky'emu chłód po ciele przebiegł. „Po co ja tu..?!” — Czyżby mną już co innego rządziło niżli wola moja?.. *Komm, folge mir in das dunkle Reich...* A niech się dzieje, co chce!“ — Zadzwonił gwałtownie.

U Kunickiego zastał wielki nieład: stosy książek i papierów porozrzucane na ziemi, kufry na środku pokoju, naokół pełno ogarków od cygar i niedopałków po papierosach. Kunicki leżał na otomanie. Podał mu rękę milcząc i wskazał niedbale na krzesło. „Ja do pana właśnie iść chciałem,” — rzekł spokojnie, prawie sennie.

— Pan? — Jelsky musiał się powstrzymać, aby nie wzruszyć ramionami. „Zkądzie? — myślał, — po co? i co za konfidencya nagła?“ — Niezdejmując palta, siadł konno na krześle i wsparł głowę na poręczy. Przypatrywał się Kunickiemu uważnie, badawczo, uparcie.

— Panie Kunicki, właściwie, co się z panem dzieje?!

— Wyjeżdżam, — mruknął.

— Widzę. Lecz czy nie należałoby wprzód chciaźby spróbować. Jak można pozwalać się tak maltretować życiu?

— Nie rozumiem. Czego ja mam próbować? Nie mam nic do zyskania, mogę tylko wszystko stracić.

— Ach, tak!

— Poczęści jużem stracił. — Mówię szczerze, ponieważ nie znajdowałem nigdy rozkoszy w obełgiwaniu siebie lub ludzi. — Widzisz pan, dla człowieka pracy i ładu niema nic straszniejszego w życiu nad te... nie wiem jak powiedzieć... — teatralne w życiu efekty. Zaprowadź pan kiedy młodego rzemieślnika, który nigdzie po za swoją ulicę nie wychodził, na jakąś czarodziejską feerie; pokaż mu pan rusalki, najady, waligórów, wyrwidębów; — przez tydzień będzie chodził jak struty. Własne życie wyda mu się nagle szare, nudne, brudne.

— No tak, — potakiwał Jelsky. — A co gorsza, własne łydkie tak rozpaczliwie, tak beznadziejnie i załośnie chude, że młody pracownik szydła i dratwy gotów je sobie nadsztukować w spodniach.

— Takie rzeczy robią tylko literaci, — prostował Ku-

nicki spokojnie. — Idzie o to życie nasze mizerne, o te zbyt silne blaski w bezświetne godziny codzienności. Każde niespodziane silne i wielkie uczucie jest tym ogniem bengalskim, w którym wszystko nowe i obce wydaje nam się światem z czarodziejskiej bajki, a my sami tak ogromnie nikczemni i pospolici.

— Tak, — potakiwał Jelsky niedbale. — Ale w panu zanosi się coś na dłuższą prelekcyę. Czy (Jelsky oglądał się po pokoju) czy w gospodarstwie niema przypadkiem koniaku? (Spostrzegł na oknie butelkę wraz z kieliszkiem i siegnął po nią.) Zmieniają się coś obyczaje; — byłeś pan, o ile wiem, antialkoholikiem... Koniak, — mówił przełykając pierwszy kieliszek, — jest napojem mistycznym: nalewką na sumieniach samobójców.

Kunicki spojrzał na niego wzgardliwie i zwiesił wargę.

— Albo ta pańska wymowa, ten ustawiczny ferment i musowanie wina w głowie. I to mi kiedyś strasznie imponowało. Pamiętasz pan: — rozboczałem się wtedy w kawiarni. Dziś słucham ze współczuciem: panu coś bardzo dolegać musi.

— Najbardziej pańska niedościgła treść i wymowa. Czuje, że będę panu musiał opowiedzieć coś... coś mniejszościowego i że bodaj na to tylko tutaj zabłądziłem. Krzepię więc ducha i — słucham, — tymczasem słucham.

Ale Kunicki tkwił widocznie uparcie w pierwszej swej myśli.

— Panie Jelsky, — rzekł, — wyscie mi wszyscy wtedy, nawet w kawiarni i w tynglu, strasznie zaimponowali. Artyści!.. Oto jest życie... To jest świat! — Miałem, widzisz pan, w duszy ten ogień sztuczny, który was wszystkich oświecał... Dawniej, — mówił po krótkim milczeniu, — miałem na wszystko jasny, spokojny i trzeźwy sąd; dziś tu, w głowie, pozasuwają mi się jakieś pstre kulisy, pozapalały się jakieś sztuczne efektowne blaski. Wyobraż-

nia (ja dawniej nie miałem wyobraźni!) stała się rekwizytornią bohateruskich kostyumów dla — błaznów i komedyantów.

— O! — szarpanął się Jelsky i skoczył z miejsca.

Kunicki siegnął znowuż po papierosa (na podłodze leżały już całe stosy niedopałków), przez dłuższą chwilę milczał, nagle uniósł się na łokciu i patrząc niespokojnie na Jelsky'ego zagadnął:

— Co porabia Zosia Borowska?

Jelsky odwrócił się od tego spojrzenia. „Nie wiem, — mruknął. — Czeka prawdopodobnie na kostyum z pańskiej rekwizytorni.“ — I począł spacerować wielkimi krokami po pokoju, manewrując ostrożnie wśród książek porozrzucanych na ziemi.

Kunicki uniósł się jeszcze wyżej na otomanie: nieco przegięty tułów wspierał w ten sposób na wypreżonych w tył ramionach. „Przecież to jest męczennik, — pomyślał Jelsky, spojrzawszy na jego bladą twarz i ten ruch bezwładny. — Hiob na kupie gnoju!“

— Ją zostaw pan na uboczu, — prosił tymczasem Kunicki. — Jej nie dotykajmy naszemi językami. Mowa nasza jest nieczysta: plami nam wszystkie uczucia, bryzga kałem na wszystkich ludzi. I czem mi ona zawiąła? co winien kwiat słoneczny, że się niejeden motyl jego nektarem struje? co winien płomień, że niejedna ćma w nim się spali? co winno słońce, że człowiek czasem tak bardzo cierpi?

— Bardzo efektowne choć staromodne kostyomy posiadasz pan w swojej rekwizytorni!

— Jabym ją po nogach całował i przepraszał, — mówił Kunicki już niemal obłącznie zapatrzony gdzieś w kąt sufitu, — po stopach całował i przepraszał za te uczucia, jakie we mnie wzbudziła.

— Jakież to uczucia?

Kunicki zdał się namyślać przez chwile.

— Namiętność, — rzekł wreszcie z dziwnym spokojem. Dla Jelsky'ego ten gnuśny, pełny umęczenia spokój miał w sobie coś z ohydy; wzdrygnął się: „Tak chyba ślimak w kałuży rozmyśla nad miłością.“

— Pan jesteś szczery, rzekł.

— Chcę spojrzeć na to wszystko jasno, trzeźwo, aż do obrzydliwości, aż do wstrętu. I dla tego czynię sobie tę krzywdę, że mówię głośno przed cynikiem. To pomaga nieraz bardzo. Jestem panu szczerze wdzięczny za wizytę. Sam się do niego wybierałem... Co pan o mnie myśli, o to nie dbam... Widzisz pan, bywają rzemieślnicy, z tych słabowitych, marniejszych, rozmarzonych... taki, raz zobaczywszy scenę, zamarzy o kulisach i przepadnie wśród bandy cyganów jako najmizerniejsze popychadło.

— Et! — szarpnął się niecierpliwie Jelsky. — Zjedz pan obiadek w towarzystwie Lili i przejdzie. Nie ma z czego robić weltschmerzu. Za kulisy pan nie pójdziesz i ta wstrzemięźliwość przyjdzie panu nawet łatwo.

— Dyabła tam! — krzyknął Kunicki i zarzucił dlonie na czoło. — Dyabła tam! Pójść może i nie pójde, — ale ja chcę być takim jak dawniej! Pamiętasz pan tę naszą rozmowę w kawiarni: „Gorycz, obrzydzenie, wstręt!“ — oj tak. Ta droga mego życia wydaje mi się teraz taką szarą, pustą i tak nieskończenie zbyteczną.

Borowski, — mówił po dłuższej przerwie, zapatrzony gdzieś błędnie, — Borowski opowiadał mi raz swoje dzieje. A potem, pamiętam jak dziś: długie i smutne kominy patrzały martwo w dal pustą i niemą. — On narzucił się wtedy na mnie. „Widzisz, — wołał, — dawniej ludzkie namiętności były życia i pracy ramieniem i młotem, dawniej bogowie nie wstydzili się swych namiętności. Dzisiaj są one od biurka i maszyny precz wyklęte i gdzieś głęboko,

głęboko pod ziemią zaryte, aby życiu nie przeszkadzały. Ty dzisiaj o nich nic nie wiesz. — Dzisiaj, — mówił Borowski, — bogów nie ma; ale i bogów namiętność staćby się musiała w potępieniu gnuśną, jadowitą, trawiącą.

Dziś mamy rozsądek, — powiedziałem mu. — Macie rozsądek! — krzyczał. A jednak słyszysz: oto maszyny do snu legły, a gdzieś w pomrokach kamiennych, w ciszy umęczonych dusz i ciał rozlega się nagle straszny, beznadrzejny krzyk! Otwarły się podziemia wasze i cuchną. Zrozumiałeś, kto je otworzył? kto jest bólu waszego krzykiem po nocy? Zrozumiałeś, za co mu ludzie dają łzy swoje? święte i czyste łzy tęsknoty? — Wtedy powiedziałem: „komedyant,” dziś wiem, kto jest tym krzykiem po nocy.

Jelsky przysłuchiwał się temu z uwagą.

— No? — pytał niecierpliwie.

— Artysta! — odparł Kunicki z naciskiem. — Wy, wy jedynie potraficie dziś i kochać i cierpieć. Wy jesteście naszego bólu krzykiem po nocy... My dziś możemy dać tylko — łzy naszej tęsknoty.

Kunicki tonął spojrzeniem gdzieś w dali: widać było, że obrazy i słowa wspomnień więżą mu myśl; — przesywał je po raz drugi z głuchym, zawziętym uporem:

— Oto w pomrokach kamiennych w ciszy umęczonych dusz rozlega się nagle straszny krzyk po nocy. — Budzi się namiętność, bucha płomień duszy! I gaśnie. Pozostanie — jeden, dwa trupy, i otwiera się nagle przepaść bólu i cierpień.

— Co to znaczy?! — krzyknął nagle Jelsky i przystanął tuż nad nim.

— Borowski tak mówił.

— Aha, tak!.. Więc tak Borowski mówił?..

Kunicki tymczasem snuł dalej swe nici pajęcze.

— Ale za dnia przepaść ta już głucha, już zimna,

ziejąca tylko dusznym czadem zgniłych wyziewów!.. Bo my jesteśmy dniem. A wraz ze świtem odżyły już maszyny i zamarli ludzie. My, ludzie dnia, wzdrygamy się na te wasze nocne, podziemne sprawy. Nasze namiętności są przecież głęboko, głęboko pod ziemią zaryte, aby życiu nie przeszkaǳały. — Za dnia snują się już tylko rude, ciężkie kłębiska dymów: rozpacz po ziemi chodzi. Długie i smutne kominy fabryczne patrzą martwo w dal pustą i niemą.

W dal pustą i niemą, — powtórzył raz jeszcze. — Nas nie stać na siłę uczucia. Ono nam odbiera tę moc i pewność w życiu, jakie daje automatyzm, to oparcie w niedoli i smutku, jakiego łaskawie udziela maszyna i biurko.

Jelsky zwiesił głowę.

— Tiens! — cmoknął. — To jest stimmung kapitalny!  
Czy pan nie pisujesz przypadkiem wierszy?

Na Kunickiego uderzył pons. Jelsky siegnął machinalnie po jakiś zeszyt na stole, lecz nie długo trzymał go w rękach. Kunicki wydał mu go z przed oczu i rzuciwszy się znowuż na otomanę, cialem przysiąiał ten zeszyt.

Jelsky śmiał się szeroko: „Doctor medicinae et chirurgiae! Dobrze dzieje się na świecie! — Zosiu, Zosiu poczciwa, cożeś ty zamętu wokół narobiła!“

Kunickiemu drżały wargi.

— Czyś pan myślał kiedy, — mówił szybko, aby zagaǳać niemiłe dlań zajście i odwrócić myśl Jelsky'ego w drugą stronę, — czyś pan się nie zastanawiał nad tem, do jakiego absurdu doprowadzi nas kiedyś praca. Ha! ha! „praca rozkoszą!“ „praca obowiązkiem!“ „praca świętością!“ — a jej sakramentem podział! — podział pracy w nieskończoność!

— Panie, czym nie myślał! — Jelsky zakrzatał się nagle wesoło i zacierał ręce. — Gotuję zbiorek kaligraficzno-

umoralniających wzorków dla młodzieży. Znajdziesz tam pan między innymi następujące sentencye: „Podział pracy oglupia uszlachetniająco, miłość ojczyzny to sumienność w swym dziale pracy. — Czas to pieniądz, moralność zmienia się wraz z czasem. — Jedno marzenie więcej, jeden grosik mniejs. — Ora et labora, przyjdzie patryota, co z tego skorzysta. — Cierpliwość i praca jednych uszlachetnia, a drugich wzbogaca...“ Mam i drugi zbiorek, tak zwany „filantropijny,“ dla poprawy charakteru zgrzybiałych bankierów; posiadam i trzeci, „*savoir vivre'owy*,“ dla młodych artystów, poszukujących mecenasów. Panie Kunicki, czego ja nie mam w tece?.. Tymczasem w tej tece to wszystko spoczywa! — Jelsky plusnął dłonią w czoło.

A potem obejmując Kunickiego w pół:

— Jak Boga kocham, panie Kunicki, przy panu myśli się równie dobrze jak przy Müllerze. — Mnie aby tylko ruch myśli pod czyjąś czaszką odczuć! Jestem jak ten koń wyścigowy: póki w stajni, pótyle drzemie; niech ptaka zobaczy, — już ścigać się gotów. Dlatego też pasyami lubię kobiety!

Kunicki próbował się uśmiechnąć, ale niebawem machnął ręką. Chmurzył się pótyle, póki myśli swojej nie znalazły, poczem rozjaśniła mu się nieco twarz.

— Widzisz pan, ten podział pracy tak człowieka stoma łańcuchami do miejsca i czasu kiedyś przykuje, że gdziekolwiek się ruszy, natrafi na zimny metal maszyny, każde jego spojrzenie w dal przysłonią kłębiiska dymów. Tylko długie i smutne kominy fabryczne będą patrzały martwo w dal, — w dal pustą i niemą.

— I czy pan o tem pisze poezye? To może być wprost kapitalne.

— I będą te kominy widziały w dali jakieś złowróźbne znaki, Bożego gniewu ciche ostrzeżenia, jakieś dymne *Mane Tekel Fares* zawisłe ponad światem. Ale kominy

nikomu tej tajemnicy nie zdradzą: ludzie, mali, nikli, gdzieś tam wśród trybów maszyn na dole zagubieni, nic o tem wiedzieć nie będą... Sztuka? Wtedy tem namiętniej ludzie do sztuki wyciągać będą ramiona, bo życia już wcale wówczas nie będzie! — A wy, co ją tworzycie, wy życiem głodni i na jałowej pustyni za życiem zrozpaczeni, wy z krzyków nocy sztukę *robić* będziecie chcieli. Ale wasza sztuka na was samych się zemści, zaszczepi wam ten obłęd, którym się już dziś bawicie, — zaszczepi wam — *Furor Aphrodisiaca!*..

Jelsky zerwał z siebie palto, cisnął je gdzieś w kąt i przysiadł się do Kunickiego.

— Pan masz talent! — krzyknął. — Jak Boga kocham! Rękopis proszę. Przetłomaczy się. W gazecie się umieści. Reklamę się zrobi. Z góry wiem, że tam jest talent. I niech się pan nie rumieni. To się zdarza w najlepszych rodzinach. — (Zosiu, Zosiu poczciwa, cożeś ty zamętu w świecie twórczości narobiła!) — Pańskie rzeczy, czuję to, musza być wprost wizyjne. Tam było coś: „pozostanie jeden, dwa trupy i otworzy się przepaść bólu i cierpienia.“ Panie, to jest wróżba wprost, jasnowidzenie!.. Trans w sztuce sprowadzi się kiedyś wprost do somnambulizmu; gadań niema!.. Ale! — ja pierwszy raz spojrzałem właściwie na pańską twarz. Pan masz kapitalnie mocno narysowaną głowę. Sprowadzi się tu malarza. Niech prosi, aby mógł portret zrobić... Panie Kunicki, pojedziemy się upić dzisiaj, — co? Wiesz pan co? — pojedziemy do tynku, — Yvetta daje drugi koncert. (Jelsky potrząsał prawnicą Kunickiego). My się zaprzyjaźnimy, panie Kunicki! Medycynę pan, oczywiście, rzucasz, bo to jest przecie do cholery! Sztuka to jest wielka rzecz. Niema, niema nic innego na świecie!

Kunicki patrzył na niego z podelda niedbale, otwierał szeroko oczy i ćmił papierosa. W oczach Jelsky'ego

rozdarł zeszyt na dwoje i tuż z pod jego rąk cisnął kajet w kominek, gdzie tliły się jeszcze jakieś listy i papierosy. — Jelsky zdążył go pochwycić za poły, przyciągnąć do siebie i powalić na otomanę. Sam zaś przypadł na kolana do kominka. W tejże chwili buchnął płomień tak silnie, że Jelsky rzucił głowę w tył i zerwał się z kolan.

— Idyota i szubrawiec! — krzyknął w pasy.

I narzucając na ramiona palto szarpał je i wołał gorączkowo:

— Można filistrów orzynać, co się da, długów nie płacić, dziewczyny gwałcić, przyjaciół oszukiwać, żony cudze uwodzić, — ale takiego chamstwa, jak Boga kocham, nie popełniłem nigdy. Na to trzebo być charem z urodzenia i karyerowiczem z odziedziczonych skłonności! Trzeba być łykiem z krwi i szpiku, niedolegą, który zamiast brać, czego nie dają, filozofuje o miłości i boi się jej!

Kunicki podniósł się ciężko i niechętnie.

— Przedewszystkiem, pan wzbudzasz tylko współczucie tem doszukiwaniem się genialności — w innych. Mnie tego ćwieka losy oszczędziły; wiem, że tamto jest w każdym razie mniej warte od pańskich nadziei... A co się tyczy pańskich grubiaństw, — to nie chcę iść za kulisy życia! Nie chcę dać się omamić teatralnym efektem! Ja muszę się zmódz i zostać tem, czem być zamierzałem: człowiekiem pozytecznym! Zrozumiano?

„E, to jest idyota!“ — zdecydował Jelsky w myślach i nie raczył nawet odpowiedzieć.

I nagle przypominały mu się te głuche, nieświadome zamiary, ten ponury nakaz, co go tu na ślepo przywiódł. Rzekł tedy bez żadnych wstępów, rozkoszując się już tylko bólem, jaki sprawi temu „idyocie.“

— Borowski uciekł i zostawił żonę na bruku.

Na Kunickiego podziało to rzeczywiście mocno:

otworzył usta jakby do okrzyku, ramiona mu zwisły, w przestraszone jakby oczy parły łzy.

— Prawdę mówisz?! — wymozolił z siebie.

Jelsky wyjął flegmatycznie z pugilaresu list pozostawiony przez Borowskiego i wcisnął mu go do drżącej dłoni. Kunicki przebiegły oczyma tę kartkę, cofnął się do kanapy i zwijał się, wtulał tam w kącie: ściągał się jak ślimak w skorupę. Nie słyszał nawet konceptów, jakie mu Jelsky gradem na głowę cisnął.

Ten szarpnął go wreszcie za ramiona.

— No, — panie Kunicki?!

Podniósł na niego jakieś uparte, ponure wejrzenie, to patrzał uważnie, to gubił go jakby z przed oczu i spierał obłędnie. Wreszcie zaprzeczył powoli głową i oddał mu kartkę.

— Panie Kunicki, — nie?

— Nie, panie Jelsky. *Nie!*

— Bój się, człowieku, Boga, — dla czego?..

— Tłumaczyłem długo, — myślałem, żeś pojął... Ja boję się jej poprostu jak ognia!.. Ja już się zacząłem wykolejać w życiu... Te uczucia dla kobiet, choćby najszlachetniej pojęte, niszczą nas teraz i gubią bezlitośnie. Ja to nie z siebie: patrzę w świat i widzę, co się wokół dzieje. Albo czczęne, albo uczynię się takim jak wy... Ja nie chcę być takim jak wy! Ja mam obowiązki rodzinne, i do społecznych obowiązków się poczuwam. (Szarpał się i krzątał koło kieszeni tużurka, i łzy wystąpiły mu do oczu). Oto co matka moja pisze... Przeczytam, co matka moja pisze: „Na miłość Boską, Jasiu, miej ty litość nad samym sobą i uciekaj od tej kobiety, jeśli zapomnieć o niej nie możesz. Uciekaj tem przedzej, im bardziej byłaby ci skłonna...“

— Rozplacz-że się pan teraz nad sobą!

— A ja pana odszukać chciałem i o pomoc jak przy-

jaciela prosić. Chciałem, żebyś pan jak wówczas w kawiarni wytrął i wypalił to ze mnie bodaj cynizmem. O! bo ja ciągle dniem i nocą o niej tylko myślę, gorączką wyobrażni tylko żyję i tworami tej chorej wyobraźni odpoczywam, — tam w tych spalonych zeszytach. I wiem, że to jest зло, i rozumiem je przecie. Jak po nici doszedłem wyobraźnią aż na ten kraniec przepaści, gdzie życie w kłębach dymu i tyranii pracy ginie; gdzie szal głodnej wyobraźni się zaczyna. Rozumiesz przecie! A mimo to, gdym dziś tam przed oknem stanął, ta myśl zbiegła do głowy: jeden ruch, jeden skok: — dom wysoki, bruki twarde... Skoroś zrozumiał, że życie twoje tak mało będzie warte...

— I nie poszedłeś pan do niej?! — krzyknął mu nad uchem Jelsky.

— Nie... Ja pana szukać zamierzałem i prosić bodaj o taką rozmowę jak wówczas, bodajby o...

— Cynizm?..

Jelsky'emu opadły z przed oczu binokle. Podchwycił je w powietrzu i począł czyścić machinalnie. Twarz pozbawiona cwikiera postarzała się jakby w jednej chwili i powiedziała, potworzyły się na niej zmarszczki, wystąpiły rysy; krótkowzroczne oczy mrużyły się poczęły pod światło. W wyrazie całym wystąpiło gnuśne piętno zużycia.

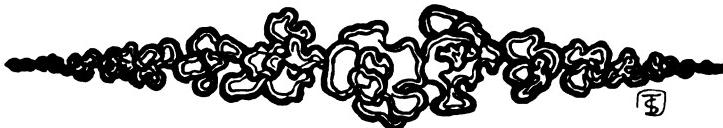
— Chcesz, młody entuzjasto, wiedzieć coś o wdziękach Zosi Borowskiej. Intymniejszych. Hę? Wie się coś nie coś... Widzisz pan, ja tu do niego trafiam wcale nie najszlachetniejszą drogą... I czemu pan dęba stajesz? Czemu mi pan do oczu skaczesz? Wszak ja to z zyczliwości dla pańskiej biednej mamy.

I Jelsky prysnął mu śmiechem w twarz. Kołnierz palta nastawił, cylinder na tył głowy zarzucił; wtłoczywszy do kieszeni ręce z gałką laski, wpatrywał się w niego wyzywająco.

— Satysfakcyi odmawiam, ponieważ mówię na żądanie... A ja myślałem, że to u nas tylko wszystko gnije. Pokazuję się, że i na przeciwnym biegunie rosną ładne kwiatki. — A, chwałę sobie widowisko! — nadzwyczajny! wspaniały egzemplarz solidnego człowieka! Więc miałem racyę: *cor ranae!*

Kunicki zerwał się na nogi, jakby z zamiarem spoliczkowania Jelsky'ego. Ten zasłonił się szybko krzesłem i energicznym ruchem siegnął do tylnej kieszeni. Postał krótką chwilę. Na korytarzu zatrzymał się wszakże raz jeszcze. W tejże chwili usłyszał za drzwiami jakieś osunięcie się czy upadek i nagłe zerwanie się spazmatycznego płaczu, jakiś rozpaczny szloch bezradnego dziecka.

— *Ecce vir!* — pomyślał Jelsky.



Biaława, w brudnym pyle nurzająca się mgła wysiąkła jakby z szarych murów i zawaliła ulice. Sylwetki przechodniów, koni i powozów otaczały się białym oparem, czerniały i krzepły, zda się, w sennej ociężałości. Bruki zionęły zatęchlym, zgniłym oddechem. Wlokła się mokra gnuśność przez ulice, dziwnie jakoś wydłużone w tej mrocznej perspektywie.

Jelsky zgubił jakby w tej mgle swe chęci i zamiary: nie wiedział, dokąd i po co idzie. Gdzieś tylko na dnie każdej myśli nieokreślony lęk czy też niepokój przed tem, co się niechybnie zbliża. Już chciał wstąpić do najbliższej

kawiarni, gdy go ktoś pod ramię schwycił i do siebie przytulał.

— Chodzę ja, panie Jelsky, po mieście jak ten pies łazega, co pod murkiem przystanie, powącha, widzi, że nie tu, i idzie dalej, sam nie wie dokąd. Nie siedzi mi się tu coś u was: Nocą w gorączce tylkoby malował i malował: — hej jakie obrazy! Wstaniesz do stalug: pędzle z rąk same precz wyłażą. Swoje jakby zgubił, cudzego jakby nie wiedział, gdzie szukać... Chodzę i patrzę (coś na kobiety bardzo patrzę!) a od tego patrzenia tylko wary na mnie biją. Tfu! — Z nudów zaszędzi i do Borowskiej. Trzy razy był. Wreszcie sami otworzyli. Powiedzieli, że nie przyjmują, i *szliop!* drzwi przed nosem. Ależ ładna! oj ładna!.. A smutek taki i łagodność od niej idzie, jak od zorzy na wieczór. Uch, ładna, bo ładnaż ona! — krzycała i wymachiwała rękoma.

Jelsky był zły:

— I czego się pan rzucasz jak dyabeł w worku?

— Taką naturę Bóg już dał, — odparł urażony. — Pan zawsze spokojny jak chińczyk... Ot, pana to ja nie lubię, — ulżył natychmiast swemu sercu. — Zawsze elegancki, jakby z pod klosza wyjął. Dmuchać mam ja ochotę na pana... Wiesz pan, gdyby — niech Bóg uchowa! — między nami co wyszło, — jabym bił. Jak Boga kocham. I za nic: ot za cwikier, za cylinder, za bródkę w kliniek, za oczy... A oczki to u pana za szkielkami chytre! chytre! chytre!.. No; nie! nie! — łagodził i śmiały się serdecznie, głaszcząc go po ramieniu. — Ja przecie nie myślę bić. Tak ot głupstwa gadam, duszę odwodzę. Bo ja na wszystko u was zły. Co usłyszę, na co spojrzę, wszystko mi kosteczką w gardle staje. Biłbym, — ot co! Choć potem wszystkich profesorów i chirurgów wołaj. „Jakże my tu człowieka naprawić mamy, kiedy tu u niego niewszyst-

kie kosteczki *na lico*. Widać, że tu ktoś w żalu serdecznym je powytrząsał.“

— Nie radzę, panie Pawluk, nie radzę tutaj tak duży leczyć. Myśmy już o 300 lat od tego oddalenii. (Wyjął z kieszeni rewolwer i podsunął mu go pod czy). Nie, nie! — śmiał się i naśladował jego głaskanie po ramieniu. Ja nic złego przecie, — wąchać tylko daję. Rozumu uczę.

— Widzisz jaki! I za to nie cierpię. Wszystkich ja nienawidzę. (Chmurzył się, szarpał, wreszcie znów się go za ramię uczeplił). Panie Jelsky, po co pan taki?

— Jaki?

— Ja sam nie wiem!... Zdawałoby się, że człowiek dobry, sierdieczny, — a w oczach coś siedzi takiego... Źle, panie Jelsky, źle!... Ja czuję, że panu bardzo źle na świecie.

— Odczepzę się pan!

— Pan się ubrał, żeby wyglądać jak ten niemiec, jak drugi niemiec, jak trzeci niemiec... Ubierz się, jak chcesz, — wszystko jedno, skóry nie zmienisz. A skórę to ja u pana inną czuję.

Jelsky poklepał go po ramieniu.

— No, dobrze, dobrze.

— Ja mądrzejczy od pana, klepać niema za co.

— Mądrzejczy, — rzekł Jelsky poważnie.

— Wisz!

Jelsky patrzył tymczasem na niego uważnie, jakby coś w myсли układał. — „Ale zostaw mi pan adres, przyda mi się niebawem.“

— Do akademii pisz, kiedy chcesz, choć ja tam rzadko, — rzadko!

Podał mu niedbale rękę, w oczy zaś patrzył uważnie.

— Ach, panie Jelsky, ja się boję, żeby między nami co nie wyszło.

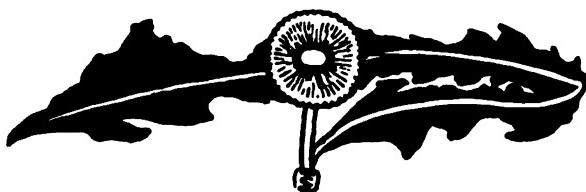
Jelsky śmiał się nerwowo.

— No idź pan już, idź, gdzie trzeba.

— Taż idę, choć nigdzie nie trzeba. Smutno coś u mnie, panie Jelsky, — aj smutno!

I, kiwając wciąż głową, zanurzył się we mgle.

— Taki przecież i zabić potrafi — pomyślał Jelsky.



Ta dotykalna prawie mgła jest obrzydliwie ślizka i ciepła, ma się wrażenie piwniczej pralni; czuć niemal wstorny zapach mokrych ścierek. Ludzie podnoszą kolnierze, krzywią się, charczą i odpluwają co krok. Gumowe czarne płaszczce nawijają się co chwila, lśnią jak szkło i przynoszą ze sobą smród kauczuku. Na brukach ślizko. Odbicie własnych nóg pod wilgotnym trotuarem odbiera pewność ruchów i sprowadza niecierpliwą w nich ostrożność. Ludzie burczą na siebie, spoglądają chmurnie, odpowiadają opryskliwie. Tu i owdzie zapala się przedwczesna latarnia, z bliska rdzawo żółta, z daleka jakby czarna plama, otoczona jasną mętną obwódką; wokół latarni strzelają we mgle dziwne tęczowe aureole. Cisza robi się na ulicach; dzwonki i sygnały dudnią głucho.

Gdy Jelsky wchodził na ulicę, przy której mieszkała Borowska, otarł się niemal ramię w ramię o Kunickiego. Skrzywił się i splunął. Potem zdawało mu się, że spostrzega opodal Pawluka, jak wyskakuje z tramwaju. Wreszcie gdzieś zdala zamajaczyła mu dziwna sylwetka niby ptaka wielkiego. „Müller w pelerynie,” — pomyślał.

Mgła snuła się teraz przez ulice, błąkała się po zaulekach. Czuć było tchnienie wiatru, ciepłe, ożywcze.

Gdzieś w głębi dał się słyszeć krótki, ostrzy pomruk; potem drugi i trzeci, niby sygnały tajemne. Jelsky'emu przesunęło się coś czarnego pod nogami. Niebawem usłyszał ostrzy, ochrypły i przerząliwy syk; darcie się gardłowe, ochrypte, rozpaczne. — Koty krzyczały po murach.

A mgła snuła się coraz przedżej, kłębiła się jak dym, odrywała się od ziemi jak białe całuny na oparzeliskach o świcie.

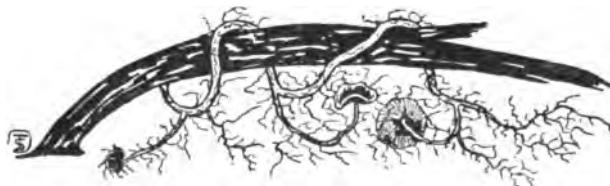
Jelsky spojrzał w górę. Jasno już było w oknie Borowskiej. Wielka świetlana aureola strzelała tęczowemi promieniami we mgle. — Zatrzymał się w bramie i spojrzał przed siebie.

I zdawało mu się, że widzi po drugiej stronie, w pewnej od siebie odległości, trzy czarne, znieruchomione, jakby w jeden punkt wpatrzone sylwetki.

I znów ten syk obmierzły!

Szedł wiatr świeży i miękki, niosący mokrą woń świeżo zoranej ziemi.

— A no, — wiosna! — mruknął Jelsky. Skrzywił się, splunął i wstąpił na schody wiodące do Borowskiej.



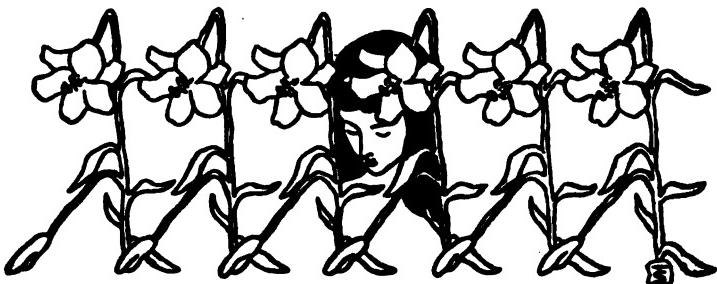
Bawił nie długo. W niespełna pół godziny uchyliły się drzwi wchodowe. Jelsky wysunął się na schody i szep-

tał coś niecierpliwie do wnętrza. „Trudno, ja nie mogę mieć zawsze jednakich myśli!.. Zajęcia są! Mężczyzna jest nieco odmienny od was kobiet... Trzeba się przemódz... I czego ty się właściwie boisz?.. Przyślę tu kogo... I w tem ubraniu!.. Białą koszulę widać po ciemku. Okno jest naprzeciw... Zasiębić się łatwo.“

Zatrzasnął drzwi i stłumił tem czyjś płacz. Zaledwo krok postąpił, potknął się o coś na słomiance. Podniósł jakiś pęk z ziemi i zniósł o pół piętra niżej, do światła. W ręku trzymał zdeptaną i obłożoną przed chwilą garść białych lilij... I w tejże chwili zdało mu się, że tam wyżej, pod tem oknem, na które zwracał jej uwagę, ktoś jęknął i osunął się głucho na schody. Jelsky rzucił kwiaty jak oparzony i wyskoczył na ulicę...

„Ratuj ty siebie! — krzyknęło coś w nim. — Rób coś! Opanuj się wolą!.. Już ciebie ze wszystkich stron opadają upiory.“

A myślom przypomniało się natrętnie:  
*Komm, folge mir in das dunkle Reich hinab!*





o domu bał się wracać. Chciał ludzi, jak najwięcej ludzi; ruchu, życia, gwaru naokół siebie. Ten młyn miejskiego życia potrafił przecież zagłuszać najdokuczliwsze myśli, największe bole. Nieraz zdawało się Jelsky'emu w takich chwilach, że ludzie naokół udają tylko

jakąś pilną krzątaninę, wytwarzając umyślnie jakiś chaotyczny i bezsensowny wir, na to tylko, aby mózg nie myśleć o sobie.—Jakoż, idąc teraz przez ulicę, miał wrażenie, że wszystko naokół wpadło w jakiś dziwaczny i szalony taniec. Rozsnuła się mgła i tłumy wysypały się jak mrówki po deszczu. Snuły się, płynęły, przeplatały w korowodach, wygarniały w boczne ulice, sypały się jakby w popłochu z zauleków, wbijały się klinem w inne fale i rozsnuwały pod murami w nieskończone czarne i ruchliwe wstęgi. Zaś na placach,— tam gdzie powozy zbijaly się w nierozwiązkane węzły, gdzie tramwaje i omnibusy, kłócąc się ze sobą

dzwonkami, tworzyły jakieś zawały nie do przebycia, — tam zlewający się zewsząd tłum porywało coś jakby w nagle, pośpieszne i gwałtowne ruchy. Wśród dzwonków, krzyków, gwizdu i łoskotu, wszystko, co żyło, wpadało, zda sie, nagle w jakiś szal i wir kankana.

Jelsky lubił i ten tyngiel. Ale dziś po raz pierwszy uczuł się tylko widzem: on jeden nie brał w dzisiejszym spektaklu żadnego udziału.

— Zły znak, — rzekł do siebie. — To jest bardzo zły znak!

„A więc do kawiarni,” — kontrolował swe zamiary dosyć późno, bo wtedy dopiero, gdy zasiadł przy stoliku. Wraz z butelką wina przyniesiono mu i pocztę. (Jelsky wszystkie swoje sprawy załatwiał w kawiarni.) Listów wszakże nie przeglądał, korekty robić mu się nie chciało. Siedział w cylindrze na głowie, dłużał w zębach wykałaczką, popijał winem i rozmyślał:

„Kryształowy, niezmącony sentymentem szczyt cynizmu jest rzeczą niedościgłą dla nas. Brakuje nam głębotkiej filozofii pieniądza, bez której z fałszywym niepodobna. To też przedzej czy później na piasek wyrzucić nas ona musi.... Jakże to Hertenstein mówił? — „A ja poprzez męty uczuć waszych, biedni, sentyment widzę. — Przepadniemy...“ I on także. — Co robi naprzkład między nami ten blady sceptyk nielitościwy jak sumienie? ten znudzony Jeremiasz z kruczą wrózbą zagłady? ten między tyngle zabłąkany germański romantyk z koturnowym sentymentem swej muzyki, nieznoszącym profanacyi tłumu?.. I ten drugi napół dziki aktor ze swoją tragedią instynktów? serdeczny męczennik najwyższego ich popędzu, z którego wszelka sztuka się rodzi: instynktu do udawania i aktorstwa?.. I oni wszyscy wraz ze swoją bolescią?! — Czyżby to był tylko do kupy naspędzany żer dla polipów?..“

I coś jakby siłą odwróciło mu głowę w stronę tego

stolu, przy którym siedział wczoraj wraz z całą gromadą. Nawał wspomnień rzucił mu się do głowy. Aby je stłumić, począł coś rysować na marmurowym stole. Od niechcenia, bezwiednie wylitografował na nim gotyckie: *Wein, Weib und Gesang*, poczem zmył to palcem i wśród modnych zakrętasów oraz płynnych linii napisał: *Wódka, prostytutka i nastroj*. — Ale oczy mimo wszystko odrywały się co chwila i wracały w tamtą stronę. Bo gdy nie patrzał, miał wrażenie, że z tamtego kąta wlepiają się w niego oczy polipów, wypukłe, iryzujące, potworne ślepia mątw, i że oto wyciągają się ku niemu olbrzymie mięsiste ramiona, pełne obrzmiałych, śluzowatych i chciwie otwartych ssawek...

„Ssać, ssać i ssać! A wyssaną muchę odrzucić precz! I siegać dalej, szerzej, wyżej!..“

I wydało mu się w tej chwili, że tuż obok niego siedzi Borowski, a po drugiej stronie Hertenstein, i że skuwa ich coś do siebie, obezwładnia razem... że sto nici pajęczych opłata ich powoli. Szarpnął się i rzucił jak szczupak. — Zadzwonił niecierpliwie i gwałtownie.

— Piwa! papieru! — wołał.

Za chwilę pisał gorączkowo, gwałtownie, goniąc myśli piórem. Już kilka kartek na bok odrzucił, gdy usłyszał nad sobą nosowy głos, akcentujący niedbale nonszalancję i lekceważenie: „A co! — pomyślał — jest już jeden z nich.“

— Co się pisze? — pytano go. — Paszkwilek?

— Hm! — mruknął potakując i dodał niecierpliwie: — Poszedł precz!

— Tytulik?

Jelsky odczytał tym razem z zadowoleniem: „*Furor aphrodisiaca. Z katechizmu i praktyki życiowej nadludzi*.“

— Ho-ho-ho! — zaśmiał się ktoś szeroko nad jego głową. — Bój się Boga, Jelsky, tyś już dowcip stracił, kie-

dy możesz takie rzeczy pisać na trzeźwo. Pchły się pogryzły, a ty z armatą na olbrzymów ciagniesz. Kto tu cierpi na *furor*? — Tu wszystko na zimno się robi. Jaki czytelnik weźmie się dziś na „nadludzi”? — słówko naprawykrzyło się już nawet przedmieściom. Piszą: „masonów,” to zawsze jeszcze najbardziej popłaca.

Jelsky rzucił pióro o stół. W pierwszej chwili szukał kogoś oczyma naokoło siebie. Ale nie znalazłszy w całej kawiarni nikogo prócz kelnerów, nie zdziwił się nawet bardzo. „I do tego dojść można!” — rzekł do siebie. — Podarł kartki na drobne kawałki i rzucił je w kąt. „Te wszystkie polipy dla mnie już nawet ciałem egzystować nie potrzebują. Ja mam je wszystkie — tu, w głowie!!“

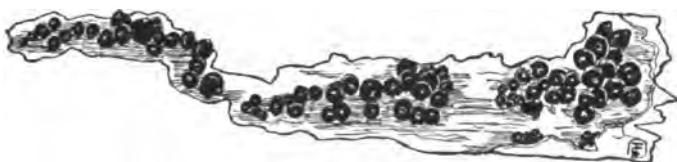
Dłońmi oczy przysłonił i wciskał je sobie w ciało. Ale rozbudzona myśl już mu spokoju nie dała. „Wszakże i ty byłeś dla nich Beatrycza, — podsunęła mu natrętnie. — Tylko że tobie nie pomagał zdradny Eros, lecz poczciwy, nigdy niezawodzący Merkury. „*La tua reclama implo-ro — o Jelsky potente!*“ — tak się większość was w głębi duszy modliła. Ilu geniuszów napłodziły z tobą poczciwy Merkury! Ilu ich rozpycha się teraz w życiu i drzemie w przedsionkach Parnasu, lub w loży portyera. — Zwłaszcza tam! Bo czyż może być bardziej wymarzone stanowisko społeczne dla tych, co przeliczyli się wprawdzie w swym talencie, znają wszakże natomiast stosunki, normy i wymagania: wiedzą, przed kim można hardo łeb zadrzeć, a przed kim należy kark nizko pochylić? Niebyle jakie to obowiązki i nielada odpowiedzialność przed społeczeństwem! Niech tam wewnątrz trudzą się, myślą, męczą, szaleją, kochają i giną! — portyter musi mieć zawsze objektyną i czcigodnie poważną fizyognomię kolumny. Portyter reprezentuje przecież godność gmachu; wyszarzanym tużurkiem pańskiego dziada lub pańską liberyą imponuje ulicz-

nym tłumom tak dalece, że gasi doszczętnie wszelką ciekawość tego, co się wewnątrz dzieje. A dzieje się zawsze źle: — nie tak to za starszych państwa bywało! I ludzie wierzą, że źle się dzieje. Któż bo lepiej od portyera znać może pańskie plotki?

Serdeczni moi, — zwrócił się Jelsky do tego stołu w kącie, co mu wciąż oczy drażnił i przyciągał wzrok, — serdeczni moi, jam was wszystkich na pegaza powsadzał. Siedźcież bodajby okrakiem, ale trzymajcie się mocno za grzywę i jedźcie powoli a ostrożnie wygodnym gościńcem naśladownictwa lub obchodną ścieżką względów i względów. Poczciwy koń zaprowadzi was przedzej czy później do złobu. Cierpliwości tylko!

Wam przystoi być bardziej uświadomionymi od starszego pokolenia; to też w zwycięzkich fanfarach, wśród uroczystych peanów na cześć Erosa, pokłońcież się choć pocichu Merkuremu. Innemi słowy, oddając hołdy każdy swej Beatryczy, wspomnijcie choć kiedy niekiedy dobrem słowem — Jelsky'ego.

Bo te dożynki wasze, polipy moje, to chyba życia mego jedyny plon będzie!..“



„Osmętniałem coś?“ — Jelsky podrzucił hardo głowę. — „Trzeba zjeść kolację“ pomyślał i siegnął po jadłospis. Lecz karta wypadła mu niebawem z rąk. „Oto : 4

skutki ambicyj! — podszeptał mu w nagłym zwrocie bies kapryśnej myśli. — Pomyślałem na chwilę tylko o pośmiertnej sławie i straciłem natychmiast apetyt... A gdyby tak do kolacji zaprosić Lili?.. Albo — *tiens!* — Zosię Borowską! Towarzystwo naiwnej kobiety robi nadzwyczajny apetyt!.. Niemożna, niepodobna! — Izami przesoliłaby mi wnet wszystkie potrawy.“

Począł coś kreślić ołówkiem po stole. Z bezładnie poplątanych linij wyjrzały nagle kontury ptaka.

„Chrześciański ptaszek Feniks? — zgłębiał Jelsky własny rysunek, — czy też... czy też — kanarek?.. Oj złe!“ — Jelsky przygryzł wargi.

Wychylił czempredzej kieliszek wina i starał się ten nieznośny zgrzyt dokuczliwych wspomnień zagadać czempredzej, zasypać nowemi myślami, pogrzebać w ironii.

„A no, — mówił do siebie, ocierając wąsy po winie, — droga otwarta! — Mieszkanko czyściutkie, rondle są w kuchni, po poprzedniku pozostały pantofle, z których szczęśliwie wyskoczył... Recepta żywcem wyjęta z epiloga angielskiej powieści: — Stojący nad przepaścią artysta odżył, odrodził się w miłości. Muza jego w cieplem objęciu ubóstwianej żony pozbyła się dziwactw młodości i poczęła się udzielać często, tanio i z całym wdziękiem popularności. Muza, nie zona! Zapewnia mu to na dłujo ciepło domowego ogniska, poszanowanie u ludzi, jakie daje dobrobyt, oraz zasłużoną dumę, jaką darzy nas popularność.

Jelsky parskał śmiechem. „Nie udają mi się uto pie,“ — zdecydował.

Ale zaledwie się ten śmiech rozwiał, wyjrzało z poza niego nieubłagane oblicze rzeczywistości z dziwnym, złośliwym uśmiechem: „Nie miniesz, nie oszukasz.“ — Jelsky znowu siegnął po wino i przepłoszył te myśli ironią.

„Co się w tej głowie Müllera w tej chwili dziać mu-

si? Hm?.. Beatrice — — puściła się!.. Musisz sobie przyznać, że doświadczasz dreszczu nawskoś nowego!“

Śmiech Jelsky'ego rozległ się głośną gamą po kawiarni.

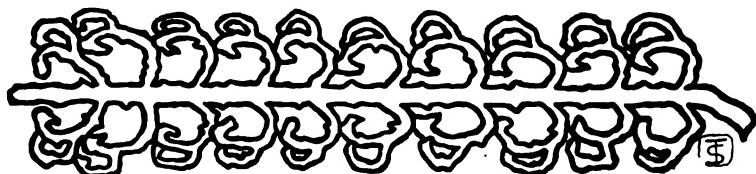
„Hm, — mruknął, głaszcząc wasy, — jeżeli to żywe zainteresowanie się społeczeństwa sztuką będzie i nadal wsiąkało szczęśliwie we wszystkie pory znudzenia i bezsilności, we wszystkie próżnie i pychy życia, należy się spodziewać, że z końcem wieku każdy szanujący się bankier będzie wymagał od swej metresy, aby dawała five-o'clock'i artystyczne i w chwilach wolnych od zajęć była platoniczna Laurą lub Beatrycą dla jakiegoś młodego, pełnego nadziei geniusza. Pod koniec wieku, bankierów stać będzie na przyjaciółki z uniwersyteckiem nawet wykształceniem; zaś artyści, w swem zyciowem *noli me tangere*, oraz w głębszej nienawiści do spraw społecznego smętku, potrafią pogodzić i taki stan rzeczy z błękitnem marzeniem o absolucie.“

Jelsky zatarł ręce. „Ta utopijka udała mi się wcale nieźle. Jednym słowem fuszerką miłości, małżeństwa, beatyczowych natchnień źródłem my się leczyć nie będziemy.

A gdyby tak spróbować kuracyi w dyetetycznym sanatorium obywateleskości. Smętna to wprawdzie rzecz współpracownictwo w jakimś etyczno-społeczno-zagraniczno-statystycznym i jedynie nieomylnym organie tygodniowej opinii, jednakże — Boże wielki, czego rozbitek zyciowy nie robi! A środek, — bywalczy to wiedzą! — *probatum est*. „Umiesz pan pisać?“ „Umiem.“ „Damy panu dział krytyki artystycznej i naukowej.“ „O co właściwie będzie chodziło?“ „O obywateleskość.“ „*Bon!*“ — Czy może być rzewniesza i prostsza droga cnoty nad te, jaką wskazuje społeczeństwo obywatełom umiejącym pisać.“

Ze wszystkich kątów kawiarni przynosiło mu echo raz po raz własny śmiech niby złośliwe pohukiwanie gno-

mów w górkim uroczysku. Przymrużone oczy Jelsky'ego zapatrzyły się w dal bezświetlną i ponurą.



Nagle, tam za wielkimi szybami kawiarni coś szarpenęło jakby miejskim pogwarem; zadrgało w powietrzu, zadudniało po brukach miarowo i mocno. Z łoskotem trąb i bębnów grzmotem wpadły w turkot uliczny tęgie, twarde rytmu wojskowego marsza. Już tam za oknami popłatał się tłum, już się sypnęła ruchliwa awangarda uliczników.

„Oto idą panowie, którzy wyrażają opinię narodów, — myślał Jelsky, patrząc na tych łobuzów. — Oto idą narodzni przyjaciele trotuarowych samotnic, ich wrogowie z obowiązku: kamenci, próżniacy. „*Ecrasez l'infame!*“ — „*Conspuez Zola!*“ — „*Strike England, strike merciless!*“ — „*A Berlin! Vive Boulanger!*“ — „*Nieder mit den Slaven!!*“ — „*Wszyscy niemcy są lotrami!*“ — „*Preussen, Preussen über alles, über alles in der Welt!*“

Marsz porywał wszystko, co żyło, na ulicy w swój rytm dziarski, butny, zuchwały. Ulica grzmiała potęgą. I tą brutalną mocą mosiężnego łoskotu uderzył marsz w szyby kawiarni, zamieniając i tu ludzi w konie: uszy strzygły bezwiednie, same prężyły się golenie.

Jelsky'emu głęboki oddech piersi podniósł i rozsze-

rzył, lecz przekorna myśl w tejże chwili odwróciła i ten nastrój, bo przyniosła grymas nad tem, że marsz tak wielki, marsz tak potężny głośny dziś tylko cichy płacz dzieci. Czyżby na to trzeba było aż takie łoskoty po stolicach czynić?... „Zresztą chwałę metodę: — i ja mam w sobie orkiestrę, która fanfarą paradoksów grzmi wtedy najgłośniej, im ciszej skarży się oniemała dusza.“

A może ten marsz święci dawne boje i dawne chwaly, czas taki jeszcze niedaleki, kiedy te surmy zagłuszyły inną weselną piosnkę bojową:

*L'amour sacré de la patrie...*

Z hukiem bębów i trąb łoskotem szła nowa, nieubłagana brutalnej mocy potęga.

*Preussen! Preussen! über alles,  
Über alles in der Welt!*



Przewalił się marsz łomem burzy i jak ciężka chmura gromem dalej się potoczył. Mijał, cichł... Już go łoskot uliczny głośny. Jeszcze drży w podnieceniu ludzi, jeszcze bębni słabo po szybach kawiarni.

Jelsky'emu opadła pierś, zwiotczało napięcie w mięśniach. Przymrużone za szkłami oczy zapatrzyły się — w próżnię.

I już myśleć nawet nie mógł; — siedział długą w bezwładnym otumanieniu. Wreszcie szarpnął się i zatrzeptał jak zbudzony ptak. Aby skupić rozproszone w lęku myśli, rysował coś znowu na stole. Z wiru linij wychylać się poczęły najwyraźniej kształty rewolweru. Wyłot lufy ozdabiała twarz ludzka, skrzywiona w jakimś okropnym okrzyku.

*Secessionsrevolver*, — podpisał Jelsky pod tym swoim rysunkiem i siegnął machinalnie do kieszeni. W zamieszczonym futerale błysnęła lśniąca i połyskliwa broń.

„Więc ja po to się tu przywlokłem?“ — pomyślał teraz dopiero. I w pierwszej chwili lęk za gardło go chwycił. Chłód przerąliwy przebiegł go od potylicy, grzbietem, aż po stopy same. — „Więc to wszystko było już obmyślone? już postanowione nieodwoalnie?.. Kiedy?!.. Więc ta gwałtowna chęć zaprzyjaźnienia się z Kunicikiem, ten artykuł na nich, to bicie się z myślami w poszukiwaniu ratunku dla duszy, to pogrzebywanie śmiechem i ironią wszystkich jej bankructw, — więc to wszystko było tylko niedoleżną próbą obejścia postanowienia?“

Kiedyż ja je powziął? Kiedy się to wszystko stało? — Kiedy?...“

*Komm folge mir in das dunkle Reich hinab!*

— Pan kazał przynieść kopertę, — usłyszał ponad sobą.

— Kazalem? Mówisz?.. Daj! I czekaj, czekajże! — Wyrwał z pugilaresu list pozostawiony przez Borowskiego, włożył go do koperty, dołączył klucz od zatrzasku i zaadresował do Pawluka. Kazał odnieść natychmiast.

— Akademia sztuk pięknych! — Ledwo chłopak się odwrócił, Jelsky zakrzatał się nerwowo koło siebie i zapiął szczelnie tużurek. Zapatrzone gdzieś oczy utonęły po raz drugi w prózni. Wsparł czoło na dłoniach i przesiedział tak chwilę w otumanieniu. Nagle sięgnął po butelkę, napił się dwukrotnie raz po raz; odstawił potem kieliszek z takim impetem, że szkło się rozprysło o marmur...

I wyjął znów z kieszeni zamszowy futerał. „Hu, — jakież to zimne! — jak błyszczy, — jak zęby szczerzy... Przecież w tem jest głęboka myśl czasu, że w epoce demokratycznego rozbrojenia każdy cichy filisterek nosi w kieszeni taką sześciostrałową armatkę, z tem smętnem przeczuciem, że jeśli jej kiedyś użyje, to chyba tylko przeciw samemu sobie.“

Pochwycił jakąś kartkę itał coś pisać, ale zniechęcił się wnet. „Ze tez ja nawet w takiej uroczystej chwili nie mogę się zdobyć na krzynę talentu! — (Zaśmiał się trochę za głośno, i zły na siebie, przygryzł wargi.) — Dobryś, — teraz w piersiach już zaczyna skrobać, — z samej tylko emocyi.“

Gdy uniósł głowę, ujrzał ponad sobą jakieś siwe sumiaste wąsy i wielkie oczy pod krzaczastymi brwiami.

— Panie Jelsky...

— Czego?

— Panie Jelsky...

Jelsky nie oryentował się, o co idzie; mrużył oczy, głową zaprzeczał. Wreszcie:

— Prawda, prawda — posłaniec. Przyszedłeś obiegac?!.. No, mów, mów! Bileś się, gdzie nie było potrzeba, i teraz nie masz co jeść.

— Ja dla pana tu jestem. Cały dzień mi pan z głowy wyjść nie chce. „Pójdę, — myślę, — i powiem mu, co mam na myśli. Stary ja człowiek, rodak, — może mnie

i posłucha. Pójdę i powiem mu: Grzech, grzech, panie Jelski, takie myśli!"

— Jakie myśli?.. Więc tyś zrana już odgadł?!

— Ktoby nie widział!

Jelsky patrzał na niego pochmurnie.

— Wytlomacz-że mi, czemu ja własnych myśli nie widział?

— Są rzeczy, które sercem tylko się widzi.

Jelsky opędzał się jakimś myślom dlonią. „Głupiś!“ — rzucił mu krótko w odpowiedzi.

— A teraz słyszałem przecie wyraźnie, jak pan jęczał.

— Co..? — (Jelsky teraz dopiero zauważył stojących nad nim kelnerów).

— Jęczałem?.. E, to jest złudzenie waszego sentymentu. Albo macie nieczyste sumienia: daliście mi podlego wina z grubą marką. A że ja za nie gotówką przecie nie płacę, więc mi nie wypada się skarzyć; — jęczę sobie po cichu — ot co... Panie rodak, panes widział pewno dużo tchórzów w życiu?

— Czego, jak czego!..

— No, to mnie się pan nie przestraszysz... Odprowadź mnie pan tam w kąt na sofę... Zresztą, jeśli chcecie koniecznie, jestem niezdrów... Mam od wczoraj silną gorączkę. Szatany spacerują po moim pokoju jak w klubie parlamentarnym... O tak, tu poleżę — i nabiorę może trochę odwagi... Pan jesteś dobry, zacny człowiek, panie Zahlkelner, pan ze świadomością melancholią udzielasz mi kredytu. Ta melancholia świadczy również dobrze o pańskiej przenikliwej inteligencji... Doktora? U, nie lubię! To są najsmutniejsze kabotyny, co nawet w samych siebie wierzą... Panie ekspres, siądź pan tu przy mnie, chcesz mi pan rękę na czoło polozyć? Dobrze. Panie Zahlkelner, niech się pan nie martwi, proszę. To

przejdzie. Powiedzcie mi panowie, czy ja miałem talent?.. Dawniej? w początkach?.. I ja tak myślę!.. Nie chcesz, żebym mówił?.. Chcesz mnie pocałować, panie ekspres?.. Owszem, wyświadacz mi tę śmieszność. Poca...!



Jelsky opadł ze śmiechem na sofę. Kazał sobie po- dać papierosa; leżąc nawznak ćmił go powoli i strzelał dymem w sufit. Nachmurzony kelner począł się wałęsać między stolikami. Ujrzał zbitny kieliszek i skierował się w tę stronę.

Na kanapie obok znalazły się rewolwer i schował go natychmiast do kieszeni. „Chwała Bogu, że stchorzył!” — pomyślał. Zgarniąc szczerby szkła, zauważał coś białego na brzegach, podniósł do oczu — i w jednej chwili rzu- cił się w stronę Jelsky'ego... Nie dobiegł jeszcze do niego, gdy z krzykiem cofnął się w drugi koniec kawiarni.

Zadudniał telefon.

Nasypało się narodu do kawiarni. Ludzie prości bie- gli przedewszystkiem tam w kąt, aby ratować kogo nale- ży; ludzie lepiej odziani rzucili się czempredzej do stolika, aby odczytać pozostawioną kartkę. Wyrywano ją sobie chciwie z rąk do rąk:

„Jedyną bronią przeciw fatum naszego życia jest dobra gra: ta naprawdę już tylko świadoma zdolność oszukiwania ludzi i siebie aż do ostatniego tchnienia. Was, bracia artyści, uczyć tego niepotrzeba; w tem sztuka nigdy nie zwodzi: odbiera duszę, daje „role.“ A więc, kanalie: *evviva l'arte!*“





roczna cisza panowała tu na wzgórzu w okolicach willi von Hertensteina. Miasto na podłach, zobjęte dymem, przysłonięte rdzawą luną, rzucalo w tę stronę głuche, zrywane i ponure zgiełki. Zresztą panował tu spokój prawie uroczysty. Życie ukrywało się po za ogrodami, wewnątrz murów cichych, prawie sennych, życie odosobnione, dumne, trwożliwie unikające wszelkiego natręctwa. Surowe sztachety odgradały je od bruków zadrzemanej i nudnej ulicy. Czasami potoczył się lekko powóz, parsknęły konie, poniosło echo długie wołanie. Zatrzasnęły się po chwili wrota, i znów niczem niezmącona uroczysta cisza, cisza samotności, dumy i wzgardy.

Müller przychodził powoli do siebie u Hertensteina. Łagodny spokój pieścił go ciszą, darzył dobrem, kobiecem prawie wyrozumieniem. Hertenstein leżał opodal na dlu-

gim i nizkim fotelu, kołysał się na jego biegunach i rzucał od czasu do czasu krótkie, badawcze spojrzenia. Milczeli obaj. Müller, wtulony w kąt otomany, pobrzękiwał na strunach jakieś mandoliny, czasami siegał po wino na stole, to znów uderzał w struny grał, brzdąkał. Po pokoju wałował się ogromnie wysmukły, soplamy długich białych włosów okryty chart. Co chwila podchodził do Müllera, kładł mu na kolana długi pysk i wpatrywał się w niego smutnemi oczyma kobiety. Gdy Müller grać przestał, pies na bok odchodził, kładł się u nóg swego pana, wyciągał łapy sztywno przed siebie, mrużył ciężko oczy i drzemiał, wstrząsając się od czasu do czasu, jakby pod zmorą snu przykrego, lub rojem dokuczliwych wspomnień.

— Jaki on wrażliwy!..

— Suka, — bąknął Hertenstein, nie przestając się kłycać.

Müller odrzucił instrument w drugi kąt otomany, głuchy pobrzęk strun obudził psa: uniósł łeb, obejrzał się i już oczy zamknął, zanim głowę do snu ułożył. Po chwili znowu łeb uniósł i spojrzał bystro na swego pana. „Mówcie cośkolwiek,“ — zdawał się niepokoić.

Hertenstein podniósł się powoli i nalał wina.

— Pij! — Uśmiechnęli się ku sobie, jak ludzie bardzo zmęczeni, i sięgnęli po kubki.

— Niebrzydka, — mówił Müller, obracając czarkę w dłoni. — I wnet potem bez żadnego przejścia: — Prawdopodobnie przyjdzie i na ciebie kolej niebawem. — (Roześmiał się sucho). Przecież to z Jelsky'm niedługo potrwa. A ktoś zająć się nią musi.

— Szukaj brutalniejszych, — odparł mu spokojnie i osunął się na fotel, — albo bardziej egzaltowanych. Ja w gąskach nie umiem odkrywać skarbów poezji. „Wyzwolenia“ szukać już dawno przestałem u kobiet.

Müller rzucił się tylko na otomanie, ale nic nie odpowiedział.

— Gdzieś ty spał wczoraj?

— Na *plein air*'ze.

Hertenstein wzruszył ramionami. Po chwili zaś, rzucawszy nań okiem:

— Pij!

I znowu milczeli, długo, uparcie. Pies zadrżał raz poraz we śnie, czasami leb zadzierał, prężył swe długie cienkie nogi i szyję jakby w bólu w tył odrzucał. Nagle zerwał się i, przegięty w sobie, jakby garbaty, dreptał cicho po dywanie, snuł się jak cień po kątach.

— Cisza tu u was... Smutek, ale jakiś niespokojny.

Za daleko od życia.

— Przywykłem. Potrzebuję.

Nagle, wstrzymując bieguny:

— Z Jelsky'm jest gorzej, znacznie gorzej!

— Niżli z kim?

— Z nami chociażby. — Roztargnionym ruchem zgnąał włosy z czoła i rozkołyzał gwałtownie bieguny.



Müller zerwał się nagle, wychylił duszkiem kubek wina i nacisnął beret na głowę.

— Pójde, — krzyknął.

— Dokąd?

Wzruszył ramionami: — Gdziebądź, w jakiś najciemniejszy kąt, zdala od ludzi. Widzisz, i tu nawet nie mogę Człowiek, stworzenie, sprzęt każdy ma dla mnie jakiś grymas niepewności i lęku, trwogi czy zlej wróżby. Niepokoi mnie wszystko, na co spojrzę, i wydaje mi się, że wszystkiemu, na co popatrzę, ten niepokój udzielać się musi. Kunicki powiada, że to od picia. — Ja przesycam wprost atmosferę tem przenerwieniem, w krótkim czasie potrafię zatruć niem każde miejsce, gdziekolwiek spokoju szukam. Prosto wierzę, że to się nawet martwym przedmiotom udziela. Gdy sam w pokoju jestem, gotówem przysiądż, że tak jest. Chociaż Kunicki powiada...

— Głupi jest ten twój Kunicki, — wtrącił chmurnie Hertenstein. — Mów!

— Widzisz, to przychodzi w chwilach dusznego oniemienia i bezwładu, kiedy myśl nawet staje, a instynkt krzyczy: „ludzi! ludzi!“ — ciepła ludzkiej dłoni, ciepła ludzkiego oddechu... Borowski to rozumiał, sam miewał; powiadał, że to ona jest: zmora życia. Ja myśl, że to jest jeszcze nieświadomy paniczny lęk samego ciała przed pustką w sercu, w duszy: — co wolisz. *Horror vacui*. — wiesz? Na Borowskiego nierzaz to przychodziło. Wówczas zrywał się, biegł do niej, tulił się, krył się twarzą w jej piersiach i krzyczał, że się śmierci boi.

— A ona przepłaszała nawet widmo śmierci?

— Tak, — odparł Müller z jakąś ponurą powagą.

— Bagatela! — skrzywił się Hertenstein. Czego te cudówczynie nie potrafią! I czego my od nich nie wymagamy! A one tak mało mają do rozdania od siebie, a tak wiele ze skarbca naszej wyobraźni. Wyobraźni! — powtórzył z naciskiem, patrząc Müllerowi twardo w oczy. — Bo nie chcesz chyba stać się śmiesznym i mówić poważnie o uczuciu. Podniecenie wyobraźni, jej pęd niepowstrzymany i szal wreszcie. W tem mieści się klucz do zagad-

ki, dla czego gęś stać się może przeznaczeniem dla takiego jak ty człowieka... „Przeznaczenie!“ — „wyzwolenie!“ — za dużo się tego dziś słyszy. Afrodyte z nas się śmieje.

— Mówisz jak Jelsky, — zachnął się Müller. I wodząc dlonią po czole, z trudem jakby zmuszając się do mówienia: — Zbyt mało obchodzą mnie dziś twe porównania, ale jeśli chcesz koniecznie, to prócz Afrodyty jest jeszcze Astarte.

Hertenstein, głaszcząc długi leb psa spoczywający na jego kolanach, mówił spokojnie:

— Zlituj się, to była bogini tych nawpól gołych bestyj o płaskich lubieżnych twarzach, o hebanowych w kwadrat ciętych brodach, w których tonęły usta i policzki, bestyj o posagowych goleniach i czarnych kudłaty piersiach, potworów strojnych w szkarłat i złote obręcze. Przedstaw ich sobie tylko i przejrzyj się w lustrze: — nie wskrzesisz! Przecież w tych czarnych, sytych, rozleniwionych w tropikalnym słońcu panterach fermentowało jak w podzwrotnikowych trzęsawiskach? Przecież w małych czaszkach tych brązowych kudłaty dyabłów legła się tylko potworna, dzika, chaotyczna wyobraźnia? Przecież te ogniste ślebia, zmrużone pod wiechami brwi, nie dorosły pono jeszcze do błekitu? Baal miał za wielką paszcze, aby mógł mieć wystarczający dla boga mózg, Astarte za mało ducha jak na swe milionowe chucie. W walce bogów, zgubiła ich *gnuśność niższej rasy, zwyciężył intelekt*... Po-szukaj sobie innych bogów, mój drogi.

Müller słuchał w roztargnieniu. Podniósł się ciężko i, ukrywszy się w okiennej niszy za firanką, kreślił coś palcem na szybie.

— Bardzo barwnie, nader uczenie mówisz o bogach... Mój drogi, ty jesteś taki mądry, — powiedz... powiedz, tak tylko! — co będzie po śmierci?

Hertenstein pokoływał się na biegunach, napił się wina i mówił:

— Pytała raz Matrei męża, co będzie z nami po śmierci. Za wiele żądasz, — odpowiedział jej, — o tem i bogowie nie wiedzą.

— Kim była Matrei?

— Wielką kobietą, — jedyną w dziejach świata, której duch rwał się w absolutne głębie. Ustami Matrei przemawiają nieraz święte księgi wschodu. Prorokini. Jedyna!

— Ciekawe rzeczy opowiadasz. Kaz przyrządzić nargile.

— Życzysz sobie?

— Poproszę. A tymczasem... mój drogi... (Ja ciągle czegoś się boję; — teraz tam za oknem...) Mój drogi... O czemże ja? Aha! — Co będzie po śmierci? — powtórzył kapryśnym głosem upartego dziecka.

Głos Hertensteina koływał się wraz z nim i falował nieznacznie.

— Wraz z tobą zginie treść i sens zagadki. „Gdy umrę, skona wraz ze mną nawet Bóg mój,” — powiada Anioł Szlązak. Wobec tego nicość jest wszechświatem.

Müller milczał przez długi czas.

— Przyjemnie tu u ciebie, — rzekł wreszcie, — pacchnie miło, wino masz przednie, mówisz interesująco o bogach i o śmierci. — Ale ja...

— Co, — ty?

— Jestem złym towarzyszem dzisiaj... Ja mam umrzeć za kilka miesięcy.

Hertenstein zatrzymał bieguny i zerwał się sprężyście, ale w tejże chwili stanął w zakłopotaniu, nie wiedząc, czy zbliżać się do niego i jak to uczynić. Wyprzedził go pies: poskoczył do Müllera, rzucił mu się łapami na piersi i wyciągał pysk.

— Jaka ta suka jest dobra, wrażli...

Zadrgało coś, złamało się w jego głosie; w jednej chwili poczerwieniał jak rak.

— Bój się Boga, wyrzuć tego psa, bo ja się rozbęczę!..  
Hertenstein uderzył psa ręką.

— Poszła! — krzyknął gniewnie. — To już płeć ma  
to do siebie, — ten sentyment, — mówił w zakłopotaniu  
i wicherzył włosy. — Ale! — krzyknął nagle i rzucił się do  
biurka. — Mam dla ciebie nadzwyczajne cygaro!.. — (Przy  
biurku zatrzymał się jednak znowu w zakłopotaniu). — Nie  
chcesz może?.. A gdyby tak rzeczywiście nargile, — co?

— Widzisz, Henryk, ty może niesłusznie... może ja  
do tych jej dloni o dar dobroci, spokoju... Tak, o spokój,  
o tę ludzką moźność śmierci!.. Potem w wyobraźni wy-  
szło co innego... Ale my o tych pierwszych, najszczer-  
szych drgnieniach nigdy nic nie wiemy, my zwłaszcza.

Hertenstein potakiwał gwałtownie i pośpiesznie, po-  
takiwał wtedy jeszcze, gdy Müller przestał mówić i wy-  
ciągał z zanadrza garść białych, pomiętych kwiatów.

— Co to? — ośmienił się zapytać

— Brud, kał, życie! — bąkał Müller.

I w naglej, niepamiętnej pasyi począł te kwiaty wcis-  
kać, wcierać sobie w twarz. A potem odrzucił je precz ze  
wstrem.

— Pyf! — krzyknął na psa.

Hertenstein energicznym ruchem powtórzył psu ten  
nakaz i otarł sobie pot z czoła.

Chart skoczył, poslisnął się po podłodze, dopadł żę-  
bami do kwiatów i w jednej chwili roztargał je na strzępy.



Zdawało mu się, że leży w czerwonej grocie: to płonące za purpurowym abażurem światło przenikało wszędzie cichym, uroczystym spokojem bajki. Wzrok jego, odurzony tym równym zalewem czerwonego światła, błakał się sennie, szukał jakby oparcia i wytchnienia dla myśli. Natrafił na głowę kobiety na portrecie: twarz białą, chmurową, o wysokiem, jasnym czole w ciemnym mahoniu włosów.

— Aha! — pomyślał i przeniósł oczy na Hertensteina. Jego spokojne, zgaszone prawie wejrzenie, mleczna, prześwietlona bladością twarz, zastanowiły go na chwilę. Kilkakrotnie przenosił wzrok na portret i już chciał go o coś zapytać, gdy Hertenstein powstał gwałtownie i odwrócił się do tyłem niego.

Po chwili wydało mu się, że słyszy, jak woda gdzieś cicho pluszcze; widzi, jak się przelewa zwolna i mąci na kamieniach lekką białą pianą. Jakieś dwa potężne granitowe złomy, ociekłe wodą, białe od śniegu, jakieś przytulone do siebie czarne cyprysy, jakieś małe, czarne wyłomy w masywie skały: oczy smutku spozierające tajną głębią grobów...

„Obraz,” — oprzytamniał siebie w tym pół-śnie...

O już tylko módz umrzeć, cicho, spokojnie, bez żalu i skargi, jak płomień, co zamiera... Zapomnieć, co było. Wziąć rozgrzeszenie z rąk najlepszego z bogów: niepamięci. I zgaśnie to wszystko wokół, jak lampa, co się wytliła. Raz i drugi świadomością wielkiego żalu błyśnie i... Zamknie się grot. A ta skała potworna zwali się głucho na piersi...

Rzucił się na kanapie i otworzył oczy.

— Henryk, co to?!

— Koncert E-mol. To larghetto, — wiesz?..

— Dosyć, — nie to!.. Nie mogę dziś.

Hertenstein urwał, po chwili jednak rzucił kilka taków, szukał melodyi.

— Pamiętasz?

— A?!.. Podobno siostra twoja śpiewała na koncertach? Z twoją melodyą polecał ten mój „Łabędź” w dalekie strony... Ile to już lat?..

I Hertenstein grał znowu. Rzucił kilka akordów, spróbował melodyę, znów ją pasażem zmącił i urwał. Po czym odchrząknął, z krzesłem bliżej się przysunął, dłońmi klawisze musnął i zaczął. W dźwięki fortepianu wplotły się niebawem głęboką nutą umyślnie tłumiony śpiew:

*Obłoczną górą ciągnie ptak  
W bezgwieźdną ciszę przyszłych burz,  
Ponurą grozą krwawych zorz,  
W daleki, chmurny zwątpień szlak.*

*Łabędziu mój, z tesknoty mórz  
Polotem twym daj boży znak,  
Ty, białych marzeń bledny ptak,  
O dole, dolę moją wróż!*

*Łabędziu mój z marzenia wód,  
We snach się iści bytu cud  
I snuje piękno rojem mar!*

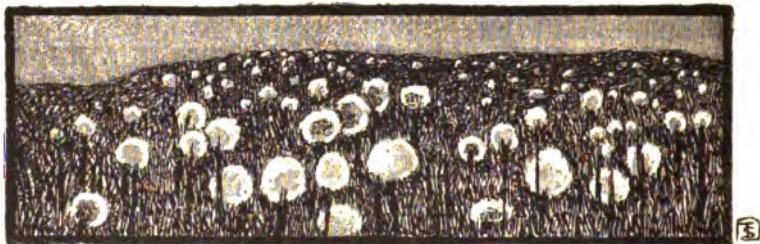
*Łabędziu mój z nadziei stron.  
Ty życia złudy wieścisz skon  
I przedmogilnej pieśni czar!*

Hertenstein urwał. „Taki ty byłeś dawniej,” — mówił zamkając powoli fortepian. Müller leżał z twarzą zwróconą w czerwony blask lampy. Wspominał jakby. A z pod przymkniętych powiek trysnęły nagle łzy. Stał nad nim chart i przypatrywał się podejrzliwie, niedowie-

rzajaco. Wreszcie zaniepokoił się, a obejrzawszy się daremnie na swego pana, postanowił widocznie sam zaradzić. Przystąpił bliżej, powąchał i liznął Müllera po twarzy.

— Ty!..

Pies szczeknął radośnie, skoczył i przedniemi łapami wraz z głową przypadł, przytulił mu się do piersi.



Hertenstein zerwał się gwałtownie z przed fortepianu i siegnąwszy po dzban wina zapatrzył się chmurnie na Müllera.

— Czego ty właściwie żałujesz?

— Hm?..

— W życiu, co żał ci za sobą zostawać? czego nie chcesz opuszczać?

— Tego, co i ciebie trzyma, — brzmiała opryskliwa odpowiedź. Oczy Müllera zwróciły się leniwie w stronę portretu.

— To bardzo niewiele. — Hertenstein wychylił kieliszek do dna.

— Ty powinieneś szukać innych teraz przyjaciół. Ja nie umiem być humanitarnym znachorem. A wreszcie, — szarpnął się nagle, — wszystko to razem wzięte jest tylko

tchórzstwem: wypowiedzieliśmy każdy ostatnie słowo życia, a nie stać nas na mążne dokończenie: „Amen.“ Czekamy, aż się z nami załawi natura. A ona krzepnie umiata drogę życia rozmaitym *struggle-liferom...* „Schodźcie z drogi, ciemiegi, bo karyera bardzo się dziś śpieszy, prześciero się gniewa i oburza szlachetnie na was.“ Z temi słowy krząta się po gościńcu życia zahukana cnota. A wiesz, jak się ta cnota nazywa? Pozytek. „Bądźcie pozyteczni,“ to znaczy: życie dla naszych żołędziów, i dla tych ciał, jakie nasza gnuśność obficie napłodzi. Doprawdy, gdyby życie ten sens tylko miało, możnaby z dobrodusznem zaciekawieniem przyglądać się wyścigom sprytnych opryszkiów, umiejących pod hasłem patryotyzmu, interesów narodowych czy miejskich, wprzęgać do swego rydwanu sturamienny egoizm tłumu i puszczać „męczenników idei“ przodem jako swych laufrów. Widowisko jest tem ciekawsze, że za karyerą wleczę się zawsze żebrawym krokiem mała cząstka ogólnego pozytku, splatając wieńce zasługi na przyszły pogrzeb działacza. Jest to jeden z najpospolitszych paradoksów życia, że karyera jest matką społecznej energii, gdy tymczasem za oderwanemi od życia: myślą i marzeniem, następuje najczęściej...

Hertenstein zapalał powoli cygaro.

— No? — nalegał Müller.

— Nieurodzaj na kartofle, — zaśmiał się z cygarem w ustach. A pochyliwszy się na fotelu, sięgnął po kieliszek. — Pij, proszę, i to zdrowie:...

— Było już raz, — przerwał mu Müller, zanim toast zdążył wypowiedzieć. — Było wczoraj w kawiarni. Że też ty zawsze do jednego wracasz?.. Ma się niemal wrażenie, że w tych ogólnikach opowiadasz coś ze swego życia.

Chwilowe podniecenie Hertensteina oddziałoło i na niego.

— W czyje ręce zresztą? — pytał dalej. — Turkula niema. — Ty, — zwrócił się do charta, — chcesz żyć?

Pies szczeknął, wyskoczył z za fortepianu i już się łaśił, już merdał ogonem.

— Ona „potwierdza bytu chęć“ — wyglossił Müller patosem książkowym. — Niech żyje Venta!

Trącili się kubkami. Müller wypił duszkiem i w tejże chwili zamachnął się z pasa, aby rzucić misterną czarkę z całych sił o ziemię. W porę schwytano go za rękę.

— Jest i cham! — Hertenstein odstawił kubek ostrożnie. — Rzeczy wykwintu są jak piękne kobiety: nie znoszą desperatów.

— Przypominasz w tej chwili Jelsky'ego, — skrzywił się Müller. — Ale ty bodaj że jesteś niebezpieczniejszy od niego.

— Jelsky... Jelsky... — Hertenstein wyrzucał kregi dymu pod sufit. — Jelsky jest problemem (bo on lubi problemy): odmówiła natura narkozy sztuki, morfinizuje się cynizmem, jakby w przeczciu, że skutek będzie ten sam.

— Mianowicie?

— Pustka.

Müller aż się naprzód pochylił, zapatrzony podejrzliwie w Hertensteina.

— Dokąd ty zmierzasz?

— Ja już oddawna nigdzie nie zmierzam. — Mchnalnie, niemal automatycznie wodził dłonią w powietrzu, głaskał wciąż jeszcze nieobecnego już psa. (Chart w kłębek zwinięty drzemał już pod fortepianem.)

— Czy ty przywiązałeś się w życiu tylko do psa?

— I do sztuki, — zaśmiał się krótko w oklebie dymu, a ręka bez przestanku głaskała delikatnie powietrze.

— Henryk?

Milczał. Ramię wysunięte po za poręcz kołysało się uparcie, miarowo jak wahadło.

— Henryk?! — nie wytrzymał Müller i targnął go silnie za ramię.

Podniósł na niego oczy i próbował się uśmiechnąć. A że uśmiech nie złożył się, więc zagryzlszy wargi zerwał się na nogi i schwycił za kubek. Wina w nim nie znalazła, zniecierpliwił go i ten drobiazg nawet. Siegnął gniewnie po dzban.

— Słuchaj, — mówił twardo, niecierpliwie, — jeżeli to wszystko jest twoją prawdą wewnętrzną, jeżeli ty nie chcesz korzystać z tego głupiego urlopu kilku miesięcy, jakiego ci udziela natura... — Koniec końców, jeżeli dostatecznie przemyślałeś te rzeczy, przyjdź do mnie: pomyślimy nad tem razem. Może się znajdzie lekarstwo dla nas obu.

Napił się wina, otarł starannie wąsy i wyjął z kieszeni od kamizelki małą szklaną rurkę zatopioną z obu końców.

— Co to?

— Nie krzycz... *Upas Antjar*.

— Prędko?

— Nie o to idzie. Działa powoli, łagodnie, ale pewnie. Strzały tem zatrzuwano.

Müller ukrył twarz w dloniach, gdy ją uniósł, był bardzo blady, wargi mu zmiękkły, a oczy mrużyły się, jakby pod światło.

— Dobrze, że się tak stało, żeśmy się zmówili. Są myśli, słowa nawet, które trzeba koniecznie głośno wypowiedzieć, aby nas straszyc przestały. Przy twojej woli...

— Ja nigdy nie miałem woli, — przerwał mu Hertenstein opryskliwie i niechętnie.

— Więc przy—rezygnacyi... Rozumiem:— przerwał sobie nagle własne myśli... — Na ogół ja miałem wole, — ale wola jest narzędziem życia, jego chęcią właśnie... Potrzeba mi twojej większej mądrości. Może znajdę tę moc wewnętrzną, co da mi spokój nawet w takiej chwili.

— Więc już nie chcesz jej szukać u kobiety, — skrzywił się Hertenstein, — nawet u Zosi Borowskiej?

— Ach! — Müller machnął ręką. Wnet potem chciał coś powiedzieć: już mu się zaiskrzyły oczy, zadrgała ruchliwa twarz, nerwowe ręce gotowały się do gestów; — gdy wtem błyskawica wspomnieni skłóciła widocznie zamiary: opadł w sobie, głowę na piersi zwiesił.

W pokoju zapanowała ta przyczajona cisza godzin wyrocznych, chwil trwożnego oczekiwania, tajonego lęku, cisza, rzekłbyś, nierówna, jak owo, w podobnych godzinach, od czasu do czasu jawne, choć w rytmie skłócione cykanie kieszonkowego zegarka. Nocny ptak wpadł, zda się, do pokoju i w błyskawicznym, bezszelestnym locie rzuca się krzyżowo w przestrzeni, nie dotykając ścian i sprzętów: odbija się bezgłośny o warstwy powietrza.

Hertenstein oglądał, wąchał i ćmił swe cygaro; oglądał, obracał w dłoni i podziwiał po tysiączny raz misterny kubek do wina; wreszcie zagłębił się nad słupem popiołu zawisłym u cygara: badał z początku pilnie i ciekawie, potem uparcie; wreszcie, z oczyma chmurnie utkwionymi w ten słup popiołu na cygarze, zastygł jakby i znieruchomiał. Pies, zwinięty pod fortepianem w biały futrzany kłębek, głowy wprawdzie nie unosił, ale miękkie uszy od czasu do czasu prężyły, wyrzucały w góre, strzygiły niemi i pomrukiwały coś z cicha. W tym pół-śnie zadumy swojej, wzduchał kiedy niekiedy głęboko i ciężko.

— Widzisz... przekonaj się... — zaczął Müller zgnębionym głosem prośby czy też skargi i podniósł twarz żółtą w tej chwili i lśniącą jak wosk, z nabiegłymi sznurkami sinych żył na skroniach. — Widzisz... ta drobna, wątła, w dotknięciu tak przedziwnie poczciwa, chłodna jej ręka, — jak wonny płat kwietnego kielicha na rozpaloną skroń... Samo to przyszło, niewołane. I przez cały ten czas, o tem tylko myśleć, to tylko czuć i widzieć musialem... A to

poczucie, silniejsze od wspomnienia, zostało mi do tej chwili wonią, miękkością, chłodem na lewej skroni... Od moich i twoich myśli tak mnie, poczciwa, uratować chciała. Bezradne są jej myśli wobec naszych...

— Tak? — ocknął się Hertenstein krótkiem zapytaniem i stracił popiołowy słup z cygara. — Ha! — odezwał się od razu zerwanym i nieszczerym śmiechem. Wreszcie zapalił zgasłe cygaro i podniósł głowę. Spojrzawszy uawnie, zmarszczył brwi.

Po chwili rzekł spokojnie, z twardym naciskiem:

— Ślad jest na skroni!

— Co!?

Müllera jakby prąd przebiegł: rzucił się jak szczupak w fotelu. W splecone dlonie przypadł czołem, a wargi zadrgały mu nagle kurczowo.

— Tutaj?.. teraz?.. Widzisz: była! — przyszła!..

Hertenstein ujął go mocno za bary.

— Zerwij nić tę! słyszysz, — zerwij! — Rzuć myśl gdzieindziej.

Müller zaprzeczał tylko poruszeniem głowy, zaprzeczał długo ze smutnym uporem chorego dziecka.

„Była... Przyszła, cicha, swą lepszą, niezniszczalną częstką, całego swego wdzięku tchnieniem czystem i tą boską mocą łagodności bezmiernej...“



Zmuszony, napił się wreszcie wina i zapalił papierosa. Przemagał się: zbierał i skupiał myсли, wymykające się śladami uczuć z ogniska świadomości. Wreszcie zaczął na pozór spokojnie:

— Widzisz, Henryk, takie czucie to straszny krzyż w życiu. Ono największą moc ducha w końcu przetrawi... We wszystkiem tak! — wszędzie i zawsze. I z ludźmi!.. Pomyśl tylko, czy może żyć z ludźmi taki, co z podków, spojrzeń, ruchów i milczenia wyławia — nie cudze myśli (te zawsze dla nas giną), ale to, co się przez skórę jedynie wyczuwa daje: te płomykowe, nawpół świadome, przelotne, błędne, dla większości zwykle nikłe odruchy prawdziwych wewnętrznych mocyj, co kłócą się nietylko ze słowem i czynem, ale wprost z uczuciem. Obcować z ludźmi na to, aby zawsze, wszędzie i nieubłaganie słyszeć ten przechodzący poprzez wszystkie ludzkie sprawy ostry zgrzyt rozpacznego egoizmu, co się sam sobą dlawi. Gdy naokół wre i kipi życie, wsłuchiwać się w dziwnym naprężeniu w ocieranie się węzy: widzieć, czuć i słyszeć, jak każde „ja“ zżyma się wewnątrz, kurczy i jeży wobec każdego „nie ja,“ a na zewnątrz garnie się rozpacznie do kobiety, do ludzi, do gromady, do tłumu. Być skazanym na to, aby w najserdeczniejszych ludzkich porywach: w miłości, w przyjaźni, w ofierze nawet, widzieć tylko stulone czujne pazury i odgadywać ten dziwnie im przeciżący krzyk szczerego bólu:

„Pozwól się wzyć, wtopić, wświecić w twoją ludzką duszę, abym wielki ciężar własnego egoizmu mógł choć na chwilę zrzucić i o mojej duszy, mojej odrębności zapomnieć. Chciałbym mieć jeden oddech, jedno pulszenie, jedną krew i jedno pragnienie z Tobą! z wami! ze światem całym! Chciałbym być tylko częstką nikłą twoją! waszą! ziemi! słońca! Chciałbym spływać w ciebie! w was! w słońcu! w wszechistnieniu jedno! i jedno serca bicie!“

Tak się modłą roztęsknione oczy, tak się przyczały na chwilę pazury zmęczonej sobą — bestyi. Takim jest ten najgłębszy, zawsze rozbolały nerw wszelkiej miłości.

I tak oto widzieć muszę, że wszelkie uczucie ludzkie jest rozpacznym zgrzytem beznadziejnego fałszu, jest kłamanką pokorą i pokutą drapieżcy, co pragnie bezsilnie pochłonąć w otchłań bezbrzeżnego egoizmu i ciebie! i was! i świat cały!

Dla tego modli się nawet.

— Wiesz! — krzyknął nagle, i cała twarz rozgorzała mu nagle jakimś fanatycznym ogniem, — wiesz, gdy było już źle, bardzo źle, gdy ta krew z ust chlastała, a serce stawało w przerażeniu, — wówczas pomyślałem sobie nagle, że... że to przez nią, dla niej!... I ogarnęło mnie nagle jakieś upojenie dziwne, szczyt rozkoszy niewypowiedzialnej... Wraz z tą krwią... Myślałem, że to śmierć.

Zzymnął się Hertenstein.

— I twój egoizm wymarzył sobie ostatnią rozpuszę, — rozkosz całopalnej ofiary. Nie, nie! — tyś beznadziejny. Wszystkie twe uczucia i myśli stoją w nieświadomem może, ale smutnym pokrewieństwie.

— Z czem?

Wzruszył ramionami. — Poprostu boję się powiedzieć, nie odważam się nawet pomyśleć... Mówileś coś o Astarte. Czy to wszystko nie jest czasami z jej mrocznego państwa?

Wsparł czoło na dloniach i zamyslił się chmurnie.

— Kto wie, — rzekł wreszcie, — może to jest cały ciemny świat uczuć, w którym ponure dusze ludzkie w koła bolesci dobrowolnie się wplatają?.. dziwny świat, gdzie ślepe pożądanie rozkoszy zapomnienia o samym sobie (rozkoszy z jakichkolwiek źródeł zaczerpniętej!) rodzi na szczycie ekstazy niepamiętną żądzę poświęcenia i ofiary. To mogą być krainy ducha, gdzie chacie dostępu nawet

nie mają, a jednak... Albo te wszystkie mroczne tajniki duszy szatan poprostu w jeden węzeł nam zsypał, uka-  
zując nam wyłącznie i uparcie tylko najpospolitsze jego objawy: szala i ekstazy miłosne.

I są ludzie, — krzywił się Hertenstein niedbale, — co, zapatrzywszy się w te wybuchy chuci, sądzą, że stanęły przed tajnem ogniskiem życia. Przywdziewają tedy co przedzej szaty kapłańskie. A to są, kto wie, czy nie krótkie i marne wybłyski wielkiego morza podziemnych płomieni, światowego *Agni*, w którym wszelka chuć tak tonie, jak tonie każdy brud życia w szerokiem sercu... I ty byłeś mi jednym z takich...

— Jakich?

— Wspomniałeś pierwszy o Astarte... Takich oto brązowych kudłatych dyabłów z płaskimi twarzami czarnych panter, co na szczytce ekstazy cielesnej druzgotali swe ciała pod tryumfalnym wozem Astarty.

A po chwilowej zadumie:

— Tyś powinien był unikać kobiet, życia, ludzi, wielkich miast, bo tylko w rojnych tłumach przejawia się druzgocząca potęga tych ponurzych bogów.

— Nie mogłem, Henryk, nie mogłem inaczej!.. Ta trwoga, ten niepokój (wiesz? mówiłem!), ten paniczny lęk przed zmorą życia, rzucał mnie między ludzi jak między wilki.

I teraz nawet, gdy pomyśle, czuje, że nie mogę, Bóg widzi, nie mogę!..

I Müller przysunął się nagle, cicho i potulnie jak chart, i najniespodzianiej dla Hertensteina pocałował go w ramię. I wnet potem wsparł ciężką głowę na temże ramieniu.

— Nie mogę, Henryk!.. Coś lka, zrywa się jękiem w duszy. Ludzi mi potrzeba! Życzliwości, dobra, ciepła mi potrzeba!

Hertenstein skrzywił się w pierwszej chwili. Po kil-

ka razy otwierał usta, aby coś powiedzieć, przemilczał jednak za każdym razem. — Wreszcie nie wytrzymał.

— Czy i mnie masz za wilka? Mów szczerze!

— Tak, Henryk...

— Szukasz fałszu i kłamu w mych słowach? brudu w mych myślach?

— Nie Henryk, — dziś nie. Jutro będę. Jutro po myślę: Ten Henryk z wysokich koturnów na ziemię spaść musiał; sceptyczny takich ludzi rodzi się tylko z niedołęztwa, cynizm przerasta ich siły. Zda się, biały, czysty; — przyjrzeć mu się bliżej: trupia biel do góry grzbietem przewróconego gadu. Jutro, jutro! — powtarzał bezradnie; już mu głos drgać poczynał na dobre.

I nagle, jakby pożałowawszy swych słów i myśli, po- całował go dwukrotnie, raz po raz, w ramię.

Hertenstein zerwał się i, walcząc z uczuciami wspólnego i niesmaku, odsunął go niechętnie od siebie.

On zaś machnął smętnie zmiękczałą jakby w stawach i niemocną ręką. Począł ocierać pot, co tłustemi kroplami rozsypał się po bladej i umęczonej twarzy.

— Widzisz, — takie życie moje!.. Szukałbym po świecie na kleczkach miłości, przyjaźni, przywiązań, a znajduję... Wracam za każdym razem od ludzi pełen goryczy i nienawiści: wcale ciało setki cierni mi powbijano. A ja każdy cierni przypomnieniem wyciągam, rozjastrzam i rozkrwawiam rany. Setki, setki cierni!.. I cały rozboleły, krwawiący, tarzam się w bólu i wyć chcę, wyć jak zwierzę, które z gromady wygryziono precz!

Westchnął ciężko i, splótłszy ramiona na stole, ukrył w nich twarz.

— Henryk, zlituj się! — pomóż mi zakończyć to wszystko. Po co mi te kilka miesięcy?! Widzisz przecież, że ja nie mam w sobie tej mocy wewnętrznej nawet na jeden dzień życia.

I zerwały się w nim ostatnie pęta: zapłakał jak dziecko, cicho, bezradnie i obrzydliwie miękko.

Pies podniósł łeb i mruknął, ale tym razem już nie podbiegł. Patrzał raczej z pewnym zniecierpliwieniem w stronę swojego pana.

Hertenstein powstał powoli i wyprostował się sztywno. Pocztem, jakby szukając czegoś wokół, zagarnął wzrokiem po ścianach. Oczy zatrzymały się na portrecie i przylgły doń długo, uparcie. Oderwał je siłą i, spostrzegłszy psa pod fortepianem, strzelił nań z palców.

— I cóż ty na to, Venta?. No, chodź, chodź!.. I cze-  
go ty drżysz? — no, głupia? Przedelikacone, przenerwio-  
ne, nadwrażliwe psisko! — Histeryczka!.. Patrz, śmieję się  
przecie... Och, jak to skacze! jak to się przegina! jak  
kokoszy się radośnie! — Już rada? — Ujmujące stworzenie!  
Teraz łasisz się do mnie, nie do niego? — oczywiście! —  
Ty szelmo niewierna!.. Nie lizać, — poszła precz!.. No,  
no, — skomlij-że teraz, skomlij z radosnego wyczulenia...  
Och, ty wdzięku niewieści!..





uchem pełnym zniechęcenia przerwał sobie Hertenstein na samym wstępie. Powstał ciężko i, wydobywszy jakąś szkatulkę z biurka, począł rozgrzewać dwa metalowe cybuszki nad spirytusowym płomieniem.

— Ty się nie dziw, — mówił flegmatycznie.— Przyzwyczailem się, — potrzebuję... Myśl mi staje, słowa więdną bezbarwne na ustach... Te pół-sny ducha na

jawie to najgorsze chwile życia... Nie mogę! I tobie przygotuję. Dodam zresztą więcej tytoniu. To cię przedzej uspokoi, zwróci wyobraźnię w kierunku konkretności, i ani się spostrzeżesz, jak w barwnych obrazach roztopi się twój lęk... Potrzeba mi twoich zmysłów wszystkich, wyobraźni i uwagi całej: chcę, byś raz jeszcze przemyślał to życie dziwne, jakie sobie ścielemy... O sztuce będzie mowa, — o tym grzechu naszym pierworodnym, za którym

idzie kobieta, utracenie raju rzeczywistości, wreszcie zło wszelkie i gorycz życia aż po grobu próg... Grób na nas poczeką. Wspomnienie chce pożegnania, życie prosi o wspomnienie. Duch wzdryga się przed tem, że ma zakończyć na przypadku dnia, — on chce objąć wszystko, co było, obtoczyć życie ostatecznie i rzec wtedy dopiero: niech się kończy... Masz fajkę. Ta ci postawi wnet barwne kulisy i zapali światła. Ja dam myślom swoim bieg swobodny. A ty pal... Na czem ja stanąłem?

— Przyjechałeś na zamek zapóźno, — podchwycił czempredzej Müller, zatulając się gorączkowo, febrycznie w miękki kąt kanapy.

— Taak... Pal, proszę!.. No, — i nastąły zwykłe formalności, dotyczące pozostałego majątku, grubo zresztą nadwyróżzonego. Przy dłuższem życiu ojca pochłonęłyby prawdopodobnie całą fortunę te walące się w gruzy ruiny zamku, które upór fanatyka sprzegal w zelazne obręcze, niemal że wraz ze skałą, na której stały; bo i skała kurczyła się i pękała. W papierach na biurku znalazłem list jego wprost do mnie adresowany. Zachowałem dotychczas, — mogę ci go przeczytać:

„Skończyłem, — pisał, — ze sobą, dała mi smutne rozgrzeszenie rezygnacyja: wszystko, co było, stać się musiało. Nie wyzbyłem się tylko żalu, że wielkich pragnień moc wytliła się we mnie bez tego śladu nawet, jaki pozostawiają wspomnienia. Skończyłem ze sobą: już bólu ciała nawet nie czuję. Myślę o Tobie, Toba już jestem.

Uchwyć za ster życia zamłodu: — kochaj! — to jedynie, co moc czynu dać jeszcze potrafi. Nie ludzi, — zwiodą, nie kobietę, — oszuka, nie pracę, — ogłupia: — ukochaj dzieło i czyn swój, ukochaj je w pracy i w spoczynku, w radości i w smutku, w rozkoszy i w zniechęceniu.

Zycia się nie bój: miecz do boku przypasz i roztwórz

ramiona. Niech przyjdzie wraz ze swem złem i dobrem, z winą i cnotą, ze zbrodnią i pokutą. Kładź się w łóże wypoczynku i rozkoszy z użdzienicą konia wokół dłoni i z mieczem u wezgłowia. Tak przodkowie nasi na marchiai czynili.

Życie jest dziś tłumem rojne. Ty się na czoło nie tłocz: nie naszej to godności rola i nie naszej dumy rzecz. Ty stani na uboczu, lecz stój twardo: kto w promień woli twej wejdzie, od tego uległości hołd i daninę pracy weź.

Żyj! czyń! działaj! walcz!

Drży tylko przed szatańskiem zwierciadłem życia, co, w barwach wspomnień, w blaskach marzeń, na wyżynach pragnień, w głębiach tęsknoty, miraż bytu ukazywać ci będzie: — Strzeż się sztuki!

Bądź panem rzeczywistości. W obłocznych pałacach każą ci hołdować lirowym dziadom, co tłumu pochlebstwem żyją; każdą ci być cudzych czynów echem, cudzej wielkości cieniem, własnych marzeń żywą ironią. Wzgardzone życie zemści się grzechem, i staniesz się dla samego siebie krwawym wyrzutem.

Tych królów żebraczych z obłocznych zamków miej za swego smutku igraszkę: niech ci pobudkę do życia grają, niech twoim czynom laur plotą, niech ci kwiaty w wesele łóże rzucają. Bądź cudzej woli, cudzej myśli, cudzych natchnień panem!

Synu, ja chcę, byś w promieniu woli twojej królem był!

Posłuchaj, co jałowa ziemia dziś szepcze: ona, jako jurna kobieta, pana i władczy czeka: rodzić chce. Zapłodnij ziemię w promieniu woli twojej.

Żyj! czyń! działaj! walcz!

Okielznaj serca swego porywy, bezgranicznej woli sercu nie dawaj. Bacz czujnie na serce swoje i strzeż je od obojętności. A więc sztuki się bój!

Taką jest brama czysca, pod którą duch mój za życia już przeszedł. Wymódl mnie z tamtąd czynem życia twoego.

U progu zamku, cień starca, co życie w marzeniu strawił, cień ojca twego korny hold młodości twej składa:

*Ave vita! morituri te salutant!*"

Drugi raz czytać listu nie potrzebowałem, słowa jego wryły się w pamięć: słowa jak walenie miecza po hełmach rycerskich. Tak mógł pisać człowiek, co — jeśli marzył — marzył potężnie o potężnym życiu. Patrzałem na tę żółtą głowę na białych poduszkach, na tę wielką siwą brodę na czarnym tużurku. W kamienne formy dumnej i twardzej siły zastygła po śmierci twarz marzyciela. I przyszła mi dziwna myśl do głowy: „A może on rzeczywiście gdzieś, w świecie jakimś tajemnym, przepadał: tam boje staczał, walczył, burzył, zdobywał i, pełen cięch tajemnic, powracał między nas?“

Musiałem walczyć prawie ze sobą, aby nie rozpięć mu tużurka, nie rozerwać kamizelki i nie szukać blizn na jego piersiach.

Więc tak cię szatan zwiódł, — myślałem. W zwierciadle swem ukazał ci całą potęgę i urok przeszłości, a nie dał mocy ducha, aby potęgę tą wskrzesić w sławie i w jej imię rozgrzeszyć świat z rzeczywistości.

W drugim liście, pisany widocznie przed samą śmiercią, liście chaotycznym, pełnym miękkości i zaklęć serdecznych, wzywał mnie, abym porzucił służbę wojskową i wstąpił do szkoły inżynierów. Chaotyczność tego listu, jego miękkie prośby i zaklęcia..! — rzecz była jasna, — ojciec zmuszał się do czegoś wbrew wszystkim swoim instynktom, odczuwając ostatecznie potrzebę dodania do mocnego testamentu swej woli coś z konkretności, coś, coby go uczy-

niło radą, pouczeniem: wskazało mi *rzeszowiście* jakąś drogę życia...

„Dawniej, — pisał, — o tę skałę zamkową rozbijały się wszystkie wrogie fale barbarzyństwa, co przez nasz wąwóz kawał kraju zalać pragnęły. Dziś wróg stokroć gorszy z gór schodzi: rzeką głazów, zwiru i kamieni, ze wszystkich żlebów się sypie, korytem rzeki wali, aby całą dolinę kupą gruzów przysypać. Państwu, co nas przed wiekami wchłonęło, nie opłacamy się już dzisiaj. Na uboczu, w kącie świata zapomnieni, pozostawieni jesteśmy własnemu losowi. Powinnością naszą odeprzeć teraz i tego wroga.“

Z rodziny pozostała przy życiu tylko starsza o lat kilka siostra. Wychowany zdala od domu, pamiętam ją tylko z najwcześniejszego dzieciństwa. Wiedziałem dalej, że zle żyli z ojcem. Potem nastąpiła jedna z tych głuchych tragedij w domu, o których nic pewnego dowiedzieć się potem niemożna. Miała wtedy lat 18. Przymuszoną ją w następstwie do małżeństwa z kimś kupionym za posag. Dalej, przypomniałem sobie wiadomość o jej naglej ucieczce. Zatarto w zamku wszelkie ślady po niej, z sali portretowej znikł jej obraz. Nie wspominano o niej nigdy. Zapomniałbym może, gdyby nie gazety: została śpiewaczką, zdobyła imię i rozgłos po stolicach świata.

Nie pamiętam, czy ciekawość to była, czy te wspomnienia rodzinne, co odżyły tak nagle, czy też poprostu to, że na sędziego cnót pospolitych ja się nie rodziłem: — posłałem depeszę, dowiedziawszy się z gazet, gdzie przebywa.

Sam zaś spędzałem smutne dni oczekiwania na pogrzeb. W tych zapachem grzyba przesiąkniętych i ponurych ruinach, w towarzystwie trupa i niemych, czarno odzianych sług, jawiły mi się w wyobraźni barwne obrazy rojnego przepychu w jaskrawych falach światła, kryszta-

łach i purpurze. Widziałem tysiączne tłumy, co, przed chwilą tak pstre i gwarne, tonęły nagle w ciszy, kamieniały w milczeniu. Słyszałem śpiew. I widziałem ją.

I jakieś inne — żywe tchnienie władzy, siły, potęgi, przychodziło wraz z temi obrazami.



Na olbrzymiej perzynie muru wspierała się zwisająca z najwyższego piętra zamku narożnica kamienna. Małe jej okienko w głębokiej nyży rzucało wzrok wprost na biel lodowca, wkryształoną jakby w rozwarty błękit nieba. Tu w narożnicy mieściła się biblioteka. I nic ze świata, nic z życia myślom tu nie przeszkadzało. I te, co z ksiąg ożyły, i te, co się rodziły w skupieniu, strzelaly wprost w błękit nieba jasny, na biel najczystszą, na szczyty najwyższe.

*Oto tesknot moich owoc boski, oto grób tajemnic wielkich, oto płomień i żar grzechu mego, oto stos mój kacerski!..*

Te słowa dziwne wyryła czyjaś ręka w napół zmurszałym czarnym pulcie pod oknem.

W ciasnej izbie, ponad półkami starych ksiąg, tuż pod sklepieniem szedł wkrąg czerwony napis gotycki.

Skupione, na siebie nałożone jego litery tworzyły jakby jednego słowa wstege. Odczytałem ją kiedyś z trudem:

*Poucs! — rusz roę pewności na spragnioną ducha mego posuchę.*

Ten trupi zapach starych ksiąg, te napisy dziwne, te lśniące w słońcu, jedwabiste szczyty w dali i to morze białe, zatopione w błękit niby wrota olbrzymie!..

I przypomniałem sobie nagle: „Albowiem taką jest brama czyszcza, pod którą duch mój za życia już przeszedł.“

Przykuwało mi bez końca wzrok to białe czyste pole jakby marzeń niebo wyteknie. „Oto życia mego nieukończoność, oto grób tajemnic wielkich!“ — odczytywały uporczywie oczy na czarnym nawpół zmurszałym pulcie.

I oto przez to małe okno w narożnicy kamiennej ujrzałem trzy drogi ducha: na szczyty *białe* drogę marzeń bezpłodnych, wydeptany gościniec w dolinę *szarej* nędzy i daremnej, syzyfowej walki z kamieniami, oraz ścieżkę kręta, co wierzchołkami gór i padolem przepaści wiedzie w *czarne* pałace, gdzie lirowe dziady królują i tłumu pochlebstwem żyją...

A tam — za oknem, wśród zadumanej kamiennej głuszy gadały tylko strumienie szeptem i pluskiem, z początku jakby skłóconym i dziwnie niespokojnym, — potem, gdy ucho do tych głosów przywykło, szmerem dziwnie smutnym i monotonnym jak melancholia. Ukryte gdzieś źródła, potoczywszy nagle lżejszy zwir, ozwały się niekiedy głośniejszym czystym podźwiękiem i cichły wnet w gniewnym pomruku strumieni. Pod stopami nieogarnionych olbrzymów, w zakamieniającej grozie pustki, w granitowym chłodzie spiętrzonego pod chmury świata — wymrukiwały potoki swą nieskończoną opowieść o twardym pochodzie czasów.

Wzrok błakał się niespokojnie po tym głuchym świe-

cie, ślizgał się po tych lśniących garbach, zawisał na strozych przełęczach, zapadał jak kula w przepaście i jak orzeł wzbiiał się na lśniące szczytów iglice. Wreszcie męczy się i zawisa jak ten zблąkany strzep chmury na pierwszym lepszym szczycie, czepia się na nim — senny i znużenia pełen.

Jakieś pogranicze śmierci, grób życia pragnieniom, grób woli i wszelkim porywom.

I oto gasły blade zorze na szczytach, sine kadłuby skał lśnią w pomroku jak metal. Po dniu, zadrzemane gdzieś na dnie przepaści, urwisk i kniej, wyłazą teraz leniwie białe okłyby chmur. I noc wali się w dolinę.

Nagle gdzieś w głębi zagrała trąbka pocztowa. Poinoślo echem. W odpowiedzi zawtórował jej zkądciś róg; jeszcze ten nie skończył, już zagrał inny. Z czarnych uroczysk, po upłazach, ze skalnych gardzieli, z głębi wąwozów, czeluści i jarów zahuczały rogi, zagrzmiały surmy. Szło granie pośpieszne i gwałtowne, biło echem, budziło wśród skał łoskoty, jakiś têtent daleki, jakieś łomy ciężkie, jakieś surmy nagłe, zrywane ciszą, powtarzone jękiem, rozekane w płaczu żałosnym. A w ślad za tym jękiem, płaczem i lamentem pędzi zemsta w cwał: huczą wraże głosy, toczy się grzmot po szczytach, huka pomsty okrzyk wojenny.

Grała ziemia, grały góry, grał mi świat ten cały!..

Ocknął się przecie po nocy: zbudził drzemiące po przepaściach hufy, skowane na szczytach namętności rozpiętał i — puścił na dzikie łowy!

Stoczył się głaz i runął w żleb z grzechotem... I raz w raz padały w ciemnej głębi suche roztrzaski strzałów. Pogonił znów têtent, znowuż gwar i łom i gon i bitwy zar i konania jęk.

A ponad tem wszystkiem gra trąbka: zrywa i znów rzuca, pęta i znów budzi; a kiedy wszystkie te odgłosy

skupi, natęży i w wysoki ton zamknie, to we wszystkie  
knieje uderza jakby szeroki śmiech swawoli, potem buntu  
wołanie dumne, wreszcie gardłowy jakiś krzyk pożądania,  
co najwyższego szczytu siegnął, tam się echem rozbił,  
w wołania rozprysnął, na dno przepaści padł i tam wciąż  
jeszcze wabi, jeszcze szuka, jeszcze nęci, wciąż jeszcze  
śpiewa...

Grała ziemia, grały góry, grał mi świat ten cały!  
Zmartwychwstał! — żył!

Po chwilowej ciszy obiecanego cudu uderzyły głuchy  
kopyta po moście zamkowym...

Jadą!.. Samosześć jadą!..

I serce mi w przerażeniu staje, i radość piersi zapiera... Brzęk łańcuchów?.. — słyszę! Ciężki skrzyp wrót?.. — nie ludzie-z się przecie! — Pędem zbiegam na dół, pod łamane, ciężko zwisłe gotyckie sklepienia długiego korytarza.

Przez jedną krótką chwilę wydaje mi się, że tam — w jasny wylot tego lochu, gdzie tli się mętnie czerwona latarka, wstąpił rycerz od stóp do głowy w lśniącą stal zakuty. Przyłbicową maskę hełmu odchylił, żelazną ręka-wicę na krzyżackim oparł mieczu, długą siwą brodę w żelaznym kułaku targa i wprost na mnie idzie.

— „Patrz, jak duch mój pokutować musi... Synu, strzeż się szatańskiego zwierciadła życia: — drzyj przed sztuką!“

Ocknęły mnie parskania koni tam na podwórzu, skrzyp pojazdu na zwirze, brzęk uprzęży, głosy sług.

Na przeciw mnie szła jak cień cicha i lekka wśród tych potężnych, niskich murów, smukła i giętka — ciemna sylwetka kobiety, przeświecona mętnym czerwonym blaskiem latarki, niesionej tuż za nią. Podbiegła szybko, ciemny szal z głowy na szyję odrzuciła... — ujrzałem twarz poważną, białą, świeży błysk ciemnych oczu, jasne

otwarte czoło w lśniącej ramie ciemnych mahoniowych włosów.

— Henryk...? — usłyszałem.

— Hilda, — ty...?

I poszliśmy wązkim korytarzem w głąb' na kamienne schody, wąskie przejście, długi krużganek... Szliśmy milcząc, wśród głuchego echa naszych kroków na kamiennych płytach; za nami kołyśała się latarka, przed nami dwa długie cienie w czerwonej otoczy. Potem w głąb' przez salę, — do jego pokoju.

Uchyliłem drzwi i wskazałem na katafalk.

Uklęknęła tam w ciemnej zieleni, w gromnicznym złotym blasku, i długo tak pozostała w zadumie ciężkiej. Mnie, stojącemu zdala, pode drzwiami, zdawało się, że ta zieleń ciemna, te grube liście w złotawych połyskach gromnic, w ramę jej głowę ujmują, że laury nad jej głową szumią...

A to zdala, po nocy, w dolinie ciemnej szemrały strumienie swą nieskończoną legendę o czasie.

Gdyśmy potem wracali, pytałem ją oczyma: „Znalałaś szczęście, tam, gdzie zwyciężałaś rojny przepych tłumów?“ Uśmiechnęła się blado, jakby łaskawie i wyrozumiale. Podała mi rękę z mężka, twardym, roztargnionym ruchem, i uściśnięła krótko. Było coś z nakazu milczenia, wiele dumy w tym pierwszym ruchu.

Cofała się już ku drzwiom przeznaczonego dla niej pokoju, gdy nagle:

— Papiery jego w bibliotece?

— Spalił wszystkie.

— A!?!.. — Spochmurniała twarz, zmarszczyło się czoło: wpodłuz, między czarnymi połyskami oczu.

— On miał bardzo smutne życie, — rzekła.

Ja miałem łzy w oczach, może nie od tej chwili dopiero, ale teraz zaledwie poczułem je na rzęsach. I ona

spostrzegła: ściagnęły się jej brwi. Zwróciła się bokiem i podała mi rękę po raz drugi; tym razem, okrągłym, miękkim, kobiecym ruchem. Pochyliłem się bezwiednie do tej dloni.

— I ty — taki... — rzekła, musnąłszy dlonią po mych włosach.

Ujęła za klamkę.

— Pozwól!.. Jakiż to ja jestem?

— Słaby, dobry: — co wolisz.

Krew rzuciła mi się do głowy pod tem surowem, badawczem wejrzeniem. Wyprostowałem się odruchowo i tymże odruchowym (tak świętym w danej chwili) gestem uderzyłem się dlonią w bok po rękojeści szabli.

— A mnie się zdawało, — wycedziłem, siląc się na oschłość, — mnie się zdawało, że to ja ciebie powiniennem przedewszystkiem zrozumieć, aby ... aby módz niejedno — zapomnieć.

Ani jeden rys nie drgnął na jej białej twarzy.

— Kaz chować jutro, — rzekła szeptem. — I jeszcze jedno: nie pochowasz go chyba tak, jak tam leży: w tużurku? Niech nań wdzieją mundur dziada... Niech przysposobią stare instrumenty: — z baszty każesz otrąbić pogrzeb. Niech ludzie dziś jeszcze wyruszą na najbliższe szczyty: jutro z zachodem niech rozniecą tam ognie. Po-chowamy go na podwieczerz.

Skloniłem głowę.

Rozkazała i poszła.



Złożyliśmy ciało do podzamkowych grobów. Ci, co przybyli, rozjechali się, zanim noc zapadła. Pozostaliśmy sami na tarasie zamku pod basztą, zapatrzeni w dogasające na szczytach ognie, zasłuchani w szmery wody po dolinie.

W miarę jak małe purpurowe plamy ognia na ciemnych szczytach, masywy skał spływały wraz z podgórzem w jedną płaską masę, stając się jako czarne podniebne mury. Granat sklepienia unosił się ponad tym kamiennym grobem coraz wyżej, wpuklał się, gwiazdami tkał, złocił, mienił, dyszał...

Z padółów buchało wonią łąk, od skał wiałło chłodem, od zamkowych murów szedł zapach mchu i pleśni. Woda zagadała głośniej, zaskrzypiały milionowe chory świerszczy.

W tę gwarną noc wspomnień kładzie się spokój zasłuchania na duszę: oczy po gwiazdach błądzą, jakby bojąc się spojrzeć na to białe morze w ciemnych niebiosach, — na lodowca pole, tak dziwnie o tę porę świetlane i jasne, że gwiazdy ponad niem bladły, żółkły, mrużyły się i gasły. — I ciągną wspomnieni obrazy przed oczyma duszy jako blade, smutne, zadumane cienie: błądzą wśród opałów w dolinie, siegają gwiazd ponownie i pod świerszczy gwar nieustanny rozpływają się i toną w dali granatu: — głębiej, dalej, i jeszcze dalej, tam, gdzie gwiazd świetlane chory rozegrały się cichą harmonią sfer...

Wody to szept? czy też świerszczy gwar nieustanny? Źródło to szklane pobrękki? czy też gwiazd tak dziwna muzyka? — Smutek, niemoc i bezwola kołyszą myśl tajemną melodyą nocy...

Grało niebo! grała ziemia! grał mi świat ten cały!

Uczułem na ramieniu jej dłoń. Nie uniosłem nawet głowy, zasłuchany w gwar wody, w jej oddech głęboki

i własne westchnienie. Potem dopiero, gdy rękę cofnęła, ująłem ją i uścisnąłem krótko.

— Henryk, — szepnęła i próbowała się uśmiechnąć, — jak jej na imię?

— Nie ma jeszcze imienia. Może kształty kobiece nadaje jej tylko uboga myśl moja.

Zagadnęła o moje zamiary, o przyszłość.

— Co ma być, stanie się, — odparłem. — Idzie o to, aby tych życiowych potęg mus wypowiedział się jak najsilniej, jak najgłębiej.

— Nawet w nieszczęściu? — pytała zdziwiona.

— Niema doli i niedoli dla tego, kto nie żyje przy padkiem. Nieszczęście jest nieraz źródłem najgłębszej świadomości.

Milczała. W półmroku widziałem tylko, jak te jej oczy czarne, o dziwnie świeżym, głębokim i mocnym blasku, rozszerzały się w zdumieniu coraz bardziej. Nagle, splatając odruchowo dlonie:

— Jakie ty mary gonisz po świecie?..

Zaszumiały czarne lasy na podgórzach: to urwane tchnienie nocnego powiewu przeszło przez wąwoz i ściągło.

Przypomniała sobie nagle ojca i poczęła o nim mówić tym szeptem stłumionym, jaki nakazywała groza gór, wód szumiących kołysanka i niedawnej śmierci wciąż jeszcze jawne brzemię. Bieg moich niewypowiedzianych myśli i milczenia mego mowa musiały jej widocznie narzucać uczucia, w których się czuła obco, nieśmiało i chwiejnie.

— Gdzie on jest teraz? — pytała sama siebie. — Nie bierz tego za banalność: jego myśli, ducha, woli było tak pełno tu wszędzie, gdzie się zwrócić... To wszystko dało się niemal dotykać jak bryła, jak ciało: mocny on taki był we wszystkiem, co mówił, czynił!.. To wszystko przecież tu stać powinno jak ta góra... Jakże można, żeby się to wszystko tak nagle obróciło w nicość?.. Nie rozumiesz

mnie pewno?... A w tem jest ból wielki... To nie jest zagadka śmierci, o czem myślę, — to jest pytanie życia.

— Wiesz, jak się ta bolesna tajemnica życia nazywa? Niemoc twórcza, przy wielkiej pełni olbrzymiego ducha... Po tym człowieku, góry pozostać były winne!

I znowu widziałem tylko ten równy błysk głębokich, baczych i niespokojnych oczu. I ta chmura troski na czole, wpodłóż między oczyma.

— Serce miał twardie jak dyament, — rzekła, przypomniawszy sobie widocznie młodość swoją.

— Serce takich ludzi jest jak agatu migdał lub ametystu ziarno. Dla ludzi kamień tylko polny: odrzucą precz. A ono wartość swoją wtedy dopiero ukaże, gdy — pęknie...

— Henryk... — wytlumiał się lęk z jej piersi.

— ...Wówczas serce takie osiąga cenę ozdoby — dla próżnych.

— Henryk! — powtórzyła trwoźnie.

A mnie dopiero po kilku minutach zwrotne echo wrażenia przyniosło ten jej głos.

— Mówisz..? — spytałem, zapatrzony na lodowiec.

— O tobie myślę. Gdy tak twej dziwnej mowy słucham: takich przemyślanych, przebołanych słów; gdy na te oczy zawsze gdzieś zapatrzone spojrzę... Ty już samym sobą żyć zaczynasz, samego siebie już przetrawiasz. Henryk, ty koronę męczeńską na czoło sobie wciskasz!

— Hilda, powiem ci tajemnicę moją.

— Mów!

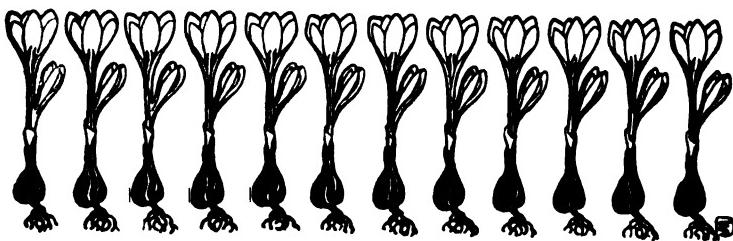
— Szatan zwierciadło mi swoje oddawna już przed oczy postawił.

I tylko gwiazdy ponad nami drgały; zewsząd sączyły się wody z szmerem, pluskiem i dalekich gwarów skłóconem echem. I ten suchy skrzyp świerszy, ta dziwnie kłotliwa muzyka po nocy. Chłód czy trwoga dreszczem po raz

drugi ją przebiegły. Zwróciła się gwałtownie i poszła w stronę zamku.

Powlokłem się za nią jak cień.

Gdyśmy przechodzili przez salon, usiadłem przy fortepianie, prosząc ją oczyma, aby się zatrzymała. Radosne, niespodziane zdziwienie rozjaśniło w jednej chwili jej czoło, rozpromieniło twarz całą. Podbiegła, prędką i lekka jak dziewczyna, i, gdym jedwabny poszum jej sukni uchem jeszcze łowił, otwierała z pośpiechem.



Potem przysiadła się do mnie: cicha, uległa, i splótlszy dlonie opuszczonych rąk dumala nad czemś w skupieniu. Nagle przygarnęła się do mnie i objęła z całych sił za szyję.

— Henryk..! — (zdawało się, że zapłacze)... — Henryk..! (zaśmiała się gorączkowo) ty sam pewno nie wiesz, ile w tem jest z ojca, z tych gór, z tej doliny całej. Widzisz, ten ustęp: ta skarga pod koniec!.. (i rzuciła dlonie na klawisze, aby ją odszukać.) Te surmy początkowe, co się rozkolysały w rytmie po wiolinowej stronie i zamieniły w pieśń, w legendę, w dumkę, w płacz..! Albo ta potęga tego marsza, te pobrzęki spiżowe i jęk ziemi pod stąpaniem ciężkim... A w miarę jak grasz, czuć, jak się

to w góre hejnałem unosi i płynie w mgłach, w oparach: — Widma! widma! — chciałoby się zawołać... A po przez wszystko, te szmery, pluski, wody gawędy!.. Zkąd w tobie to wszystko, Henryk?

Przez jakiś czas odszukiwała tego wszystkiego po klawiszach. Po chwili odpadły jej ramiona, — i znowu ta zaduma.

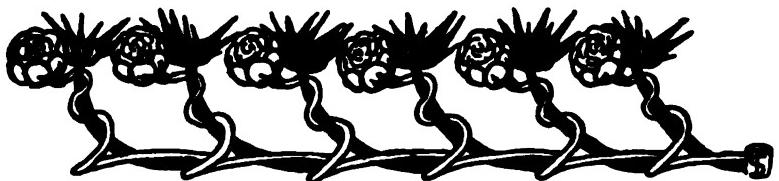
— Widzisz, — mówiła jakby ze sobą, — tak się utrwała wszystko, co ginie. To jego drugie, nieśmiertelne życie... A ty ślepiec jesteś szczęśliwy!

Przeszła w drugi koniec fortepianu przerzucać me nuty i notatki. Poczem, wsparłszy głowę na łokciach, zapotila palce tych dużych białych rąk w mahoniową gąszcz włosów i zapatrzyła się we mnie przenikliwie.

— I czego ty się lękasz? czego tobie jeszcze brak?

Poprosiłem ją oczyma, aby się zbliżyła, i pochwyciwszy te jej ręce, z całych sił wciskałem je sobie w skronie.

— Mocy!... Mocy!...



I zwiększył się tylko niepokój mój w tem uświadamiającym się poczuciu własnej słabości. Tak somnambułik w pół-śnie swoim uświadamia sobie nagle, że wokół nigdzie oparcia niema, że go teraz wola musi wywieść z tamtąd, dokąd go tak bezpiecznie zawiódł sen.

Ukrywałem się przez dzień cały w bibliotece. Zacisz-

sznie i bezpiecznie czułem się w tym trupim zapachu starych ksiąg, pod czystem wejrzeniem zawisłego u błękitu lodowca.

Z rozkoszą pieściłem się staremi księgami. Cieszyły mnie nauwne rysunki miniatur, iluminowane z tak mozolnym przepychem w ciężkim złocie, głębokiej purpurze i w lazurze kryształowym. Bawiły grube, czarne gotyckie litery, ich mocne szeregi niby nieskończone przemarsze całej armii w stal zakutych rycerzy. I styl tych ksiąg, traflający, w swej nauwnie kłopotliwej ekspresji, jakby przypadkiem na najszczersze dźwięki, na jędrne, soczyste barwy.

Uderzyło mnie jakieś słowo, — imię, ale, jak u mnie zawsze, wtedy dopiero, gdym już dawno te kartki przewrócił. Szukałem długo. Znalazłem wreszcie i czytałem:



KSIEŻNICZCE BRA-  
TVMILE, WITEZIV  
NIEZAMYŚLV I O  
ŚWIĘTYM JACŁA-  
WIE RZECZ PRAW-  
DZIWA. GŁADKIE LICE  
KSIEŻNICZKI BRATUMIŁY W XIV

WIOŚNIE JEJ ŻYCIA, PRAWIE RZEC MOŻNA, Z MISTERNEGO KSZTAŁTU JEJ CIAŁA JAKO Z PAJKU NA ŚWIAT WYGŁADAŁO, NA SMUKŁEJ SZYI WSZĘDY CIEKAWIE SIĘ CHYŁĄC, AKURATNIE JAK ON KWIAT NA SZYPUŁCE. COŚ Z PAJKOWEJ OPUSZKI NA RÓŻOWEM LICU JESZCZE OSTAŁO, ONA CIEKAWOŚĆ PAKA POD RZĘSAJ, COŚ Z PACIE-

RZA I Z MIODOWEJ ROSY NA WARGACH. MOTYLOM W SADZIE TYLKO JĄ POKAŻI PILNO IM BYŁO BARDZO. ĆMA PO NOCY WPROST DO NIEJ JAK W ŚWIECĘ. BO TEŻ ĆMY TYLKO, MOTYLE I PTAK, CO ŚMIELSZY, OGŁADAŁY GŁADKIE LICE KSIĘŻNICZKI BRATUMIŁY. NA TYŃCOWEJ GÓRZE, ZA TRZEMA MURAMI, ZA DWOMA ZWODZONEMI MOSTY KWITŁA KSIĘŻNICZKA BRATUMIŁA. JEDNEGO RYCERZA PIEŚCIŁ JEJ OCZY CIEKAWE, JEDEN RYCERZ PŁONAŁ POD TEM PATRZENIEM CIEKAWEM: KSIĘŻNICZKOWY BRAT, WITEŻ NIEZAMYŚL. W GŁADKIM LICU I MISTERNYM KSZTAŁCIE KSIĘŻNICZKI BRATUMIŁY ROZGORZAŁ NIEZAMYŚL MIŁOŚCIĄ WIELKĄ. WITEŻ, BRZYDZĄC SIĘ IMAĆ LUTNIEJ POD ALKIERZEM, Z KONIA I PRZY ZBROI (JAKO RYCERZOWI GOODNIĘ TAKOWE MINNESANGI, OD BOLESNOŚCI W GRĘSZNEM KOCHANIU TEŚKNE, WSZĘDY SKŁADAŁ I GŁOSIŁ, ŻE GDZIE PRZYBYŁ, DWORSKI FRAUCYMER ŁZAMI GŁOŚNEMI GO WITAŁ I MIESIĄC PO NIM PLAKAŁ. WITEŻ NIEZAMYŚL, WSTYDZĄC SIĘ PISAĆ, MIECZEM NA DĘBOWEJ KORZE TAKIE WIERSZE NA JEJ CZEŚĆ WYCINAŁ, ŻE GDY JE POTEM SOBIE ODŚPIEWAŁ, PTAKI ZBIEGAŁY SIĘ Z GĄSZCZY I OBSIADAŁY ROJNIE DRZEW, OSOBLIWIE ZIEBĘ I KOSY, NA ŚPIEW NAJCIEKAWSZE. ŚWIĘTY JACŁAW, CO BYŁ PODONCZAS PRZEOREM W KLASZTORZE, MYŚLAŁ I WAŻYŁ, ZALI NIE ZA DYABŁA PRZYCZYNIENIEM SKŁADAJĄ SIĘ PIEŚNI TAKIE? PORADZIWSZY SIĘ DUCHA ŚWIĘTEGO, NAKAZAŁ ŚWIĘTY JACŁAW WITEZIOWI ZDZIAŁAĆ PIEŚŃ TAKĄ W KOŚCIELE NA UCIECHĘ PRZENAJŚWIĘTSZEJ PANNIE. LEŻAŁ WITEŻ TRZY DNI KRZYŻEM I, CHOĆ SIĘ SZCZERZE MODLIŁ, NIC MU DO SKŁADU NIE PRZYCHODZIŁO. „Z KONIA TYLKO UMIEMI!“ — ZERWIE SIĘ W ZŁO-

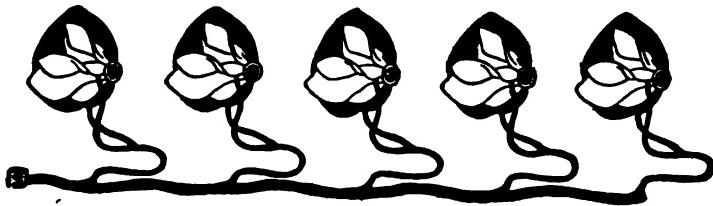
ŚCI I TUPNIE W KAMIEŃ POSADZKI, AŻ ECHO JĘKŁO GDZIEŚ POD SKLEPIENIEM. „DAWAJ GO SAM!” — KRZYKNIE ŚWIĘTY JACŁAW, — „CHWAŁ PRZENAJŚWIĘTSZĄ Z KONIA.” GDY ONEGO PODAWANO, NAWINAŁ SIĘ GRZECZNIE DYABEŁ, STRZEMIĘ DWORNIĘ TRZYMA I SZEPCKĘ: „PRZEOR WIEDZIEĆ NIE POTRZEBUJE, O KIM TY MYŚLISZ. MADONNA NAWET, JAKO JAWNIE W PISMACH STOI, INNA BYĆ NIE MOGŁA JAKO JEST BRATUMIŁA. NAWET LELII W DŁOŃ NIE TRZEBIA: PIĘĆ ONYCH PALUSZKÓW W BIAŁY KSZTAŁT LELII SIĘ ZŁOŻA. — CO SIĘ ZBUDZI PO NOCY, POPŁAKUJĘC Z TĘSKNOTY, SZYJKĘ BIAŁĄ W PUCHY TULI I MYŚLI: PRZECZ CHMURNIE NA MNIE PATRZY NIEZAMYŚL? ZALIMŻ GO UKRZYWDZIŁA W SERCU MOJEM?” — RZECZE WITEŻ: „W PORĘŚ MII” JAKOŻ UCZYNIŁ W MYŚLACH SWOICH I ZAŚPIEWAŁ PIEŚŃ TAKA, ŻE MU Z PUSTEGO KOŚCIOŁA PODOŻNEM ECHEM WESTCHNĘŁY ORGANY. — (TO PRAWDZIWE WYDARZENIE UCZYNIŁO KLASZTOR OD CUDÓW POTEM SŁAWNYM.) — WRÓCIŁ WITEŻ DO KSIĘŻNICZKI, ALIŚCI ONĄ NIECHĘTNĄ SOBIE JUŻ NALAZŁ, A OWEGO, CO MU STRZEMIĘ PODAWAŁ, — W DZIEWOSŁĘBACH. „TENCI RYCERZ,—RZECZE BRATUMIŁA SMUTNIE,—WIERNOŚĆ MI ŚLUBOWAŁ, JAKO TY DAMIE SWEGO SERCA.” — „JAKOWEJŻ?” — KRZYKNIE I UŻCI MIECZEM ZA ONEGO SIĘGA. „MARYĄ ZWĄ OBLUBIENICĘ TWOJĄ, NIECH CIĘ BÓG Z NIĄ POŁĄCZY.” I PÓŁAŁY SIĘ ŁZY NA TO GŁADKIE LICE KSIĘŻNICZKI BRATUMIŁY JAKO PIERWSZA ROSA NA PĄKOWY KWiat. WYPADŁ MIECZ Z RĘKI WITEZIA, JAKO ŻE PALEC BOŻY W TEM POCZUŁ: OD JAWNIEGO GRZECHU ODWIEDZENIE. NAWRÓCIŁ CO RYCHŁO DO KLASZTORU I, W OTWARTE RAMIONA ŚW. JACŁAWA PADŁSZY, ZAPŁAKAŁ GORZCE Z ŻALU DO

PRZENAJŚWIĘTSZEJ PANNY, ŻE PIEŚŃ I PIĘKNO DYABŁU NA PONIEWIERKĘ ODSTĄPIĆ RACZYŁA I KUSIĆ NIEMI POZWALA. ŚWIĘTY JACŁAW, W TKLIWOŚCI OJCOWSKIEJ, WŁASNYM KUŁAKIEM TWARZ MU Z ŁEZ UTARŁSZY, W NOWICYAT (PO STAREMU) PRZYJĄŁ. JAKOŻ WITEŻ SKRUCHE, MATCE BOSKIEJ MIŁĄ, UCZYNIWSZY, ONĄ PIEŚŃ SŁAWNĄ „OBLUBIENICO MOJĄ!” NA WIECZNĄ CHWAŁĘ (KLASZTORU) ZDZIAŁAŁ. ŚWIĘTY FRANCISZEK NAWET PIEŚŃ TĘ POTEM CHWALIŁ; A GRZESZNE DUSZE PO DZIŚ DZIEŃ W GODZINĘ ŚMIERCI PIEŚNIA TAKOWĄ ZBAWIAĆ SIĘ RADE. MIĘDZY BŁOGOSŁAWIONE PAŃSKIE OJCIEC ŚWIĘTY WITEZIA ŁASKAWIE ZALICZYĆ NIE RACZYŁ, ILE ŻE KSIĘZNICKA ONA, NIEZAMYSŁOWEM ŚPIEWANIEM WIELCE W MYŚLACH SWYCH ROZTĘSKNIONA, DYABŁU (NA CHUCIE) SIĘ ODDAŁA. TAKA JEST JEDYNIE PRAWdziWA PRZYPOWIEŚĆ O KSIĘZNICZE BRATUMILE, WITEZIU NIEZAMYSŁU I O ŚWIĘTYM JACŁAWIE. — OPowieDzieć DOKŁADNIE ZAMIE-  
RZYŁ BIEGŁY W PISMIE SCLAVUS MARiae I POD ONEJ CUDOWNĄ OPIEKĄ, WBREW ZŁOŚCI MOŻNYCH I INJURYOM GŁUPICH, W UROCY-  
STY DZIEŃ CUDOWNEGO JEJ ROZ-  
WIĄZANIA A. D. MCCi SZCZĘŚLI-  
WIE DO KOŃCA DOPROWADZIŁ.  
AMEN.



Po nad przepaścię wieków przyniosło mi echo niespodzianie tę prostą bajkę. Uśmiechałem się z początku, czytając: bawiłem się nią, jak się bawi z dzieckiem. Prze-

czytałem po raz drugi, wciąż się jeszcze uśmiechałem, ale gdy oczy ciężko i uparcie przylgły do pergaminowej kartki myśl w dal odbiegła. Ruszyły mi przed oczyma te ciemne szeregi liter w nieskończonych przemarszach, w rach i koliskach. Myśli pracowały gorączkowo: biły puls na skroniach, prześlizgiwały się przez świadomość lekliwie, przebiegały przez nią w popłochu, i nikły, rozpraszaly się, gasły.



A że dolinę i góry poza oknem zalewało miękkie światło zachodu, więc i mnie przysyłało słońce promień łagodnych myśli.

Zamarzyłem o klasztorze pokutnym w poszumie lasów jodłowych, o białych podwórcach w balsamicznej woni cedrów, o kawek wokół wieży rojnych lamentach, o chórze mnichów głębokim, o organów kościelnych jękum psalmicznym i o sygnaturki wysokim tonie... I błędę, ja mnich, w białym podwórzu, po złotych plamach słońca i sinych cieniach gałęzi, wchodzę w wilgotny chłód arkad i na starym rzymskim sarkofagu to słowo kreślę w zadumie bolesnej:

*Hilda...*

Drgałem. I spojrzałem na tę jasną topię łagodnego zachodu na szczytach, zrozumiałem, że mnie nieświa-

domego opływa już od wczoraj miękka atmosfera rodzącego się uczucia.

A jednak... Ta narożnica kamienna z oknem na lodowiec, te księgi stare, miniatury złote, ta opowieść naiwna, ten klasztor wyczarowany z myśli, te kawek wokół wieży rojne lamenty, ta całego świata wokół mnie muzyka; owo światło złote i cięń ponury: rozkosz pieściwa i ból trawiący w tem jednym imieniu — „*Hilda!*“ — przecież to wszystko, wszystko razem jest jakby niedopowiedzianą do końca bajka, jest bezpłodnem, zabójczem marzeniem!..

Szatanie, odwiedź zwierciadło swe ode mnie!..

I osunąłem się na kolana, tam przed pultem, u okna. Splotły się palce dloni, wsparła na nich ciężka głowa...

...To jej czoło jasne, otwarte i dumne, — te równe polyski na gładko zaczesanych mahoniowych włosach, jak smugi światła na fali, — ta przezroczta głęb' czarnych oczu... Oczy te są zanadto spokojne!..

Szatanie, odwiedź zwierciadło swe ode mnie! .

Poprzez małe okno w głębokiej nyży padły me oczy na to zatopione w błękitie śniegowe morze najczystszej, niepokalanej bieli. I w jednym mgnieniu oka, jakby pod mego spojrzenia nieczystą siłą, wielka fala płomiennej lawy załała te bezmiary jasne. Skalne zręby, szczyty i iglice, białe morze w głębi, lodowcowe złomy na przegubie i ten jego język wryty dołem we wnękę skały: wszystko to — w tej chwili takie jawne, widne, dotykalne — stanęło w purpurowym blasku oślepiającej pożogi... I przycichł gwar ziemi. Chmury zwinęły swe żagle, niemocne wiatry przyległy korne na stokach.

Olbrzymia luna ciche skrzydła rozpostarła nad światem.

W piekło świat się na szczytach rozpalił.

I tam także?!..

Kurczowo splatały się palce wypreżonych ku górze rąk ...

*O nieskalane, dumne, gorejące szczyty!  
 O zwiastowań tajemnych płomieniste zorze!  
 O krwawej wróżby ciche, rozognione morze!  
 Grobie życia królewski, w purpurę spowity!*

*Grzechu orla kolebko na podniebnej hali!  
 Raju wrota płomienne w zwierciedle szatana!  
 Choć siegnie was myśl harda, choć wola spętana  
 Żarem ćesknot daremnych niebiosa zapali,*

*Choć na bieli dziewczęcej żary piekła wznieci,  
 Choć, wszelkie życie depcząc, na szczytach zaświeci,  
 Piekił sobie zgotuje tuż pod tronem Boga!*

*O zorze! zorze! ciche, gorejące zorze!  
 W sto tęcz wokół świat spłonął: krwawi! dymi! gorze!  
 — Nieskalanych to szczytów złowieszczą pozoga.*

Szatanie, odwiedź zwierciadło swe ode mnie!!..



... Już mroźne sine okręby wyrzucać się poczęły z pod tej ogniowej topieli. Porwał się wicher i zmiótł w jednej chwili pozogę.

Koniec! —

Gęste przedzmierzchowe mroki siny kirem zaciągnęły świat.

Na podniebiu widać już było tylko dziwnie twarde, zimne i mroczne zwaly granitu, pośród nich zastygał i krzepł siny lodowiec. Dołem legła ta cisza mroczna w godzinę oczekiwania, kiedy się dzień po za przełęcze zwala. Jeszcze tylko dwie długie taśmy czerwieni snuły się leniwie pośród chmur. — Cisza... Tam góra, po szczytach, mignęło coś: płynie... Cień! cień!.. Orłowych skrzydeł po lodowcu cień.

Minął, — przeleciał!..

Teraz słyszę zdala jakiś skrzyp drewniany: uparte, niedołęzione bujanie w starej dzwonniczy. Nagle dźwięków całe roje, jak stado cyranek, co się z wody poderwie, zakräży i w zmierzchowej, wielkiej ciszy płynie wysoko, wysoko, — hen w podniebną dal!

*Kiedy Anioł swiastadtował Marii...*

A z łąk alpejskich, z lasów jodłowych, z hal podniebnych wionęło pod niewidzialne ołtarze kadzidłem mięty, anyżu i tymianu.

*A na ziemi pokój ludziom dobrej woli i czystego serca...*

I ten świat cały, ten mój, oczyma duszy widziany ten świat rozśpiewał się kornem, pokutnem modleniem. A kiedy oczy, uczuciom swym wierne, wciąż jeszcze na szczyty wracały — rósł, krzepł i potężniał śpiew ten: pastoralnym hymnem rozpsalmił mi się w duszy.

...I zda mi się, że leżę martwy tam na lodowcu, w podniebnej trumnie sinego granitu — i że poprzez ziemię całą przechodzi szumem wielkim zmartwychwstania

godzina... I widzę, po horyzoncie świata, wielką, rdząną, a dymną lunę od gromniczych świec...

W tą oczekiwania godzinę najcięższą...

I zda mi się, że z bozych aniołów duchem najsilniejszy odwala głąz mego grobu: — ciebie, Hilda, widzę w złotym blasku świec gromniczych. A laury wokół ciebie lśnią i nad głową twą szumią.

I mówisz do mnie: „Wstan i ty, grzechem niemocy najgrzesznieszy. Patrz, oto na wątle piersi kładę ci złotą Chrystusową tarczę miłości: tworzyć będziesz!.. I lęku zbań! — Chrystus Pan kamień nawet rozłamać każe, zali nie jest to agatu migdał lub ametystu ukryte ziarno: — aby żadnemu pięknu krzywda się w niebie nie stała. Widzisz milionowych tęcz płonącą bramę i biały, szumny gościniec aniołów? Słyszysz ziemskiego ptactwa świgot radosny? Łąkowych kwiatów poszumy tajemne i małych smutnych dzieci śmiech szczęśliwy? — Patrz, — oto po prawicy Boga Ojca zasiada Chrystus Pan nasz miłośczy.

*Urbi et orbi!.. Urbi et orbi!..*

Słyszysz trąb serańskich łoskotanie weselne na cztery świata strony? — Raduj się, grzeszniku, raduj z aniołami! „Hosanna Królowi Dawidowemu, hosanna na wysokościach!..“



Kiedym, po gorączkowej i pilnej nocy, oraz po pracowitym dniu następnym, pod wieczór jej to odegrał i kiedy, po ostatniej modlitwy hejnał, ręce mi z klawiatury opadły drżące, usta wyszeptały niewolnie wraz z ostatnim pobrzeskiem ostatniego tonu:

— Tobie to, Hilda, pod nogi.

Chciała coś odpowiedzieć: poruszyły się tylko wargi. Blada i poważna była na twarzy, myślała snadź nie o mnie, lecz o tem, co usłyszała przed chwilą, rozumiejąc, że było to *Requiem* do wczorajszego pogrzebu.

Mówiłem jej potem, że się tak słaby i zmęczony czuję nietyle nieprzespaną nocą, ile tą gorączką trawiącą, że chciałbym o wszystkiem mówić zapomnieć i dzieckiem być...

— Już nim jesteś, — rzekła. — Każdy z takich... — zaczęła i nie dokończywszy myśli swojej zgarnęła tren sukni z dywanu.

— Chodź, — mówiła, wskazując mi miejsce na dywanie tuż przy fotelu.

I głaszcząc po chwili włosy moje:

— Zabieram cię ze sobą. Musisz dać koncert w stolicy.

— Nie! nie!

Roześmiała się.

— To podnieca, budzi, dodaje sił. My musimy mieć coś takiego, aby nas ciągle naprzód pchało; w przeciwnym razie cofamy się łatwo, albo tracimy właściwe miary.

— O czem ty mówisz?

— O tłumie. — I jest w tem upojenie, krótkie, ale mocne: haszyszowe.

— W czem, Hilda?

— We władaniu tłumem... Ich dusza ma całą gamę uczuć. Te rozproszone oklaski, gdy wchodzisz, to na-

pręzione milczenie, gdy zaczynasz, to westchnienie gromadne czasami, poszepty i te nagłe burze oklasków...

— Powiedz, Hilda, — mówiłem, siedząc u jej nóg jak paź i ujmując ją za obie ręce, — powiedz, Hilda, — w tem musi być coś upokarzającego: być aktorką?

— Dzieciaku, jesteś niegrzeczny względem kobiety! — śmiała się, zgarniając mi włosy z czoła. — Mówi się: artystka.

— Przepraszam.

— Przepróś!

Ucałowałem obie ręce.

— Wstań i pokaż się: lubię ten wasz mundur.

— Hilda!

— Wstań! — przytunęła nogą... — Że też tobie pozwalają w pułku nosić takie długie włosy.

— Ale ja siadę z powrotem, — kaprysilem zawstydzony.

— Siądź... Ile ty masz lat? Poczekaj...

— Dwadzieścia cztery, — pomogłem jej pamięci.

— Śmieszny!

— Hilda, nie mów tak!

— Nie, nie!

— Ty nie jesteś taka, jakem wczoraj myślał.

— Kobieta nigdy nie jest taką, jak ją sobie wyobraża dwudziestoczteroletni porucznik.

— Hilda! — szarpnąłem się gniewnie. — Czyżbym ja dla ciebie był rzeczywiście tylko...

— Prócz tego jesteś artystą, co z ciebie czyni jeszcze większe dziecko.

— Ty masz dziwną dojrzałość... artystki.

Podniosłem się i zacząłem chodzić po pokoju.

— Mały!

Żachnąłłem się. A ona popytała nogą, póki nie zbliżyłem się do niej i nie pocałowałem w rękę.

— Nie osądzaj nigdy przedwcześnie, — rzekła z naciskiem.

— Cóżem ja winien, że mi przed oczyma stoją uparcie — kulisy.

Grymas: niedbałe, wzgardliwe wydęcie warg.

— Jutro wyjeżdżam.

— Hilda...

— No? W oczach lzy? Oo!..

— Jadę z tobą.

— Dokąd?

— Gdziebądź. Dawać koncerty wraz z tobą.

Rzuciła bystre, uważne spojrzenie.

— A ja ciebie nie wezmę, — rzekła niespodzianie i poczęła wiązać sobie krawat na szyi. (Nosila się z angielska, w sukniach o surowej niemal prostocie, lecz w nieskazitelnych, rysowanych liniach.)

— Dla czego nie wezmiesz?

— Daj pokój! — przerwała niechętnie i potrąsła niecierpliwie głową.

I poczęła się przechadzać po sali: wysmukła, bujna, mocna w chodzie i w wejrzeniu. Z góry spoglądały na nią zczerniałe i zrudziałe portrety w złoconych ramach, o zgaszonym przez czas połysku. Kołem pod ścianą płońnęły, w kapryśnych rzutach refleksów od świec, ponure, trupie, sztywne szeregi zbroic. — Dywan głuzył nasze kroki, natomiast każde chrząknienie i tłumione westchnienie rozlegało się piwnicznem echem po dalszych nawpół pustych komnatach.

— Z początku, — rzekła, — chciałam ci była podziękować.

— Bój się Boga, za co?

— Prawda! Ty nie żyjesz nakazami klubu, salonu, szablonów, lecz duszą własną.

— Nie mów...

— Boisz się wspomnienia kulis?

— Rozumiem, żeś postanowiła przed chwilą w myślach oczernić siebie przede mną.

Roześmiała się. „Jaki on czujny!“ — zawała do siebie. — To „on,“ cała intonacja tego okrzyku nie poszła mi w smak. To też nie namyślając się dodałem:

— Myślałaś: „To go przyprowadzi do rozsądku.“

Zatrzymała się gwałtownie:

— Proszę, aż tak dalece czujny!.. Zresztą, — mówiła wnet potem, jakby z pewnym politowaniem, — zresztą, ten instynkt mają wszyscy, co, bez kierownictwa woli, omackiem przez życie idą. Wielki urok szarej godziny egzystuje tylko dla mocnych wola: oni nie widzą, ponieważ mogą sobie na to pozwolić. A w tem jest wielka tajemnica szczęścia.

— W czem, Hilda?

Podbiegła do mnie i przysłoniwszy mi oburacz oczy:

— W tem, — zaśmiała się krótko.

— Siądź, — szeptałem, — pozwól raz jeszcze złożyć głowę na twych kolanach, oczy mi przysłoń — i niech się upiję tą szarą godziną szczęścia!..



I znowuż przechadzała się w zadumie po sali: bujna, giętka i taka mocna w chodzie i w wejrzeniu.

— Hilda, — szeptałem, stojąc zdala, — gdy tak na ciebie patrzę, gdy wspomnę, coś mówiła... (Ja każde słowo twe pamiętam!)... Przed twą wolą, rozumem, uczuciem...

Nie chciała słuchać, nie pozwoliła mi dokończyć.

Z góry, z poza ram wyblakłych, spoglądały na nią harde głowy przodków. A kołem, pod ścianą, płonęły w kapryśnych rzutach refleksów stalowe zbroje; z głowami wtulonemi w ramiona, stali sztywno, jakby część jej oddając, śpiżowi rycerze: prężyli się ponuro, trupio, strasząc czarną otchłanią pod hełmem.

I jużem wzroku od niej oderwać nie mógł.

— Tybyś na barkach swoich udźwignąć mogła nawet brzemię!

Zwróciła się nagle ku mnie.

— Jakie?

— Majestatu, Hilda!

Rumieniec, pierwszy rumieniec trysnął na jej twarz.

— Dzieciaku ty! — rzekła surowo.

A ja przygiąłem się szybko do tej, na czarnej sukni zwiślej białej dloni i opowiadałem jej gorączkowo, bezładnie o tem, jak mi ona w ów wieczór przyszła z nieba i ziemi cudowną muzyką, jak świat mi się przez nią rozebrał, jak ona granitowy głąz z grobu mej niemocy podjęła, jak me wątle piersi złotą tarczą miłości osłoniła...

Odpowiedziała spokojnym, prawie smutnym głosem, musnąłwszy zlekka me włosy.

— Biedny ty, — niewolnik wyobraźni!.. Nie wierz ty swym wrażeniom, uczuciom, chęciom, samemu sobie nie wierz! Ty ani sobie, ani nikomu, dać szczęścia już nie potrafisz. Ty możesz być tylko artystą.

Przegięła się, pochyliła w dół głowę ku moim ustom. I na te wargi me pragnące złożyła długi, cichy pocałunek. Przyjąłem go jak sakrament: cicho i kornie, bo, tą szarą godziną szczęścia wciąż jeszcze pijany, wyzbyłem w pa-

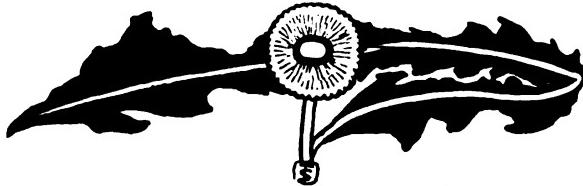
mięci kobietę: marzyłem, że oto ONA, — sztuka, daje mi boskie swe pomazanie.

Z góry, z pod pułapu spoglądały potężne, harde, w miecze własne ufne oblicza dawnych ludzi czynu.

„Oto jest ta, co nas wskrzesi, na nowe boje, nowe zwycięstwa w nieśmiertelnem życiu powoła.“

Chłodem ponurej, skupionej ciszy wiało z dalszych komnat zamku. W sali, pod ścianą, prężyli się trupi rycerze. I zdawało mi się, że z tych martwych szeregów, z tych czarnych jam pod pustemi hełmami, wyszedł potrąk basowy, niby głuche i mocne w bojowy bęben uderzenie:

*Salve Regina!*



Minęło. Dziś nie wiem nawet, czy ta chwila snem była czy objawieniem, złudą czy jawnym cudem.

Hildę, kobietę widziałem już przed sobą.

Oto poprzez salę bezszelestnie stąpa, ramiona uniósł-szy splotła dłonie na tyle głowy: na tem bogactwie i przepychu włosów lśniących. Rumieńce żywe ma na twarzy (białą była dotychczas!), pierś jej faluje, — słyszę oddech nierówny. Gdy przysiadła na chwile, a spojrzenie me (nie odrywały się od niej oczy moje!) zatrzymało się przelotnie na jej stopach, zasłoniła je czempredzej trenem sukni.

A gdy się zerwała znowuż, tom słyszał już odtąd w jej chodzie jedwabisty, sypki szelest sukien.

Poczęła nucić: zrazu cicho, potem śmieej. Wreszcie...

Słucham. Głos piersiowy, pełny: kryształ w brzmieniu duchowem, metal w dźwięku materyalnym, we frazowaniu bogactwa twórcze. Lekki dreszcz rozkoszy przechodzi przez ciało, tak się ucho raduje. Na chwilę zapominam znów o kobiecie: słyszę tylko głos sztuki i stroje chciwe ucho... Śpiewa!

*I co mi w piersiach  
Żary rosnieca.  
Co mi się do krwi  
Płomieniem w świeca,  
Jak pierwsze świty  
W duszy mi dnieje,  
Wole rozgrzewa,  
Dumą się śmieje...*

Urwała. Umysłnie jakby — : nie wytrzymała nuty końcowej. Echa ją zmieszały: po sąsiednich komnatach tłuka się echo.

Zatrzymała się na drugim końcu sali. Tyłem do mnie zwrócona i zajęta jakby hełmem na złoconej zbroi, odezwała się nagle głębokim recitativem:

*Marzanna chce:  
„Niech będzie noc!“*

A z sąsiednich pokoi przyniosło nagle echo w głuchozym pohuku:

*Niech — będzie — noc!*

Zadrzałem mimowoli. A ona, jakby naprzekór tym sowim pohukom z pustego zamku, dobyła z piersi w całej sile namiętnego wybuchu:

*Wschodzące życia słońce me!*

A echo przyniosło wraz z głębokim przydechem organowego hymnu to najwyżej wzięte słowo:

*Życia!*

Tam, po za drzwiami, skłociły się na chwilę echa i pogwary; a potem nagle, z obu stron, tam, w dalekich komnatach, zadrgały, zda się, spazmem wiolonczelowe struny, zapłakał wysoko żałosliwy flet; — a wraz z niemi wpadł do nas i załopotał skrzydłami ranionego ptaka ten okrzyk dziwny:

*Życia!.. Życia!*



A gdy i te echa zamarły w westchnieniu, przytłoczyła nam serce taka ciężka i głucha zaduma, że, zasłuchani, czy echo czegoś więcej nie przyniesie, słyszeliśmy tylko głębokie oddechy wzajemne...

— Henryk, wstań! na miłość Boską, wstań z kolan!

Te jej usta, zwykle surowe, prawie twarde w rysunku, stały się nagle takie łagodne w miękkim kolistym układzie: ogromnie dużo kobiety było w niej w tej chwili. Ręce, które starały się uparcie podnieść mnie z kolan, obwiesły bezwładnie.

— Wstań, dziecko, — szeptała tylko raz po raz, — wstań!..

— Pocoś ty mnie wciagał w tę czarną otchłań twojej wyobraźni!?.. To gorsze jest od grzechu.

I zaśmiała się tak dziwnie, że z ciemnych pokoi, przywiódło echo jakiś okrzyk zranionej miłości własnej, co złamał się nagle w spazmatycznem łkaniu. Wyrwała świecę z lichtarza i, szarpnawszy drzwi, wybiegła w ciemne pokoje, naprzeciw tego echa.

— Hilda! — krzyknę za nią.

I tak, poprzez te ciemne gmachy, w słabym połysku świecy, wśród głuchych uderzeń naszych pośpiesznych kroków w płytę kamienne. A w ślad za nami, ze wszystkich, zda się, komnat, wnęk, nyż i korytarzy tych murów niemych wypadła, zda się, nagle dzika sfora faunów: bila kopytami w posadzki, goniła wołaniem, szczała dzikiemi świsty, sowim pohukiem i śmiechem szalonym.

Nagle wydało mi się, że tuż ponad naszemi głowami zarywa się z łoskotem sklepienie całe. Porwał się huk tak przerażliwy, że oboje stanęliśmy na miejscu. Ona tam dalej, pod kolumną: biała, dysząca, nieżywa prawie, drżąca ręką zagarniająca ten ciemny płaszcz rozplecionych w biegu włosów.

Oprzytomniałem nagle.

— Lawina! — rzekłem, kiedy ten huk, zamiast słabnąć, w wichurę huraganu się przeradzał i już jakieś gromy podziemne ze sobą toczyły.

— Lawina, — powtórzyłem. A potem już w myślach tylko swoich: „A tamto grzmot głazów po skałach i grzechot kamieni w żlebie. Pędzą, sypią się, wałą na łąki nasze.“

— Hilda, — ojciec nakazywał, ojciec zaklinał!.. Patrz, tak dolina nasza tonie w gruzach, powoli, z dnia na dzień: — kona beznadziejnie... I niema, ktoby ją ratował. Bo mnie bezwola pajęczyna marzeń omotała i przez matnię sztuki w zło wszelkie wpędza.

A tamten piorunowy łom i grzechot piekielny nie chciał ucichnąć. „Boże, Boże, jakąż to lawą dziś się sy-pie!“ Złamała się wytrzymałość moja: ciało nie miało sił wysuchać do końca.

Osunąłem się cicho i powoli na chłodne płyty ka-mienne.



Ocknałem się w tejże portretowej sali.

Miękkie, pieczółkowite dlonie chłodziły mi czoło, skro-nie, twarz. Od czasu do czasu tylko, łzy kropliste parzy-ły mi ręce, policzki, skroni. Ciepłe tchnienie pocałunków zwilżało mi co chwila suche wargi i sztywne, chłodne me ręce.

I znowu straciłem świadomość.

Gdym się ocknął po raz drugi, uczułem, że coś jak noże kraje i kluje mi czoło oraz ręce. Ponad oczy zwie-szała mi się gałązka ciemnych, grubych liści. Poruszyłem ręką: miałem tego pełno na piersiach, ponad głową, na nogach. To ona, Hilda, nałamała laurowych gałęzi z do-niczek owych krzewów, — laurowych gałęzi z pod kata-falku!

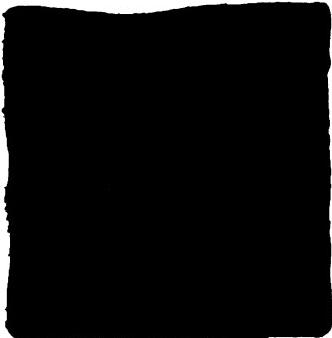
A gdym je łamał w rozpacz na tem posłaniu śmiert-ci, tam z podwórza słyszać było brzęk uprzęży, parskanie koni, szczęk łańcuchów, głucho bicia podków o most zwo-dzony nad urwiskiem.

Daremniem czekał na odezwanie się trąbki, na grę tą czarowną po echowych kniejach i uroczyskach górskich: na zmartwychwstanie świata mego. Tej nocy zaciążyła na dolinie pochmurna, głucha groza kamiennej pustki wśród olbrzymich gór. Świerszcze zamilkły, przycichły potoki... Huczała tylko wezbrana rzeka, tocząc w ciężkich westchnieniach swe glazy wielkie.

Czekam!...

Czekam smutny i wiary pełen, że w tę czarną noc grzechu niebosiężne olbrzymy skał przełamią się u podnóży, zachwieją i zamkną grób ten. —





ie dosłyszał Müller ostatnich słów; utkwiły one wraz z westchnieniem w piersiach Hertensteina. Siegnął machinalnie po wino, ale bezwładne ramię opadło, zanim dłoń kubka dotknęła. Powstał, z zamiarem otworzenia okna, lecz w tejże chwili wszystko zawirowało mu przed oczyma, podwinęły się bezwładne nogi i opadł z powrotem

na kanapę. Już rozproszone swe myśli skupiał, chwytał, już chciał coś powiedzieć, zwołać, krzyknąć, — gdy w jakieś dziwnej perspektywie długiego czarnego lochu ujrzał zamek w ruinach, niby ciemną kępę potwornych grzybów na popielatej skale. Patrzał, uśmiechał się błędnie, nagle pochylił się do Hertensteina i objął go w pół.

— Bój się Boga, Henryk, pocoś ty mi opium dawał!

— Grałeś na fortepianie? — pytał wnet potem, chłodząc dłońmi rozpalone policzki, — czy też opowiadałeś?..

Bo toż to nie ludzie przecie — ci twoi tam! Koturnowe, senne cienie, poruszane rytmem, taktem i melodyą twej muzyki... Jej niema wcale! — zaśmiał się nagle, idąc gorączkowo za biegiem podnieconej wyobraźni. — Cień kobietę, cień sztuki!...

Powalił się na otomanę, wypreżył jak długi i wetknął w zęby papierosa. Ledwo się jednak położył, zerwał się znowu gorączkowo.

— Upileś mnie opiumowym jadem tych marzeń.

Hertenstein nie drgnął, nie uniósł nawet ciężko zwiastej głowy.

— Literat! — syknął tylko przez zęby.

Ale Müller uwagą i wyobraźnią był już gdzieindziej: spoglądał w ponurem skupieniu na portret, który już przedtem przykuwał mu niejednokrotnie wzrok.

— Gdzie ona jest teraz? — zagadnął nagle. Lecz choć pytanie swoje dwukrotnie powtórzył, nie otrzymał odpowiedzi.

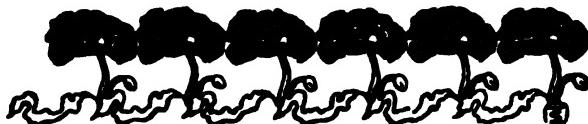
Kilkakrotnie przenosił wzrok z tego portretu na Hertensteina, chciał o coś zapytać, machnął jednak ręką: „A tyś osiadł wraz z twem marzeniem na bezpłodnej mieliźnie!“

I przyszła mu na myśl Borowska. Zagryzły wargi jakby w bólu i targnął myśl w inną stronę. Wspomnienie przyniosło mu, niespodzianie, słyszaną niejednokrotnie opowieść Borowskiego: ojca aktora, jego kochanki i jeszcze raz żonę jego; a potem ten miserny świat szminki, w głódzie wrażeń nawpół dzikie, upiorowe namiętności, z których jak z kotła czarownic wynurzają się bohaterskie widma, zalane jaskrawym blaskiem teatralnych kinkietów. A opowieść Hertensteina była mu jeszcze pulsem w skroniach. I te dwa biegunowe światy jedy mu się wiązać i płakać w obrazach. Widział w teatralnym blasku barw i światła, pod pałającym spojrzeniem setek ludzi, w burzach oklasków, tryumfy aktorów o szerokich, namiętnych war-

gach i twardych czołach byków. W mizernych ramach kulis, wśród malowanych murów starego zamczyska, gra oto Borowski z ojcem i z aktorką o rudej peruce, tę samą opowieść, która wciąż jeszcze tętniła mu w skroniach... I oto wzywają natarczywie autora. Wychodzi on, Müller, i kłania się wraz z Borowskim, jego starym ojcem i aktorką w rudej peruce. A na widowni wrzawa, oklaski, wiwatły, wrzask i tupanina wyrostków po galerach... Tam oto, w pierwszym rzędzie, siedzi Hertenstein; białemi dłońmi oplotł swe kolano i kiwa się niedbale. Patrzy, nawpół z politowaniem, nawpół z ciekawością, nierzaz ziewnie, to znów się uśmiechnie, wreszcie zwraca się półgłębkiem do siedzącego obok Jelsky'ego: „Dobre aktory, niezły literat. Zrób im, proszę, reklamkę; dam ci szampana...“ Zaś tam, — na wielkomiejskich bulwarach, ogłuszona łoskotem i wrzawą uliczną, przemyka się wśród tłumów w ciemnej chustce na ramionach — ona: Zosia Borowska! — szuka, goni kogoś, czy też ucieka!!...

I nie mógł wzbić się myślą ponad te chaotyczne obrazy i niespodziane zestawienia. Coraz to pochmurniej, w coraz to większem skupieniu wpatrywał się w Hertensteina, jakby oczekując, aby mu pomógł z tych obrazów wyłuskać dręcząca, zaledwie nieświadomie odczutą zagadkę. A te węzły popiątych wspomnień, te powikłane z dwóch światów obrazy, wciąż mu nie dawały spokoju. Dlonią czołotarł, próbował napić się wina. Wreszcie wsparł zmęczoną głowę na łokciach i wyszeptał po raz drugi:

— Bój się Boga, Henryk, pocoś ty mi opium dawał!



Hertenstein tymczasem zbliżył się do okna. Głaskał machinalnie charta i za każdym turkotem z ulicy nasłuchiwał niespokojnie wraz z nim. Wreszcie powrócił do stołu i siegnął po wygasłą fajkę. Müller mrużył już oczy, wpatrując się coraz to natarczywiej w jego białą, wygasłą twarz i oczy o smutnym w tej chwili, gorączkowym połysku. Wreszcie nie wytrzymał i rozłożywszy ramiona krzyknął niemal:

— Czemuś ty do klasztoru lepiej nie wstępował, jak tamten z bajki?

Hertenstein osunął się na fotel, rozkołyzał bieguny i pytał powoli ze swojej cienkiej fajeczki. Na odpowiedź kazał czekać dugo.

— Hm? — bąknął wreszcie. — Wstąpić do klasztoru, zostać rzemieślnikiem!.. Wcale niezły ratunek dla Pawluka i jemu podobnych chłopców z kawiarni, — tych od sztuk plastycznych. Samotność i rzetelność rzemiosła! — jedno i drugie może z nich uczynić mistrzów, o ile nie stali się już beznadziejnymi „artystami.“ W przeciwnym razie nie pozostaje nic innego jak oddać się pod opiekę literatów. Mistrzami to ich nie uczyni, może wszakże zrobić sławnymi.

— No, dobrze! — niecierpliwił się Müller, — ale czemuś ty sobie tego nie poradził?

— Mistrzostwa? — pytał wraz z dymem fajkowym. Nie pragnę być rzemieślnikiem. Sławy? Fundowałem Jelsky'emu nieraz szampana, bo tylko pod tym warunkiem zobowiązywał się oszczędzić mi sławy... Zresztą, — mój drogi, jak ci się zdaje? — czyż przy innym zbiegu życiowych okoliczności nie mógłbyś naprzkład być dzisiaj zwykłym sobie Francem Müllerem, dependentem bodaj w policyi, ojcem kilku sprytnych pauprów o brzydkich skłonnościach do zrobienia majątku?..

Zaperzył się Müller: — Nazywam się...

— Bardzo legalnie. Ale nie o to idzie.

— Chcesz powiedzieć, że tylko baroni do sztuki się rodzą?

— Ach! — Hertenstein machnął niedbale ręką. — Baroni rodzą się zasadniczo tylko do kokot i salonów, oraz na to, by grzechem bezmyślnej psychy rozśmieszać nawet dyabła. — Chcę spytać cię tylko, czy w malstroemach wielkomiejskich zysku, wyzysku, automatycznej i możliwie bezmyślnej pracy, oraz wyrafinowanego, możliwie przemyślnego użycia zmęczonych zmysłów, czy w tym malstroemie nie wypływają kapłani o bardzo wyraźnej fizyonomii?

— Co dalej? — syknął Müller. — Zaczynasz banalnie, skończysz, oczywiście, poboźnie.

— Dalej, że ponieważ zysk, wyzysk i możliwie bezmyślna praca, są tematem dla sztuki dziś już tylko gdzieś na dalekim wschodzie, — a więc...

— Kapłani najbardziej wyrafinowanego użycia znużonych zmysłów? Czy taka ma być definicja? — Jeżeli wszystkich pięciu zmysłów, to nie najgorzej. Zmysły są zawsze pierwszą instancją sztuki. Ostatnią jest dla niej kulturalny umysł, który dojrzewa dziś tylko w twoich „złych wirach” wielkomiejskich.

— Taak, — Hertenstein pytał powoli z fajki. — O nic więcej mi nie idzie. Kulturalny umysł był zawsze arbitrem wyrafinowanych zmysłów. On to wymaga mistrzostwa i rozdaje sławę. — Poznalem aż nadto dobrze smutne i karłowate egzystencje tych, co bardzo pilnie malują, rzeźbią, piszą, tworzą, krytykują — *ad usum* kulturalnego umysłu. Oddychałem aż nadto długo tą duszną atmosferą ambicyji, zawiści, oszczerstw, pochlebstw; dusiłem się zbytnio tym zaduchem pełzającej dumy... Daruj więc, że mistrzostwo pozostawiam ambitniejszym, a sławę tym, co — rzetelniej na nią pracowali.

Nie wytrzymał Müller: zerwał się z kanapy i, wcze-

piwszy mu się w wylogi od tużurka, szeptał mu w usta niemal:

— To wszystko jest tylko samoobłudą improduktywa. Idzie o to, żeś ty sobie za młodu wyciął ten właściwy, twórczy nerw życia. I oto osiadłeś na mieliźnie wraz z cnotą swoją... Co wam szkodziło?.. Tam, na zamku, w zapadłym kącie?.. Zresztą, coby mnie ludzie obchodzili!

Dreszcz ohydy wstrząsnął, wykręcił niemal ciałem Hertensteina. Ale Müller wpił się w niego mocno rękoma.

— Czyś ty odgadł tajemną wolę natury? Czy ty wiesz, jakie źródła trysiącby ci mogły z duszy pod jej ręką?.. A może tylko wielkie namiętności rodzą wielkie czyny? A może temu ogniomi z ciała sądzono po całym duchu moim rozplomienić się? A może grzech oto niesie mi złotą lirę? Czyś ty odgadł ciała wielką tajemnicę?.. Człowiekiem tylko jestem, ciałem i grzechem, — a więc ciałem i grzechem żyję, lecz nie dla ciała, nie dla winy, nie dla cnoty, lecz dla dzieła mego! Z nieba ognia sobie nie przyniose, ale może go dyabłu wykradnę. Ale na to trzeba w piekło zstąpić!

I nie szarp mi się!.. Kto mnie, kto ciebie zapyta, zkad my swój ogień czerpiemy? I niech mnie nikt nie pyta, zkad ja mam tę moc, co świąty wskrzesza, za serce bólem taraga, upiory sumienia przed oczyma ci stawia. Ani cnoty, ani winy waszej nie znam, ja dusz waszych władcę, światów wskrzesiciel, namiętności mag, — ja, cudotwórca!..

Płomień zalał mu twarz, zaświecił w oczach. Długie i suche ręce wczeplały się Hertensteinowi pod szyję jak ptasie szpony, a chuda, ostra twarz suchotnika, czyhała niby ptasi dziób, aby mu wyrwać z ust odpowiedź. — Cekał długo.

Hertenstein patrał nań spokojnie, zimno. „I ten człowiek myślał o śmierci? I ten człowiek chciał śmierci??“

— Kłamstwo! — krzyknął odruchowo i zerwał się z fotelu.

Krzyknął przytem i zerwał się tak gwałtownie, że chart zbudzony ze snu skoczył, warknął, a raczej zarzędził ochryple, i błysnął Müllerowi w twarz czerwonem wnętrzem pyska, oraz białemi rzędami ostrych kłów.

Müller roztwierał szeroko oczy.

— Co takiego jest kłamstwem?..

„Ty!“ — pomyślał Hertenstein. A na natarczywe nalegania Müllera, zamachał tylko niecierpliwie rękoma.



Odłożył fajkę. W chmurnem milczeniu począł chodzić po pokoju. Gdy na dworze ożywiło się nagle, znalazła się wraz z chartem u okna i nasłuchiwała czujnie. Gdy cisza zaległa znów na ulicy, zbliżył się do Müllera.

— Słuchaj-no, przecież to jest ogromnie poważna rzecz.

— Co takiego?

Oparł mu ciężko dlonie na ramionach i, patrząc mu mocno w oczy, rzekł twardo:

— Śmierć.

Müller zbladł natychmiast; oczy przymrużyły mu się na chwilę, a potem niespokojne i przepłoszone szukały w rękach Hertensteina tej szklanej rurki z kieszeni od

kamizelki. Opuszczone ramiona prężyły się mocno i kurczowo, a chłód nielitościwy przebiegły po całym ciele. Szarpnął się i, wetknawszy papierosa w zęby, rzekł z twardym grymasem:

— Jam bodaj dziś gotów.

— No, tak, tak! — potaknął Hertenstein jak dziecku: pośpiesznie, niechętnie i bez wiary. — Tem bardziej... Wobec tego warto pomyśleć szczerze. Warto nawet jeszcze nauczyć się szczerze myśleć. Z kłamstwem w sercu nie tylko żyć, ale i umrzeć niemożna.

— Czego ty chcesz?

— Przekrocź tę granicę fałszu.

— Jaką?!

— Zapomnij o „sobie samym.”

Müller aż się na krzesle uniósł, mierząc go od stóp do głowy podejrzliwem spojrzeniem.

— Między jakie jezuity tyś się wpisać zdążył?!

Ale Hertenstein spostrzegł się jakby, że nie w porę wystąpił, lub też pożałował może, że wogół rozpoczęł o tem: wtłoczył ręce do kieszeni i powrócił do swej wędrówki po pokoju. Müller odprowadzał go z początku podejrzliwemi, badawczemi oczyma, ale niedbały półuśmiech rozwiał mu się wnet na wargach: zgasił go zimny i twardey spokój na twarzy Hertensteina. I znowuż ten dreszcz chłodu, co iskrą wskrós poprzez ciało przebiega. Kręcił się niespokojnie w swym kącie na kanapie, chwytal raz po raz papierosa. Zaśmiał się nieszczerze jedną, drugą ironią, chcąc jakby wywołać w nim odruch jakichkolwiek namiętności. Ten twardey, ponury, zawzięty spokój... fanityka! (kończył Müller w myślach). I coraz to chwiejnij, coraz lękliwiej czuł się w atmosferze tego spokoju. I teraz dopiero, w miarę jak patrzał na Hertensteina, począł sobie uświadamiać w całej jawie i obrazowości to, co wykonać zamierzyli. A to równe stąpanie jego po pokoju

wydało mu się nieubłagalnym krokiem chwili, która się zbliża... Więc tak się zbliży ona: tak lodowo zimnie i bezdusznie? Bez żalu, bez rozpaczki, bez buntu nawet?.. Nie! — szarpnął się i poczuł, że omiękłe wargi dygocą mu jak w febrze.

Rozumiał, że jeśli ten paroksyzm trwogi nie minie, gotów zerwać się i uciec. Dokąd? przyszło mu równocześnie na myśl. Wszak nigdzie właściwie nie jest u siebie, nigdzie nie mieszka, nikt go się nie spodziewa i nikt nań nie czeka. Pod most? do parku na ławkę? Do Jel'sky'ego? — (po tem, co było?..) I na co uciekniesz? po co? z jaką myślą? Bo przecież każdy w takim położeniu musi mieć tę jedną upartą myśl, która mu umożliwia przespanie się pod mostem lub w parku na ławce? Tamci wszyscy mają tę jedną: „Chcę jeść, jutro będę jadł.“

A więc na to uciekać od Hertensteina?.. A po tem? Każdy z takich, o ile o trzy dni myślą wybiedz naprzód potrafi, musi mieć to, co ludzie nazywają nadzieję. Tamci wszyscy mają tę jedną: „Będę co dzień spał pod dachem, będę dużo, dużo jadł!“

A więc na to uciekać ztąd od Hertensteina?.. Jaką moja nadzieja? — Trzy miesiące, lub chociażby pół roku...

I stanęła mu nagle przed oczyma zimna, nudna biel szpitalnej sali. I te szeregi wązkich łózek, te żółte, wyschłe, bezmyślne głowy na poduszkach, ten zapach cikływy, woń kalectwa i śmierci: to całe piekło cierpienia, powlecone białym powietrznym kirem, i czarny jak otchłań, wielki znak Chrystusa, — zda się, nie ludzką powieszony ręką, lecz ustawniczą trwogą tylu przygasających oczu rozkrzyżowanych na ścianie. Gdzieś, na jednym z tych łózek, leżeć zapomniany, miesiące całe tonąc w tej zimnej bieli. I myśleć tylko o tem, że tam, po za szpitalnemi murami, w żywym jeszcze świecie, nie pozostało z nas nic! nic!.. Podczas gdy ci wszyscy, mierni, przyziemni, już za młodu

nikczemnie wyrachowani, którym się kiedyś ledwie rękę podawało, — oni dopełzali się w życiu nawet do szacunku ludzkiego, ba! nawet do działalności owocnej. A myśmy zaczęli lotem, pozostawili po sobie tyle śladu, co przelotne ptaki, i tyle praw do ludzkiej uwagi, ile daje dobrotczynność! *Ich* dobrotczynność — tych miernych, przyziemnych, już za młodu nikczemnie wyrachowanych, tych solidnych i czcigodnych dziś obywateli, którym się ręki nie podawało, — kiedyś! — gdy się jeszcze dumne w piersiach miało serce...

I zdawało się Müllerowi, że oto zrywa się z szpitalnego łóżka i ucieka z tej chłodnej toni ludzkiego miłosierdzia, — aby przedzej, — tam, poprzez okno: na bruki! I oto uderza głową i krwawi o *dobroczynne* kraty...

Ocknął się i krzyknął niecierpliwie na Hertensteina:

— Daj tamto... Po co zwlekać?

— Jeszcze nie czas.

„Nie, ten jego spokój! — myślał, — ten bezduszny, zimny spokój. Ten człowiek wyzuł się ze wszystkich namiętności, z uczuć wszelkich. On tam chce dojść wyrozumowaniem. Taki musi się własnymi myślami wpędzić wprzódy w jakiś beznadziejny trójkąt, zamurować sobie wprzódy wszelką drogę logicznego odwrotu, chce jakby zabrać ze sobą całą świadomość wzgardy dla życia.“

— Jeśli ja chcę swego życia treść usprawiedliwić, — krzyknął wreszcie, — ty szukasz logiki w śmierci. Tej podwójnej gry nie rozegramy dzisiaj. Skończ! Upij się, to powinno ułatwić ten krok. Albo nie, to przypomnij sobie wszystkie krzywdy życia, wszystkie jego zawody, wszystkie tryumfy małych, nizkich, miernych i wszystkie własne upokorzenia. (Szkoda wielka, żeś ty i nędzy nie zaznał!) O, to wszystko upije cię stokroć większym szałem, da ci siłę postanowienia stokroć większą od rozpaczys: — da ci nienawiść!

Ostro zarysowane ponsowe rumieńce wytrysnęły mu na twarz: pod nawalem wspomnień chłostały go, zda się, w tej chwili wszystkie doznane w mizernym życiu upokorzenia i nędze.

— Pić daj! — dopominał się. — Widzisz, to są najżałosniejsze twory ci Prometeusze...

I śmiał się. Tym razem bezdźwięcznie, cicho: piers mu się tylko trzęsła, lkała; krzywiła się twarz.

— ...którym nie przyszło nawet walczyć z bogami, bo ich mizerne przykuło życie. I nie orły pierś im szarpią, lecz robactwo ich obsiadło, to najmizerniejsze robactwo ludzkie... Wiesz, co taki uczyni, gdy, utraciwszy wiarę w świat, w ludzi, w siebie, zachowa jeszcze tylko siłę woli? Wiesz, co taki donkiszot uczyni?..

Długimi, kleszczowymi palcami swej suchej ręki wpił się w ramię Hertensteina.

— Pamiętasz — w Chicago? — wczoraj na bulwarach okrzykiwano. Właśnie tam — w rój ludzki; gdzie radość bezmyślnej uciechy, gdzie głupstwo życia tryumfuje.

Urwał. Odurzał go, otumaniał wprost ten potworny obraz, jaki mu zawsze czujna wyobraźnia wnet podsunęła. Po chwili dokończył szeptem cichym i miękkim, jakby w zaufaniu serdecznem:

— Nienawiść, to jest wielkie, święte uczucie!..

— I zemsta, — dodał po chwili jakby dla siebie.

— Na kim?

— Na wszystkich! — odparł, rozrzuciwszy ramiona jak skrzydła.

— Za kogo?!

— Za siebie! — kończył, uderzając się w piersi.

Hertenstein dobył z bocznej kieszeni chustkę: chrząknął, splunął i chowając ją z powrotem pytał zimno:

— Więc ty dlatego tylko myślisz o śmierci?

Wtulony w kąt kanapy, głowy nawet tym razem nie

uniósł, tylko swe długie i kościste palce wyciągał, aby Hertensteina za ramię ująć, do siebie widocznie pochylić i na ucho coś szepnąć. Lecz w tejże chwili zakaszlał głucho i ciężko. Ścisnął oburącz czoło, pasował się z ciałem. Uspokoił się wreszcie i z zaciętym uporem zapatrzył się gdzieś hardo przed siebie. Nagle łzy trysnęły mu nawallem do oczu i w szybkim biegu potoczyły się jedna za drugą po zapadłych policzkach.

— Daj mi pokój! — zachnął się wnet potem w rękach Hertensteina. — Daj pokój, — słyszysz!.. Czulości!.. Niech mnie piekło pochłonie, że ta moja nienawiść jest taka niedołęзна, taka mizerna, że nie znajduje innej broni prócz... prócz samobójczych myśli!



Hertenstein przysiadł się do niego. Milczał długo, rzucając nań ukośne spojrzenia; wreszcie odważył się ująć go za rękę.

— Skorpiony zawiedzionej pychy tak cię wychłostały i takim strasznym zatrąły jadem... Tak daleko zanoszą „złe wiry“ wielkomiejskie... Do tego wszystkiego dochodzi się żyjąc wyłącznie myślą o „samym sobie,“ dzięki szatańskiemu zwierciadlu życia.

Müller odmachnął się słabo i niechętnie.

— Tobie ćwiekiem to zwierciadło w głowie utkwio.

Bój się Boga, przecież te twoje romantyczne kategorie nie mogą mieć dla mnie wartości, — teraz, w takiej chwili!

— Widzisz, po pięciu latach byłem tak daleko niemal jak i ty. Wtedy, czując, że wszystkie podstawy życia chwieją się pode mną, uciekłem ze „złych wirów“ wielkomiejskich tam na zamek.

— Tęsknotę swą sycić wspomnieniem, — przerwał mu kategorycznie Müller.

— Twoja myśl po ziemi pełza i zewnętrzności tylko się czepia, — odparł Hertenstein niedbale. I wnet potem w nagłym podnieceniu: — Czy ty wiesz, gdzie kres i granica tęsknocie? dokąd ona ludzką myśl doprowadzić może? Ze wszystkiego, czem kobieta obdarza, tęsknota jest jedynie czystym jej darem.

— Nie widywałeś jej przez ten czas? — zagadnął Müller mimo wszystko.

— Raz jeden. Teraz.

— Jakto, teraz?

Ale Hertenstein nie chciał widocznie odpowiedzieć.

— Powróciłem, tam, na zamek, — powtórzył. — W dolinie mojej kamień przy kamieniu. Wszystko to błyszczy się, iskrzy, żarzy w słońcu. W rozpalonej atmosferze czuć wprost ten mdły zapach natartych krzemieni. A gdzie kamień się rozpęknie, gdzie żwir się rozsunie, ztamtaid źródło tryska. Woda płacze się, pluska wszędzie: czuć tu jej robotę zwawą, złośliwą, szkodną. I tak w cmentarz kamienny zmieniał się kraj mój... Olbrzymi gzéms skalny, co wisiał ponad lasem lat tysiące, jakby na mój los i dołę czekając, teraz zarwać się musiał! Zmiotł las na upłazie, przeskoczył rzekę i długiem usypiskiem głazów wklinił się w tę resztę łąk po drugiej stronie... Co dzień spotykam jakichś obcych ludzi: to delegaci z akademii. Ten gzéms skalny przyniósł z pod szczytów ciekawe skamieliny. Konający świat zwierza się ze swych tajemnic, zwierza obcym

ciekawym i natrętnym oczom. Był w tem dla mnie głuchy, trawiący wyrzut i bezlitosne upokorzenie... I co te wielbłady znajdą? — myślałem niechętnie. — Ułamkowych kształtów liche skamieliny. Ponumerują to, poznaczą i będzie im się zdawało, że dawnemu światu tajemnice życia wydarli. — A ja, chciałem wszak ten świat cały, po za wieków krańce, poprzez czasów zawrotne dale, ożywić, tajemnicę jego ducha z mroków epok wydrzeć, moim duchem natchnąć i wskrzesić! Sztuką moją!.. A teraz oto, jestem mniej wart od każdego kamienia, co się z pod szczytów stoczył.

Poszukując resztek żywiącego dziś jeszcze świata, uciekałem z zamku w jodłowe lasy po przeciwniej stronie i na te łąki na stokach i podnóżach... I wiesz, com czynił? Oto, w drobiazgach zewnętrzności cały tonąc, czepiałem się ich wtedy jeszcze. Gdziekolwiek myśl się zwróciła, wszędzie na ból zawodu natrafiała, a ja ją kołem, kołysem pierwszym lepszym drobiazgiem. Oto, chodząc po łąkach zbierałem jakieś kwiaty: wątle, delikatne kielichy wysilonego pod jesień fioletu!.. *Zimowit!* — Lubilem ten kwiat!.. Spojrzyj, — tu pod sufitem fryz taki wymalować sobie dawniej jeszcze kazalem... Zresztą modną stała się nawet potem ta jego wątła barwa, to tchnienie fioletu na kielich kwiatu. I ta smukłość jego! I ta prostota w liniach! I to, że bez liści, bez łodygi wprost z ziemi jako grzyb! Lubilem kwiat ten: — na chmurnej jesieni wspomnienie wiosny ostatnie... Jest coś z pięknej suchotnicy w tym kwiecie... Mówią, że woni nie posiada; dla mnie miał on wysubtelioną woń świeżego śniegu.

I patrz, — takim ja byłem niewolnikiem zewnętrzności! Tak-em się pieścił każdą błahostką, w każdą bańkę mydlaną tylem z ducha swego kładł. I każda bańka więcej tęcz dla mnie miała, a każda tęcza więcej barw. I tak mi się świat cały z barw, z blasków, z woni i z tęcz upla-

tał, a pod každem tchnieniem głębszej tęsknoty, jak bańka mydlana pryskał. Byłem jako wy wszyscy jesteście: niewolnikiem niewolników moich, kaprysem kaprysów moich, ofiarą ofiar moich i bańką tęczową! —

Gdyż raz te kwiaty po upłazach zbierał, nawinał się jeden z tych chudych, suchych starców górskich, o których śmierć w tych kątach zapomina zupełnie. Mruczał coś, wreszcie ostrym głosem wygwizdał mi z wygasłego cybuta fajki, że to zielsko jest ich kleśką ostatnią: czego woda nie zabierze, czego kamień nie nakryje, zwir nie przysypie, — zabiera to zielsko. Niby nie kwiat, bo to na wiosnę owocuje, wówczas ma i liście. Od tego pada im dobytek.

Jużem kwiatów tych więcej nie zbierał, jużem na świat nawet nie wyglądał. Przepędzałem dnie całe tam w bibliotece, w naroźnicy kamiennej, pod wiecznie białem i spokojnym wejrzeniem lodowca wkrystalonego w dziwnie jasny jesienny lazur nieba.

Siedziałem tam w naroźnicy, gdzie czas się na godziny nie liczy, i skubałem niewolnie w rękach te wysilone, jesienne kwiaty wiosennych trucizn... I to pytanie miało na ustach: „Za com ja życie oddał?“

I to drugie w piersiach: „Czy daremna syzyfowa praca zbierania kamieni z doliny ginącej, nie warta życia motyla na trujących kwiatach?“

I tak oto miary wszelkich wartości pokruszyły mi się w dłoniach.

A tam, poprzez okno w nyży, widziałem, jak wówczas, trzy drogi ducha: na szczyty najbielsze drogę marzeń bezpłodnych, wydeptany gościniec w dolinę szarego życia na daremną walkę z kamieniami i krętą ścieżką, co wierzchołkami gór i padółem przepaści wiedzie w czarne pałace, gdzie lirowe dziady królują i tłumu pochlebstwem żyją.

Zaś u góry, ponad głową moją, te dwa śnieżne szczyty po bokach lodowca, białym puchem przedziwnie osrebrzo-

ne, w jaskrawem słońcu lekkie i dyszące, niby tęskniącej ziemi pierś dziewczwa... Te szczyty, lodowiec ten!.. — Są przecie jakieś stałe, niezmienne wartości?

W napół zmurszałym czarnym pulcie u okna czytalem znowu te słowa: „Oto tęsknot moich owoc boski, oto grób tajemnic wielkich, oto żar i płomień grzechu mego, oto stos mój kacerski!..“

Zaś u sufitu wili się czerwoną wstęgą ten napis gołycki:

„Poucz! rzuć rozę pewności na spragnioną ducha mojego posuchę.“

W głębi, na zamykających murową wnękę dębowych odrzwiach, pod czarną pieczęcią, te słowa ostatnie:

„Ostrożnie z nauką moją! Niech znużenie i ciekawość po miecz ten ostry nie sięga. Poranić niedoleczną dłoń...“



Müller, umęczony i zajęty swemi myślami, słuchał go w roztargnieniu i niechętnie.

— Szyję, dam, — przerwał wreszcie, — żeś ty ostatni rok spędził tam w tej narożnicy kamiennej, szukając w chmurach tych stałych wartości, na jakie co krok mogleś się natknąć w życiu?

A nie otrzymując odpowiedzi, dorzucił niecierpliwie:

— Zrozum-że chociaż to. Myśmy przepadli, ale wszak świat pozostał; ocaleli inni i ich dzieła. Dzieła ludzkie są jedyną trwałą wartością na świecie. Pisał ci o tem i twój ojciec.

— Dzieła?.. — Hertenstein kiwał smętnie głową. — I ja tak myślałem kiedyś.

— Zaczynasz mi się uśmiechać z tępym uporem faniatyka. Tak jest, dzieła! — krzyknął niecierpliwie.

Lecz on ujął go spokojnie za rękę, i pomilczawszy chwilę:

— Ojciec mój?.. On posiadł stokroć głębsze wartości, a wraz z niemi i tą świadomość, że one szczęścia na ziemi nie dają. Na czarne pieczęcie zamknął mi je, życie wskazał: snadź targały nim jeszcze ostatnie, te najsilniejsze rozterki... Dziś wiem, czemu po nim góry pozostać nie mogły. On był zbyt pełen kultury ducha, zbyt szerokie widnokregi myśli ogarnął i opanował, zbyt potężny świat w nim żył i poezją swą zbyt go przeniknął. Może brakło mu tego uświadomienia tylko, że tu twórczości być nie może: snadź nie był ostatniemogniwem swego rozwoju.

Zamilkł, a po chwili:

— Przypomnij sobie jej męża — Borowskiego.

— No? — Müller mimowoli ściśnał go za rękę.

— Widzisz, w nim, poczęści i w tobie, jest przerost nerwu twórczego, który zwie się aktorstwem. Aktorem każdy z nich jest, z tych twórców, — w mizernem otoczeniu rzeczywistości swojej... W tamtym z zamku, tego

nerwu nie było i być nie mogło: Jeżeliby ta twarz dumna larwę zniosła, larwa na niej przezroczaby się stała i zdradziła właściwe oblicze. On nie mógł stawać się „tym” i „owym,” bo człowiek i rzecz każda mogły być tylko lustrem jego ducha; świat zewnętrzny zbyt nikły był wobec tego, co on mu z siebie narzucać musiał... Taki nie mógł się nawet wypowiadać: zbyt głęboko siegał; tam, gdzie jawną się staje cała mizerna nikczemność słowa, barwy, dźwięku, kształtu. Taki mógł chyba przemawiać uśmiechem, spojrzeniem; już nawet nie gestem, który jest rzeczą trywialną.

Müller wsparł aż podbródek na splecionych dloniach i zapatrzył się uważnie na niego.

— Mówisz?.. — mruknął tylko.

A Hertenstein coraz to żarliwiej:

— Sztuka jest dla wszystkiego, czem targają namiętności; co się tworzy, przeradza, przetwarzają; co kulturę wieków i pokoleń w jednym osobniku, skupić, natężyć i prześwietlić w sobie musi. Taki to wszystko z trudem z chaosu wyluskał i opanował i odrzuca z siebie wraz z kawałami serca: drgające ciepłem, życiem, krwią! — Twórcą się nazywa. Zaś potem... Jeśli go głód życia pokonał, wówczas zaczyna przeżuwać to, co przeżył w sercu, i staje się literatem, art: malarzem, art: rzeźbiarzem, art: muzykiem, — obywatelem; czemś w rodzaju „*voilà celui, qui va venir*,” jenerałem dla ludzkich czapek. — Ministerzem się nazywa... Jeśli głód ducha przemogł głód życia, wówczas pograża się dalej w nową głęb' ciemnych zagadek i w nowe otchłanie potężniejszych jeszcze namiętności. Tam też grzęźnie, tonie i — przepada. Nazywa się — dekadentem (jeśli słówko w modzie). Jest zwydniącym, a więc przyniątą dla kruków, czemś w rodzaju: „Biada społeczeństwu, w którym...” — jest przedwczesną

mogią, na której powiewa zwycięzki sztandar poprawnej mierności.

Hertenstein rzucił te słowa mocno i zerwał się w po-dniecieniu. Począł chodzić po pokoju, odprowadzany czuj-nem spojrzeniem Mullera.

— Ale przychodzi czas, — mówił, zatrzymując się przed nim, — i w rozwoju duchowej kultury czas taki przyjść musi, — kiedy się ci twórcy, ci mistrze, ci wiecz-nie szukający, na taką dal od nas odsuną, że dla naszych oczu maleje, obojętnieje i znika wzajemna ich odległość. Bo oto duch ujrzał ich wszystkich we właściwem świetle życiowych zabiegów i daremnych wzlotów. Poprzez cie-mnie zagadek, poprzez otchłanie namiętności i cierpień, poprzez bankructwa wszelkich wartości, poprzez zmierzchy bogów wszystkich, wydostaje się na swity wiecznych war-tości. Oto się przerodził, przetworzył, kulturę czasów sku-pił, natężył, głodem własnej duszy prześwietlił i ponad nią się wzbił... Az tam, na te najwyższe, najbielsze szczyty, na których nic rosnąć już nie może! — Taki wcale się nie nazywa: i to jest jego duma.

— Czyś ty... — (Hertenstein stał tuż nad nim i mó-wił z wzrastającym wciąż zarem) — czyś ty głębią duszy nie wyczuwał czegoś brutalnego, czegoś z obłudy i aktor-stwa w sztuce każdej: ułamek, fragment, mierna częstka stara się oto wielkie twe oczekiwania oszukać, ducha omo-tać i wśliznąć się w twe serce... Czyś ty nigdy nie czuł, że sztuka to nie jest rzecz dostojna? — A ci jej ka-płani?.. żaden człowiek tyle poniżeń nie zniesie, ile ten, co tryumfu oczekuje. Ta kręta ścieżka wierzchołkami gó-r i padałem przepaści — to nie jest droga dla ludzi godnych!

Dzieła, mówisz? — Gdzie miara tych dzieł sztuki? W hałaśliwym ludzkich gawęd młyńie? na targowisku próżności? na pstrym kiermaszu, gdzie lada poliszynel tłu-

my bawi, lada pierrot sentymentalny je wzrusza, gdzie narodowa chorągiewka już je dostatecznie podnosi? gdzie zła wola, gnuśny nawyk ducha i tępy upór borykają się z każdą nową myślą?.. Wreszcie, kto te dzieła tworzy? Najbogatsi, najsłabiejsi duchem? tych wnet dumą lub serce zgubi; kruki roznoszą potem ich szczątki żabom na żer. Bo zawsze i wszędzie przetrwają tylko najbardziej dopasowujące się, ostrożnie zimne, żabie natury. To mi twórcy! Pokaż mi ich, przypomnij wszystkich, abym mógł doszczętnie wzgardzić...

— Sztuką?! — parsknął Müller, zaskoczony tym wnioskiem.

— I samo słowo mi obmierzło!

— Dalekoś zaszedł.

— Chodź i ty! Znajdziesz ten spokój, jaki daje wzgarada. Pokonasz klęskę swego życia, gdy raz powiesz sobie...

Hertenstein urwał. Płomyk niepewności przemknął mu po twarzy, jakby raz jeszcze zawahał się, czy z tym człowiekiem warto mówić o *tem*: — te polyskujące oczy suchotnika czaiły się tak chytrze, wświadowywały się w niego już gotową złośliwą ironią.

— Hm? — Müller wydymał wargi. — Taak?.. No, to było do przewidzenia, że ciebie zahipnotyzują te górskie szczyty.

— Twoja myśl do grobu nawet chce tylko zapelzać. Wyczerpała się cierpliwość Müllera.

— Ślepy ty! — wołał zbliżając się do niego, — czy ty nie rozumiesz, że jeśli w nas tkwiła jakaśkolwiek ludzka wartość, to jedynie ta, co zbudzona bodaj grzechem i rozpaczą rwie się do słowa, do barwy, do kształtu, do dźwięku? Że to są jedynie jasne chwile naszego życia, „które nasz byt usprawiedliwiają“ (jak-es sam to kiedyś mó-

wił?), że wtedy wszystko, co lepsze w człowieku, woła najszczerszym bólem: „Grać chcę!“ — „Pisać chcę!“ — „Tworzyć chcę!..“

Hertenstein potakiwał spokojnie i chłodno, z uśmiechem wyrozumienia, jakby z góry będąc pewnym, co mu w tej chwili powiedzą.

Po chwili otrząsnął zadumę i chodząc po pokoju mówił jakby do siebie: — To tajemne i bądź co bądź najczystsze płomię życia... Ono spaliło was wszystkich, którzy byliście jeszcze cośkolwiek warci: Borowskiego, Jelsky'ego, ciebie...

I jakby unikając wzroku Müllera, odwrócił się nagle i cofnął ku oknu. Ten aż przechylał się na kanapie, wpierając się w niego spojrzeniem już tylko zdumionem. Nieba-wem wszakże odgarnął jakby swe podejrzenia na bok i, chcąc wybadać ostatecznie, spytał:

— Więc tkwią przecie w tej pogardzonej przez ciebie sztuce jakieś szlachetniejsze, trwalsze pierwiastki, wartości wieczne...?

— Udzierające się na detal, — wpadł mu twardo w słowa, — za jarmarczne ceny powodzenia.

— Więc są jednak wieczne wartości?!

— Te nie udzielają się ani za jarmaczne, ani za żadne inne ceny. One, jeśli się w człowieku rodzą, w nim też i pozostają. Dla nich niema wyrazu. One są milczeniem: jak Bóg, jak fatum!..

Müllerowi iskrzyły się już tylko oczy. O nic już nie pytał, na nic odpowiadając nie zamierzał. — „A więc taak?..“ — pomyślał wreszcie i, zapaliwszy papierosa, spoglądał ze swego kąta na kanapie, z po za obłocznego dymu chmurnie i ponuro. — „A więc już tam?.. Oto na co ty mi czekać kazałeś!“

— Słuchaj, Henryk, — zapytał nagle, jakby chcąc się

utwierdzić w swych domysłach, — te odrzwia dębowe pod czarną pieczęcią we wnęce muru, — tam — w twojej bibliotece?..

— Zerwałem pieczęcie! — dokonał Hertenstein w głębokim serdecznym przydechu.



Tym razem obaj nadśluchiwać poczęli. Bo oto w ciążącej ulicę wpadł nagle prędkie i donośny tētent, potoczył się lekko powóz, za nim drugi: oba zatrzymały się tuż pod oknem.

Hertenstein przepłoszył się i, zapomniawszy nagle o wszystkiem, zakrzatał się gorączkowo koło stołu.

— Zostań! — krzyknął. — Od dwóch dni ona tu jest, — rzekł wreszcie z trudem... — Nie, — zostań!.. Po pięciu latach po raz pierwszy... przedwczoraj. Dla tego to wszystko tak żyje w myślach... Dlatego wczoraj miedzy was uciekłem, dlatego opowiadałem dziś... I dlatego to wszystko o koniec swój dopomina się natrętnie.

Po chwili, unikając wzroku Müllera:

— Na koncerta swe przyjechała... Dotychczas omijała to miasto. W Ameryce przeważnie... Dziś tutaj śpiewała. Odwożą.

Jakoż, nagłym, prawie melodyjnym i lekkim truchtem, zadudniało znowuż na brukach. Jeszcze jeden, tuż za nim drugi powóz.

Müller z trudem przenosił uwagę w tamtą stronę. Tarł oczy dłońmi, spoglądał na portret na ścianie, to znów na bladą twarz Hertensteina. I gdy z ulicy dochodzić już poczęła wrzawa, jemu przyniósł przekorny zwrot myśli te słowa Leopardiego:

*I być tylko cieniem,  
Którego skrzydła anieliske unoszą  
Między nicością i grobów marzeniem...*

I kobieta, myśl o niej, wydała mu się w tej chwili czemś brutalnem.

— Może zechce zajść tutaj, — mówił tymczasem Hertenstein, odzyskując widocznie spokój. — Napewno nawet... O mnie milcz... Zresztą, wszystko dawno już zapomniałe: czas pogrzebał. Ci, co żywi zdaleka od życia stoją, jadą najszybciej: umierają nawet w sercach najbliższych. Uczucia ludzkie podlegają wieczystym prawom ruchu. Wiedzą o tem ci, co pragną pozostać w serdecznej pamięci kobiety lub tłumu... Słuchaj! — jadą.

Z tych bezładnych ogólników wnioskował Müller, że Hertensteinowi zapomniano tam więcej, niżli zapomnieć należało, że pogrzebano nawet te wielkie pokładane w nim nadzieje, i że stosunek obojga czas zmienić musiał znacznie.

Na dworze stało kilka karet i powozów. Konie parskły, bijąc niecierpliwie kopytami o bruk. Słyszać było głośną rozmowę.

— Ona! — szepnął wreszcie Hertenstein.

Krzyk, wrzawa, jakiś rojny tumult wypełnił nagle cie-

mną ulice, jakby cały gwar miasta buchnął nagle w te zaciszne strony.

— Konie wypręgły, — tłumaczył Hertenstein, — wiozą... Młodzież.

Jeszcze dwa, trzy powozy; — nagle cisza; skrzyp otwieranej bramy i...

Z kilkudziesięciu piersi okrzyk jeden, co echem potężnym we wszystkie okna uderzył, zaszeleścił liśćmi na drzewach.

— Brawo!.. Brawo!.. Niech żyje!.. Zostać u nas, nie wyjeżdżać... Zostać!.. Wiwat!

Zaś im w pokoju rozjaśniały się bezwiednie chmurne twarze, krew jakby uderzała do głowy, rozchylały się nozdrza: wdychali to zawrotne tchnienie, co trupa nawet zgwałcanizować potrafi. Müllerowi zadrgało coś nawet koło policzków, oczy poczęły mrugać migotliwie i iza drobną krętą strugą przewinęła się po twarzy.

*I być tylko cieniem*

*Miedzy nicością, a grobów marzeniem??..*

A tam za oknem bezładne klaskania w ręce, rojenie się tłumne, krzykliwe i uparte. Ponad tem to parskanie koni i granie podków na brukach.

Wreszcie jeszcze jedno, tym razem opętane już wprost zerwanie się krzyku, przecięte mocnem zatrzaśnięciem się wrót. Ruszyły konie, potoczyły się powozy. — A tłum się rozsypał.

Müller nie dobrze wiedział, co potem było. Za chwilę uchyliły się drzwi: jakiś człowiek wniosł olbrzymi ciemny wieniec, inni nieśli kosze, bukiety, kwietne liry, rzucały całe stosy luźnych wiązanek. I wraz z tą pełną, odu-

rzającą wonią i barwnemi tęczami kwiatów weszła do pokoju jakaś jasność, blask, przepych, i to duszne, zawrotne tchnienie władzy, tryumfu.

Müller kłaniał się, głowę chylił. „ONA — sztuka!“ — przynosiło mu wspomnienie.

„Ave Regina! — szeptały niedosłyszalnie drżące wargi.





warna i rojna, korna i władna — fama królewska!.. Czuć ją było tu naokół. Wraz z przepychem kwietnych woni nasycała pokój wciąż jeszcze tem szalejowem upojeniem tryumfu. Obaj widzieli niemal tę salę, w morzu światel jaskrawą, od barwnych tłumów rojną, słyszeli przyśpieszone serc bicia, tłumione oddechy; czuli prawie te z setek serc ludzkich wydarte uczucia, co rojem białych ptaków łopocą się po sali. I w tą ciszę słuchały się chwile, kiedy ta cisza łamie się w naglem okrzyku gromadnej duszy: w grzmocie, w huraganie oklasków... W oczach iskrzyły im się tylko tęcze kwiatów, co po brzegi wypełniły pokój: mieniły się purpurowe, żółte, białe plamy, wirowały, zda się, te wielkie ciemne koła laurowych wieńców, snuły się jak węże czerwone ich wstęgi. I zdawało się niemal, że te kwiaty niby barwne puchy sypią się i sypią bezszelestne; że te wstęgi biją się wichrowo i fale ich mączą się jako zwycięckie sztandary.

„*Wielkiej artystce!*“ — odczytywali złotemi zgłoskami na tych purpurowych wstęgach.

Ona tymczasem kazała bratu zdjąć sobie z ramion białą pelerynę i wyczerpana rzuciła się w głąb fotelu.

— Zlituj się, Henryk, wyjdź tam, do tych, którzy się jeszcze naprzykrzają. Podziękuj już zimno tylko i powiedz, że... że jestem nie żywa, — zaśmiała się nagle. — Kwiatów tu nadsyłanych nie pozwól przyjmować. Dosyć tego! Ba-sta!... Nie mogę.

Jej jasne suknie, o tem delikatnem tchnieniu zimowitowego fioletu, wchłonęły, zda się, w siebie połyskliwą jasność i blask koncertowej sali. Bujny biust, od martwej, sinej bieli perel na szyi, zdawał się tem bielszy, tem jędrniejszy, tem większym pulsujący życiem. Głęboki ton mahoniowych włosów złocił się i mienił w błyskawicowych refleksach od brylantowego dyademu. Promieniała jasnością.

I tak nawpół leżąc w niskim fotelu, uśmiechała się przelotnie do nich obu, ale tym uśmiechem z estrady: odruchowym i zimnym. Zmęczona była.

Pierś jej falowała jeszcze miękko, pulsowały nozdrza. W czarnych głębiach oczu iskry podniecenia wciąż jeszcze gasnąć nie chciały. Po twarzy przemykały się raz po raz błędne płominki rozkosznego upojenia. Uśmiech igrał na ustach, gasł i znów użyskał: raz wesoły i psotny, to znów smutny, wreszcie dziwnie rozmarzony. Wargi, tą pulsującą krwią nabiegłe i żywe, omiękły jakby i zwilgotniały: senne, znużone, upojenia pełne, oczekiwaly, zda się, na pocałunek, — pocałunek od tłumu.



Śnieżne ramię wyśliznęło się jak giętki wąż z długiej rękawiczki. Rękawiczka ta osunęła się niebawem na ziemię. Hertenstein schylił się po nią machinalnie i zatrzymał w swych dłoniach. Uśmiechnęła się doń znowuż tym błędnym, zdawkowym uśmiechem z estrady.

— Zapomnij już! — rzekł jej niechętnie.

— O tym koncertie?.. Ach, jużbym sama pragnęła! Chciałabym już teraz o wszystkiem zapomnieć, wtulić się gdzieś w kącik jak dziecko...

I przegiąwszy flekka szyje, przylgnęła twarzą do miękkiego oparcia fotelu; przymrużyła nawet oczy.

— Ale! — ocknęła się wnet i rozpromieniała nagle, — po pierwszej części rozkazano mi na góre — do loży.

— Był kto? — pytał Hertenstein niedbale.

— Sami! — dorzuciła z naciskiem.

— A?!

Rozkołyśała bieguny fotelu i, patrząc gdzieś w sufit, opowiadała śpiewnym, niedbałym, nieco drwiącym głosem:

— Zostałam miłościwie pochwalona za uczucie i inteligencję.

— Pa! — sarknął.

— Niby przez nią, — mówiła przeciągle, patrząc wciąż gdzieś w sufit. — Słyszano już mnie gdzieindziej... W Tristanie i Isoldzie. Mam być nieporównaną: *unattainable*.

— A on?

— Znacznie wytwornej. Wplatał swe pochwały w rozmowę. Prowadził ją przytem tak, że nie potrzebował ani razu dygnąć... O, to dyganie jest rozpaczliwe! — zasmarła się nagle głośno i dźwięcznie. — Życzył sobie, abym pozostała na stałe w tutejszym teatrze. Równa się to rozkazowi dla mnie i dla intendentury... To też intendent dziś jeszcze tutaj napastować mnie chciał...

Hertenstein powstał gwałtownie i odsunął energicznie krzesło. Chodził po pokoju w ponurem milczeniu, usu-

wając od czasu stopą porozrzucane wszędzie wiązanki kwiatów.

— Henryk, — szepnęła i uniosła cokolwiek rękę, jakby chcąc go po włosach musnąć, gdy się do tej dłoni pochyli. A że czekała daremnie:

— Nie bądź taki sztywny!.. Widzisz, oni mnie tam swemi holdami zawsze rozkapryszą. Boję się potem jak dziecko każdej surowej twarzy... A wiesz, — uniosła się nieco, przytuliła na chwilę twarz do jego ramienia, — mimo zakazu — (nie gniewaj się!) — mimo zakazu śpiewałam aż trzy wasze rzeczy.

Rzucił ramionami.

— Po co?

— No, ludzie szaleli poprostu! Dziennikarze nagabywali mnie aż tutaj w bramie. On się nawet zainteresował: czyja melodia, czyje słowa.

— Powiedz to jemu, — Hertenstein wskazał na Müllera.

Zdziemienie radosne, uśmiech i uprzejme skinienie głową w jego stronę. Sięgnęła do najbliższego kosza kwiatów: wyjawiwszy jakąś białą różę, podała mu ją. — Za „Łabędzia“, — rzekła. — Müller spłonął w jednej chwili, bąknął coś, uklonił się i cofnął się czempredziej na swoje miejsce, czując, że koło oczu znów mu coś drgać poczyna.

Ona zaś, kołysząc się dalej na fotelu, powróciła do swojej opowieści.

— Rozmawiał ze mną przez cały antrakt. Jest nadzwyczaj ujmujący w swej napół wojskowej manierze.

— Ach! Że też ty do takich rzeczy przywiążujesz tyle wag!

Müller powiodł tymczasem okiem po stosach kwiatów naokół, po laurowych wieńcach i wstęgach czerwonych; — spojrzał na swój kwiat i głowę zwiesił. „Tyle tylko ze mnie, tyle z nas w tem wszystkiem.“

— Kim jest tu u was baron Farnsberg? — usłyszał tymczasem.

— Bankierem, — odparł, przypomniawszy sobie to nazwisko.

— Nie wygląda... Bardzo dystyngowany. I wykwintny znawca sztuki... Ogromnie zachwycony pańskim „Łabędziem“... „Łabędzia“ musiałam bisować dwukrotnie.

Müller skubał tylko w ręku swój blady kwiat.

— Ach, tak? — rzekł niedbale i poprawił swe roztargnienie natychmiast uprzejmym uśmiechem. A potem dał już tylko i prosił te blade różane płatki. „Tyle nas w tem wszystkiem,“ — powtórzył w myślach.

Kołysała się przez chwilę na fotelu, a potem jakby zdziwiona ciszą, lub może tem, że żaden wzrok na niej nie spoczywał, zatrzymała bieguny i rzuciła na obu czujne wejrzenie.

— Wiesz, Henryk, — rzekła mimochodem, — taka dziwna, prawie niepokojąca jest ta cisza u ciebie. Dla czego ty tak daleko od miasta mieszkasz?

— Dla ciszy, — rzekł spokojnie.

Zastanowiły ją poważne, prawie zimne ich twarze. W jakimś przegięciu czy w zamiarze powstania zaskoczyła ją nagle zaduma. Niecierpliwym ruchem dłoni strzepnęła ją sobie z czoła, skoczyła z fotelu i zaszeleściła suknię.

— Zaspiewam wam poprostu coś!.. Nie słyszeliście przecież jeszcze, jak wasze rzeczy śpiewam. — To dziwne, — zamyśliła się znowuż, — jak wy wszyscy obojętni jesteście dla swoich... No, Henryk uważa, przypuśćmy, koncerty za rzecz szatańską, ale pan?

I już do fortepianu zasiadając, przerwała swe pytanie pasażem.

— Przepraszam cię? — przycichła natychmiast i pochyliła ucho.

— Nic ważnego. Chciałem ci tylko powiedzieć, że kwiatów żał. Po owoc może siegać każdy.

— Nawet ja, — dokończyła ostro, jakby zadraśnięta temi słowami. — Kwiatów, — dodała wnet potem, oglądając się po pokoju. — Boże, jakie ich mnóstwo jednak!.. Kwiatów żał dla tego, że więdną; — że tak szybko nie raz więdną, Henryk. Im szlachetniejsze...

Dlonie jej, muskające klawisze, osunęły się z klawiatury, poprzeczne zmarszczki ściagnęły nagle czolo. Po chwili ocknęła się niespokojnie:

— Co to jest?!

— Wiatr.

— Boże, jaka tu cisza! Jak w grobie.

I znowu zamilkła.

— Henryk?

— Słucham.

— Zasługuję na pochwałę. Już zaczynam zapominać o koncercie i o tem wszystkiem. Już idzie smutek, wracają wspomnienia, czuję jakby zawód... (Dziwna rzecz, że po tych tryumfach czuje się zawsze jakby zawód.) Idzie pustka...

— I?

— Pojutrze dam drugi koncert. Na złość tobie. Ja żyć chcę!

I rzuciwszy dlonie na klawisze przebiegła po nich z brawurą. Urwała, spróbowała następnie melodyę, zmąciła ją pasażem i poprzez ramię obejrzała się na Müllera. Jemu serce zabiło przy pierwszych taktach tej melodyi, a gdy jej głos usłyszał, zbladł i mimowoli dlonią po czole powiódł, jakby niechętnie poddając się tamtym wspomnieniom.

Bo zdawało mu się, że to dalekie rozlewne echo młodych wspomnień przynosi mu hen z beskresnej dali jesien-

nych odlotów całą głębią serdecznego żalu to wezwanie ostatnie:

*Łabędziu mój, z tesknoty mórz  
Polotem swym daj Boży znak,  
Ty, białych marzeń błędny ptak.  
O, dole, dole moją wróź!..*

Obejrzała się na niego. I nie myliła się. Głębokie, jakby złotym płomieniem świecące oczy suchotnika wpijały się w nią chciwie i zazdrośnie, ssąc jakby z niej siłę, zdrowie, radość i dumę życia. Przykuwała ją do siebie, wtapiała się w oczy, obezwładniała niemal ta smukła, dziwnie blada, jakby zielonawo fosforyzująca twarz, niby maska śmierci przczutej i jeszcze nieświadomej, ten złoty błysk wielkich oczu pod płową czupryną obsitych włosów. Nagle skłóciło się coś w tem spojrzeniu: wzrok musnął jej włosy, ślizgał się po szyi, pieścił biust odkryty, głaskał ramiona i, przepłoszony jej zamiarem powstania, przylgnął kornie do rąk.

Zerwał się i, chwytając gorączkowo kwiaty, rzucił je garściami pod jej nogi.

— Za to echo z młodości, — szeptał. — Za tę sekundę sztuki.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz, zrazu otwarty i szczyry, ale wnet smutkiem jakby owiany, napół senny i rozmarzony, jak ówczas, gdy weszła do pokoju.

— Napisze pan co dla mnie?

— Tak! — krzyknął krótko.

Ale ten złoty połysk coraz to szerszych oczu zaniepokoił ją bezwiednie. Powstała, zaszaleściała suknię i ten czarny prawie, ponsowy kwiat zerwała sobie z pod biustu i rzuciła nań.

Nucąc jeszcze z cicha, przeginała się lekko w tył, gdy Müller zarzucał pelerynę na jej śnieżne ramiona.

A potem tuląc się pieściwie w te białe puchy kołnierza:

— Dobranoc, Henryk, — rzekła śpiewnie, a głos jej zafalował w podniecieniu.

Hertenstein stał w niszy okiennej i patrzał w noc ciemną na dworzu.

— Życzę ci snów rojnych i gwarnych. Bądź szczęśliwą nawet w snach.

Chart wybiegł za nią do dalszych pokojów, zwrócił jednak natychmiast i stanął na progu jakby zdumiony: oglądał się niespokojnie za odchodzącą, to znów na pana swego spozierał. Wreszcie szczekanął niecierpliwie, śmianął jak strzała w ciemne pokoje; tam się na posadzkach pośliznął i obalił w biegu, aby za chwilę znów się na progu ukazać. Spoglądając to na pana swego to na Müllera, skamieniał w tym ruchu zdumienia; stał we drzwiach, na ciemnym tle wnętrza, jak biały posąg: wysmukły, giętki, czujny.



Zapatrzył się w ten kwiat. I zdawało mu się, że przy tej powsowej, prawie czarnej, puszystej róży faluje jeszcze miękko jej piers, to znów, że przy tym kwiecie

bieleje jak śnieg ta biała duża dłoń, co mu tę różę w oczy rzuciła. Obejrzał się naokół i oczy wszędzie natrafiały na kwiaty. Czerwień, biel, fiolet i błękit snuły się i migotały mu w oczach jak barwne smugi. A na tle tej tęczowej przedzły wielkie, prawie czarne koła laurowych liści z czerwonemi szarfami. „*Wielkiej artystce,*“ — odczytywał po raz setny.

ONA, — sztuka, — myślał otumaniony duszną wonią tych kwiatów.

— Henryk! — zawała nagle, — jakaś ty mógł ją widzieć taką?..

Tamten powrócił powoli do stołu.

— Jakim ją mógł wówczas inaczej sobie przedstawić niż ty teraz? Wówczas nie była igraszką życiowego wiru... Była na zamku, w ciszy i skupieniu tamtego świata. Zresztą każda rzecz kształt swój i imię, a więc i byt, zawdzięcza nam tylko. Każda rzecz jest wieloraką zależnie od chwili i od oczu, jakie na nią patrzą. Jak ją widziałem, taką być musiała; tem pewniej, im bardziej odmienną wydaje się tobie teraz.

Müller miał ochotę wzruszyć ramionami. Ściągnął wszakże tylko brwi i spojrzał nań ciekawie. „Aha!“ — pomyślał.

— Tu pozostaje! — zawała nagle Hertenstein i zasmiał się niespodzianie po raz pierwszy tego wieczora. — Słyszałeś?.. Dwór, bankier, tłum... ONA, — sztuka! Tak było zawsze na świecie! I tak pozostanie.

— A tę pajęczynę z myśli zerwij, — kończył wyjmując mu z ręki kwiat.

I gestem dłoni uprzedzając jego protest, nakazywał milczenie czy też cierpliwość. Poszedł w głąb' i powrócił niebawem ze starą księgą okutą w klamry stalowe.

— Słuchaj.

Müller spochmurniał nagle i cofnął się w swój kat

na kanapie: przypomniał sobie, co było przed tem, zanim ona tu weszła. Ujrzał we wspomnieniu tę białą szklaną rurkę, jaką pokazywał mu Hertenstein, i zdawało mu się, że te spłoszały karty, te ponure szeregi czarnych liter przyciskały śmierć kościstą dlonią.

— Łatwo przewidzieć, co tam będzie, — wycedził mimo to ze złością i, akcentując lekceważenie, sięgnął niedbałe po papierosa. — Żądze, grzechy, skrucha, serce... jak zwykle u proroków i u ich zbankrutowanych na kulturze apostołów.

— Nie skrucha, lecz myśl! — zapłonił się nagle Hertenstein i uderzył dlonią w książkę, aż grzybniowa próchnia dymem uderzyła w góre. — I nie serce, lecz głowa! Sercem ciemnej drogi życia sobie nie oświecisz... Głosy serca to tylko bezradny spazm dławiącego się egoizmu; wola zna cenę tego spazmu i gardzi nim. Głos serca to tkiwy flet żądz, którym nawet namiętność dziś już gardzi. Głos serca to pokutny płaszcz trwogi, — trwogi przed karą. Serce to skorupa fałszu, to obłudna broń poczciwej głupoty... Nic we mnie takiej odrady nie wzbudza jak „dobre serce.“ Niedołężny i sobie nieufający egoizm czai się z pętami, a że własnym siłom nie ufa, wabi i roztkliwia ofiarę fletem serdecznym. Wszystkie małe i stare dzieci bez charakteru mają poczciwe serca. — Przenieś twą dobroć do głowy; spraw, by twoja i cudza wola ufać w nią mogła!

— Czytaj! — krzyknął wobec tego Müller.

— Serce zawlokło cię pod nogi kobiet, serce twą głowę pod stopy im kładło. Reszty dokonała nieczysta myśl kobiety: zrodziła niesyte żądze. I takeś ty zmarniał.

— Czytaj! — powtórzył Müller.

— Słuchaj, — rzekł głucho.

I roztworzył ksiegę:

„Dzikiego tygrysa paszcza, kata topór ostry mniejsze zło mężczyźnie czyni, niżli ducha jego z kobietą obcowa-

nie. Kobieta, czy gdy mówi, czy gdy milczy, gdy idzie, stoi, siedzi, leży, ponęta członków tylko nęci, wdziękiem ciała wabi, pięknem postaci pót w myśli się wpieszca, póki w piersi nie siegnie i mocnem sercem nie zatarga. Łez smutek, uśmiechu powab, bioder niedbałe przegięcie, ramion lekkie ułożenie, włosów uplot kapryśny, pieściwy wdzięk miękkiego konturu i kształtów przepych bogaty: — z oglupionym mężczyzną gawędzi rozkosznie kobieta.

Gdy serce mężczyzny wdzięki kobiety rozgrzeja, gdy oczy piękno jej oślepi, zaciemnia się myśl jego. I oto jeszcze jeden duch wstąpił na mroczne drogi kleśni.

Przeto brońcie się, którzy bronić się pragniecie. Myśli wasze niech tarcza chroni godności, po łuk siegajcie dzielności odpornej, na czole prawego myślenia hełm, w dloniach prawej mądrości ostre dzierzcie strzały. A dobrze mi łuku targajcie cięciwę! I, dumni, na pięć dróg zmysłów waszych dostępu jej brońcie!

Müller w pierwszej chwili wpijał się chciwie w tę czerń liter gotyckich na żółtym pergaminie. Teraz wydał wargi:

— Dalej! — dopominał się krótko. — Więc taką świętoscią stała się dla ciebie — książka?! Daruj, ale jest w tem pewien smętek w dzisiejszych czasach... Książka jest dziś jak prostytutka: — każdy, co ją kupi, rekomenduje ją przyjaciolom, gdy wszystkim jego wymaganiom dogodzi. W przeciwnym razie plwa na nią najbezkarnej w świecie... A więc książka jako świętosc..?? — (wzruszył ramionami). Zresztą, słucham.

— Widzisz, — odparł Hertenstein wymijająco. — Kiedyś byłem jak ty. W „złe wiry“ wielkomiejskie rzuciła mnie goniwsza za tą sztuką waszą. Miotany niemi, szukałem samego siebie w obcym życiu, w cudzych światach. Me uczucia, pragnienia, myśli, otoczenia mego tchnienie, powietrze, jakiem oddychałem, wszystko to mówiło: czerp i chłoń z życia

jak najwięcej i przetrawiaj to w sobie jak najgłębiej, aby siebie zwieliokrotnić. Wnikaj w siebie, nurzaj się myślą nawet w namiętnościach, rzucaj się w otchłań najciemniejszych uczuć, ale dobrą z siebie wszystko. Wzywaj się, wmyślaj, wglebiaj w samego siebie! Ródź się, przeradzaj, rzeźb, cyzeluj siebie! Współczucia zbadź, stań się sobą dla siebie, pokonaj człowieka w sobie, — Bogiem bądź sobie!..

I patrz! — wyrzucił mnie przecie ten wir tam w narożnicę kamienną. I tam, pod białem wejrzeniem podniebnego lodowca, — otwieram tę książkę... Cisza zasłuchania była wtedy naokół; tylko wody szemrały głucho swą odwieczną legendę o czasie.

*„Zapomnij o samym sobie i o wszelkiej ku temu przyczynie!“*

Nie pochodnia, błyskawicą jasną były mi te słowa.

„Duch widzi wszystko w wiecznej przemianie i bez trwania. Mysli tej, „ja sam“ czepia się tylko ciemny. Mędrzec widzi, że we wszechświecie ruchu niema przyczyny dla tego pojęcia.“ I ty się dziwisz, że mi ta książka nowem zwiastowaniem była? — Czytałem: „Niedość stłumić zmysłów pożądania wszelkie. Zarodek twoego ja stłum, zniewol i zabij go w sobie...“

— Co ty..?! — Müller zerwał się na równe nogi. — Oszalałeś?..

— „Twe „ja“ zniszcz!“ — przybił Hertenstein jak ciężkim młotem. — „Oto jest iskra, co w popiele drzemie; oto w twej duszy płonące zarzewie, pożar utajony i wiicher drzemiący. — Zabij twe ja w sobie!“

Müller wcisnął obie ręce w kieszenie i patrzał na niego osłupiałym wzrokiem.

— Pojąłem! Bo nie przez ciała zetknięcie, nie przez krwi burze zapanaowała ona nad duchem moim. Drogą

wyobraźni wkroczyła klęską w życie me. I splotła się z każdą mą myślą, pragnieniem, czuciem wszelkiem, wsiąkła w najtajniejsze głębie, wchłonęła się w całość ciała i ducha, legła widnokregiem wokół świata mego. Przetopiła „ja“ moje, wsiąkła w nie, zrosła się z niem. A ja, nieswiadomy, lata całe pracowałem nad tem, aby siebie zwielokrotnić, rozszerzyć, pogłębić, by wszystko, co po za nią, usunąć precz, sobą stać się dla siebie, człowieka w sobie zmódz, — Bogiem stać się dla siebie. — I tak oto rozszerzałem, pogłębiałem, zwielokrotniałem tesknotę moją: żądz mych klęskę Bogiem sobie uczyniłem...

Müller parsknął już tylko złym śmiechem, zerwał się i, depcząc kwiaty, rozrzucając na wszystkie strony ogarki od papierosów, chodził wielkimi krokami po pokoju. Gdy przystąpił doń, aby mu przerwać, Hertenstein schwycił go kleszczowo za ramię. „Słuchaj!“ — krzyknął i drżącemi rękoma przerzucał pośpiesznie kartki. Wreszcie znalazł: przypadł, przyległy do książki.

— „Wyklnij z ducha twoego wszelkie myśli o „samym sobie.“ One cień rzucają na twe najwyższe wzloty, na śnieżne wyniosłości najczystszych chwil życia twoego; są jako chmur okłuby, co ci słońce przysłaniają. Obojętnością i dumą zaskorupiąc serce, rozdmuchają do potworności każdy drobiazg twoich upodobań i niechęci, rozwielenioznią, żądz twoich chciwe ogromy, troską czolo ztryja, najsilniejszą wolę podkopią i zniszczą. Jako młody pąk chlonie chciwie z nieczystych soków ziemi ten jad, co rozkład chorób i więdnienie czyni, tako twój duch wzrasta, krzepnie i tężje myśli o „samym sobie.“ Rozkład chorób i więdnienie jest w tobie. Patrz, jak w twych oczach kurczy się ziemia: jak maleje zasługa, nikczemnieje cnota, jak karleje czyn. To samoprzeceniania żałosne owoce! W ciele tkwiący pąk ducha twoego, samopoczucie twe, karmileś złudą o „samym sobie“ i jadem samoprzecenienia. Rozkład

chorób i więdnienie jest w tobie. A na ciebie ludzkiej woli śmierć!!..

Pojąłem!

Müller podniósł się ciężko i oburacz twarz wycierał, jakby ciężar otumanienia spędzaając daremnie z myśli.

— I cóżeś ty pojał?!..

— Że niedość stłumić zmysłów wszelkie pożądania. Tę kunsztowną czarę marzeń, pragnień, doświadczeń, drgnień najczulszych, całej odrębności czucia i myślenia mego — należy strzaskać o pierwszy kamień przydrożny!.. Spaliłem wszystko, co się z ducha mego spalić dało: wszystkie me ułamkowe utwory i kompozycye...

Müller z drugiego końca pokoju rzucił się wprost ku niemu. „Co ty..!?” — Lecz Hertenstein dokonał z niezmąconym spokojem.

— Wyjąłem struny z fortepianu mego...

Müller uderzył w stół kułakiem, aż czarki wina zahciały się i potoczyły na ziemię. Ale widząc blady, ponury spokój na jego twarzy, zamachał tylko rozpacznie rękoma i, jakby na wszystko już przygotowany, rzucił się w głąb' kanapy i wcisnął ręce w kieszenie.

— Mów! — wołał niecierpliwie.

— I widzisz: daremnie to wszystko uczyniłem. Daremnie koila mnie cisza, daremnie wody o wieczności szemrały, daremnie uśmiechał się do mnie lodowiec, bo — patrz! — oto uciekłem z zamku i puściłem się po Europie jej śladem, aby unikając spotkania z nią, choć raz na scenie ją zobaczyć. A kiedy ją tam ujrzałem w brylantowych błyskach światel jasną, w tęczach barw promienną, dumną, silną, tłumami władającą; kiedy ta boska potęga jej głosu zagrała jak na tysiącostronnej harfie na każdym włóknie ciała mego; — to mi się wtedy duch z ciała wyzwalał i, bezwiedny, nieważki, swej pracy nieświadomy, snuł nieskończoną melodyę smutku, tę przedzę mej sztuki

cudowną!.. A jam przez te lata całe tak niewiele z siebie dobyć potrafił; zaledwie w chwilach najcięższych wyrzutów za swą bezpłodność zdołałem wymozolić z siebie ułamkowy, blady fragment... I oto, czego nie mogła praca, to stawało się nagle igraszką ducha bezwiedną: wyklete żądz moich tępkną tryiskało nagle obfitem źródłem czarów...

I daremnie powróciłem na zamek. Daremnie koila mnie cisza, daremnie wody o wieczności gadały, daremnie uśmiechał się biały lodowiec; — bo oto świat cały zadyszał mi życiem, zaśpiewał pieśnią, rozegrał się w hejnał uroczysty, rozjęcał i rozdzwonił się w pogrzebowe Requiem... I daremnie wyjąłem struny; — bo oto, myśląc o niej, — słuchaj, Müller! — myśląc o niej — grałem na niemych klawiszach!!..

Müller czuł, jak mu czoło chłodnie i krew spływa od głowy. Podniósł oczy: nad nim pochyłała się twarz mężczyznyka. Po śnieżnym, prześwietlonem obliczu Hertensteina ociekał strugami pot, niby z pod cierniowej korony wązkie strugi krwi!



Poczem zasiadł nad książką i, wsparłszy głowę na łokciach, zapatrzył się błędnie w te żałobne szeregi [grubych, gotyckich liter; twarz jakby zaskrzepła, skamieniała w spokoju. Müller, siedząc naprzeciw, wciskał podbródek w splecone dłonie: czekał.

— Mów! — zaniepokoił się nagle i targnął go za ramię.

— Potem przyszło to, co przyjście musiało, — zaczął, nie odrywając oczu od żółtych kart. — Zgasły zorze i siły chłód rozlał się po szczytach. Przycichła ta muzyka we mnie, opadł duch i zamarł świat cały. Tylko to rozbudzone tępno życia burzyło się gorączkowym pulsem, i tylko te poruszone trzęsawiska namiętności ziąły trującym oddechem, warząc resztę myśli i pragnień innych. Tak oto po raz ostatni zwielokrotnilem, pogłębiłem i rozszerzyłem żądz moich tępknote. I była pustka tylko i znużenie okropne — w sercu, w myślach: wielki, szary smutek głodnego ciała. Duch mój stał się wrzodem ciała, a myśli ropą jego krwi zburzonej.

Zważ i ty to sobie: te natchnienia z rąk kobiet zawsze tak się kończą.

— Widzisz, — zaczął znów po chwili i, uniósłszy teraz dopiero głowę, wskazywał gdzieś przed siebie ramieniem, — tam po drugiej stronie zamku, w ocalałym jeszcze jodłowy lesie... Stoją tam drzewa dziwnie kurczowo powykręcane, pełne kłębistych guzów, grubych narośli, napoł suche, spróchniałe i brodate. Tam dnie całe spędzałem, stąpając po głębokim dywanie zielonego aksamitu: takim szczelnym kobiercem pokrywał mech ślizkie głazy podłożą. W tej cmentarnej głuszy drzemaly tylko na gałęziach rude sowy, tak leniwe i harde, że gdym się zbliżał, puszły jeno pióra na łbie i przewracały kołem te zielonawe, płonące białka na wypukłonej i w piersiach ukrytej twarzy. Węże osłizłemi pęczyskami opłatały wyważone z ziemi korzenie: po dwa, po sześć, w siebie lubieżnie wpłatane i senne. Te płoszyły się za każdym moim krokiem i wszczynały naokół obrzydliwe gadzie szelesty wilgotnych grobów. — Czasami droga wiodła przez wykrot: w zawieruchę suchych konarów i gałęzi, w głąb' kurczo-

wo sterczących korzeni powplątywały się całe pęki i war-kocze rudych i siwych wiedźmowych włosów. Stałaś nogą na pień: i wnet pień, konary i gałęzie prysły ci pod stopą, rzucając w góre dymne kłęby rudej, grzybiej kurzawy: — próchno!..

Takim był świat mój konający, takim duch mój młody.

I patrz! — z tej piwnicznej ciemni wywiodła mnie myśl w bezkresną jasność śnieżnych szczytów. Wiedziałem drogę moją...

— I cóześ ty wiedział? — pytał Müller czemprędzej, śledząc każde drgnienie na jego twarzy. A podbródek w splecone dłonie wciąż włacała i chłodziła niemi policzki.

— Wiedziałem, jak cierpienia wszystkie korzenie wyplenić można...

— No? — zgrzytnął Müller podejrzliwie.

— Prawą i głęboką myślą, rozwagą nad czterema prawdami najwyższej nauki.

I Hertenstein, w szczególnym skupieniu, odliczał na palcach, jakby bojąc się zmylić lub opuścić cokolwiek. Mówił przytem sucho, twardo, jak rzecz po tysiąc razy powtarzaną w myślach:

— O bycie cierpienia,

o przyczynie jego trwania, to jest, o niemożebności [zadowolenia swego „ja,”

o możliwości usunięcia cierpienia,

o drogach wiodących do tego.

Müller powstał powoli i przężył ramiona, chcąc tym fizycznym wysiłkiem spędzić jakieś odrętwienie z ciała i ducha.

— To jest gra na niemych klawiszach! — krzyknął wreszcie i sięgnął nerwowo po papierosa. — Tyś to wszystko wygrać był powinien: i twe wzloty, i twój upadek, i te namiętności, i ten bór wiedźmowy... To zresztą

w muzyce tkwi: te ogromy nieogarniętych namiętności, ta bezdenna głęb' tesknot aż po istotę bólu, do absolutu duchowego życia... Tyś powinien był to wszystko wygrać, w dźwięk zamknąć, a nie w słowa, nie w myśli, bo się niemi jak w sieci uwikłasz... To jest gra na niemych klawiszach!

— Ty z boru nie wyjdiesz nigdy, — mruknął Herenstein.

A na dalsze jego słowa uśmiechał się tylko blado: zdawało się, że słyszy tylko dalekie echo jakiegoś wołania, o które nie dba. — Pochylał się miarowo, kołysał prawie i, mrucząc oczy, odliczał raz jeszcze na palcach, jakby na swój tylko użytek, sobie na powtóżenie:

— O bycie cierpienia,  
o przyczynie jego trwania,  
o możliwości usunięcia cierpienia,  
o drogach wiodących do wyzwolenia się z jarzma  
[cierpień.

Rozważyć te cztery prawdy najwyższej nauki, znaczy wstępować na szczyty wszelkiej wiedzy, znaczy istotę ból-  
lu poznawać, znaczy ostatnią przyczynę bytu znosić...



Przysiadł się do niego na kanapę i ściskał mocno je-  
go ręce, w kostkach, powyżej dłoni, jakby w obawie, że-

by mu się znów nie wymknął. Na rozpalonej wypiekami, kościstej twarzy suchotnika nie drgnął ani jeden mięsień: zasłuchał się, zapatrzył na niego. W oczach, zarzyła się ciekawość, błysnęła chwilami zła ironia; to znów rodziła się w nich niepewność, podejrzenie, lęk.

A Hertenstein pouczył:

— ...Ta rozpaczliwa niemożność zadowolenia swego „ja“ zawsze i wszędzie, w każdej chwili życia, ta roztwierająca się zawsze głodna i ponura pustka... Jeśli w twem ciele resztki ducha się kołaczą, to przecież one muszą postawić ci przed oczyma cel życia w całej jego grozie! I im dalej w życiu, tem natrętniej. Bo nieprawdą jest, jakoby do godzenie pożądaniu, dokończenie upragnionych zamierzeń, gasiło je; ono wzmagą tylko i syci nasze chęci. A w miarę jak się zwiększają nasze pragnienia i zamiary, zmniejszają się środki ku ich zadowoleniu. To jest najstraszniesze, najbardziej bezlitosne prawo życia! Podlegają mu wszystkie żądze, pragnienia i chęci w świecie materyalnym; — wszystkie bez wyjątku!...

— Więc? — mruknął Müller ponuro.

— Więc niema szczęścia w wyżyciu samego siebie, w żądzach, pragnieniach, zamiarach, czynach, lecz na drodze celowego oddalania się od wszelkich żądzy, pragnień i chęci wszelkich.

— Jak?! — wyrywał mu niecierpliwie z ust.

A Hertenstein, ściskając coraz mocniej jego dlonie:

— Unikaj zetknięcia zmyłów z rzeczą wszelką, a nie powstanie w tobie poczucie i miara rozkoszy; — gdzie niema poczucia i miary rozkoszy, tam nie rodzi się chęć wraz z żądzą, oraz to wszystko, co się pod nią kryje. Gdzie niema chęci, tam nie powstaje lgnienie do rzeczy zewnętrznych wraz z namiętnością, która się pod niem kryje; — gdzie niema lgnienia do rzeczy zewnętrznych, tam nie rodzi się twych czynów, zabiegów, przypadków

i losów treść, indywidualnego, na zewnątrz, życia twoego miąsz.

Usuń „kształt i imię”: ciała twoego indywidualność, a zamkniesz pięć dróg zmysłów; jak chmura w słońcu rozwieje się twa świadomość, a bez niej naodwrót nie powstanie „kształt i imię.” Tak tu się dziwnie przyczyna ze skutkiem splatają i wrastają w siebie całkowicie. Wyjdź po za tych zabiegów i losów treść łańcuchem przyczyn, wstecz, aż poza zetknięcie się zmysłów z rzeczą wszelką, a rozwieje się i wówczas świadomość, a wraz z nią i ciało twoego indywidualność. A co najbardziej syci tych losów i zabiegów treść, indywidualnego na zewnątrz życia twoego miąsz, — to jądro i ognisko świadomości, w którym się skupia, streszcza, jednoczy i kształci ducha twoego wewnętrzna indywidualność: *Bijnana* twoja. A ta się rozwiąza wraz ze świadomością. Gdy w duchu zbraknie *Bijnany*, nie zbudzą się w sercu tych wielkich tęsknot wzloty, co rwą się do słowa, do barwy, do kształtu, do dźwięku, — co tworzy chęć: w sercu takim nie zrodzi się *Samskara!*..

Patrz! — takim jest wszelkiego cierpienia łańcuch przyczyn dwunastu.

Müller wydawał się już doszczętnie odurzonym: oczy mrużyły, palce wyciągały, aż w stawach trzeszczało, wreszcie splecone dlonie cisnął z całej siły sobie w czoło, jęknał niemal.

— Chociażby nawet.. Gdyby nawet... Czy da się pomyśleć nawet taka wola ludzka..?!

— Czemu człowiek nie podał, dokonać muszą pokolenia. Takiemi są kolejne ducha, co się póty przekształcać, przetwarzać, póty przeradzać musi i nowych ciał póty szukać, póki w sobie się nie prześwietli i nie wzbije się aż na te najbielsze szczyty, gdzie nic z ziemi dosiągnąć go nie może.

— Zlituj się, Henryk, i tyś w to wszystko uwierzył?!..

— Czy można nie wierzyć? — uśmiechnął się łagodnie do swych myśli. A gdy w tejże chwili powstał, wydał się Müllerowi wyższym, potężnym niemal w swym olbrzymim spokoju. — Przypomnij sobie tylko nas wszystkich i rozrzuć nas myślą w przestrzeni i czasie: Kunicki, Borowski, ty, Jelsky, ojciec mój i ja. Pomyśl, czy ten szereg ludzi nie mógłby być łańcuchem jednego cierpienia, dla którego karząca *Karma* była *Samskara*. Zdawałoby się: to najczystsze płomień życia. A ono zawlokło was wszystkich łańcuchem przyczyn wstecz, aż na padół chuci. W życiu, chciej je mieć jak najczystszy, kleski zła tylko zbierzesz.

— I ty wierzysz, że tak jest w rzeczywistości?!.. Te wędrówki dusz?.. — Müller prężył bezradnie ramiona i przecierał twarz dłońmi, jakby budząc się ze snu ciężkiego.

— „Tak jest” — „tak nie jest,” — wybuchnął nagle Hertenstein z szerokim gestem zniecierpliwienia, — to jest waszych słów mądrość cała! Wszystko to rodzi tylko gorycz, зло i ciemnotę w życiu ludzi. Wnikaj w myśli spokojem ducha, a rozwieją się wnet zarówno twoje pewności jak i twoje wątpienia.

Müller opędzał się już dlonią od tych mroków i tumanów mistycznych.

— Więc czemże jest prawda?! — krzyknął i rzucił się jak w sieci.

— Ona nie zależy od waszego „tak jest,” ani „tak nie jest,” ona nie jest pewnością, ani wątpieniem; — ona jest objawieniem! Prawdzie w oczy spoglądają prorocy.

Müller w ponurym niepokoju zapatrzył się w oczy Hertensteina.

— I co... co osiąga twój stępala w bezczuciu ideal?

— Koniec swój. — Taki już się nie przeradza, bo zatrzymanem jest koło bytu, bo duch objął i ogarnął wszystko, stał się wszystkiem; — spłynął za życia z duchem wszech-

świata, — ani żywy, ani zmarły, bo po za nim zarówno być jak i niebyt pomyślanym być nie może... Posłuchaj! — Gdy prorok łańcuch przyczyn dwunastu i osiem dróg wyzwolenia świata odnalazł, przekwitła jego ekstaza. Sakija Muni powstał, uśmiechnął się do słońca i tak rzekł do wszechświata: „Oto wyrzekam się dalszych trwań żywota mego. Ległem jako połamany wóz. Stanęło życie me, już wstecz nie nawróci, ani naprzód nie ruszy: śmierć mu nie grozi, w nowych narodzinach już się nie powtórzy. Nie potoczy się pęknięte koło żywota mego, bo w trzech światach niemasz jemu chęci i niemasz dlań okowy...“

— W trzech światach? — powtórzył Müller jak echo.

— I dla mnie w trzech światach. Z narożnicy kamiennej zamku ujrzałem je już dawniej: bezpłodny świat białych marzeń, przyziemny świat szarego życia i chmurny świat sztuki.

Müller w odurzeniu dlonie na czole splatał i przysiąał oczy, jakby chcąc przywołać przed nie te białe, zatopione w błękit lodowcowe szczyty, które tyłokrotnie obiliły mu się o uszy.

— I co się stało z twoim prorkiem? Nie umarł?

— Doskonały duch jego wystąpił z powłoki ciała jako kurczę z jaja, wświetlił się w słońcu, rozplynał się w niebiosach, wpłonął w światowe *Agni*.

— Słuchaj, Henryk... — Müller czepiał się go oburacz. — Nie o proroka twoego mi idzie... Powiedz, powiedz to tylko, — bo ta myśl dziwnym szalem mnie upija! — więc... więc niema śmierci dla takich?!

A Hertenstein, rozłożywszy ramiona:

— I cóż śmierć takiemu uczynić może, który sam w sobie pokonał to wszystko, co ona zniszczyć zdolna: — ignienie do świata zewnętrznego, chęci, indywidualnego życia treść i w łańcuchu przyczyn aż po świadomość?.. Ułamany jest kolec życia!..

— Więc w co wierzyć? Co nas czeka? Mów!

— Spokój, spokój wieczny i świadomy. Blogie zapatrzenie się ducha, który stał się już duchem wszechświata, w swą świadomą pełnię... I patrz! — skoro spokój w sobie czujesz, ty już tam jesteś. I nic już grozić ci nie może.

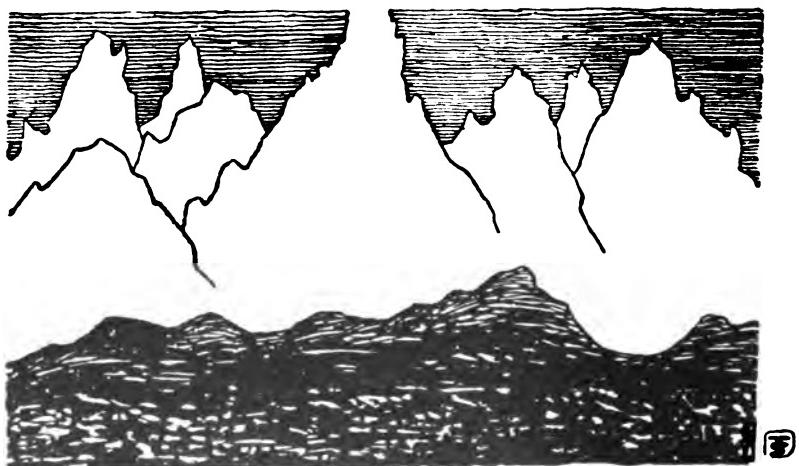
— Henryk!... — Müller wsparł głowę na jego pierśach i zamykał oczy. — Henryk, jeśli ty szalony, zaszczep i mnie ten obłęd! — Ułam kolec blizkiej śmierci mojej!

A Hertenstein, obejmując go troskliwie:

— Kochaleś? — szeptał, — kochasz jeszcze? Uczyn z miłości tesknotę ducha wielką. Spojrzyj na szczyty! Bo...

*jako garść ziarna w głąb ziemi zasiana  
da z czasem cień, owoc i kwietne wonności,  
tak, gdy tesknota w twem sercu zagości,  
da ci ciąż swój i owoc i wonność NIRWANA!..*

Müller wgarniał się, wtulał w jego ramiona.





■

ikle dymy tytoniowe kołyzały się pod pułapem, szmatami sinych mgławic. Barwny klomb wokół dyszał wonią: kwiaty zamierając wyrzucały z siebie niby wonne kadzidła chwały.

Chart nie mógł uleżeć, coraz to niespokojniej biegał po kątach, wylatywał gdzieś w ciemne wnętrza dalszych pokojów, wślizgiwał się z powrotem niewidocznie i tajemniczo, kładł się na kwiatach i prężył chude ciało. To znów łeb czujnie podrzucał, zasłuchany w nierówne i ogromnie przyspieszone bicia dwóch serc.

Zaledwie Müller w zamiarze powstania krzesła zdążył pierwszy ruch uczynić, chart jak sprężyną podrzucony skoczył mu pod nogi, obwąchał, łeb ku niemu zadarł i za-

patrzył się lękliwie. I tak patrzeni przez chwilę na siebie, zasłuchani w trwożne bicia trzech serc.

Zbliżył się do okna i roztworzył je na oścież. Zaszmiały senne po nocy liście, wionął chłód i potoczył się gwar głuchy, przytumiony. Tam na podole, w szerokiej kotlinie, pod zimną osłoną stalowych blasków, drzemał potworny, ciemny kadłub miasta. W tej czarnej masie, gdzieś na rozłogach, porozpraszali się smutnie blade, mgliste światła tych, co czuwają.

I zdawało mu się po nocy, że patrzy na wielkie roztopy czarnego trzęsawiska, nad którym żadna nie świeci gwiazda, a natomiast rozproszone po błotach gdzieś, po czarnych wądołach, wróżbnych kryjówkach i na złych zakrętkach, pozapalały się tu i owadzie błędne ogniki: zaświeciło próchno...

Tu i owadzie zadrgała świetlana zorza, przygaszała i osuwała się niżej. Cisza wielka kładła się na miasto coraz to gęstszym kirem. Pociemku, omackiem szedł miejski świt pracy. I była ta godzina smutku, co czuwających ogarnia bezmiernem dla ludzi współczuciem. Jeszcze, jeszcze godzina wytchnienia, godzina snu, złudy i zapomnień! Tam oto w uścisiku splotła się młodość: śni, marzy. Niech jeszcze minutę pamarzy!..

Zawyły po przedmieściach zbudzone ze snu potwory: rykiem długim, przeciągły, żałosnym. Już białą pianą gorącego oddechu zioną w ciemne powietrze. Za żerem ludzkich dusz wyja, stalowe członki pręzą i w ruch je miarowy puszczają. Już syczą, świszczą, kołaczą, gromem podziemnym się toczą i strzeliste smugi skłębionego dymu rzucają w rdzawe niebiosy. Ofiarnicy przy ołtarzu pracy już stoją; już ciągną szare, nieskończone szeregi tych, co giną.

W tej ciemni wyrastały w oczach powoli i zarysowały się ostro pojedyncze kontury najeżonych w kominy

dachów. I wydało się Müllerowi po nocy, że z tego zwaliska tysiąca ciemnych plam o ostrym konturze wyciągają się cienie tysiąca rąk. I wnet po całem tem ciemnem murowisku, gdzie oczy siegnęły, widział tylko rozpacznie ku górze preżace się ramiona w zimną ton stalowego blasku.

I spojrzał ku górze. Ponad świetlaną luną miasta wisiała tylko rdzawa bezdeń; oczy daremnie szukały gwiazd. W tej otchłannej pustce zawisła tylko chmurna plama, nieco ciemniejsza i zwiewna: jakby przez to lustro miejskiej luny rzucony gdzieś w przestrzeń złudny majak po nocy. Patrzał. A gdy oczy daremnie wymadlały gwiazd po niebie, ułożył się ten cień w kłab potwornego kształtu:— z podwiniętemi pod siebie nogami zasiadło tam spłaszczonie, olbrzymie cielsko bałwanu. Długie, cienkie dlonie tuż pod szyją na obojczykach płasko wtłacza; mrążą się małe jak u słonia i skośne oczy, a szerokie, aż po uszne konchy, ostre wargi skrzepły w dziwnym wyrazie błędnego uśmiechu.

To on! — wielki Risi, Sakija Muni, co pokonał na zawsze klęski, cierpienia, choroby, wieku, śmierci i narodzin, co istotę bytu — ból poznał i jego przyczynę — ruch przezwyciężył. I oto, wświetliwszy się w słońce, wtopiwszy w niebiosa, wchłonąwszy w światowe *Agni*, w niezmąconej ciszy i wiecznym spokoju Nirwany króluje uśmiechnięty nad wszelkiego cierpienia łaicuchem przyczyn dwunastu.

A tam na padole, z głuchego zgiełku i nocnego mroku wyrastają bez końca i preżą się rozpacznie ku górze ramiona tych, co czują i myślą.

I zdawało się Müllerowi po nocy, że wszystkie te ręce wyciągają się w przestrzeń rdzawą i bezgwiazdną z modlitwą o jedną gwiazdę na niebie, o najdalszej gwiazdy najslabszy bodaj promień... „Niech przyjdą klęski, cierpienia, choroby, wieku i śmierci, niech gromy namiętności

życie nam burzą, niech pokuta daremnie wzywa niebiosa,  
ale w zamian jednej wiary, jednej nadziei cień! najdalszej  
gwiazdy promień najbleszysz!..“



Zawrócił w głąb' pokoju. Drżąc od chłodu, otulił się w swą pelerynę i rzucił w swój kąt na kanapie. Spojrzał niedbale na Hertensteina. Twarz jego była prawie bez wyrazu, tylko jeszcze bledsza, zimna i jakby przezroczasta.

— Henryk?.. — szepnął.

Hertenstein drgnął i podniósł oczy.

— Henryk, to jest straszna rzecz, — bezwiednym ruchem wyciągał ramię góra w kierunku okna, — ten bezduszny bałwan twoego bożka!

Hertenstein ocknął się jakby nagle i ożywił. Twarz zwarła się w twardym mocnym wyrazie. Dlonią odruchowo swą księgę przycisnął i z pod nachmurzonych brwi patrzył ze współczuciem na Müllera.

— Nie wierzysz?

— Nie mogę.

Milczał. Wreszcie powstał i, wciąż dlonią przyciskającą księgę, rzekł z naciskiem:

— *Gdy fala pożogi wiewem step wyżenie,  
Nowa wiosna ruń nową po stepie rozściele;  
Gdy serce chuci wypałą płomienie,  
Každy zasiew zmarnieje w serdeczny popiele!*

— Ach! — Müller machnął ręką. — Wszelką wiarę stracić, na to, aby taką zdobyć..!

Po krótkim namyśle ujął wszakże Hertensteina za obie ręce.

— Henryk, ja cię tego pozbawiać nie chcę. I to jest wielkie, skoro głęboko w sercu tkwi... Widzisz, ja ci nawet dziękuję, dziękuję ci za tę chwilę szczytnego otumanienia... I że się to stało. Widzisz, ja już niczego nie żałuję, już spokój we mnie.

Hertenstein odpowiedział mu ciepłym uściskiem dloni.

— Proroka nauka wsiąkła w twą duszę.

— Ach!... daj pokój!... Nie mogę! — Müller wciąż się dlonią opędał. — Za to ci dziękuję, żem był twym spokojem, twą wiara pijany, kiedy się *to* stało... Widzisz, ja nie wiem nawet, kiedy i jak się stało. Mogłoby mi się wydawać, że ta trucizna wprost z twoich słów w duszę mi wsiąkła i zabije. I może ta woń kwiatów otumaniała mnie wprzody: cudzej sztuki tryumf... Słuchaj, Henryk, — wszak i to twe zwycięstwo nadę mną, to także tylko tryumf wielkiej poezyi w twej wierze, w twoich szczytach podniebnych nad zamkiem i — w tak bezmiernie łagodnej śmierci. Przez wrota sztuki wprowadzasz mnie w grób. I za to ci dziękuję... Już jestem tylko bardzo zmęczony... I chciałbym, żeby to przedzej! przedzej!.. Dlaczegoś wybrał tak powolną... Długo jeszcze?

Hertenstein wyjął zegarek i położył go przed sobą na stole.

— Czujesz co?

— Nie... Tylko spokój bezwoli, jakby po długiej gorączce.

— Przekroczyłeś granicę „samego siebie.“

— Ach!.. Nie mogę, Henryk!.. Nie mogę!.. O coś ważnego, o coś najważniejszego chciałem cię jeszcze pytać... Słuchaj, czemu? — mimowolnym ruchem wyciągnął ramię ku oknu, dolem, w kierunku miasta — czemu tam ze mnie, z ciebie nie zostanie nic, nic...? Czemu z nas żaden?.. Powiedz, kto i kiedy wypowie...?

— Co wypowie?

— Rozpacz tych, co dla tego tak strasznie grzeszą, że tak beznadziejnie szukają, co wpadli w „złe wiry“ życia z tą jedną jedyną wiarą w piersiach...

— W „samych siebie,“ — dokończył Hertenstein.

— Kto i kiedy wypowie nas?.. i tamtych? — (Müller wyciągnął mimiowoli dloni w kierunku okna, jakby przywołując obrazy widziane przed chwilą...) i wszystkich? Całą głęb' ludzkiego cierpienia?

— Nikt.

— Jego obraz złudny? ułamkowy cień tego obrazu?!

— Kto granicę swego „ja“ przekroczy, ten tylko zrozumieć jest zdolen cudze cierpienie. Kto swe „ja“ zniszczy, ten dopiero odczuć je potrafi.

Ruchem dloni nakazał mu cierpliwość. Zwiesił głowę, — milczał.

Poczem znów dłoń uniósł:

— Gdy się *Samskara* w *Bijnanie* zjednoczy i w szerokiej mężkiej piersi o *Agni* rozpłomieni, wówczas niema rozpacz swe rany serdeczne obnaża i groby mówić poczynają.

— Ach! — Müller zwiesił ciężko głowę i milczał.

Wreszcie, nie poradziwszy widocznie ze sobą, zapytał głuchy:

— Czem jest *Agni*?

— To się wypowiedzieć nie da. To się pomyśleć nawet nie pozwala. Jęk ziemi rodzi *Agni* bez końca, a nieubłagalność nieba bez końca je chłonie...

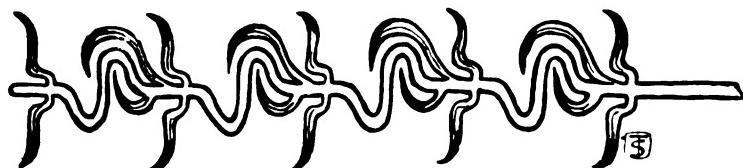
Müller odpędzał się oburącz od tych sieci pajęczych. Nagle na umęczonej twarzy, w napół przymkniętych oczach zaświecił lęk.

— I ty się nie boisz?

— Czego?

— Tego co nas czeka: — kary!?

— Mnie nic nie czeka.

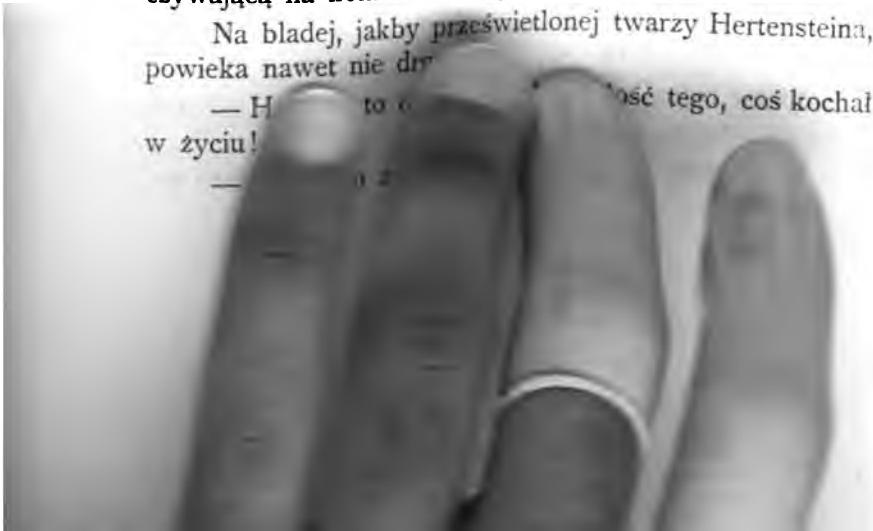


Oglądał się coraz to niespokojniej po pokoju, wsłuchiwał, szmery łowił. Wreszcie, nie widząc jakby nigdzie ucieczki, przykląkł przed Hertensteinem i całował tę społywającą na kolanie białą, przezroczą dłoń.

Na bladej, jakby prześwietlonej twarzy Hertensteina, powieka nawet nie drgały.

— H... to... — mrużąc oczy, —... ość tego, coś kochał w życiu!

— ...



— Powiedz, powiedz! — więc nie czeka nas kara za to marnowanie najwyższych darów życia?

— Życie samo jest karą w beznadziejnym poszukiwaniu, a wszystkie jego dary są nieczyste.

A gdy Müller zamachał rozpacznie rękoma:

— Przypomnij tylko... Przedwczoraj jeszcze. — Przypomnij. Przedwczoraj jeszcze, gdy ona przyjechała, — jeden jej uśmiech... Ztąd, z wyżyn moich — w wasz głód życia! — I w wirze wielkomiejskim szukałem największego ruchu, bodaj szalu rozpusty, aby się zbudzić, — aby tworzyć... I jeszcze raz mi zaimponował czyn. — Jeden uśmiech kobiety!.. Nieczysta myśl kobiety słońce nawet przyćmić potrafi... A wiesz, czemu ze swoich wyżyn tak nisko spaść mogłem?

— Mów mi o tem, że kary niema!

— Wiesz, czemu spaść mogłem? Bom po ostatni korzeń zła nie sięgnął, siedem zaledwie dróg przebyłem. Pozostał jeszcze jeden stopień, z którego spaść już nie można. Pozostało to, co kształt i imię dla mnie tworzy: ciała mego indywidualność.

Müller zerwał się z kolan i ściskał rozpaczliwie czoło. Rozumiał, że ten człowiek sobą już być przestał, że myśl jego tego koła nie opuści, gotowa jakby wieczność w niem się obracać.

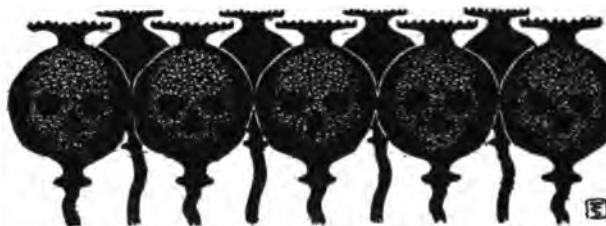
— I patrz, drogi, — mówił Hertenstein łagodnie, — oto usuwam lekko tę ostatnią zaporę: już nie będę igraszką przypadku. Nigdzie duch mój nie pojedzie i nigdzie się nie przeniesie. Pozostanie, gdzie był, zanim ona przyjechała, — gdzie jest teraz, w tej chwili... Patrz, ja już tam jestem, już skończyłem. I nic więcej spotkać mnie nie może.

Müller cofnął się w niszę okienną i ztąd patrzał na niego czujnie.

Hertenstein siedział nieruchomy i coraz bielszy na

twarz. Otwarte oczy nie patrzały nigdzie, a równy spokojny uśmiech zwracał się jakby do tej ręki spoczywającej na kolanie.

— Henryk?! — krzyknął Müller bezwiednie i zrobił ruch, jakby mu do kolan chciał przypaść z powrotem. Lecz w tejże chwili odepchnęło go coś wewnętrzną odrażą.



Stał przy oknie i patrzał, jak powoli rozouplesieć mrok. Już się rozośniały dachy i kominy, już perłowy świt opływał wieże kościelne i dzwonił w ciche sygnaturki. Modlitewne szepy przebiegły po mieście. Tu i ówdzie wychylały się z domów otulone w chusty, przygarbione sylwetki kobiet: zbierały się i skupiały zewsząd ciche gromadki tych, co wierzą.

Müllerowi zdawało się, że tuż przed jego oczyma przebiegły w szalonym popłochu zmory nocne: łopot wielkich skrzydeł usłyszał i tchnienie pędu poczuł. Tuż po za oknem zaszeleśczały tak w nagłym pośpiechu zbudzone liście: poruszyło je pierwsze tchnienie rannego wiatru.

— Więc ta chwila, co się zbliża, — myślał, — najstraszniejsza ze wszystkiego, co stać się może, — więc ona nie jest nawet końcem?!.. Więc kiedyś jeszcze raz to samo..?!

Wpadł mu w ucho gwar przyłumiony, czujny, kłotliwy: po drzewach budziło się już ptactwo.

A ten świergot radosny, te ciche deszcze strząsanej przez ptactwo rosły, zapach ziemi świeży i kojący, oraz te złote pochodnie, co pozapalały się na szczytach wież i kominów, — przyniosły mu na rozpalone czoło miękkiej dłoni współczujące dotknięcie.

I łzy trysnęły mu do oczu.

Ciezką głowę przekrzywił w tył i wsparł ją o kobiecą piers...

— Przyszłaś? — pytał sennie. — Powiedz ty! — więc to nie jest jeszcze końcem?

Zimna marmurowa piers... A jednak bije wszak puls życia? Puls ten jak młot wali mu w skroń. A te dlonie na skroniach chłodzą jak lód, ściskają mocno, mocno...

— Utęsknienie moje!.. Życia mego jedyny jasny promieniu!.. Powiedz — więc to jeszcze nie koniec?!

Głowę wciąż do tych piersi tulił i — rozchylił powieki. Grozy niemy krzyk przebiegł mu chłodem po krzyżach. „Ktoś ty?!“ — pytały oczy. Na nim czała się, jak pantera, śniada, prawie brunatna twarz kobiety o nieludzkiej potędze zimnego wyrazu. Widzi na jej skroniach puszyste pęki przepaściestej czerni włosów; zielonawa głab' polipowych oczu wpija się w niego, wsysa mu się w krew. Chłodne lodowe dlonie opłotły mu czoło, skuły głową w te kleszcze i cisną, wmiążdżają mu czaszkę w granitową piers...

Ramiona przed sie wypreżyły, zachwiał się i zwisł na framudze okna.

Przyskoczył doń chart, obwąchał i najechał sierć. Pręiąc łapy i cofając się zadem, zbierał się w sobie, kurczył, wreszcie skoczył w okno i wypadł jak strzała do ogrodu. — Hurmem załopotało ptactwo, jakby wicher żaglem targnął.

Chmurą ciemną zerwały się roje z drzew i rzuciły się w dół, ku miastu; w nagłym zwrocie szarpenęły na lewo i uderzyły w góre, zakrążyły kołem, kołem i jeszcze raz kołem, kąpać się i pławić w słonecznej roztoczy.



Jasny świt poranku rosę na więdnące rzucał kwiaty, w różowe i fioletowe plamy je rozświetlił i roztopił, zwiewnym całunem sinej mgły nakrył i, ten klomb barwny jednym akordem chłodnego tonu tłumiąc, w iskrzeniu jakiemś plamy rozkołyzał, cały pokój osnuł, omotał, ukwiecił.

Koło laurowego wieńca, oparte o poręcz fotelu, ujmowało Hertensteina po pas w ciemną ramę; purpurowe szarfy zwisłe po bokach tuliły go jak w ramiona. W perłowym rozbrzasku dnia i w błyskaniu kwietnych barw, twarz jego stawała się mleczna, przezroczą, tchnieniem błękitu jakby owianą i w pół-sennem zasłuchaniu w ranny świergot ptactwa po raz ostatni jakby uśmiechnięta. Nagle poruszyły się jego wargi i rozlały uśmiech na całą twarz.

— Chcesz wiedzieć..? — zaczął.

Zagłuszył go świergot na dworze. Promień słońca przedarł się przez liście i rojem złotych motyli rzucił się na kwiaty.

— Chcesz wiedzieć..?

Jeden z tych słonecznych motyli przysiadł mu na wargach, jakby chcąc wypić z nich dziwną słodycz i woń tego uśmiechu.

— Chcesz wiedzieć, czem jest *Agni*?..

Złote motyle obsiadły mu głowę, twarz i ręce. A on, zapatrzony tam, gdzie chmara ptactwa iskrzyła się w kręgach na niebie:

— Co w miłości się znajduje, od miłości odmienne, czego miłość nie zna, a co miłością kieruje, co miłością jest miłości: — oto jest *Agni*, kierownik życia wewnętrzny, oto wielkie, twórcze i ZABÓJCZE *Om*!..



*Niemoc serdeczna jest stokroć gorszą od niewolnej fizycznej. Przeto zleczcie myśl waszą.*

Fryc Modrzewski: O naprawie Rzczp. 1554.

„I oto znów grozi klęska, ta macierz wszelkiej moralności, zwiastuje się wielkie niebezpieczeństwo, tym razem przeniesione na jednostkę. Przejawia się wszędzie: w bliżnim, w przyjacielu, na ulicy, we własnym dziecku, we własnym sercu; przebiją się we wszystkich najosobistszych, najtajniejszych drgnieniach chcenia i woli... Tylko mierni mają widoki dalszego trwania, dalszego rozmnażania się: oni są ludźmi przyszłości, oni pozostaną. „Bądźcie jako oni! bądźcie miernymi!” staje się odtąd jedyną moralnością, która jeszcze ma sens, która jeszcze znajduje posłuch.”

Fr. Nietzsche: *Jenseits von G. und B.*

Wacław Berent.

## Sny i tęsknoty.



### ŽRÓDŁO.

*Głuszą sennych uroczysk, ląk szkarłatnych wonią,  
Śpiewem harf rozegrane, tajemnicze, płynę  
I wiodę w nicodkrytą, przedziwną dolinę,  
A kwiaty najdumniejsze — łzy w me nurty ronią...*

*W me tonie aksamitne, srebrne w świt poranny,  
Oczy zmarłych rusątek wylaty swe czary;  
W mem dnie lśnią skamieniałe złote słońca żary:  
Poję wonną słodyczą świętych perel manny!*

*Więc, w obłędnych pustkowiach Smutku zabłąkany,  
Do mych krynic znużony zbliż się samotniku  
I skroni swą rozpaloną zmyj w wodzie źródlanej.*

*Pij... — niedoznanych marzeń przeżyjesz bez liku —  
I silny, orzeźwiony, pojdz, gdzie samo płynę:  
W pełną cudów nicznanych, przedziwną dolinę...*

**BLADA KRÓLEWNA TĘSKNOT.**

*Blada królewna tesknot swoją złotą igłą  
 Dziwne cuda na modrym ugorze wyszywa —  
 I rośnie, rośnie bujna aleja przedziwa,  
 W dal szeroką, srebrzystą, cichą, niedościgłą.*

*A tak jasno naokół, tak jasno i smutno,  
 Jak gdyby ta pamiętna noc dlonią rozrzutną  
 Chciała rozsiać na ziemię wszystkie swe klejnoty.  
 Białe sny księżycowe, widma i tesknoty...*

*Blada królewna tesknot na skrzydłach anielich  
 Idzie ku mnie w tej cichej, uroczystej nocy,  
 Niosąc w swych białych dloniach wspomnien złoty kielich —  
 I w duszy łkać poczyna jakiś płacz sierocy...*

*...A był to dzień przejasny, świąteczny i cichy,  
 Wiosna, kwiaty, żar, miłość, pierwszych snów przepychy.*

*I słońce nieruchome w swym blasku jak rubin —  
Był przejasny dzień złotych ze szczęściem zaślubin...*

*Blada królewna tešknot skarzy się i płacze;  
Brzmi wśród mroku jej tkanie melodyą pokutną.  
I wstają wszystkie łzy me i widma tułacze,  
I tak smutno naokół, tak niemo i smutno...*

## O ŚWICIE.

*Moja umarła dziewczyna przychodzi codziennie zrania,  
Przychodzi budzić mnie ze snu smutna i zadumana.*

*W półśnie ją widzę, w półjawie, jak się krząta koło mnie,  
I przez sen gorzko płaczę i marzę nieprzytomnie...*

*Pogląda na mnie bolesnie, i z głębi piersi wzdycha,  
I pochylając się w mroku: „dzien dobry“ szepcze zcicha.*

*Usiąda przy szarej ścianie, smutno ogląda się wokół  
I rąbkiem białej sukienki obcięra mokre me czoło.*

*W półśnie ją widzę, w półjawie, na tle mrocznego świata  
Widzę jej oczy przejasne jak dwa widma blękitu.*

*Leciuchno mej twarzy gorącej dotknie blademi wargami  
I przez ten moment półbrzasku jesteśmy znów sami...*

*I schyla się coraz bliżej, uśmiecha się coraz smętniej.  
I szepcze miłośnie i słodko, coraz ciszej, namiętniej...*

*A piersi mają chorą i ciężką dzikie tkanie porywa,  
A duszę mają chorą i smutną szarpie boleść straszliwa.*

*Budzę się pełen dreszczu, wznoszę ciężkie powieki —  
I widzę, jak niknie w dali jej duch mglisty, daleki...*

## MODLITWA.

*Duszo moja znużona, leć nad polny ruczaj  
I tam swe ślepe żqdze tajemnie nauczaj:*

*By, zdaleka od zgiełku, samotnie, wytrwale,  
Dążyły w swe nicznane, tajemnicze dalc.*

*By miały białą czystość i zadumę kwiatów,  
Którym wystarcza pełnia własnych aromatów.*

*By jak liść, który wichry nad łapką unoszą,  
Mknęły, gardząc spoczynku poziomą roczkoszą.*

*By lśniły, niby jutrznice wschodzące o brzasku,  
Pielne wyniosłej dumy, potęgi i blasku.*

ARS AMARA.

*Już zamknęła się ciemna świątynia przeznaczeń:  
Gaśnie znicz mój ofiarny, płomień bólu krwawy —  
Odurzony bolesną słodyczą majaczni.  
Śnię na jowie wśród smętej, tajemnej obawy.*

*Lecz gdy w upojnej wizji wspominien, mocą dłuta,  
Żądny wieczystych żarów, chcę wyrzeźbić płomień:  
Znów po szarych pustkowiach brodzi myśl zatruta,  
Gdzie wschodzą zimne jutrznie gorzkich uświadomień...*

*Bo, wszystko jest śmiertelne, nawet niespożyty  
Ów ból, co w snach upiornych echowo się żali.  
I patrz: mój święty pomrok dławią brudne światy.*

*I cała wieczność tonie w niepowrotniej falii,  
A w duszy lśni się krwawo ów wywar przeklęty,  
W którym legnie się nuda, przesyty i wstręty...*

SNY.

*Pójdę na ciche pola, na kwitnące sady,  
Gdzie grają w śnie południa złote hymny pszczelne,  
Gdzie źródła młodych marzeń biją nieśmiertelne  
I moich snów dziecięcych czuwa anioł blady...*

*Pójdę pod białe, słonicem roześmiane chaty.  
Gdzie śnią urokiem ziela wybijale grzedy —  
Gdzie święte, tajemnicze kwitnienia obrzędy  
Mąci szalem radości ptactwa huf skrzydlaty...*

*Tam w cienistej zaciszy, patrząc w bujne płony,  
Z dziadem o siwych włosach, które wiatr mu pieści,  
Siędę — śnieżną rozkoszą kwiecica upojony —*

*I długich będę słuchał jego opowieści;  
W duszy mej barwną rzeszą zjawią się ogromne  
Widzenia dawnych czasów... I może zapomnę...*

BAŚŃ OKIEN.

*Na sinej tafli okien, matowej, zamglonej,  
Mróz czarodziej wyrzebił niewidziane cuda:  
Jakichś drzew fantastycznych teczowe korony,  
W których rozkwita bujnie srebrny kwiat Uluda...*

*Cudna baśń flory, pełna szatu i potęgi,  
Snadż przesiana tu z jakieś zaświatowej łąki,  
Wije się symetrycznie w sinosrebrne wstęgi,  
W przedziwne arabeski, wzory i koronki.*

*U góry, na jedwabnych tkanin baldachimie,  
Niby bladych witraży kontury naiwne,  
Pielząc dziwnych krzewów łodygi olbrzymie,  
Grupy palm egzotycznych przezroczyste, sztywne.*

*Jakieś ledwo widzialne, nieme perspektywy  
Wyłaniają się z śnicznej, nieskończonej bieli;*

*Jakieś dale ogłuchłe, obumarłe niwy,  
Porosłe, zda się, smętnym czarem asfodeli.*

*Jakaś nuda bezbrzeżna, gdzie wszystko zamiera  
I stygnie w dusz znużonych przerążliwe tkanie,  
Gdy blada tajn przed wzrokiem tesknot się otwiera  
I czarem niesłychanym woła je w otchłanie...*

*U dołu, zamrożony w kryształowe szary,  
Stoi zwichrzonych jezior odmet siwowłosy —  
I śnią w swym białym bólu ciche nenufary,  
Płoną modrą tesknicą stubarwne lotosy...*

*A wokół przepych kwiecia: bladozłote tuje,  
Śnieczne wizye irysów, chryzantemy senne —  
Wszystko płacze się, kłębi, rozpręza i snuje,  
Zaklecone w nikłych szronów kruszce drogocenne.*

*Po lśniących, sztywnych pędach, zwieszonych srebrzyście,  
Przelatując atomy mieniającego puchu;  
Czasem wiew nieuchwytny poruszy ich liście —  
I niknie w niemej gąszczy stojącej bez ruchu.*

*Cudna baśni flory, pełna szalu i potegi,  
Snadź przesiana tu z jakiejś zaświatowej łęki,  
Wije się symetrycznie w sinosrebrne wstęgi,  
W przedziwne arabeski, wzory i koronki.*

*Od pól, co w roztajałych śniegach szare mokną,  
 Mroczną, pustą aleją umarłych topoli,  
 Tajemnicze zjawisko posuwa się w okno:  
 Wiotka postać dziewczyny w blasków aureoli...*

*Posuwa się z przedziwnym na ustach uśmiechem  
 I ukradkiem do szyby przybliża się, staje  
 I wionie w przepych kwiecia gorącym oddechem —  
 A szron dyamentowy pryska, blednie, taje...*

*Wnet śnieżna rzeźba kwiatu, srebrny cud pajęczy.  
 Rozpływają się, rozpierzcha, niknie... Złotym blaskiem  
 Jeszcze raz załśni szyba, mignie luna tęczy —  
 I szkło cichym, bolesnym odczwię się trzaskiem.*

*Jasne widmo dziewczyny, stojąc w oknie białem,  
 Patrzy z trymfem w pianę, bladem lśniącą złotem,  
 I klaszcze w dlon radośnie, i chucha z zapalem,  
 I coraz promienniejszym śmieje się chichotem.*



Józef Jedlicz.

## Tajemnicze w sztuce.



W onych długich rozmowach, które dusza prowadzi w samotnościach swoich, odpowiedzi nieme i utajone występują przed pytaniami. Odpowiedzi są wieczne, pytania czekają na swój czas, aby mózg przyodziąć się w światło i dźwięk. Godziny, które przeprowadzają nas z gorejącymi pochodniami, miarkują jasność ich wedle siły naszego wzroku. I tam, gdzie kiedyś słyszeliśmy dysonansowe szelesty syreny, usłyszmy, gdy przyśpieszy się ruch, miłą skalę prawu poddanych tonów. Wedle głębi pytań oceńcie wysokość duszy, bo wedle nich ocenia się wewnętrzne bogactwo odpowiedzi. Niesłychanie mała część pytań przełożoną została w duszach minionych i dzisiejszych na mowę słów. Najbrzemienniejsze i najgłębsze kryją się w symbolach bólu i spodziewania się jakichś łun światłości, w symbolach siły i lekkości, których słodycz roznieca pragnienie nieskończone, w symbolach tajemnego

oddechu rzeczy, których zmiany odpowiadają ewolucjom naszej prawdy wewnętrznej, w symbolach przeczuć, miłości, niepewności podczas zmroków mrowiących się niebezpieczeństwy, ale też i gwiazdami, i tej największej niepewności żrenic roztargnionych zbytniem pałaniem światła wewnętrznego. We wszystkich tych pytaniach dusza jest samotna.<sup>1</sup> Na tem polega jedna z największych tajemnic żywota i ów smutek milczenia, wieszający się czarnymi cieniami na ostatnich słowach ludzi zbyt szczerych. W każdym objęciu myśli czy ramion drga nerwowy kurcz tonącego, który, pograżając się w tajemniczych falach, daremnie czegobądź się chwyta. Żywot duszy jest drogą, kiedy nieprzewidziane zdarzenia czekają we wszystkich ciemniach, kiedy milczenie mówi jedyną wspólną mową wszystkich światów i kiedy samotności mają tysiące żrenic. Ale każdy krok na tej drodze spełnia wyższe, tajemnicze oczekiwania, i niepewności duszy głębokie mają znaczenie. Jej przypadki są przypadkami tylko dla jej niedoskonałego poznania. One nie są przypadkami. Każda dusza ma oko, które patrzy w内trz, zwrócone ku niewidzialnej nocy, fascynowane przez jedyne spojrzenie, z którego leżą się światła wszystkich gwiazd przeszłych i przyszłych. Fantastycznie uroczyste wrażenia tego oka nie uświadamiają się w duszy, w ciągu tego żywota, z całym przepływem swego bogactwa. To właśnie oko wiąże nas w jedyne bractwo widzących i wtajemniczonych. Ale tylko najzuchwalsze marzenia w biciu serca i w modlitwach świętych ośmieliły się przeczuwać. A przecież te wrażenia, dla których tysiącolecia są spotkaniem się okamgnienia z okamgnieniem, a wszystkie okamgnienia jednym okamgnieniem; dla których systemy światów są grą iskier gasnących nad płomieniami jednego ognia; kiedy niemasz miejsca na nasze bolesci i rozkosze; kiedy nie padnie ani jeden promyk z naszego słońca, aby się wnet nie rozłoż-

zył; kiedy nasze wykrzyki nie znajdują atmosfer, mogących je nieść; te wrażenia nocy, która nie jest nocą, są w istocie swej całem naszem ukrytem bogactwem. Z nich, niby odbicie, idzie ku nam niejasna a głęboka mowa instynktów, z nich drganie eteru nabiera światłości dla naszych oczu. Uświadomić sobie te zagadkowe procesy ciężkości i lekkości naszego snu, rozszerzyć skalę barwnych tonów, które zdolni jesteśmy zauważać, oswoić w naszym oku promienie przenikające niewidzialność i odsłaniające nowe obrazy podmalowane na obrazie świata, uczynić połowiczną ślepotę naszą — ekstazą kogoś patrzącego w dwie nieskończoności, związane niepoliczonemi osnowami zależności wzajemnej, — nie jest-że to marzeniem wszystkich, którzy zdołają dosłyszeć w pieśni czasu hymn przyszłych rozświty? Któż z nas nie chciałby być dość dumnym i silnym, aby domarzyć je aż do końca, w całym jego szaleństwie, bez bojaźni i bez kary? aby mózg rozpoznać w radościach naszych pragnienie wzniecone przez olbrzymi upał południa głębin? aby mózg ocenić w naszej miłości nieśmiertelność mistycznych tych wysiłków? Czyliż nie wiecie, że właśnie przeto świecą z oczu ko-chanków światła niezrodzonych i czekających? Nie zwielokrotnią-ż miłość właśnie dlatego wszystkich zmysłów, i nie daje-ż steskionym słyszeć, w milczącym uderzeniu kwiatu o kwiat, albo w wód szumie, tkliwego szeptu po-ćalunków? W noce swadziebne, które ciągną przez ziemie, cisza duszną się staje od tchu przychodzących niewidzialnych zastępów, a w błysku jednego okamgnienia, lecącego przez narody wszystkich wysp i lądów, rozświecają się marzenia niepoliczonych możliwych żywotów tylko dla tego, aby przyszłe bóle mogły otworzyć kiedyś nowe światy Poznania.

Wszystkie sztuki uwarunkowane są doświadczeniem (wrażeniami) tego drugiego wzroku. Mową pełną symbo-

łów, których każde słowo powraca z głębin stoma różnymi echami jedynej odpowiedzi, — przemawia muzyka. Z lodowych wyżyn, kiedy nie wkroczył człowiek, chyba w marzeniu, w otchłanie, z których wystąpiły nasze najzagadkowsze prawdy, padają potoki nieskończonej melodyi. W ich pałcej i rzeźwiącej razem kąpieli stają tesknoty nasze w drżącej nagości, aby powrócić z uśmiechami świezości i pychy, stawszy się na okamgnienie wszystkowiedzącemi. I radośnie rozchylone tchnieniem wiecznego słońca, czekają, z oczyma przymkniętymi sennością popołudniową, na przyjście nowych marzeń. O firmamencie szafirów nocnych, sklepiony magią tonów, wśród którego nawet milczenie gwiazd wydaje się zbyt materialnym wtórem do eterycznych podźwięków przeczuc! O długie, posepne rytm, w których drgają bolesne walki światła wśród zmroków przez całe tysiącolecia, westchnienie piersi uciśnionych zbyt wielkiem brzemieniem, którego nie zmierzono przez słabość rąk! Zbudzona dusza rzeczy przemawia w tonach; ból nabiera demonicznej wymowy w ich upojeniu. Darami obciążone poselstwa wiosen, czekające uciśzenia się mórz, natarcia niewidzialnych wichrów i długie, milczące spojrzenia jesiennych dni — znajdują wyraz dla wyjawienia swych tajemnic. Chmury stają się symbolem, zasłaniając oddale i niosąc gromy z chwilowym błyskiem światła i bliskością śmierci. Mgła nabiera nowego znaczenia, powstając z najniedostępniejszych otchłani i kwitnących ogrodów i pochłaniając zwolna jaśniejącą potęgę gwiazd dziennych i nocnych. Wszystka roślinność duszna rządzi się prawami tajemniczego heliotropizmu. Przez cały czas rozwoju swego zwraca się ku słońcu, które jest zdaniem wszelkiej energii. Każda myśl, nawet najniedzniejsza, nawet najpowszedniejsza, zdolna jest rozplotać blaskiem ośniewającym pod kierunkiem prądów wewnętrznych. Każda zdolna jest przejść przez wszystkie sztuki piękne, ze

stuleci w stulecia panować nad marmurem i obu światłami, w całej istotnej sile określając się w muzyce. — Każda sztuka jest halucynacją, wynikającą z upojeń najsubtelniejszemi rytmami eteru i krwi. Symboliczne cienie, wskazujące rankiem na zachód, a wieczorem na przyszłe świtanie, poruszają się każdej danej chwili we wszystkich sztukach pięknych w jednym kierunku, podług posuwania się dnia mistycznego i długiego słonecznego roku stuleci i dusz. Ból każdego marzenia twórczego jest wspomnieniem o głębiach, na które dusza odważyła się zbyt daleko. Nawet w uśmiechach jego polsniewają łzy niewidzialne, które czynią piękno artystyczne blizkiem najdalszym. Świadectwa wszystkich sztuk pięknych czerpane są z jednego skarbca świadectw, a ich sny są snami jednej nocy i jednego ranaka. Na wszystkie pada ze wspólnych głębin magiczne oświetlenie, pochlaniające zarysy niektórych form, aby inne spotęgowały się i wykrzyknęły fluoryzującym jaśnieniem, w którym tańczą niewidzialne promienie, przekształcone w tony barwne mniejszej kruchości, aby mogły być dla oczu ziemskich snem o nieznanem. Każde dzieło sztuki, godne tego imienia, marzy o nieśmiertelności. Nie umiera się bowiem w kraju, z którego przyszło. Z każdą sekundą, którą tam przebyło, wzmacniało się w atmosferze zgęszczonej przez ciśnienie wszystkich wysokości aż po ostatnie gwiazdy. Tam, w tych czarnych falach były kąpane owe najzuchwalsze myśli, niby we krwi czarodziejskiej, i byłyby snadź pozostały niedostępne ranom wszelkim, gdyby wichry nad niemi nie zwiały na nie wyrocznego dżdżu ziemskich kwiatów, które uczyniły kąpiel ich niezupełną.

Właśnie dla tego, że sztuka tryska ze zdrojów, w których odbijają się gwiazdy innego nieba, ostateczną sugestią każdej wielkiej sztuki jest wzmacnienie życia promieniami innego słońca, rozszerzenie i pogłębienie jego obra-

zów nowemi zdobyczami światła i tęsknoty, i pomnożenie środków porozumienia między duszami. W niej jeden wzrok głęboki zatapia się w stu wzrokach, i w długiem rozkoszniem zaiskrzeniu upajają się wszystkie jednocześnie przeczućiem jedynej Wszędyniecości. Nad stronnicą Mistrza niepoliczone niewidzialne ręce wyciągają się ku nam do uścisku. Albowiem istotną treścią sztuki jest miłość, która uczy mówić nieme usta i dodaje śmiałości zbyt niesmiałym. Jako miłość, i sztuka miuję ziemię. Nawet sztuka najspirytualistyczniejsza uznaże z wdzięcznością, że w jej świetle rozpinała skrzydła, zanim zdąła wzbić się do wyżyn, kiedy błyskawicznie unoszą ją ekstatyczne widzenia. Ziemia zostanie jej zawsze brzegiem, do którego powracać będzie ze swych wypraw. Nawet wówczas, gdy dusza wysłowią w mowie sztuki pragnienie ucieczki ze świata więdnących barw i słońc zabijających własne wiosny zbytnim ogniem swojej miłości, nawet wówczas upojenie jej dodaje jakiegoś delikatnego posmaku woniom w ogrodach różanych i zwraca uwagę na pocałunki, dzięki którym aż do nastania innego żywota stają się wonnemi krótkie chwile złudzenia. Czyliż nie olśniewa największą, najzawrotniejszą mocą ta pieśń, która miała dość odwagi, by spojrzeć w oczy swemu najzagadkowszemu losowi, i która poszła jeszcze o krok dalej, gdy ze wszystkich okien i drzwi otwartych ku głębiom nocy zakräżył nad nią mroźny wiicher, zdmuchnął dokoła niej wszystkie światła i przejął ją nawskroś, aż posiniała? Ci, co szukają kwiatów dla otrucia żywota (biedacy, którzy zamykają oczy, aby nie widzieć krwawego odblasku własnych swych wygasających ognisk), naprzóźno przychodzą do tych ogrodów. Piękność z miłością dają sobie znaki nad ich głowami, obie niewierne, sojuszniczki złudzenia, podkupione złotem słońca ziemskiego.

W stuletnich jutrzennych półmierzchach sztuki spotykają się cienie dawno minionych światów z cieniami

wyprzedzających przyszłość zdarzeń. Wszystko wielkie, co kiedykolwiek spotkało ziemię, było z góry przepowiadane przez marzenie. Droga na światło naszego słońca wiedzie przez zmierzchy przeczuć. Przed każdym dniem, szła noc z widokiem gwiazd. Ekstaza otworzyła nowe perspektywy poznania. Dzieje duszy ludzkiej w tem życiu są dziejami jej marzeń. Ale i w świecie marzeń panują prawa rządzące wszechświatem i rozwojem, prawa działające z cudowną lekkością, która drwi poprostu z każdej wagi i ciężaru.

Niemasz gleby tak wyschłej, aby nie mogła wyżywić północnej roślinności posiewów mistycznych. Niemasz duszy tak pogrązonej w mroku, aby w niej nikiedy nie zagrały barwami wrażenia drugiego wzroku. Niemasz duszy, których u schyłku ostatniego ze swych dni mogła się skarzyć, że nie widziała ziemi w żadnym innym świetle, oprócz światła naszego słońca. Nad każdym żywotem wiszą niepokojące cienie rzeczy tajemniczych. Otwalań, której widok budzi zatrzymanie dechu, zieje nieustannie po obu stronach dróg wszystkich. Każdy zna chwile niepewności kroków i owe nagle wykrzyki miłości ku nieznanemu, które z obliczem przysłoniętym spotykało nas w najsamotniejszych zmrokach duszy. O, ta ustawnicza walka niemych głosów, spierających się w samotnościach naszych o kierunek drogi, jaki wybrać należy! Oto wyrzuty jakieś zstępujące ku nam we śnie i wiodą nas w krainy, których nikt nie widział otwartymi oczyma, a które przecież poznamy; ale słowa, dochodzące tam do uszu naszych, nienie są dla każdego oprócz nas, i czekały snadź całe stulecia, zanim mogły zostać wymówione w związku tak głęboko roztęskniającym. Każde usta znają uśmiech, nawiedzający je wbrew ich woli, a wysyłany w nieznane światy na spotkanie niewidzialnych nadziei. Mistyczny uśmiech, dar ziemi i młodości, znak, że dusza zdolna jest jeszcze do

długiej drogi poznania i bólu. Zresztą, nie jest-że nawet to, co się nazywa zabobonem, niedoskonałą świadomością jakichś innych światów? A to, co się zwie chorobą, — wzburzeniem ukrytej fali głębin, wichrem, którym nie zdolamy kierować, ale który ma swoje prawa? Dusza nasza przebywa wrażenia dwóch światów. Uświadomienie zależności tych wrażeń jest tem, co nazywamy wyższem życiem dusznem. Metody, według których dusza rozszerza swą władzę w sferach materialnej i niematerialnej, są indywidualne; na tem polega osamotnienie osobistości i przyjaźń dusz. Suma światła wszystkich dusz na ziemi, w jednej danej dobie, tworzy dzień pracy mistycznej, w którym wzrastają plony przyszłości. Każda z metod, jakiemi dusze przyswajają sobie i spożytkowują bogactwa i zdobycze z obu światów, zdolna jest wytworzyć swoją sztukę. Ale z odkryć, dokonanych przez sztukę, w ciągu wieków, część zaledwie nieznaczna przechowała się w książkach i dziełach artysty. Przeważna część odchodzi z duszami, które zdołyły lub musiały marzyć zwycięstwa swe — w milczeniu.



PRZEOŁÓŻYŁ Z. P.

Otokar Brzezina.

## Nazajutrz.

*Dzień jeden tłumny, pijany, szalony —  
Orgia barw, kształtów i arabskich woni —  
Dziś pustka grobów.*

*W cztery świata strony  
Jak lotne chmury, które wicher goni —  
Jak rdzawe liście jesieni — rozwiani  
Wszyscy — mojego bytu żywa miazga —  
Ponętni, barwni, krwią serca kochani — —  
Dziś znikł ostatni.*

*Jako smolna drzazga  
W leśnym ognisku, śród wrzosów, wieczorem  
Plonie duch w ogniu czystociejszej tęsknoty —  
Ból-wąż się wije w mającącem, chorem  
Sercu — i ściska założnemi sploty.  
Samotność mglista, głucha, rozluźniona  
Wzięła mnie w swoje pajęcze ramiona  
I szeptem cichych, wieczystych pacierzy  
Do snu kolysze — cięckiego jak ołów —  
Krew ssie ściiskiem bezkrwistego łona —  
I do pogrzebnej zaprasza wieczerzy —  
Do ludnych wczoraj — dzisiaj pustych stołów.*

*Dzień jeden złoty, ciepły, rozkochany —  
Dziś znów pustynia...*

*Chodzę jak pijany*

*Jaskrawą pustką zwiedźlego ogrodu...  
Zasypiam wieczór i budzę się w nocy  
W kleszczach dziwnego, drapieżnego głodu —  
W gorączce marzeń, tesknot i niemocy —  
Z mrowiem wspomnienia w ciele drżącem jeszcze —  
Z uczuciem błogo-straszliwej drętwoty — —  
Ah! te sieroce, pogrobowe dreszcze!  
Ah! te szalone, jesienne tesknoty!*

*Pod mrokiem jodel coś jak cień ich leży.  
W powietrzu — nie wiem gdzie — dokola — wszędzie. —  
W drzewach — szeleszczą rąbki ich odzieży —  
Szmer rozmów — śmiechy i śpiewy labędzi.  
Pieni ich ogród. Wciąż po za mną kroczy  
Szelest stóp cichych w powojach murawy —  
Wszędzie te glosy — te śmiechy — te oczy —  
Barwiste plamy szat — echa zabawy...  
Zamykam oczy. Gdy się znów otworzą.  
Może przede mną z mgły wyjdą kochani —  
I na mną szyje swe głowy założą —  
I pojdu ze mną w jesień — rozśpiewani...  
Otwieram oczy... coś migła wśród krzewów!  
Ah — to wiatr rozwiał sploty białodrzewów!  
Wyteżam ucho — głos — imię swe słyszę...  
... To wiatr rozedrgał srebrnostrunną ciszę...*

*Dzień jeden w cudnych ramionach anioła —  
I znowu sama...  
Wszędzie, dookoła,  
Złotawe skrzydła i rozwiane włosy  
Szumią pieśń boskiej, przebrzmiającej rozkoszy —*

*Wssędesie te oczy — skier pełne i rosy —  
Wołaję: „Kocham! czy umiesz pamiętać?  
Czy umiesz kochać? — o, daj mi się spętać!  
Ja jestem szczęście!“*

*I ja, tak płochliwa,  
Że dość spojrzenia, ruchu, bym uciekła.  
Ja, tak trawiona gorączkami zmiany,  
Że za wruszeniem posłabym do piekła,  
Ja, kiedy kocham, — taka nieszczęśliwa,  
Tak przepojona szalejami bytu —  
Szepiąca codzienną modlitwy przesytu.  
Daje się pętać dziś — widmu postaci,  
Która noc zmoże, a jutro zatraci.*

*Jutro — ah, jutro przepisane, swobodne,  
Już nęci oczy rozeszerzone łzami —  
Już kusi serce, pełne a wciąż głodne.  
Jutro — jak orzeł nadziei — już z rana,  
Nim wszędzie słonice różowemi mgłami,  
Frunę — gdzieś błyszczy ziemia obiecana.  
Jutro szal nowy — jutro pościg nowy  
Po róże szczęścia i wieniec dębowy...*

*Lecz dziś, nim północ na gwiasdach uderzy,  
Nim smartwychwstałych marzeń dzień zadzwoni —  
Duch mój do cieniów przeszłości należy —  
Do drżących odbić — do niknących woni.  
Jedwabne dłonie mój włos jeszcze pieszczą  
I skrydła złote wokół szeleszczą...*

*Lecz dziś — ah, tyle liści zwiedłych w wietrze —  
Takim drząc chłodem ołowiane stawy —  
Tak błędnie sine, zamglone powietrze —  
Tak opuszczone ogrodowe ławy —*

*Niebo od wody ciemniejsze i bledsze —  
I na zachodzie blask ponuro-krwawy —  
I złote astry gdy je dotknąć dlonią.  
Sypię się, zwiedle, i deszcz płatków ronią.*

*Ach! dziś mnie objął — struł smutek natury —  
Chłód śmierci płynie w każdej mojej zyle —  
Z ziemi spojonej wilgocią — z purpury  
Zimnego słońca — z krzewu, gdzie motyle  
W wielkim kielichu śnieżystej datury,  
Zabite wonią, legły w złotym pyle.*

*Daturo wspomnien! Kielichu czarownny  
Śmiertelnie wonnej, dręczącej tesknoty!  
Znużony motyl — w żałości bezmownej —  
Leże w srebrzystym cieniu twoj korony --  
W sercu płaczącej dyamentami groty —  
I ginę, wonią trucizn upojony.*



Marya Komornicka.

**Minotaur.**



*Śniłem sen dziwny:  
żesiny klęczeli oboje w kościole zimroczu lip —  
a z rozsrebrzonych ołtarzy  
sypał się kwiat — anielskich pełen twarzy —  
a pszczoły się skupiąją wśród gałęzi w roje.*

*I klęczeliśmy przed sobą oboje —  
i usta nasze spoily się łzami —  
i nie było już świata przed nami —  
i tylko jedna świętość — serce Twoje.*

*Ponad borami  
krwawiło się zorze  
i słychać szum:  
tak chrzeszczą zbroje,  
lub do księżyca wzbierające morze —  
a my słuchając klęczymy oboje.*

*Potem — uniósłszy mą dloni —  
z licem płomieniem Aryadny —  
grobów zamkniętych rozwarłaś podwoje,  
a w głębi huczał Ten, co mrokiem władny,  
i pod kopyta zabrał serc oboje.*

*I po wykutej z bronzu wężownicy,  
przez gąszcza maków i modre powoje —  
— — ciała nam złocił blask różanolicy — :  
to księżyc, —  
wschodząc żegnał nas oboje.*

*I już na wieki — w kolumnowej sali —  
pojrzalem w morskie lśniące  
oczy Twoje.*

*Jakby mię w grobie ziemią osypali,  
uczułem wiew, co gasił serc oboje.*

*Ale się jeszcze rozlichto zarzewiem  
osamotnione w głębiach serce moje —  
jeziora czarnym okryte modrzewicem,  
nad wulkanami węzłów krwawych zwoje.*

*Wir mię unosił do skalistej grotty,  
gdzie króle w złotych maskach i heroje —  
przez otwór w ścianie widzę gwiazd obroty —  
wtem błyska żrenic fosforycznych dwoje.*

*A były drżące, jak noc przed obłędem —  
wicher w nich szalał, gnicw i niepokoje —*

*— — —  
wbilem miecz z rozpędem —  
miedziana piekła piers —  
on błogosławiał krwią swą  
nas oboje.*

— *Ja*  
— *duchy z głębin mroku*  
— *wywiodłem, biorąc ból i wieczne snoje.*  
— *Z gwiazd niedosiężnych —*  
— *umieram — wyroku,*  
— *aby rozpalić męką serc oboje.*

*Nad pustym błędzeg brzegiem Acheronu,  
gdzie z peknięć płyną  
law czerwone zdroje.  
I gwiazdom śpiewam hymn,  
podobny dzwonu.  
A w dzwon ten bije śmierć.  
Znów nas oboje —  
ja —  
i Śmierć.*

Tadeusz Miciński.

## Pogoda jesienna.



*To, przed czem drzało mego serca bicie  
I co musiało stać się, dziś się stało...*

*Ogrodu mego gestwą onicmiała  
Żegnając dłonią drzewa, przeszło życie  
Z spojrzeniem smutnym, w którym łzy się  
mienia...  
I dusza moja stała się jesienią...*

*O, nieme głębie mojego ogrodu!  
O, jakże ciemna pożegnania łza!*

*Jak krąg mlecznego, matowego szkła,  
Przez który świeci mdło złotawy płomień,  
Słońce bladego spóźnionego wschodu  
Rozwlocza śpiący i oslepły promień.*

*Krzykliwy blask, co w lata kwitł godzinach,  
 Przycichły w stłumiony szept drżącego mroku,  
 Kryjąc się w parku omierzchłych szczelinach...*

*O, łzy piekające w żegnającym oku!  
 O, drżenie bładych rąk w żegnaniu głuchem!*

*Samotny, cichy staw mego ogrodu.  
 Uśpiony swoim leniwym bezruchem,  
 Spłowiały blaski chlonie w zimne łono.  
 Smętny, łkający tą myślą znużoną,  
 Że nic nie może im dać oprócz chłodu...*

*Na wodzie chwieją się zwolna, bezwładnie,  
 Zmarzłych szuarów długie, wiotkie kity...  
 Na brzegu nagie zwiędłych róż okwity  
 Patrząc, jak błękit sinym chłodem bładnie  
 I jak się — w zwiędle oglądając ogrody —  
 Uśmiecha myślą ostatnią pogody...*

*O, łzy gryzące w żegnającym oku!  
 Liście pozołkowych drzew drżą i dygocą.  
 Jak pocałunków szukające w mroku  
 Usta dyszące, roztęsknione nocą...*

*Kielichy późnych kwiatów, nieprzytomne  
 Omdleniem, patrząc bezmyślnie w ogromne  
 Zwierciadło stawu martwe blaskiem stali...*

*W srebrnym oparze błękitnej oddali  
 Na nieboskłonicie blizkie już przymrozki  
 Drzemią... W powietrzu łkają kwiatów troski  
 Strwożone chłodną zapowiedzią szronu...*

*Gniew zimy drzemie w groźbie nieboskłonu  
I lękiem trwogi żółknie blask zieleni...  
A przed czem bicie mego serca drżało  
I co musiało stać się, dzisiaj stało...*

*Otruty chorą niemocą jesieni,  
Ogród mój kona w metnym blasku wschodu...*

*O, że się dusza ma pogodna, biała,  
Jesienią chłodną, chorą stać musiała,  
Rozkazem śmierci dla swego ogrodu...*

Leopold Staff.

## **Jesienną nocą**

*O, przyjdź ty do mnie — bom dzienie samotna.  
Noc się nade mną rozckała słońca,  
I dzienie jestem w tej nocy samotna...*

*Strugami deszczu mży mgielna szaruga.  
Noc, pełna cieni, wystygła i długa,*

*Przedzgonnych psalmów snując hymn pokutny,  
Łka w strunach deszczu w rytm niezmiernie smutny.  
W mgłach odretwiających łka swój hymn pokutny.*

*I jak wid śmierci leci mi nad głową  
Ta noc rozgrana ulewą deszczową...*

*Wiec przyjdź ty do mnie — przyjdź w tą ciszę mroczną.  
A oczy moje przy tobie odpoczną.  
Oczy, zasnute mgieł oponą mroczną.*

*I wzleć w jasne oczu twoich głębie  
Jako stęsknione za światłem gołębie...*

*I spiję niebo z gwiazd złotemi ćwieki,  
I przymknę pjane rozkoszą powieki...*

*Wypiwszy niebo z gwiazd złotemi ćwieki.*



Kazimiera Zawistowska.

## **Wicher rozpętany.**

*Nikt nie zgadnie, jak i kiedy przyszedł na ten świat.  
Czy po falach księżycowych z gwiazd na ziemię spadł,  
Czy się podniósł z bagien leśnych i zmurszałych den,  
Gdzie na wodnych traw podłożu zmógt go dlugi sen.  
Czy go zrodził bór, co nocą w czarnych glebiach huczy,  
Czy ten ugór martwy, siny, gdzie się Rozpacz włoczy.*

*Przypadł cicho w trawy śpiące i jak martwy legt,  
Objął w uścisk boru mroczny skamieniały brzeg,  
Las drgnął lekko, tak, jak człowiek zduszony ze snu,  
Kilka liści spadło zwolnia na podłożec mchu,  
Szmer poleciał w góre — w góre — ponad mroczną tonią  
Słychać w ciszy szelест skrzydeł i gwiazdy gdzieś dzwonią.*

*I rozbudził naprzód tłumnie wszystkie trawy ląk.  
Fala kłosów kolysanych rozlewa się w krąg,  
Coraz dalej, coraz szerszej płynie szmerów chór,  
Aż uderza huczą falą o uspiony bór.  
Pochwyciły hasło wiatru dęby, sosny, jodły,  
Las i ląka wzniósły w niebo przedwieczorne modły.*

*A szumże mi — szum — melodyo przebudzonych drzew,  
 Chłone w siebie niby w muszle ten roześmiany śpiew.  
 Jakiś dech rozpiera piersi — hen w gwiaździsty tan  
 Rzucam myśli, dźwięki, szepty w rozhukany tan,  
 I pieśń śpiewam — taką górną, wielką, niepojętą...  
 Czuwaj duszo! już się zbliża tajemnicze święto.*

*Wicher porwał się jak wściekły z wąwozów i traw,  
 Wzburzył do dna i zamocił śpiący leśny staw,  
 Rozbił brudną smugę wody o skalisty zrąb  
 I jak kula wpadł zmienacka w ciemną boru głęb'.  
 Cicho... cicho... jakieś drganie po drzewach się włóczy.  
 Tylko w glebi coś się klebi, przewala i huczy.*

*Wypadł z gąseczy tak mocny, potężny i zły,  
 Strącił z włosów rozwichrzonych gałęzie i mchy.  
 Otarł cielsko o murawę, wypresył się, wróst  
 I pochwycił w obręcz wirów kepe białych braos.  
 Hej, deszcz liści wątłych, srebrnych, z wiatrem leci... leci...  
 „Zmiluj, zmiluj się nad nami,” szeplią jak dzieci.*

*Potem wstrząsnął wierzby chore, zdarł gałęzi pek.  
 W prochnie drzewa wstaje cicho jakiś szklany jek.  
 Prety tłuką się o siebie, szara kora drzy,  
 A po liściach spływa woda niby brudne łzy.  
 Drzewa wiją się i jęczą w besiadziejnej walce  
 I do nieba wyciągają pokurczone palce.*

*Duszo! duszo! skądże w tobie taka wielka moc,  
 Żeś zbudziła wiatr uśpiony w tę przeklętą noc,  
 Ze się podniósł z bagien leśnych i smurszałych den,  
 Gdzie na wodnych traw podłożu zmógl go długi sen,  
 Ze go zrodził bór, co nocą w tajnych glebiach huczy,  
 I ten ugór martwy, siny, gdzie się Rospacz włóczy.*

*Hej, grajcie mi, moce ziemi — bom wielki — bom Pan!  
 Cisne gwiazdy płomieniste w rozhukany tan,  
 Będę pieścił słuch łoskotem spadających brył.  
 Cały w oczach płomienisty od nadmiaru sił,  
 I zaśpiewam pieśń ogromną, górną, niepojętą:  
 Duszo! duszo! wielkie święto! — tajemnicze święto!..*

. . . . .

*Nikt nie zgadnie, jak i kiedy zamartł po nim ślad,  
 Czy po falach księżycowych hen na gwiazdy spadł,  
 Czy powrócił do uroczysk i zmurszałych den,  
 Gdzie na wodnych traw podłożu zmógl go cieki sen,  
 Czy go wchłonął bór, co nocą w czarnych głębiach huczy,  
 Czy ten ugór martwy, siny, gdzie się Rospacz włóczy.*



Henryk Zbierzchowski.

## **Przebudzenie.**

*Wstrzymaj się, śmierci! — Nie dotykaj jeszcze  
Sinimi usły młodych moich oczu.*

*Patrz, wiosna idzie... Ciepłe spadły deszcze,  
Ziemia poczuła płód... W ciemnym warkoczu  
Nocy rozkwitły gwiazd patrzące kwiaty. —  
Wieczór w łagodne stroi się szkarłaty.  
A złotoskrzydły ranek lekki, młody,  
Ciche obiega pola i ogrody. —*

*Wstrzymaj się, śmierci! — Znam gościniec bity  
Do twoego zamku. — Odejdź, — nie zabłędzę. —  
Wszak ja na czole mam twój znak wyryty...  
Straże poznają i tajne wrzeciądze  
Bram twoich same przede mną podniosą.  
Ty niepamięci okropisz mnie rosą.  
Jak dzwon umilknię wieczornym, daleki.  
Lecz nie dotykaj teraz mej powieki.*

*Jak pąk kasztana od słońca nabrzmiały,  
 Serce mi wzbiera i liść pragnien świeży  
 Wyłania z wnętrza. I znów, rycerz śmiały.  
 Chorągiew wiary wbijam na rubieże  
 Marzeń i życia, i snownu słonecznej  
 Młodości śpiewam pieśń, jak wiosna wieczna. —  
 Znów zdaje mi się, że na czoło blade  
 Niewolnikówowi - światu rękę kładę. —*

*Witaj mi, morze życia! — Łódź gotowa —  
 Wiatr żaglom piersi podnosi dziewczę —  
 Witaj, przestrzeni bezdrożna, echa! —  
 Witaj, młodziencze słońce! — Tajemnicze  
 Zielone wyspy widzę duszy okiem,  
 Pod białopiórym drzemiące obłokiem.  
 Wabią mnie gajów śpiewająca cisza.  
 Znam je... Dosięgne... Wołam... Już mnie słysza. —*

*O mocy, która mrące budziła duchy  
 I serca pragnien zapalała pożarem,  
 Bądź pochwalona! — Nie znam cię, — lecz suchy  
 Traw zwiedlonych szelést milknie pod twym cesarem. —  
 Nie znam cię, — ale widzę purpurową  
 Zorę nadziei nad snuzoną głową.  
 Csuje idące burze i ramiona  
 Wyciągam do nich... Bądź mi pochwalona!*

*Kto żył, kto duszę jak tarczę miał sklutą  
 Żądłami lichych strzał; kto się w zaduchu  
 Ludzkiej świętymi dusił; kto zatrutą  
 Pił wodę życia, szarpiąc się w łańcuchu  
 Pospolitości; komu się w bezsenne  
 Noce jawili widma bezimienne*

*Z pękami kwiatów, w dzwonnym skrzydeł szumie,  
Rycerski głosząc hymn, — ten mnie rozumie.*

*Znowu je widzę. Jako płomieniste  
Sokoły, lecą długim korowodem,  
Głoś bujny, dźwięczny w powietrzu przeszyste  
Tryska im z piersi. Godowym  
[obchodem  
Ziemia je wita. — Kołyszą  
[się bory;  
Góry, milczące garbate  
[potwory,  
W tan idą; równin falują  
[bezdroża;  
Z mglistych legowisk podnoszą  
[się morza.  
  
Glob drży. — Kratery wulkanów  
[nów oslepłych  
Naraz przejrzały i ogniem  
[buchają. —  
Rzeki runęły z gór. Lodowców  
[skrzepłych  
Lśniące pancerze gasną  
[i pękają.  
Świat ożył! — Słyszysz, śmierci? — W mojej duszy,  
Gdy ją nieznana moc jak  
[wicher ruszy,  
Świat cały żyje i twojej  
[otchłani  
Urąga, straszna ty, milcząca  
[pani!*



Marjan Zbrowski.

## Chwała Lutterathu.

Oto, od nastania Adwentu, chyba po siódmy raz już zakrystyian limburskiej osady Geleen wsadza do pieca gromadzkiego chlebek żytni, zwany *korsbrood*.

Wielokrotnie przegniatany doświadczonemi rękoma zakrystyana, chlebek ten stał się twardy jak krążek z metalu. To też po ostatnim wypieku, w wilię Bożego Narodzenia, piekarz, dumny ze swego dzieła, zawałał: „Korsbrood, mały chlebie odpustny, w inne ci się teraz dostać ręce!

Zaś w drugie święto, po nieszporach, dorosli chłopcy z Geleenu i z okolicy, zebrawszy się przed kratą cmentarza na placu kościelnym, będą się ubiegali o korsbrood.

Zwycięży ten, kto zdoła go pochwycić i, trzymając go w ręku wysoko nad głową, zawałać: „Mój ci jest! — Poczem strumienie jałowówinki, piwa chmielowego i jabłecznika zaleją, niby dla zmiękczenia twardego żytniego chleba, grdyki zwycięzcy i jego towarzyszy. —

Tryumfalny ich orszak przebiegnie całą wieś, króla podejmą wszędzie suto, dorodne kumoszki napoja go najsmakowitszym trunkiem.

A zaszczyty to nie na jeden dzień: zwycięzka parafia przez rok cały będzie trzymała prym nad innymi w zabawach i grach gromadnych. — Jej to bractwa poniosą na procesyach Bożego Ciała baldachim nad Najświętszym Sakramentem. Wszędzie, nawet w kościele, król zajmie pierwsze miejsce — i dopóki zręczniejszy lub silniejszy zapaśnik nie zdola mu wydrzeć korsbroodu, — młodzież okoliczna będzie w nim widziała zwycięzce, a rodzinna jego gmina zamieni się w rzeczywistą stolicę powiatu.

Mniej tu nawet chodzi o zwycięstwo osobiste, niż o znaczenie całej wsi. Ścisła solidarność łączy młokosów jednej parafii: główną rzeczą jest, by zwycięzca był jeden z ich liczby.

Tego roku zapaśnicy podzielili się na trzy obozy: pierwszy, złotony z Geleenu i przynależnej wioski Geleen-Saint-Jean; drugi — z chłopców Krawinkelu i Neerbecku; i trzeci — z młodzieży przybyłej dla podtrzymywania chwały Lutterathu. — Stronnictwa te rozproszyły się w tle mie grupami po czterech, pięciu, najwyższej sześciu graczy, gotowych wzajemnie przyjść sobie z pomocą.

Na długo przed rozpoczęciem walki, tysiące ciekawych zaludniło Geleen. Zajazdy i karczmy przepełnione podróżnymi. Żadna pielgrzymka nie zgromadziłaby tylu wiernych.

Ponieważ za arenę służy plac główny z sąsiadującymi ulicami, przeto widzowie tłoczą się na cmentarzu. We wszystkich oknach ukazują się ładne twarze wieśniaczek. — Starzy ani myślą wzgardzić widokiem zabawy, tak bardzo przypominającej im piękne lata miłosnych lub zuchwałych bohaterstw. — Nawet inwalidzi i paralitycy

przytrzęsli się z odległości nieraz kilkomilowych na widownię tych epicznych zapasów.

A małe smyki, w niecierpliwem oczekiwaniu dorosnięcia, które im pozwoli wziąć czynny udział w grze, — poczepiały się gałęzi rosnących na placu wiązów, niby grona bajecznych owoców. Inni okroczyli mury ogrodowe, inni jeszcze obramowali swe pucołowane twarze w okna poddasza. — Pełno ich wzdłuż dachów, z nogami zwieszonemi w próżnię. — Najzuchwalszy, drwiąc z zawrota głowy i możliwego złamania karku, wdarł się na sam szczyt wieży i siadł okrakiem na złotego koguta.

Na balkonie *Wielkiego Łabędsia*, pierwszorzędnej i najdogodniej położonej gospody, — zasiada jasnowłosa Iza, jedyna spadkobierczyni Borlincka, przebogatego dzierzawcy z Lutterathu.

Przed ożenkiem i nabraniem brzucha, — Borlinck długo panował był nad okolicą jako król korsbroodu. — I po nim jeszcze nie zbladła chwała Lutterathu. Inni młodzi stali się jego niezwalczonymi rycerzami. Geleen i Krawinkel nie mogły odnieść ani jednego zwycięstwa. — Lecz niemasz już zwycięzcy korsbroodu w Lutterathcie, odkąd żołnierz Alm Vogelsang musiał uciec z kraju, pod grozą rozstrzelania, za zabicie podoficera, który go przesładował.

Zamiast chwały chleba odpustnego, zbieg, doskonały robotnik, zarabia we Francji na gorzki chleb wygnania!

I teraz oto, za każdym razem, wieniec bierze Frans, ten wielki pół-slepiec z Krawinkelu. — Młodzi z Lutterathu nie wiedzą, czemu przypisać swoje nieszczęście. — Alm był mocny jak Goliat, — lecz brat jego, Willem, wart go chyba. Zresztą, w braku Vogelsangów, — Lutterath posiada całą zgraję tępich parobasów, niemniej zwawych i zuchwałych od najlepszych rywali z innych parafii, — od tych

wszystkich fanfaronów, którzy na nich patrzą jak na zwydrodnialców i niewieściuchów.

O wściekłości! I dziś jeszcze, gdy zapaśnicy z Lutterathu ukazali się w zwartym szyku, — czyż nie słyszał Willem ze swoimi, jak ludzie z Krawinkelu wyszydzali ich i szeptali sobie, trącając się łokciami: „Patrzcież na tych zuchów, — powiedziałby kto, że już trzymają korsbrood! a przecie i tym razem wróćą do domu jak niepyszni. — Czemuż nie ustąpią miejsca swym dziewczkom? Może dzielność Lutterathu przeszła z portek na spodnie!“

Srom tej stałej porażki padły na całą wieś. — Krasawice rumienią się za swych zalotników. Siostry wypierają się braci, ojcowie powątpiewają o własnej krwi. Wszystkie serca pali tak pożerające pragnienie zemsty, że, dla pobudzenia mających walczyć o honor Lutterathu, Borlinck, fanatyk korsbroodu, — przysiągł, iż zwycięzca dostanie jego córkę, choćby zwyciężca miał być raz jeszcze Frans, brzydki pół-slepiec z Krawinkelu.

Uczynił ten ślub mimo lez Izzy, która oddawna kocha Willema Vogelsanga, brata Alma wygnanica, — Wilhelma, najpiękniejszego mołojca Lutterathu, tak jak ona sama jest jego najczarowniejszą dziewczycą.

Zdaniem ogólnem młodzieży, Willem przewyższa wszystkich swych towarzyszy siłą i zręcznością. Każdy żywi przekonanie, że on jeden zdola zażegnać złe losy, rzucone na Lutterath, i przywrócić dawny urok jego dumnej i bujnej młodzieży.

„Niech więc Willem korzysta ze sposobności, by sprostać pochlebnej opinii tych dzielnych chłopaków!“ — odparł Borlinck córce, gdy go błagała o cofnięcie niebezpiecznego postanowienia. — „Niechże się twój Willem okaze ciebie godnym! — A nie uda mu się — to cię straci, i zślubisz zwyciężce, — tak, choćby był szpetny jak sam dyabel!“

Willem zna nieubłagany upór ojca swej ukochanej. Willem także uczynił ślub: — zwycięży, albo zostanie na placu. — Zawiadomił nawet o tej złowrogiej alternatywie Alma, swego brata i najlepszego powiernika.

A teraz oto, z kwiatem młodzieży, zajął posterunek przy wejściu do cmentarza. — Opodal stanął, dumny aż do arogancji, Frans Jednooki, wódz Krawinkelu, — spadkobierca zacnego Alma. — A dalej jeszcze, niemniej pyszny i nadęty, paradyuje Jef, nadzieja Geleenu. — Chodzi teraz o to, aby przeciwnik, zręcznym ruchem, nie złapał w powietrzu korsbroodu ciśniętego na plac — i nie dochrapiał się od pierwszego rzutu korony, do której dyszą wszystkie stronnictwa.

Willem wysyła poraz ostatni oczy na balkon *Wielkiego Łabędzia*, gdzie rozpoznał ukochaną. — Ona nie odrywa od niego pełnych ognia żrenic. Ruchem głowy dodaje mu odwagi. — Dusze ich po przez przestrzeń przysiegały sobie spójnię wieczystą, wbrew przeszkodom, cokolwiekby zajść miało. — Willem dźwignąłby teraz skały, stawił czoło całym zastępom.

Baczność! — Wrzawa nagle ucicha. Na zegarze kościelnym bije czwarta. — Otwierają się boczne drzwi chóru i na progu zjawia się zakrystyan. — Chłopcy wrosły w ziemię, z pięściami na biodrach, i wszyscy wbili w jeden cel, w rękę ukazującą korsbrood, spojrzenia bardziej gorączkowe, bardziej palące, niż piec, w którym go pieczono. — Niemniejsze natężenie panuje wśród widzów. Ostatni dźwięk godziny przebrzmiał w płynnym, drgającym, mroźnym powietrzu, — i żaden szmer już go nie potrąca. — A teraz tłum zakołysał się — pchnął naprzód — i wybuchnął przeciągłą wrzawą okrzyku: „Korsbrood! Korsbrood!“

Tradycyjonalny bochen, puszczyony z głównych drzwi kościoła, toczy się z odskokami wązką brózda, mię-

dzy podwójnym murem zapaśników. Stojący w pierwszych rzędach pochylili się wszyscy razem: grzbietu falują gwałtownie, setki rąk pograżają się ku ziemi dla schwycenia krążka w przelocie. Ktoś z druhow Willema złapał go nawet — lecz mimo szybkości tego ruchu, nie uszedł czujności współzawodników, — i zanim zdążył wyprostować się i podnieść ku piersiom ręce, już go od towarzyszy oddzieliło ze trzydziestu przeciwników, już go ściąskają aż do zduszenia, czepiącą się jego odzieży, zawieszają mu się u rąk i nóg całym ciężarem, gotowi go w sztuki rozerwać, gną go do ziemi, nakrywają całkowicie masą stłoczoną. — Biedak parska i stęka, lecz nie puszcza łupu, wytrzymuje atak, aż mu odsiecz nadaje. — Willem, rozhukaną gwałtownością szturmu na razie odrzucony od walki, przedzierza się teraz pierwszy aż do swego sprzymierzeńca, — rzuca się w zamęt jak dziki zwierz, toruje sobie drogę bokami, łokciem, kolanem, nawet głową, — wywraca na prawo, na lewo, — zrobionym w ten sposób wyłomem pociąga towarzyszy, — i przy ich pomocy oswobadza przyjaciela, który wsuwa korsbrood w garść innemu koledze; — i przeciw temu teraz zwraca się wściekłość sfory współzawodników.

Taki początek zapowiada zajadlejszą niż zwykle walkę.

Zdawałoby się, że wszyscy biorący udział w tych zapasach związali się tym samym co Willem ślubem, — i że, obok korsbroodu, postawili własne życie jako niesłychaną stawkę gry.

Wedle zwyczaju, wodzowie oszczędzają się z początku i czekają, by wejść w ogień, aż jeden z nich trzech chwyci korsbrood.

Ktoż zliczy ręce, przez które przechodzi fant nad wszystko upragniony! — A jednak — jakkolwiek wielką jest sprawność i energia chwilowych posiadaczy, —

żadnemu nie udaje się wypełnić warunków, rozstrzygających o zwycięstwie.

Korsbrood długo pozostał w obozie Lutterathu, — potem przeszedł do Geleenu, — znów się zwrócił do Lutterathu, teraz wpadł w moc Krawinkelu.

A w ślad za temi zmianami, głusząc gwar, wybuchają hasła: „Górą Geleen! — Górami Krawinkel! Górami Lutterath!“

Willem spostrzegł, że nadeszła chwila stanowcza — i zanim Frans Jednooki zdążył przyjść sprzymierzeńcom z obroną, — wydziera łup chłopcom z Krawinkelu.

Teraz zatem zmierzą się dwaj wodzowie. — Wkoło nich kupią się ich stronnictwa. — Lutterathczycy dobywają wszystkich sił, by odsunąć strasznego Fransa; — młodzi z Krawinkelu, przeciwnie, dokładają wszelkich starań, by swemu dowódczycy stworzyć swobodę ruchów i możliwość gnębienia posiadacza korsbrodu. — Frans wyczerpuje przeciw Willemowi cały arsenał podstępów i manewrów, dozwolonych przez prawidła gry.

**Wzruszenie wzrasta.** Serca widzów się nie rozkurczą aż z końcem walki. — Zajęcie skupiło się na Lutterathcie i Krawinkelu; wszyscy przeczuwają, że partyę rozegrają te dwie parafie, a raczej ich wodzowie: Willem Vogelsang i Frans Jednooki. — Geleen sprawia się coraz słabiej i wreszcie poprzestaje na dręczeniu strony bardziej uprzywilejowanej.

Zbliża się okres krytyczny. — Widzowie przewidują z nieokreślona zgrozą, że, jakkolwiek denerwujące były dotychczasowe kolejce walki, — to jednak dopiero teraz, między Willemem i Fransem, przyjdzie do bezlitońskiego starcia, do prawdziwie śmiertelnego pojedynku.

Zamęt jest tak wielki, że obie armie zdają się tworzyć jeden tylko splot, coraz gęstszy, — jedną mrowiącą się masą, galwanizowaną przez dwa sprzeczne prądy i miotaną niemi z jednego końca areną na drugi.

Zaledwie wysiłek towarzyszy Willèma cisnął wściekłą dłuszczą w stronę cmentarza, — gdy wnet prąd przeciwny sił Fransa, gwałtownym nawrotem, gna tę burzę ludzką aż pod balkon Wielkiego Łabędzia. — Tak biją tarany w szańce miast oblężonych. — Domy chwieją się w posadach. Słychać trzeszczenie kości, prawie gruchotanych o mury. Odzież rwie się w strzępy, skóra z rąk i kolan starta. — Teraz ruch skośny. — Miejsca orkanowi! — Drogę zagrada drzewo. — Już leży na ziemi. Dzieci, które je obsiadły, nie zdążyły się jeszcze podnieść, — gdy tamci już przeszli, już są daleko. — Dadzą sobie również radę z ogrodzeniem, zamykając róg placu? — Piekielny hałas głośniejszy wrzawę nieprzerwanych krzyków. — Pod naciskiem tłumu walą się wrota. — Buch! leżą na ziemi, i dwa murowane słupy koło niej. Cud prawdziwy, że nie zmiażdżyły nikogo z tych szaleńców.

A oni ani myślą przerywać gry. Komu się dostanie korsbrood? — To ich myśl jedyna. — Bacznosć! W podwórzu stawek zamarznięty. — Doskonale! pchają się wszyscy na lód. — Trzask! Lód pęka pod tłumem. Chlapią się teraz w mule po kolana. Zaledwie o tem wiedzą i wykazują z wody ociekający, potłuczeni, ranni, — lecz uwaga ich ani na chwilę nie oderwała się od celu tej walki zjadłej.

Nic ich nie pohamuje: niech się osada pali, dzwony biją na trwogę, krąg płomieni ich otoczy! — nie zatroszczą się o to, co najwyżej ujrzą w pożarze nowego przeciwnika, któremu wydrzeć przyjdzie korsbrood z ognistego uścisku.

Po to się tylko wygrzebali z bagna, by na nowo wić się i szaleć po placu,—a tak się ze sobą zwarli, jak by byli zrosnęci, stopieni w jedno.

Trwoga widzów na widok ich pogräżenia w kałuży i pod gruzami bramy była chwilowa tylko, — i teraz, gdy

wracają niezmordowani, całem jestestwem oddani grze,— witają ich zewsząd pobudzające okrzyki: Ah, prawdziwie, królewskie to święto korsbroodu!

Z ich zmoczonych ubrań, z ich oddechów i zgrzanych ciał bucha w lodowatość powietrza tuman szary. — Mimo mróz siarczasty, dyszą i pocą się jak w zniwa, — strzępy ubrań przylgnęły szczerle do ciał i modelują ich pyszną muskularność. — Większość, drwiąc ze zdradzieckości chłodu, odwinęła rękawy, obnażyła karki, zakasała spodnie za łydki — i dla większej zwinności biega boso.

Górą Geleen! — krzyczą jeszcze niektórzy. — Góra Krawinkel! — ryczy Frans Jednooki. — Góra Lutterath! — wołają sprzymierzeńcy Willema.

W końcu jednak, tak są pomordowani, że wydają już tylko nieartykułowane głosy, podobne do skarg i jęków męczeńskich, — a konwulsyjne dyszenie tego tysiąca piersi przechodzi w rzęźenie, — kurczące nawet gardła widzów bezczynnych.

W ślad za ruchami tłuszczy, nad pobojowiskiem, unosi się chmura pary coraz gęstsza, — i jeżeli, w promieniu dwumilowym, jest jaka dusza żywa, nieprzybyła do Geleenu, — to meteor ten jej wskazuje, iż walka zbliża się do rozstrzygającego okresu, do zenitu. — Obłok ten przybiera barwę to rudą, to siną, robi wrażenie szerści kociej pełnej błyskawic, — a woń szczególna, którą wyłania, wywołuje obraz gimnazyów, sal fechtunkowych i lóż gladytorskich.

Mgła coraz gęstnieje, aż wreszcie zamącą widzom oblicza walczących i zasłania ich całkowicie. — Tu i ówdzie zjawiają się ułamkami ciała atletycznie wygięte; wynurzają się głowy, niby pływaków, dobywających się na wierzch fali.

Tuman elektryczny rozdziera się na chwilę i w niesłychanym splocie, w samem sercu zawieruchy, Iza rozpoznaje swego oblubieńca, swego rycerza, Willema Vogelsanga.

Willem, a z nim Lutterath, wciąż góra. — Mimo wszystkie podstęp i mądre działania Jednookiego, — Willem trzyma wciąż jeszcze drogocenną stawkę gry.

O bohaterstwie szlachetnego chłopca świadczy stan, do jakiego doprowadzili go ci barbarzyńcy: ubłocona odzież w strzępach, krew cieknie mu nosem i ustami, jakby wyszedł ze zbójeczkiej zasadzki.

Najgorszem jest to, że w zapaśnikach podwaja się zajadłość, a biedny Willem goni resztą sił. — Iza nie ludzi się ani chwili: wyraz najwyższej rozpaczy ogarnia jego twarz, która mieni się bezustanku, okropny uśmiech kurczy mu usta.

Oczy kochanków spotkały się i dziewczyna zrozumiała, że wszystko stracone.

Willem w żaden sposób nie zdoła wznieść ponad głową chleba zwycięstwa. Lada chwila wypuści go z palców — lecz z tą samą chwilą bohaterskie dziecko wyzioenie ducha. — I w tej ostateczności oczekwał już tylko pożegnalnego spojrzenia ukochanej, — spojrzenia, które mu powie, że spełniał swą powinność aż do końca i że mimo klęski godzien jest jej miłości.

Iza zwraca się do baes'a Borlincka.

— Ojcze, przez miłość dla mnie, krzyknij Willemowi, że dajesz mu córkę. — Czyż mało się pokazał? — Nie żądaj więcej. — Patrz, godzinę przeszło broni się całej tej dzicy. — Czy znalazłbyś méniejszego? — Zamordują go. — Czy tego chcesz? — ojcze, słyszysz? mówię ci, on kona!

Borlinck, urzeczony walką, upojony widokiem tej rzezi, odtrąca gburowato natrętną, która przerywa mu bezlitosną ekstazę.

— Jedno mam tylko słowo: albo wieniec i ślub — albo figa.

— Ale on zanadto przejął się twemi słowami, ojcze;

on nie wie, że żartowałeś, i raczej da, się zabić niż puści ten przeklęty suchar!

— Tem dlań gorzej! urodzą się inni, co go będą warci.

— Łaski, ojcze! Łaski dla Willema. Nie przeżyję go, przysięgam ci!

Tarza się u nóg okrutnego widza, obiera mu ręce łzami.

— Wieniec i ślub — albo figa! — mruczy opryskliwie, bez spojrzenia dla córki, nie odrywając oczu od walki, napawając się ostatnimi konwulsjami dramatu.

Zresztą, w całym tłumie widzów panuje ta sama naprężona uwaga, — to samo drganie ostrej i przeszywającej roskoszy bliskiego rozwiązania. Nikt nie zważa na błagania Izy. Nie słyszą jej — nie widzą nawet, gdy, zerwawszy się nagle, wychyla się za balkon i wyciąga do tłuszczego ramiona z zakłeciem:

— Stójcie! Stójcie!

Trzecie wołanie zamarło w jej gardle, — bo oto zauważ wypiera śmiertelną trwogę. — Jakież niespodziane zdarzenie, jakiż żywioł nieprzewidziany przybywa zakończyć walkę wbrew domniemanemu epilogowi? — Na rozdzierające wołanie Izy, odpowiada oniemały od godziny, — jak dźwięk rogu zwycięzki, okrzyk bojowy: „Góra, Lutterath! — Chwała Lutterathowi!“

Patrzcie! bez przerwy głosząc to hasło tryumfu, zjawia się niezauważony dotąd przez nikogo, wysoki, barzysty mężczyzna z kruczemi włosami i brodą, — i poprzez zbalwanioną falę rozhukanych ciał toruje sobie drogę tak niepokonanie i wszechwładnie jak pierś okrętu.

Raz, dwa — i roztrącił, odmiotł całą bandę z Krawinkel, — i dociera do Willema Vogelsanga, w samej chwili, gdy ten, zaatakowany po raz ostatni przez straszniego Półslepca, padał na plac wypuszczając z rąk korsbrood.

— Daj, Willem! daj mi chleb odpustny! — szepcze nieznajomy biedakowi do ucha.

Jakaż władza lub czar tkwi w głosie tego niespodziewanego sprzymierzeńca? — Willem drgnął, wytrzeszczył oczy i, rozwarły usta, oddaje mu łup, którego Frans już był pewny.

Frans z kolegami kopnęli się wnet na intruza. Daremne ich wysiłki! daremnie zwieszają mu się u ramienia! — Zuch potrząsa zwycięsko korsbroodem ponad głowami tłuszczym.

Hurra! — wybucha grzmot okrzyków, witających jego tryumf. — On zwycięzca! Wiwat król!

Lecz zanim chłopcy z Krawinkel ocknęli się z osłupienia, — nieznajomy przyciąga młodego Vogelsanga, wsuwa mu zdobycz do prawej ręki, zaciska ją w swojej, podnosi tę rękę w góre, i trzymając ją tak, woła głosem olbrzymim:

„Willem Vogelsang zdobył korsbrood! Lutterath zdobył korsbrood!“ — Poczem unosi Willema, sadza go tryumfalnie na swych szerokich barach i z tym samym wciąż okrzykiem okrąza trzy razy plac i tłum olśniony, porwany zapalem; wreszcie składa oszołomionego króla zabawy pod balkonem stokroć szczęśliwej Izy.

Lutterath, Geleen, nawet Krawinkel głoszą bez końca zwycięstwo Willema Vogelsanga. Czemuz on jeden stoi zmieszany, ponury, — jakby go ten tryumf zawstydział i martwił? Źe jest zmordowany wysiłkiem, ogłuszony nagle zmianą fortuny, — to się rozumie; — lecz twarz jego przynajmniej mogłaby wyrażać dumę i szczęście. — A w rysach jego, przeciwnie, maluje się lęk i prawie rozpacz.

I gdy promienna Iza, na czele orszaku wiejskich znakomitości, zbliża się ku niemu z czarą jableczniku, by wypić pierwsza zdrowie króla Lutterathu, pełnego chwali króla, którego ma zostać królową, — on prawie że

odpycha ten puhar zwycięstwa, — niewyraźnym belkotem odpowiada na gorące powinszowania wybranej — i z widocznym wstrętem przyjmuje kubek, z którego przecie piły słodkie usta Izy. Tak niesłychanie dziwnem jest zachowanie Willema, że wezbrana radość Izy cofa się krąłodową w jej serce.

W chwili, gdy otwiera usta, by spytać narzeczonego o powody niezrozumiałego postępowania, — Frans Jednoki przybiega do sędziów i woła: „Hola! jeszcze nie wieńczcie Wilhelma Vogelsanga! — To byłoby przywłaszczeniem! Partya rozegrała się nieuczciwie. Coś w tem wszystkiem podejrzanego. Czy miał prawo walczyć przeciwko nam ów osobliwy człowiek, spadły jak z księżyca w chwili, gdy Lutterath raz jeszcze miał przegrać? — Czy może dowieść, że się urodził w Lutterathcie? Czy w ogóle jest z tych stron? Jak się nazywa?“

— Frans ma słuszność! niech się nieznajomy wylegitymuje! — potwierdzają gracze z Krawinkelu.

Willem drgnął — wraca do przytomności. — „Chwilę“ — mówi — „sam wypytam tego człowieka!“ — odchodzi z nieznajomym na stronę — i głuchym głosem:

— Ty tutaj, tu, nieszczęsny!

— Ja sam!

— Ależ to śmierć!

— To życie dla ciebie, to twoje wybawienie. — Nie pisałeś do mnie? — Niegodziwce, myślałeś, że potrafię siedzieć tam i czekać z założonimi rękoma, aż się dowiem, żeś ożenił się lub zginął! — A wreszcie, nie mogłem już wytrzymać. — Pożerała mnie tęsknota za krajem, z dwojga złego wolę to, co mnie tu czeka. — Tak, chciałem skończyć z tem życiem na wygnaniu, ratując ciebie, mój drogi Willemie, mój lepszy bracie, jedyna podpora naszej matki...

— O, nie mów tak. Lepszy z nas to ty. Dowodzisz tego w tej chwili. Twoja zbrodnia była tylko przypadkowa, a gniew słuszny. Każdy na twojem miejscu byłby to samo uczynił. A teraz idź; wynoś się — — — Zostawmy nagrodę temu krzykaczowi z Krawinkel... Więcej na nią zasługuje niż ja.

— Oddajmyż temu półslepcowi i rękę Izę Borlinck! Prawda!

— Tak... i Ize... Odchodź, śpiesz się... Musieli cię już inni poznać. Gdyby żandarmi dowiedzieli się o tym powrocie...

— Mniejsza o to. Niech przyjdą... Daj spokój! Popsułem sobie życie, mówię ci. Chcę umrzeć w kraju. Straszno dogorywać gdzieś na obczyźnie. Tam dwa razy się umiera.

— Więc kłamałeś nam, matce i mnie, gdyś pisał, że ci tam dobrze, żeś się we Francji z życiem pogodził i jesteś prawie szczęśliwy? — — Nie, nie, ty chcesz mnie teraz oszukać! Dla mnie, dla mnie jedynie narażasz się na śmierć — —

Długo przeciaga się ta walka szlachetnych. Tłum niecierpliwi się i szemrza. — Czyżby istotnie, jak twierdzi Frans, zaszło oszustwo? — Lutterathczycy tracą pewność siebie, — Krawinkel podnosi głowę. Frans Jednooki zaciera ręce. Iza cierpi jeszcze bardziej, niż przed chwilą na balkonie.

— Na litość, mów ciszej! — błaga Willem brata, ilekroć tamten podniesie głos.

I trzeba im okropnego wysiłku, hamowania się aż do katowskiej męczarni, by nie rzucić się sobie w objęcia. — Wargi ich rozjastrzone, wnętrzności drgają, — ścięgna gotowe pęknąć. Głosy ich i żrenice zmącone i pełne lez.

— Co nas obchodzi — słyszysz, prawda, drogi Almie? — piękna Iza i wszystkie piękności świata! — Żadna kobieta cię nie zastąpi, mój słodki ukochany, — moja krwi własna, kości moich kości, moje drugie ja! — Wiedz, że choćbyś się uparł i zdradził się, — na nic twoje poświęcenie. — Nie chcę już tej korony, nie chcę już życia, nie chcę już Izę! — Niech skonam raczej i ja, i Iza, i Lutterath, i z nami cały świat!

I rzucając się ku ludowi, woła: „Frans Jednooki miał słuszność! zaszło oszustwo! Ten człowiek jest cudzoziemcem i intruzem! Niech Frans z Krawinkelu bierze korsbrood! — Chwała Fransowi!“

Lecz Alm Vogelsang, odpychając brata, zdziera sobie raptownie fałszywą brodę i czuprynę — i uderzając się w piersi:

— Ja — obcy? ja? cóż to za drwiny? Przecież widziecie, żem z Lutterathu! — Znajdzieś się kto, co mi jeszcze zaprzeczy zwycięstwa?

— Alm Vogelsang! Alm Vogelsang! — wykrzykuje tłum zachwycony i zdumiony.

— O mój biedny Almie! cóżes uczynił!

Obaj bracia, związani mocnym uściskiem i drżący, z piersią przy piersi, nierozerwalni odtąd, zapominają o wszechświecie, o wszystkiem, co nimi nie jest, i w oczekiwaniu wspólnej śmierci dają niepohamowane ujście swojemu przytaczającemu wzruszeniu.

Widzowie zamkają się w żałobnym milczeniu, na myśl o katuszach, czekających skazańca.

Lecz wtem z legionu ściśniętych serc pierzcha jennozgodne politowanie. — W uczciwym tłumie objawiło się to drugie widzenie, które niekiedy sumienie ludu czyni zwierciadłem boskiej woli. — Nawet Iza ożywa w otchłannych głębiach rozpacz, w której konała.

We wszystkich powstaje pewność, że książę obdarzy starszego Vogelsanga zupełną amnestią. — Jego oddanie braterskie czyni go nietykalnym.

Olbrzymi okrzyk pozdrawia obu braci niby przepowiednia szczęścia.

I Lutterath wieńczy dnia tego zamiast jednego —  
aż dwóch królów.



PRZEŁOŻYŁA  
Marya Komornicka.

Jerzy Eekhoud.

Hyperion.



*KSIĘGA III.*

*Takie naprzemian burze i posępne,  
Gluche milczenie szarpały Tytanów.  
Zostaw ich, Muzo! Zostaw ich w tym bólu,  
Zbyt bowiem jesteś słabą, abyś godnie  
Mogła opisnąć ich męki straszliwe.  
Samotna rozpacz bardziej odpowiada  
Twym śpicznym wargom... Zostaw ich, o Muzo!  
Za chwilę bowiem spotkasz się z niejednym  
Z dawnych, upadłych bożyszczy, bez celu*

*Smutnie błądzących po błędnych wybrzeżach.  
Tymczasem cicho, łagodnie uderzaj  
W harfe delficką, a melodyom twoim  
Nietylko wiewy towarzyszyć będą,  
Idące z nieba, lecz i rozegrane  
W ciche poszumy wód doryjskich fale.  
Bo oto pieśń ta poświęcona Ojcu  
Wszelakiej pieśni... Niechaj się płomieni  
To, co purpury okrasszone barwą,  
Róże niech rosną, i niech ciepłem wionie  
Wokrąg powietrza, i niechaj wieczorny  
I porankowy obłok tuli wzgórsa  
W swoje rozkoszne runo; niech w puharach  
Pieni się wino czerwone, zimniejsze  
Od fal perlistych; niech muszla różowa,  
W piasku lub w głębiach schowana besdennych.  
Skreca się w swoje kraśne labirynty  
I niech się młoda rumieni dziewczyna,  
Niby znienacka tknięta pocałunkiem.  
Raduj się wyspo Delos, ty najpierwsza  
Z pośród lesistych Cyklad — ty, zielonych  
Pełna oliwek, i palm rzucających  
Cień na polany twoje, i topoli,  
I szumnych buków, w których sefir śpiewa  
Swe najgłośniejsze śpiewy, i tych gestycznych  
Krzaków lessczyny, ciemniejących w cieniu —  
Raduj się razem z niemi: on, Apollo,  
Jest znowu pieśni promienistą treścią.  
Gdzież on przebywał, kiedy Olbrzym słońca  
Stał jaśniejący wśród żalów swych braci?  
W tym samym czasie opuścił był wcześnie  
Nadobną matkę i siostrę bliźniaczą,  
Śpiące w przybytku swoim, i o świecie  
Jął się przehadzać pośród wierzb nadrzeczych,*

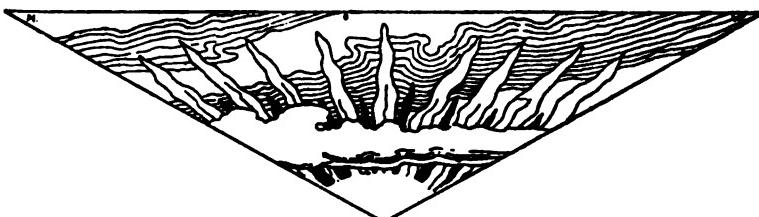
*Po kostki brodząc w lilijach doliny.  
Umilkł już słowik; po niebieskich drogach  
Wlokło się jeszcze kilka opieszałych  
Gwiazd, a w gestwinie drosz rozpoczął świątac  
Z cichej gardzieli. Na tej wyspie całej  
Nie było schronu ni groty ustronnej,  
Gdzieby nie dotarł szmer i pogwar fali.  
Choc ledwie słyszał w niektórych zaciszach.  
On nadstuchiwał począł i zapłakał,  
A łzy promienne ściekały kroplami  
Po łuku złotym, który dzierżał w dłoni.  
Tak stał, z przymkniętem, założonym okiem,  
Kiedy wtem z gąsaczem jakowaś bogini  
Jęła się zbliżać uroczym krokiem —  
Z widnym zamiarem w oczach, że ku niemu.  
On, przerązony, odczytał zamysły  
I melodyjnym tak przemówił głosem:  
„W jaki ty sposób przyszłaś tu przez morze.  
Którego żadna nie dotknęła stopa?  
Albo czyż — powiedz — kształt ten starodawny.  
W takie obleczon suknie, do tej pory  
W tych tu przebywał stronach niewidzialny?  
Prawda. Słyszałem - ci szmer tego płaszcza  
Nad spadającym liściem, gdym samotny  
Siadywał w chłodzie tego lasu... Prawda!  
Śledziłem szelest twojego podotka  
Nad trawą polan ustronnych; widziałem.  
Jak kwiaty główki wznośły do góry,  
Kiedy nad niemi zawiewał twój poszum.  
O tak, bogini! Jam przedtem już patrzał  
W te oczy twoje, w ich spokój wieczysty,  
Przedtem już w twoje spoglądałem lice,  
Albo też śniłem...“ „Śnileś — śnileś o mnie“ —  
Odpowiedziała ta postać wyniosła, —*

„A gdyś się zbudził, znalazłeś przy boku  
Lire złocistą, a kiedyś palcami  
Strun jej się dotknął, słuch nieutrudzony  
Wyterał cały ten wszechświat, by słuchać  
W bólu i wielkiej rozkoszy narodzin  
Tego nowego cudu pieśni... Powiedz:  
Nie jest to dziwnem, żeś płakał, takiemi  
Wyposażony darami? Młodsieńcze,  
Jakąs ty troskę możesz mieć? Odpowiedz,  
Bo smutna jestem, patrząc na łzy twoje;  
Odkryj swą boleść — odkryj przed istotą,  
Co na samotnej, ustronnej tej wyspie  
Była ci stróżem twoich snów i wszystkich  
Dni twoego życia od pierwszej młodości.  
Gdy kwiaty reką zrywałeś bezmyślą,  
Aż do tej chwili, kiedy ramię twoje  
Zaczęło dzierzyć ten łuk bohaterski.  
Serca swojego odsłonił tajemnice  
Przed dawną Mocą, która uświecone  
Odbiegła trony, usłyseawszy wieszczę  
O narodzinach — tak! — nowego Piękna —  
Wieszczę o tobie...” Po szybkim namyśle  
I z nieprzymgloną żrenicą, takiemi  
Odrzekł Apollo słowy, z nabrzmiałego  
Melodyą gardła, dźwięcznie: „Mnemosyne!  
Przecz na języku mam twe imię, nie wiem.  
Cóż ci mam mówić, o czem wiesz najlepiej?  
Cóż się mam silić, aby ci wyznać  
To, co w twych ustach nie jest tajemnicą?  
Zamyka oczy moje jakieś ciemne,  
Ciemne, bolesne, niskie zapomnienie:  
Siągnąć zbadać, czegom taki smutny,  
Że aż mi smutek ubierażenia członki.  
I potem siadam śród traw i narzekam,

Jak ktoś, co skrzydła miał u ramion. Czemu  
 Złamań się csuje i kłatwą obarczon,  
 Kiedy ten pana niernający powiew  
 Do stóp się moich z upragnieniem łaści?  
 Po co mam deptać trawy, jakby były  
 Przenienawistne dla mych stóp?.. Łaskawa,  
 Dobra bogini, chciej mi wytlومaczyć  
 Niektóre rzeczy nieznane: istnieją?  
 Oprócz tej wyspy, inne jeszcze strefy?  
 I czem są gwiazdy? Jest i słońce! słońce!  
 I przelągodna poświata księżyca!  
 A gwiazd tysiące! Pokaż -że mi drogę  
 Na którą z gwiazd tych pięknych, a ja na nią  
 Poleć razem z mą lirą i sprawię,  
 Że blask jej srebrny będzie drząć z rozkoszy...  
 Słyszałem grzmoty w chmurach: Czyjaś Moc to?  
 Czyjaś to reka, czyja boskość, czyja  
 Wszczyna istota ten huk śród żywiołów,  
 Gdy ja z bezmyślną, ale przebolesną  
 Nieświadomością słucham z tych wybrzeży?  
 Powiedz, samotna bogini, — na lutnie.  
 Pojekującą ranki i wieczory,  
 Powiedz, dla czego szaleję w tych gajach?  
 Milczysz — a, milczysz!.. Lecz ja w tem milczącym  
 Czytam obliczu przedsiwną naukę:  
 Oto jakiegoś ogrom przypomnienia  
 Czyni wraz Boga ze mnie: szereg zjawów,  
 Strasne wypadki, naswiska, rokosze,  
 Dawne legendy, królewskie rozkazy,  
 Majestatyczne moce, walki, skony,  
 Tworzeni i niszczeni potega: to wszystko.  
 Zalewa naraz rozległe komory  
 Mojego mózgu i wraz nieśmiertelne  
 Daje mi pełno boskości — prawdziwie,

*Jak gdybym jakieś wypił niezrównane,  
 Skrzące się wino, jakiś nieswyczajny,  
 Nadziemski trunek...“ Tyle Bóg powiedzia?  
 A promieniste jego oczy, równym  
 Płonące blaskiem pod białemi skronimi,  
 Driącem uwieczęły światłem w Mnemosymie.  
 I potem naraz dziki szal nim wstrząsnął  
 I rozczterwienił jasną, nieśmiertelną  
 Urodę jego członków; był podobien  
 Komus, co walkę stacza w bramach Śmierci,  
 Albo też raczej komus, który oto  
 Żegna się z bladą, nieśmiertelną Śmiercią  
 I z bólem, równe gorącym, jak zimnym  
 Jest znów ból Śmierci, śród strasznych konwulsyj  
 Umiera w pełni życia: tak się męczył  
 Młody Apollo, a włos jego cudny —  
 Jego złociste, przestawne kedziory  
 W falistych kłębach wiły się po karku.  
 A wśród męczarni takiej Mnemosyne  
 Trzymała nad nim rece niby wieszczka. —  
 Naraz Apollo zakrzyknął — i oto  
 Z jego niebiańskich kształtów . . . . .*

. . . . .



PRZEŁOŻYŁ  
 Jan Kasprowicz.

John Keats.



Fragmenty z „Zaratustry.”

Gdy Zaratustra wyrzekł te słowa, spojrzał na lud wokół i zamilkł. „Oto stoją głusi, — rzekł do swego serca, — i oto śmieją się: nie rozumieją mnie. Jam nie jest językiem dla tych uszu.

Czyżby należało wprzód uszy im poniszczyć, aby się nauczyli słuchać oczyma? Czyżby oczekiwali, bym brutalne łoskoty czynił jako odpustowe kotły lub kaznodzieje pokutni? Lub może ufają tylko jakałom?

Wszakże mają coś, z czego się pysznią? Jakże zwie się to, co ich tak dumnymi czyni? Wykształceniem zwą

ten skarb dumy swojej; toć ono wyróżnia ich od pasteryz kóz?

A więc dlatego tak niechętnie słuchają słowa „wzgarda”? Niechajże i tak będzie: — przemówię i ja do ich dumy!

Będę im mówił o czemś najgodniejszym pogardy, będę im mówił o *ostatnim człowieku*.

I Zaratustra w te słowa zwrócił się do ludu:

Czas, by człowiek cel sobie wytknął, czas, by zasiał ziarno swej najwyższej nadziei.

Jeszcze ziemia dość bogata, lecz przyjdzie czas, gdy się stanie tak biedna, tak owojoną i łagodnie jałową, że z tego ziarna nadziei żadne już wyższe drzewo nie wyrośnie.

Biada! Zbliża się czas, gdy człowiek niezdolnym będąc wyrzucić strzały tesknoty ponad człowieka, gdy zwiotczeje cięciwa łuku jego.

Powiadam wam, trzeba mieć chaos w sobie, by porodzić tańczącą gwiazdę. Powiadam wam, wiele chaosu jest jeszcze w was.

Biada! Zbliża się czas, gdy człowiek żadnej gwiazdy porodzić nie będzie zdolen. Biada! Zbliża się czas potysiąckroć wzgardy godnego człowieka, — człowieka, co nawet samym sobą już gardzić nie zdoła.

Patrzcie! wskazuję wam *ostatniego człowieka*.

„Czem jest miłość? czem jest twórczość? czem jest tesknota? czem jest gwiazda?“ — tak pyta ostatni człowiek i mruży wzgardliwie oczy.

Ziemia się skurczyła, a po niej skacze ostatni człowiek, który wszystko zdrabnia. Rodzaj jego jest nie do wypełnienia, jako pchła ziemna; ostatni człowiek żyje najdłużej.

„Myśmy szczęście wynaleźli,“ — mówią ostatni ludzie i mrużą niedbale oczy.

*Cypreszają okolice, gdzie tytuł twarem był: gdyż cępla potrzeba. Kocha się jeszcze saszadą i trze się o niego: — wszak cępla potrzeba!*

*Cierpienie i niewinność uchodzi za rzeczy gorsze: ostatni człowiek baczzy truskawkie na siebie. Głupiec chyba tylko potyka się jeszcze o kamienie i o ludzi.*

Nieco trucizny od czasu do czasu: to darzy słodkiem snami. A w końcu — dużo trucizny, aby mile zemrzeć.

Pracuje się jeszcze, gdyż praca jest rozrywką. Dba się jednak o to, by ta rozrywka nie stała się zbyt uciażliwa.

Nikt już nie jest bogatym ani biednym: jedno i drugie jest zbyt uciażliwe. Ktożby jeszcze chciał panować? Ktożby jeszcze chciał podlegać? To zbyt uciażliwe.

Żadnego pasterza i jedna wielka trzoda. Każdy jest równym, każdy chce działa równego. Kto inaczej czuje, idzie dobrowolnie do domu obląkanych.

„Dawniej cały świat był szalony,” — mówią najsubstancjelniejsi i mrużą mądrze oczy:

Jest się mądrym i wie się wszystko, co się zdarzyło, więc w wydrwiwaniu wszystkiego nie zna się miary. Sprzeczają się jeszcze, lecz godzą się niebawem, gdyż niezgoda psuje żołądek.

Ma się swą przyjemnośćkę na dzień i swą przyjemnośćkę na czas nocy; lecz zdrowie ceni się nadewszystko.

„Myślimy szczęście wynaleźli,” — mówią ostatni ludzie i mrużą oczy.

Tu zakończył Zaratustra swą pierwszą mowę (zwą ją również i „przedmową“), gdyż w tem miejscu przerwał mu krzyk i radość tłumu: „Daj nam, Zaratustro, ostatniego człowieka, — wołały społecem, — uczyn z nas ostatnich ludzi, a darujemy ci twego nadczłowieka.“ Lud cały radował się i milaskał językiem. Zaratustrę wszakże smutek ogarnął; rzekł do serca swego:

„Nie rozumieją mnie. Nie jestem językiem dla tych uszu.

Za dugo w istocie żyłem w górach, zanadto wsłuchiwałem się w szelesty drzew i w poszumy strumieni: i oto mowa ma jest dla nich mową pasterzy kóz.

Dusza ma nieporuszona jest i jasna jako wzgórze o poranku. Oni jednak sądzą, że m jest zimny i że szyderca w żartach okrutnych.

I teraz oto spozierają wciąż na mnie i śmieją się. A śmiejąc się, nienawidzą mnie jeszcze. Lód jest w ich śmiechu.”

---

---

---

Długo spał Zaratustra; nie tylko jutrznia, lecz i przedpołudnie zajrzało w jego oblicze. Wreszcie rozchylił powieki i ze zdziwieniem spojrzał wokół siebie: zadziwił go las i cisza samotna, ze zdziwieniem spojrzał w samego siebie. Poczem zerwał się szybko, jako żeglarz, gdy nagle ląd spotrzeże. Rozradowało się serce jego, gdyż nową prawdę ujrzał. I tako rzekł wonczas do serca swego:

„Nowe weszło mi światło: towarzyszy potrzebuję i żywych ludzi, — nie martwych lub trupów, których tam niosę, dokąd zechcę.

Żywych ludzi potrzebuję, którzy dlatego ze mną pojedą, iż taka jest ich wola, by pójść tam, dokąd i ja podróżam.

Nowe światło mi weszło. Nie do ludu niechaj prze-

mawia Zaratustra, lecz do towarzyszy. Psem trzody lub jej pasterzem niechaj być nie pragnie.

Wielu z trzody wynęcać: — oto do czegom doszedł. Niechaj mnie lud i trzoda nienawidzą. Niech się zwę zbójem u pasterzy.

Pasterzy, powiadam, lecz oni zwą się dobrymi i sprawiedliwymi. Pasterzy, powiadam, lecz oni zwą się wierzącymi wiary prawdziwej.

Patrzcie na tych dobrych i sprawiedliwych! Kogóż oni najbardziej nienawidzą? Tego, kto kruszy tablice ich wartości, tego burzyciela, tego rozbójnika: — a ten jednak jest twórcą.

Patrzcie na tych wierzących wszelkiej wiary! Kogóż oni najbardziej nienawidzą? Tego kto kruszy tablice ich wartości, tego burzyciela, tego rozbójnika: — a ten jednak jest twórcą.

Towarzyszy szuka twórcy, nie trupów, ani trzody, ani wierzących. Towarzyszy w dziele swem twórczem, tych, co nowe wartości na nowych wypiszą tablicach.

Towarzyszy szuka twórcy, spółniwiarzy, gdyż wszystko u niego już do żniwa gotowe. Brak mu jednak stusierpów: z gniewem wyrywa tedy kłosy.

Towarzyszy szuka twórcy, takich towarzyszy, co sierpy swe ostrzyć potrafią. Nazwą ich niszczycielami, wzgardzicielami dobra i zła, lecz ci są, którzy plony zną, ci są, którzy dożynki świętą.

Współtworzących szuka Zaratustra, współniwiarzy i wespółświętujących. Cóż on ma wspólnego z trzodą, z pasterzami i z trupami!

A ty, pierwszy mój towarzyszu, bywaj zdrów! Dobrze pochowałem cię w pustem drzewie, dobrzem od wilków cię ukrył.

Lecz rozstać się nam pora; czas mnie woła. Między dwiema jutrzniami wzeszło mi światło nowej prawdy.

Nie pasterzem mi być, ani grabarzem. — Nie będę odtąd nawet do ludu przemawiał: po raz ostatni mówiłem do trupa.

Do tworzących, do żniwiarzy, do tych, którzy plony zną i dożynki świętą, do nich się przyłączę: wskażę im tęczę i wszystkie szczeble nadczłowieka.

Do celu swego podążam, drogą swą idę. A przez zwlekających, przez niezdecydowanych — przeskoczę! I niechaj ten pochód mój zanikiem ich będzie! =====

*O KAZALNICACH MORALNOŚCI.*

---

Wysławiano przed Zaratustrą mędrcę, co dobrze o śnie i o cnotach mówić potrafił. Szanowano go powszechnie i nagradzano obficie; wszystka młodzież zasiadła przed jego kazalnicą. Do niego poszedł Zaratsuś i zasiadł wśród młodzieży.

A mędrczec tak pouczał:

Cześć dla snu i wstyd przed nim! To jest rzecz główna! Poza tem schodzić z drogi wszystkim, co źle sy-piąją i po nocach czuwają.

Wstydlivym jest złodziej wobec snu: cicho zakrada się wśród nocy. Bezwstydnym jest jednak stróż nocny, bezwstydnie róg swój niesie.

Niemała to sztuka dobry sen: nielada mozół oczekiwac nań wśród całodziennej jawy.

Dziesięć razy na dzień samego siebie przemódz musisz; to darzy dobrotczyniem zmęczeniem i jest makiem dla duszy.

Dziesięć razy z sobą pogodzić się musisz, gdyż samopokonanie jest goryczą; a źle sypia niepogodzony ze sobą.

Dziesięć prawd za dnia posiąść musisz: w przeciwnym razie prawdy po nocy szukasz i dusza twa głodną pozostała.

Dziesięć razy na dzień śmiać się musisz i weselić. Jeśli tego nie uczynisz, gotów ci po nocy dokuczać żołądek, ten ojciec przygnębienia.

Niewielu wie o tem, że trzeba jednak wszystkie cnoty posiadać, by dobrze sypiąć. Będę ja dawał fałszywe świadectwo? Będę cudzołyły?

Będę pożądał służebnicy bliźniego mego? Wszystko to dobry sen zmacićby mogło.

Nawet gdy się posiada wszystkie cnoty, jeszcze jedną zdobyć trzeba koniecznie: aby wszystkie swe cnoty we właściwym czasie do snu układać.

Aby się między sobą nie kłóciły te miłe kobietki! O ciebie, nieszczęsny!

Zgoda z bogiem i z sąsiadem: tego wymaga dobry sen. Zgoda również z dyabłem sąsiada! W przeciwnym razie gotów cię straszyć po nocy.

Ten zwie się u mnie najlepszym pasterzem, kto owce swoje na najzieleńsze wyprowadza łygi: to zgadza się z dobrym snem.

Wielkich honorów nie żądam, ani wielkich skarbów: to zapala wątrobę. Źle sypia się jednak bez dobrego imienia i bez skarbu drobnego.

Małe towarzystwo jest mi milsze od wielkiego. Musi ono jednak przychodzić i odchodzić we właściwym czasie. Tego wymaga dobry sen.

Upodobałem sobie ubogich duchem: oni sen przyśpie-

szają. Błodzy to ludzie, zwłaszcza gdy się im zawsze słuszność przyznaje.

Tak ubiega dzień cnotliwemu. I oto noc się zbliża. Jednak wystrzegam się przyzywać sen. Niewołanym pragnie być ów władca dusz cnotliwych!

Lezę tedy i rozwazam, co-m za dnia czynił i myślał. Przezuwając, cierpliwie jak krowa, pytam się w duchu: jakież to były dziś twe dziesięć pokonań?

Jakież były twe dziesięć pogodzeń się ze sobą? twe dziesięć prawd, dziesięć uśmiechów, którymi zbudowało się serce twe?

Gdy tak oto rozwazam, ukołysany czterdziestoma myślami, spada na mnie sen, ten niewołyń pan i władca dusz cnotliwych!

Sen uderzył w powieki moje: — opadają ciężko. Sen dotknął ust moich: — rozchylają się wargi.

Zaprawdę, na miękkich podeszwach zbliża się do mnie ten najukochańszy ze złodziei i kradnie mi myśli moje. I oto głupi stoję przed wami jako ta kazalnica. Nie długo jednak tak stoję: oto leżę już. —

Gdy Zaratustra te słowa usłyszał, zaśmiała się w duchu, gdyż nowe światło mu wzeszło. I tak oto rzekł do swego serca:

Błaznem jest mądrzec ten wraz ze swemi czterdziestoma myślami. Sądzę jednak, iż na spaniu zna się znakomicie.

Szczęśliwy, kto mieszka w bliskości takiego mądrca! Taki sen od niego bije, iż przez ścianę grubą zarazić może. Urok udziela się nawet jego kazalnicy. I niedarmo siedziała młodzież przed tym kaznodzieją cnoty!

Mądrością jego: czuwać, by módz dobrze sypiać. I zaprawdę, gdyby życie żadnego sensu nie miało, a miałbym wśród bezmyślności wybierać, — ta bezmyślność byłaby najbardziej godną wyboru.

Teraz pojmuję jasno, czego szukano, szukając nauczycieli cnoty. Szukano snu dobrego wraz z makowemi cnotami.

Całą wiedzą tych sławionych mędrców z kazalnicy moralności był sen bez snów: lepszego celu w życiu nie znali.

I dziś jeszcze znajdzie się niejeden z tych proroków cnoty, aczkolwiek niezawsze tak uczciwie szczery. Lecz czas ich mija. I niedługo stać będą: oto leżą już. —

Tako pouczał Zaratustra. =====

*O RADOŚCI I NAMIĘTNOŚCIACH.*

---

Bracie mój, jeśli cnotę posiadasz, a jest ona twoją cnotą, masz ją nie społem z kimkolwiek, lecz dla siebie wyłącznie.

Lecz, — oczywiście! — ty pragniesz ją po imieniu nazwać, pieścić się z nią, za uszy ją psotnie targać i miłe rozrywki z nią czynić.

I oto patrz! Posiadasz imię jej na spółkę z ludem, stałeś się tłumem i trzodą wraz z cnotą twoją!

Lepiejbyś uczynił, mówiąc: „niewypowiedzialnem i bezimiennem jest to, co męką jest i słodyczą ducha mego, głodem wnętrzności mych.“

Niech cnota twa za wysoką będzie, aby się z nią przez imię spoufalać; a gdy cię zmuszą do mówienia o niej, nie wstydź się, że się wówczas jakasz.

Jąkając się powiedz wtedy: „To jest moje dobro, które ukochałem; upodobałem je sobie całkowicie, jakim jest, i takim jedynie chcę mieć dobro.

Nie pragnę go jako boskiego przykazania, jako ludzkiego przepisu lub potrzeby koniecznej; nie chcę również, aby mi było drogowskazem do zaświatów i obiecanką raju.

Ziemską jest cnota, którą kocham; niewiele w niej mądrości, a najmniej rozsądku ogółu.

Lecz ptak ten zbudował gniazdo u mnie, — polubiłem go serdecznie i oto siedzi przy mnie na swych złotych jajach.“

Tak jakaj się i tak tylko chwal swą cnotę.

Dawniej miałeś namiętności i zwalałeś je zemi. Teraz masz jedynie swe cnoty: wyrosły one z twoich namiętności.

Wytknałeś cel najwyższy swym namiętnościom: i oto stały się cnotami i uciechą twoją.

I choćbyś był z rodu zapalczystych w gniewie, w lubieżności tonących, z wiary się wściekających, pomsty żadnych:

Wszystkie twe namiętności stały się twemi cnotami, wszystkie twe dyabły — aniołami.

Dawniej dzikie psy miałeś w podziemiach swych, zmieniły się one w ptaki i śpiewaczki mile.

Ze swych trucizn wywarzyłeś sobie balsam; dołeś swoją krowę: udręczenie, — dziś pijasz słodkie mleko jej wymion.

I żadne зло już w tobie nie dojrzeje, chyba to зло, jakie z walki twoich cnót wyrosnąć może.

Bracie mój, jeśli z szczęśliwych jesteś, posiadasz jedną tylko cnotę: przez taki most łatwiej się przechodzi.

Czcigodnym jest ten, co wiele cnót posiada. Ciężki to jednak los. Niejeden szedł na pustynię i zabijał się tam, gdyż umęczyło go — być ciągle bitwą i pobojowiskiem cnót własnych.

Bracie mój, czyż wojna i bitwa nie jest złem? Jednak koniecznym jest to зло, konieczną jest zazdrość, koniecznym jest niedowierzanie, konieczną jest potwarz między cnotami.

Patrz, jak każda z tych cnot najwyższego pożąda: chce ona całego ducha twoego, aby był jej heroldem, chce całą twojej siły, całego gniewu, całą nienawiści i całą miłości.

Jedna cnota drugiej zazdrości. A zazdrość jest straszną rzeczą. Nawet cnoty ginąć mogą z zawiści.

Kogo płomień zawiści obejmie, ten jako skorpion zwraca w końcu żądło przeciwko sobie samemu.

O, bracie mój, czyliż nie widziałeś nigdy, jak cnota cnotę spotwarzać i na śmierć zażgać umie?

Człowiek jest czemś, co powinno być pokonanem: dla tego też powinieneś swe cnoty kochać, — gdyż przez nie zaginiesz.

Tako pouczał Zaratustra. =====

*O CZYTANIU I PISANIU.*

---

Ze wszystkiego, co czytam,  
lubię to tylko, co krwią było pisane. Pisz krwią, a do-  
wiesz się, że krew jest duchem.

Nie łatwo cudzą krew zrozumieć: nienawidzę też czy-  
tających leniwców!

Kto zna czytelnika, ten dla niego nic robić nie bę-  
dzie. Jeszcze jedno stulecie czytelników — i duch nawet  
śmierdzieć zacznie.

Że każdemu wolno nauczyć się czytać i pisać, to psu-  
je z czasem nietylko pisanie, lecz i myśli.

Kiedyś duch był bogiem, potem przedziergnął się  
w człowieka, dziś staje się motłochem.

Kto krwią i w przypowieściach pisze, nie chce, by  
go czytano, żąda, by się go na pamięć uczono.

W górach najbliższą drogą jest droga od wierzchołka do wierzchołka: lecz na to trzeba mieć długie nogi. Przypowieści niechaj tu będą wierzchołkami, a ci, do których się mówi, wielcy i rośli.

Powietrze rzadkie i czyste, niebezpieczeństwo blizkie i duch pełny radosnej złośliwości, to godzi się dobrze jedno z drugiem.

Chcę mieć psotne duchy wokół siebie, gdyż odważny jestem. Odwaga, co upiory wystrasza, sama psotne duchy sobie stwarza, — odwaga śmiać się chce.

Ja z wami razem już nic nie odczuwam: ta chmura, którą widzę pod sobą, ta czarność i ciężkość, z której się śmieję, — to wasza chmura brzemienna burzą.

Wy spoglądacie w góre, gdy chcecie podniesienia. Ja patrzę na dół, bom jest wyniesiony.

Któż jest między wami, co zarazem i śmiać się potrafi i wzniezionym się czuć?

Kto szczytów najwyższych dosięgnie, ten śmieje się z wszelkich tragi-komedij i tragicznych powag.

Męznymi, niedbającymi o nic, drwiącymi i gwałtownymi — takimi chce nas mieć mądrość: ona jest kobietą i kochać zdoła tylko wojsownika.

Mówicie: „życie jest ciężkiem jarzmem.“ Lecz nacóż mielibyście rankiem swą dumę, a wieczorem swą uległość?

Życie jest ciężkiem jarzmem: ale nie bądźcież mi tacy delikatni. Jesteśmy wszyscy ładnemi osłami i oślicami do dźwigania ciężarów.

Cóż mamy wspólnego z pąkiem róży, który drzy pod kilkoma kroplami rosy, gdy te nań padną?

Prawdą jest: kochamy życie, nie dlatego, żeśmy do życia, lecz żeśmy do kochania przywykli.

Nieco obłąkania jest zawsze w miłości, lecz w obłąkaniu jest znowu zawsze nieco rozsądku.

I mnie, co-m przychylny życiu, wydaje się, że mo-

tylki, bańki mydlane, oraz ludzie podobnego gatunku, najwięcej wiedzą o szczęściu.

Widok tych lekkich, głupiutkich, łagodnych a ruchliwych duszyczek, bujających w powietrzu — doprowadza Zaratustrę aż do łez i do pieśni.

Wierzyłbym tylko w boga, któryby tańczyć potrafił.

Gdyż szatana swego ujrzał, był on poważny, ponury i głęboki: był to duch ciężkości, — przezeń wszystko ginie.

Nie gniewem, lecz śmiechemi się zabija. Naprzód, zabijmyż ducha ciężkości!

Nauczylem się chodzić, — odtąd biegam; nauczylem się latać, — odtąd nie potrzebuję popchnięcia, by z miejsca ruszyć.

Teraz lekki jestem, teraz bujam, teraz widzę siebie przed sobą, teraz tańczy bóg jakiś we mnie.

Tako pouczał Zaratustra. ——————

*Z KRAINY OSWIATY.*

===== Za daleko wybiegłem w przyszłość: dreszcz zgrozy mnie przejał.

Bo kiedym się obejrzał, oto czas tylko był jedynym moim współcześnikiem!

Pierzchnałem czemprzedzej wstecz, w czasy ojczyste, i z coraz to większym pośpiechem: takem do was trafił, współcześni może, w krainę oświaty.

Po raz pierwszy przyniosłem ze sobą oczy gwoli wam i szczerze pożądanie: zaprawdę z tesknotą w sercu przybyłem między was.

Lecz cóż się ze mną stało? Choć trwozę czuje, śmiać się muszę! Przenigdy oczy moje nie widziały takiej pstrąkacizny.

Śmiałem się, wciąż się śmialem, choć nogi mi jeszcze

drżały, choć serce się zżymało. „Ależ to jest ojczyzna garnków z farbami,” — rzekłem do siebie.

Pięćdziesięcioma kleksami pomazani na twarzy i członkach: takimi was ujrzałem ze szczerem zdumieniem, współcześni moi!

I pięćdziesiąt luster wokół was, co te pstre plamy powtarzają bez końca i schlebiają wasm niemi.

Dalibóg, lepszych masek nie moglibyście znaleźć, moi współcześni, nad własne wasze twarze. I który mógłby was — poznać!

Zapisani od góry do dołu znakami przeszłości, zaś te znaki zasmarowane nowemi znakami: takeście się znakomicie ukryli przed wszystkimi, co znaki tłumaczyć umieją.

I choćby się było badaczem nerek: któryby wierzył, że wy nerki posiadacie! Z farb was upieczono i ze sklejonych świstków.

Wszystkie czasy i ludy wyzierały pstro z poza waszych zasłon; wszystkie obyczaje i wiary wołały natrętnie z gestów waszych.

A gdyby kto z was wyzbył się swych zasłon, zawoi, barw swych i gestów swoich, — pozostałoby właśnie dość, aby straszyć ptaki tą pozostałością.

Zaprawdę, sam jestem tym wystraszonym ptakiem, co kiedyś nago was ujrzał i bez farby; i uciekłem w połochu, gdy ten kościoł trup miłośnie mnie przyzywał.

Wolałbym raczej być wyrobnikiem w jakimś dawnem piekle u cieniów. — Pełniejsi, jędźniejsi od was byli z pewnością nawet ci podziemnicy!

To, tak, to jest goryczą trzewi moich, że — nagich czy odzianych — zniesić was nie mogę, współcześni moi!

Cała tajemnicza groza przyszłości, i to wszystko, co kiedykolwiek twożyło ptaki zabłąkane w polotach, jest stokroć pewniejszem, przytulnym niemal, w porównaniu z tą waszą „rzeczywistością!”

Bo oto gdy mówicie: „Jesteśmy rzeczywiści, nawskróż prawdziwi, bez wiary i bez przesądów”: wydymacie chełpliwie piersi... ach, piersi nawet także nie mając!

Jakżebyście wy mogli wierzyć, wy pstrokaczną wszelaką zbryzgani, wy, co jesteście malowanemi obrazami wszystkiego, w co kiedykolwiek wierzono!

Jesteście żywem zaprzeczeniem samej wiary i torturowem kołem dla wszelkich myśli. Niewiarogodni! tako zwę was, wy, rzeczywiści!

Wszystkie czasy swarzą się kłotliwie w waszych duach; a wszystkich czasów sny i gawędy były stokroć prawdziwsze od waszych rzeczywistości!

Bezplodni jesteście: dlatego wiary wam brak. Kto tworzyć musiał, ten miewał zawsze swe sny prawdziwe i znaki gwiazdne na swojem niebie: on wierzył w wiare! —

Jesteście napół otwartemi wrótami, u których czuwają grabarze. Jedyna wasza rzeczywistość: „Wszystko wokół jest godne, aby zniszczało!“

O, gdy tak na was spojrzę, wy, jałowi, na tę nędzę żeber waszych! A niejeden z was wejrażał zapewne nie raz już na tę nędzę swoją.

I rzekł do siebie: „Zapewne jakiś bóg zabrał mi coś tajemnie podczas snu mego. Zaprawdę, dość, aby sobie z tego ulepić samiczkę.

Przedziwne jest ubóstwo żeber moich!“ — tak mawiał zapewne niejeden ze współczesnych.

O, pośmiewiskiem jesteście mi, współczesni moi! I osobliwie, gdy samym sobie się dziwujecie!

I biada mi, gdybym śmiać się nie umiał z waszych zdumień nad sobą, gdybym wszelki wstręt z czar waszych wypijać musiał!

Lecz oto lżej was brać muszę, bo mam rzecz ciężką do dźwigania. Krzywdy mi nie uczynią zuki i robactwo skrzydlate, gdy na mym węzeli osiądę!

Zaprawdę, nie zaciężą mi one w pochodzie moim!  
I nie przez was, współcześni moi, ogarnie mnie zmęczenie  
wielkie. —

O, dokądże dążyć mi jeszcze, dokąd się wspinać  
z tępnotą moją? Z gór wszystkich, ze szczytów wszelkich,  
spozieram na ziemie ojczyste i macierzyste.

Ale ojczynny nie znalazłem nigdzie. Przechodniem  
jestem w każdym mieście, tułaczem pod każdą bramą.

Obcy mi są i godni pośmiewiska współcześni, do których niedawno jeszcze rwało się serce! I oto wygnany  
jestem z ziem ojczystych i macierzystych.

I kocham jeszcze tylko ziemię dzieci moich, tę  
nieodkrytą, na wielkich rozlogach mórz dalekich. Tej  
ziemi, tej krainy nakażę żaglom moim szukać i szukać bez  
końca.

Na dzieciach moich chcę naprawić to, że m jest dziekiem  
ojców mych: na wszelkiej przyszłości — taką teraz  
niejedność! —

Temi słowy pouczał Zaratustra. =====

*DRUGA PIEŚŃ TANECZNA.*

I.

————— „W oczy twoje spojrzałem  
wreszcie, o życie: złoto błysnęło mi w twem sowiem, no-  
cnem oku, — i stanęło serce me w obliczu rozkoszy tej:  
— złota łódź błysnęła mi na nocnych wodach, toną-  
ca, chloniąca, i znów oto wabiąca złotej łodzi na czarnych  
wodach kołyska!

Na nogi moje, które szał taneczny ogarniał, rzuciłaś  
jedno spojrzenie, — drwiące, pytające, rozkoszą kołyszące  
spojrzenie.

Dwukrotnie tylko poruszyłaś grzechotki swe małemi  
dłońmi: — i oto kołysały się już me nogi, szalem tanecz-  
nym ogarnięte. —

I wspinały się już stopy me, nasłuchiwały ich palce,

aby ciebie zrozumieć: bo wszak tancerz ma ucho — w palcach stóp swoich!

Skoczyłem ku tobie: umknęłaś wstecz przed skokiem moim; i drażnił mnie złośliwie umykający, zwiewny włosów twoich język. Odskoczyłem precz od ciebie i od węży twoich: i oto stoisz już, wpółzwrocona ku mnie, w oczach poządliwości pełna.

Zdradnem spojrzeniem wabisz mnie na zdradne drogi; na zdradnych ściezkach nauczyły się nogi moje — chytrych podstępów!

Lękam się ciebie, o Blizka, kocham cię, o Daleka; twa ucieczka wabi mnie, twe poszukiwanie płoszy mnie: — cierpię, — lecz czegóżbym dla ciebie rad nie wycierpiał!

Ty, której chłód zapala, której nienawiść uwodzi, której ucieczka pęta, której szyderstwo... wzrusza:

— Kto dla ciebie nie żywił nienawiści, ty, potężna, wiążąca, motająca, kusicielko! — ty, co poszukujesz i co znajdujesz! Kto ciebie nie kochał, ty niewinna, ty niecierpliwa, jak wicher lotna, dziecięcka grzesznico ty!

Dokąd ciagniesz mnie teraz, niesfornico i niestatku ty? — już znowu uciekasz ode mnie, słodczy urocza? — niewdzięcznico!

W ślad za tobą tańczę, śladem twym podążam. — Gdzie jesteś? Rękę mi podaj! Lub bodaj jeden palec dłoni twojej!

Jamy są tu wokół i gąszcze: zблądzimy! — Bacznosć! Przebóg, stój! słyszysz, jak warczą skrzydła sów i nietoperzy?

Sowo ty! — ty, nietoperzu! Zwodzić mnie pragniesz?.. Gdzie jesteśmy?.. Od psów nauczyłaś się snadź tego wycia i brzechotania.

A teraz szczerzysz mi rozkosznie białe ząbków szeregi, a twe oczy, twoje złe oczy wyrywają się ku mnie z pod falistej grzywy loków twoich!

O, rozkoszny to tan, ten taniec poprzez głązy i wykroty: łowcą jestem, — chcesz mi być psem czy kozicą górską?

A teraz w krok przy boku moim! A chyżo, złośliwa ty skoczko!.. Bacznosć, — w górę! A teraz skokiem w dół! — Biada! Oto zwaliłem się z nóg w skokach tych szalonych!

Spojrzyj na mnie teraz, szaloną i zuchwałą, spojrzyj, jako powalony lezę i zmiłowania błagam. O jakżebym chętnie szedł z tobą milszemi drogami!

— szlakiem miłości poprzez barwne gaje. Albo tam wzdłuż jeziora, gdzie ryby złote płasają i tańczą!

Zmęczona -ś już! Patrz, tam w dole pasą się trzody i płoną zorze wieczorne: marzy się tak bosko, gdy pasterz na fletni śpiewne nuty wyciąga.

Bardzo zmęczona? Pójdz, poniosę cię; opuść tylko ramiona... I pragniesz? Miałbym ochłodę dla ciebie, lecz usta twoje pić tego nie zechcą!

O, przeklęty ty, zwinny i giętki wężu, wiedźmo ty zwrotna! Gdzieś mi uciekła!? A na twarzy czuję jeszcze dotknięcia dloni twoich, dwa ohydne czerwone kleksy na policzkach mych!

O, zaprawdę, znużyło mnie być ustawicznie tylko fletniowym twym owczarzem! Jeślim cię, wiedźmo, do tychczas opiewał, czekaj -że! — teraz ty mi krzyczeć będziesz! —

W takt bicza mego płasać mi będziesz i krzyczeć! Wszakżem nie zapomniał bicza swego? — O, po stokroć nie! —

---

## 2.

---

A życie mi na to, przysłania-  
jąc swe wdzięczne uszka:

„O, Zarastro, nie trzaskaj-że tak strasznie swem  
biczykiem! Wiesz przecież: hałaś myśli zabija. A nawie-  
dzają mnie właśnie łagodne myśli.

Jesteśmy oboje prawdziwie dwa „nidobrego“ i „nic-  
zlego.“ Poza rubieżą dobra i zła znaleźliśmy swą ziemię  
obiecaną i swe łany zielone; — my oboje tylko. Wypada  
nam więc być w zgodzie.

A jeśli się nie kochamy całą duszą, to *czyliż* mamy  
się dlatego wciąż trapić wzajemnie, że się nie kochamy  
całą duszą?

A żem ci jest szczerze skłonna, i niekiedy zbyt skłon-

na, wiesz wszakże o tem: przyczyną jest to, żem zadrosna o twoją mądrość; och, o tę szaloną starą dziewczę — mądrość twoją!

Jeśliby cię Twoja mądrość kiedykolwiek odbiedz miała, o, wiedz, że wówczas i miłość ma wnet cię opuści.” —

Potem spojrzało życie w zamysleniu poza siebie i rzekło cicho: „O, Zarathustra, tyś niedoś mi wierny!

Nie kochasz mnie wcale tak bardzo, jako mówisz; toć wiem, że o tem tylko myślisz, jakby mnie niebawem opuścić.

Jest jeden, prastary, ciężki, ogromnie ciężki dzwonnurk; nocą bije głuchy jego pomruk wzwyż aż do twej jaskini: —

— gdy o północnej godzinie dzwon ten słyszysz, o tem myślisz między pierwszym a dwunastem uderzeniem —

— o tem myślisz, Zarathustra, oh, ja wiem, że mnie niebawem opuścić chcesz!”

„Tak jest, — odparłem z wahaniem, — ale wiesz także —“ Szepnąłm jej coś na ucho, w tą puszystą, płową, uroczną matnię złotych jej włosów.

„Więc ty wiesz o tem, oh, Zarathustra?! Tego nikt nie wie. — — “

Spojrzałem na siebie, potem przenieśliśmy wzrok na zieloną ląkę, ponad którą biegł właśnie wieczór tchnieniem wilgotnym. I zapłakaliśmy oboje, — O, wówczas było mi życie stokroć droższem nad wszystką mądrość moją.—

Tak mówił Zarathustra. =====

3.

**RAZ!****Człowiecze, śpisz?****DWA!****Coś brzmi z północnej gęszy wzwyk!****TRZY!****„Jam spał, jam spał — ,****CZTERY!****„Z głębokich snu się budzę cisz: —****PIĘĆ!****„Świat — głębin zwał,****SZEŚĆ!****„Głębszych, niż, jawo, myślisz, śnisz.****SIEDEM!****„Ból — głębi król.**

OSIEM!

„Lecz — nad ból — rozkosz głębiej drga:

DZIEWIEĆ!

„Zgiń! — mówi ból.

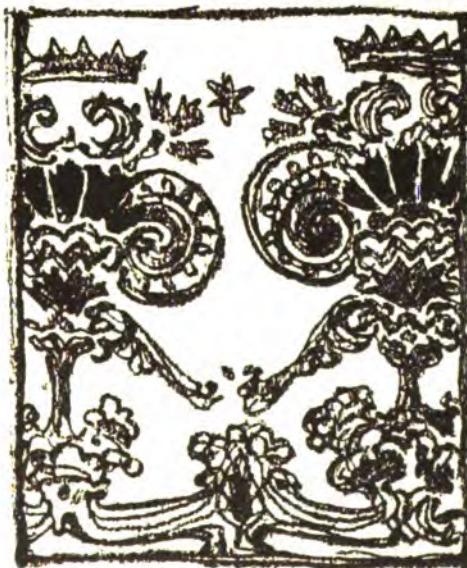
DZIESIĘĆ!

„Rozkosz za wiecznem życiem lka —

JEDENAŚCIE!

„ — wieczności chce bez dna, bez dna!”

DWANAŚCIE!



TŁOMACZYL W. B.  
ZURICH. 1894.

Fryderyk Nietzsche.

Z motywów ludowych.  
HISTORYA MORALNA O TRZECH SIOSTRACH I BOGATYM KRÓLEWICZU.



*osłał siostry trzy pan w babie lato na łan:  
Która nici najwięcej umota,  
Tej dostanie się korona złota,  
Tej dostanie się korona złota.*

*Strój se godny ma zwić ta, co panią chce być,  
Niechaj szatę z pajęczyn uszyje,  
Jakiej oko nie znało niczyje,  
Jakiej oko nie znało niczyje.*

*A jesienny był czas i z wiatrami pod las,  
By ze szatek anielskich len biały,  
Pajęczyny we słońcu latały,  
Pajęczyny we słońcu latały.*

*A świt modry już wszedł nad polami w mgle het,  
Bydło z rykiem ciągnęło pod zorze,  
I żórawie leciły za morze,  
I żórawie leciły za morze.*

*Więc najstarsza z trzech dziewcząt, siadła w cieniu śród drzew.  
Pajęczyny zbierała te siwe,  
Co opadły na łąkę, na niwę,  
Co opadły na łąkę, na niwę.*

*A weśrednia w ten czas szła na wygon pod las,  
Obaczyła z fujarką pastucha,  
Więc przysiadła opodal i słucha,  
Więc przysiadła opodal i słucha.*

*A najmłodsza szła wkrąg, śród ugorów i łąk,  
Obaczyła sznur długiego żórawiego,  
Jak we słońcu jesieniem się pławi,  
Jak we słońcu jesieniem się pławi.*

*W ślad za niemi precz szła nad polami by mgła,  
Aż zjaśniała po sobie od słońca,  
Za ptakami na wyraj lecąca,  
Za ptakami na wyraj lecąca.*

*A gdy przeszedł już dzień i na pola zszedł cień,  
Powracały trzy siostry do chaty,  
Że to jedzie królewicz bogaty,  
Że to jedzie królewicz bogaty.*

*Starsza przodem w dom szła, kłebek nici już ma,  
A raduje się w drodze a chlubi,  
Że ją właśnie królewicz poślubi,  
Że ją właśnie królewicz poślubi.*

*A weśrednia szła z nią, oczy żarem się skrzą,  
 Nie chwytała z pastuchem pajęczyn,  
 Myśli jeno o dniu swych zareczyn,  
 Myśli jeno o dniu swych zareczyn.*

*A najmłodszej z nich ukrąg, u korali i wstag,  
 Nitki lśnią jak haft słońca bogaty.  
 I tak wraca świecąca do chaty,  
 I tak wraca świecąca do chaty.*

*Pan przyjechał na dwór do rodziców trzech cór,  
 A że młodsza najpiękniej rozwita,  
 Więc się do niej obraca i pyta,  
 Więc się do niej obraca i pyta:*

*Takaś piękna jak cud, słońcem świecisz od wrót,—  
 Czyś pajęczyn zebrała już wiele,  
 Czy nam, kraśna, zagraj w kościele,  
 Czy nam, kraśna, zagraj w kościele?*

*A ta oczy w dal śle, ani słuchać go chce:  
 Miałam zblizka to słońce złocone,  
 Schowaj, panie, twą złotą koronę,  
 Schowaj, panie, twą złotą koronę.*

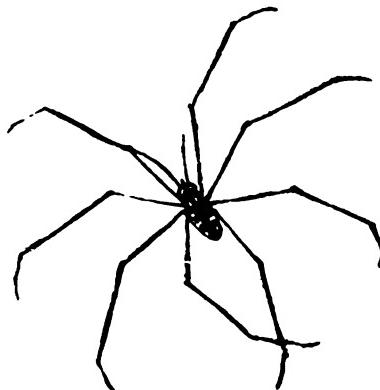
*Więc przed średnią pan wstał, złoty pierścionek jej dał:  
 Ty mi będziesz kochanką i żoną,  
 Kraśna dziewczynko, już tak ci sądzono,  
 Kraśna dziewczynko, już tak ci sądzono.*

*Lecz ta, płonąc by mak, odpowiada mu tak:  
 Niechaj siostra ci żoną ostatnic,  
 Ja innego miluję już, panie,  
 Ja innego miluję już, panie.*

*Chcę w chatupie z nim żyć, z ust mu słodkość chcę pić.  
On mi śpiewa za wsią na wygonie,  
Pasający tam bydło i konie,  
Pasający tam bydło i konie.*

*Pan odwrócił swój wzrok i ku starszej szedł krok,  
A miał lica okrutnie ssepione,  
Bo nie była urodna na żonę,  
Bo nie była urodna na żonę. —*

*Uśmiechnęła się don i podała mu dłoń,  
Kłebek ręką trzymała już drugą.  
Żyła z panem szczęśliwie i długo,  
Żyła z panem szczęśliwie i długo.*



Bronisława Ostrowska.

## Świnie w lesie. (BAJKA).



Karol Dickens opowiedział nam coś o świńi, od tego czasu samo jej chrząkanie wprowadza nas w doskonały humor. Święty Antoni okrył przytem to zwierzę aureolą swej chwały. Gdy się wreszcie pomyśli o „synu marnotrawnym” jest się w jednej chwili jakby pośrodku chlewu.

A więc — przed chlewem zatrzymał się oto nasz powóz w podróży po Szwecji. W bok od gościa, tuż obok chałupy wystawił sobie chłop chlew nielada. Była to, ni mniej ni więcej, tylko galowa kareta bez siedzeń, kół i dyszla; leżąc ocięzale na brzuchu, dawała schronienie aż czterem świniom. Trudno przesądzać, czy byli to pierwsi jej goście, natomiast nie ulega wątpliwości, że dzisiejszy chlew był z pochodzenia najczcigodniejszym ekwipażem galowym; świadczyły o tem bodaj strzępy safianu zwieszające się z pułapu; — całość wreszcie sprzętu mówiła wymownie o lepszych dniach.

— „Uff! — uff!“ — wzdychano wewnątrz; kareta zaś

trzeszczala załośnie nad smutnym końcem, na jaki jej przyszło. „Przepadło piękno!“ — wzdychała, a raczej mogłaby, lub powinna byłaby wzdychać.

Na jesień znaleźliśmy się w tych stronach po raz drugi. Karta stała na miejscu, ale otwarta na przestrzał i pusta. Świnie gospodarowały w lesie o tej porze. Reszta liści i kwiatów poospypała się z drzew, deszcze i zawieruchy smagały nagość pni, nie dając im ani chwili wytchnienia; ptactwo opuściło bór. „Przepadło piękno! — Urocza zielein lasu, ciepły promień słoneczny, ptaszat świegot: wszystko to minęło! zginęło! przepadło!“ Tak skarzyło się coś i trzeszczalo we wszystkich konarach wysokich drzew, takie westchnienie zrywało się co chwila załosną skargą: westchnienie bolesne, dobyte z głębi serca polnego krzewu róży, oraz tego, co się pod nim o tę porę ukrywał. Był to rózykrólik. Znasz go chyba? Rózykrólik wielką brodą osnuwa się cały, piękną czerwono-zielonawą brodą; po tem łatwo go poznać. Pod jesień, gdy wszystkie kwiaty z polnej róży opadną i tylko głogi czerwienią się na nagich gałęziach, ujrzyz pod krzem duży czerwono-zielonawy kwiat; z ciemienia wyrasta mu mały zielony listek, jest to pióro rózykrólika. Pod krzewami polnej róży na jesień jest to jedyny człeczek w swoim rodzaju. On to wzdychał tak i skarzył się bez końca:

„Minęło! zginęło! — Przepadło piękno! Róże powiędły, liście opadły. Mokro tu, głucho, zimno! Ptaki zamilśli, świnie wyszły na żer żołędziowy, — świnie są panami lasu!“

Nastały chłodne noce i szare mroczne dni; kruk milo to uwijał się żwawo po gałęziach i śpiewał raźnie: „chwat! chwat!“ Kruki i wrony poobsiądały najwyższe konary. Kruki i wrony mają zawsze wokół siebie swę bardzo liczne familie i powtarzają sobie nawzajem: „brawo! brawo!“ Przecież tłum zawsze ma racyę.

Na leśnym wygonie tuż, pod drzewami, rozlała się wielka kałuża; tu się tłoczyła świńska trzoda, stare i małe pchały się jedne przez drugie w błoto: miejsce to wydawało się wszystkim tak niebyvale pięknem. „*Oui*,“ — potwierdzali wszyscy, nieco zwięzle wprawdzie, ponieważ nie władano biegłe językiem francuzkim. Mówiono wszakże „*oui*,“ a i to coś znaczy: wszystkie bo świnie były bardzo mądre i bardzo tłuste.

Stare leżały spokojnie i myślały poważnie, małe natomiast kręciły się bez wytchnienia, ustawicznie czemś zajęte. Jedno małe prosię miało ogonek zwinięty w obwarzanek, ogonek ten był dumą matczyną; zdawało się matce, że wszyscy nań patrzą i o nim wyłącznie myślą. Ale wszyscy nie patrzyli właściwie na ten ogonek i nie zastanawiali się nad nim, ponieważ każdy myślał o sobie, o rzeczach pozytecznych i o tem, na co właściwie istnieje las.

Z dawien dawna wiedziano, naprzylegając, że żołędzie rosną u korzeni dębowych; na to przecież skopywano ryjami ziemię u stóp dębów. Aż tu zjawia się małe prosię, — że ta młodzież wszędzie „nowinki“ wnosić musi! — otóż małe prosię twierdzi ni mniej ni więcej, tylko, że żołędzie spadają z gałęzi. Na nie oto spadł raz żołędź, wycał je mocno w głowę i naprowadził w ten sposób na ów śmiały domysł. Roztropne prosię wszczęło ścisłe obserwacje i dokładne badania, poczem utwierdziło się niezłomnie w powiętej idei. Starzy odwracali głowy i wtykali do kupy ryje. „Uff! — mówili, — uff! — Minęły piękne czasy! Niema już słówików! Owoców chcemy! Co może być pożarem, jest zdrowiem, a my pożeramy wszystko!“

„*Oui! oui!*“ — potwierdzali wszyscy.

Matka jednak spoglądała bez koñca na swe prosię z obwarzankowym ogonkiem. „Nie należy mimo wszystko zapominać o pięknie,“ — ostrzegała.

„Brawo! brawo!“ — zawała wrona i sfrunęła czem-

prędzej z drzewa, aby być zaangażowaną jako słowik. Słowik przecież był konieczny; poruczono tedy co prędzej słowiczą czynność wronie.

„Minęło! zgniło!“ — wzdychał różykrólik. — „Przepadło piękno!“

Wokół było mokro, szaro, zimno i wietrzno. Wicher z deszczem smagał opustoszałe pola i nagi las; chmurnym, mrocznym całunem zasnuwał się świat.

Gdzie ptak, co tak niedawno jeszcze świegotał w gąszczu? gdzie kwiaty, co barwiły leśną polanę? gdzie słodkie jagody boru? — Minęło! przepadło!

Lecz oto zapaliło się światło w odległej leśniczówce. Zapłonęło jak gwiazda i rzuciło długiego promień między mokre pnie. A wraz z nim rozdzięczał śpiew w tej stronie. Tam w świetle lampy igraly dzieci wokół dziadka, co z otwartą biblią na kolanaach opowiadał o Bogu, o życiu wiecznym, o wiośnie, o wiecznych nawrotach życia, o lesie, co się znowu zazieleńi, o różach, co znów zakwitną, o słowikach, co się wówczas odezwą; o tem, że przyjdzie czas, gdy znowu jako pan i władca wystąpi piękno!

Lecz biedny różykrólik nie słyszał tego, niestety; skulony pod krzewem polnej róży, w mroku, chłodzie i wilgoći, wzdychał wciąż żałośnie: „Minęło! Przepadło!“ — Świnie były tymczasem panami lasu, a maciora podziwiałą bez końca obwarzankowy ogonek swego prosięcia.

„Zawszeć pozostał przecie ktoś, co ma poczucie piękna,“ — myślała z błogością.



PRZEŁOŻYŁ T. W.

H. C. Andersen.

**List autora „Próchna.”** — Szanowny Redaktorze!

Upraszam o pomieszczenie tych kilku słów, nie w sensie dopełnienia lub posłownia do powieści, lecz jako konieczne zastrzeżenie się co do niektórych punktów ogólniejszej natury. Przedewszystkiem, nie mogąc robić odsyłaczy w samej powieści, pragnąłbym przypomnieć zawodnej pamięci czytelnika źródła tych fragmentów wierszowych, jakie w toku opowieści podwinęły mi się pod pióro. A więc:

w zeszycie 10 - 11 - 12, str. 331 trójwiersz *Leopardiego*, str. 219 dwuwiersz *Goethego*; w zeszycie 7 - 8, str. 178 i 213, trójwiersze *Baudelaire'a*, str. 183 ustęp ze *Słowackiego*; zeszyt 6, str. 418, fragment sonetu *Miriamy*; zeszyt 4 - 5 str. 199 — *Słotnickiego* (Lambro). — Inne fragmenty wierzowane są mojemi próbami.

Co się tyczy dwóch ostatnich rozdziałów, to czerpiąc z prastarych, niewątpliwie dostępnych, lecz dla każdego otwartych skarłów ducha i poezji wschodu, nie sądzę się być obowiązanym do żadnych odsyłaczy i wyjaśnień.

Nieuprzedzony czytelnik — wszystko jedno, czy będzie znaną rzeczy wschodnich, czy nie — zrozumie, że, w wązkich ramach dwóch rozdziałów powieści, nie silim się bynajmniej na zobrazowanie ortodoksalnego buddyzmu, lub współczesnych poglądów teozoficznych, lub w ogóle obowiązujących kanonów jakich bądź wierzeń; że jeśli tu o wierzeniach może być mowa, to wyłącznie tylko o osobistych, bynajmniej nie ścisłych w stosunku do przypuszczalnych źródeł; że najważniejszym z tych źródeł jest więc bądź co bądź treść osobistych uczuć i życia. (Dotyczy to oczywiście nie autora, lecz powieściowej postaci.) Właściwie, zasadniczy jedynie tom w obu rozdziałach jest buddyjski, na tem ogólnem tle znajdują się między innymi i myśli o charakterze raczej bramińskim, które zawdzięczam reminiscencjom z dostępnych mi ułomków Rig-Vedy, Upanisad, Bhagavad-Gity. Dla przykładu jedynie wspomnę, że prapierwiastek *Agni*, wraz z jego definicją, jest rzeczą nawskroś dowolną, nie mającą nic wspólnego z buddyjskim „*Akasa*” lub bramińskim „*Atman*.“ — Dotyć tego! Odsyłacze, dopiski, nawet ścisłość naukowa nie jest moim obowiązkiem, póty przynajmniej, póki te rzeczy poruszam w powieści.

Obowiązującym dla tej ostatniej jest, wprost naodwrót, wyłącznie indywidualny, jedynie subjektowy kąt widzenia, w którym stąpać się i harmonizować mogą pierwiastki rozmaitych wierzeń. I nie mój to kąt widzenia, lecz tego typu, jaki naszkicować próbowałem w tem przekonaniu, że dzisiajści bankruci duchowi nie tylko na te rzeczy faktycznie już natrafiają, ale, zmęczeni „samymi sobą”, coraz częściej na nie natrafiają wprost muszą.

Wszelkie więc aluzje co do tego, że ktoś „propaguje” Nirwanę i widzi w niej rozcięcie jakichkolwiek duchowych, czy zyciowych węzłów, będą równie płytkie jak zwyczajowe. Podpisuję się pod rysunkiem postaci, nie zaś pod jej wierzeniami i sądami. Roli niewczesnego proroka czy sekciarza pośród swojskich snobów, ciekawych nowostek a gnuśnych myślą, — powstydziłbym się również szczerze jak zawodu niewolniczego kopisty jakichbądź katechizmów: prastarych buddyjskich czy też najnowszych, dzisiejszych katechizmów dziennikarsko - obywatelskiej moralności.

Wobec usunięcia właściwej akcyi w międzyrozdziały, wyrzucenia jej po za nawias powieści, wobec pozostawienia jedynie koniecznego tła wrażeń, chloniętych przez owo próchno, dla którego rozkładowym fermentem jest wyobraźnia i nielitościwie czujna myśl, — nie o moralność tam chyba iść może, lecz o prawomysłość i prawowierność. W tem znaczeniu, moralniejszym jest oczywiście ten, którego duch nie błądzi, ponieważ śpi, jego „strawa” — „zdrowa”, ponieważ w setkach ust już przeżutą i prześlinioną; taki na niczem nie bankrutuje, ponieważ niczego sam nie szuka, ponieważ rzetelnie, szczerze i wewnętrznie w nic już nawet wierzyć nie pragnie. Jemu wystarcza owa na użytku zewnętrzny służąca, lecz z własnym wnętrzem „twórcy” nic niemająca wspólnego — „sztuka.”

Są wszakże i inni, dla których sztuka jest najostatniejszą potrzebą ducha, przyrodzonem piętnem umysłowości, „głodem i bólem ich wnętrzości,” kleksową rozterką z życiem, nieraz fatalistyczną wprost koniecznością wglebiania się całą siłą myśli i uczucia we wszystkie wrażenia, objawy i w samych siebie, a więc we wszystkie przekazane wartości, normy, dogmaty i wierzenia. Wśród czujących, co zarazem i myśleć potrafią, jest takich wielu, dziś więcej niż kiedykolwiek. I oni wszyscy, niezależnie od tego, czy władają artystycznem narzędziem, czy się udzielają lub nie, wszyscy oni są dziećmi sztuki, są prawymi artystami. Zaś wśród szukających jest wielu takich, których głód wrażeń rzuca w zle wiry wielkomiejskie, głód ducha wiedzie na beznadziejne błędne ścieżki; jedno i drugie szczepi im niemoc serdeczną, jad wyłącznie myśli o „sobie samym”,

i kruszy im w dloniach miary wszelkich wartości. Dziś więcej niż kiedykolwiek. I oto gdzie się zaczyna próchno.

Który z tych dwóch przedstawicieli artyzmu i sztuki jest „moralniejszym” nie może być wątpliwości, natomiast powstać może poważne pytanie, który z nich niesie ze sobą zarodki przyszłości? który na przyszłe ciemne drogi ducha ludzkiego wnosi choćby najdrobniejsze plomyki świadomości? Może niejeden pomyślał już nad tem, że błądzący duch jest bądź co bądź więcej wart od sennego i upartego, z których pierwszy rodzi wokół łatwe zadowania, drugi z brutalną zawziętością wyrywa wszystkie nowe kielki dlatego tylko, że swój wzrost nie tak rozpoczynają jak to stare drzewa czynili. Może niejeden zastanowił się już nad tem, że tam, gdzie drga i krwawi serce, gdzie myśl pracuje bezustannie i zrywa się do najwyższych wzlotów, że tam nie może chyba być mowy wyłącznie tylko o niemoralności? że niespokojna twórcza myśl szukająca nowych dróg najłatwiej na błędne ścieżki schodzi i że te jej błądzenia nie są zupełnie bezowocne? że próchno staje się wszak z czasem płodną mierzą, na której kiedyś dziewczę nawet bory wyrosnąć mogą? że klęska nieodwoalna zaczyna się tam dopiero, gdzie rodzajną bądżecobądż próchnicę przysypią piaski jałowe?

„To całe współczesne jakoby próchno duchowe — to jest rzecz fikcyjna! Cela n'existe pas, ponieważ tego nie widać na mojem podwórzu.” — Ta roztrąpna uwaga powinna uspokoić najbardziej. Jako środki ułatwiające wskazuję: czysto formalny, celowy zresztą wzgląd, że rzecz dzieje się na wielkomiejskich brukach Europy (a więc: zagraniczność! nieswojskość! *A beau mentir, qui vient de loin!*); następnie, wspomniane powyżej dwa ostatnie rozdziałы powieści (a więc: „nauki tajemne!” buddyzmy! *A beau mentir* i t. d.). Tego wszystkiego u nas niema!

A jeśli czasem z cudzego podwórza zaleci tchnienie rozkładu, śmierci, a nawet zbrodni, jeśli, u nas zwłaszcza — (wobec braku wielorakich i głębszych zainteresowań t. z. inteligencji) — tchnienia takie stać się mogą niebezpieczeństwem nietylko dla starych panien i teatromanek; — czyżby wtedy tłumaczyły rzeczą w dostatecznej mierze plotka, oszczerstwo i koncept? Czyżby wszelka próba wyjścia po za etyczną metodę tłumaczenia zjawisk społecznych była zuchwałym zamachem na „społeczne zdrowie”?

Ale czynić z tego wszystkiego niebezpieczeństwo społeczne wolno ponownie tylko, gdy się w porozumieniu z gazetami wy-

wiesi sztandar bojowy z napisem: przeciw — „pozytywistom,” „liberałom,” „masonom,” „nadludziom” lub „dekadentom.”

A więc przypuśćmy na chwilę... dekadenci. — „Jakże miło! Oto jak sami siebie... i t. d.” Jest kogoś czems obryzgać. Dosyć wywiązać pierwsze lepsze zdanie z całości, bez właściwego oświetlenia, bez ducha, jakim całość przemawia. Tam, gdzie o duchowym rozkładzie mowa, znajdzie się dosyć błota dla obryzgania nim przedewszystkiem tego, co na nie wskazywać się ośmiela. Winien jest ten, co widzi i czuje. — Czyżby tylko ślepy lub obłudny był „zdrowym” czynnikiem społecznym?

Wszystko to nie dotyczy jednak rzeczy najważniejszej i jedynie decydującej, która winna być nerwem utworu od pierwszego słowa, ciałem jego i krwią, słupem kregowym i mleczem pacierzowym, — nie dotyczy powieści *ad meritum* jako utworu sztuki. Ale o tem pod żadnym pozorem czy pretekstem nie zamierzałbym mówić, i z całym naciskiem zastępuję się, że pisząc te kilka słów, w mojem przekonaniu niezbędnych, miałem na uwadze jedynie obronę ducha całości, obronę myśli własnych! Koniecznemi wydają mi się te słowa również ze względu na stanowisko, zamierzenia i cele „Chimery,” która w pierwszym swym roczniku, mając przed sobą ludzi bądź co bądź nowych, a wokół siebie jawną i ukrytą złą wolę, musi niejedno akcentować dobrinie, domawiać wyraźniej, niżli to było zamiarem redakcyi i piszących.

Być może, iż ten list zawiedzie mą powieść do czyniejs szufladki z napisem: „nie sztuka, lecz publicystka.” Rzecz znana! Są „estetycy” społeczni, dla których „sztuka czysta” jest sztuką bezmyślnią, i naodwrót myśl w dziele sztuki — jego tendencją.

Racz przyjąć, Szanowny Redaktorze, zapewnienie — głęboko odczutej wdzięczności za udzieloną mi swobodę myśli i wolność słowa: za tę dziwnie rzadką u nas możliwość szczególnego wypowiedzenia się w powieści bez lawirowania pośród rozmaitych „względów,” które prowadzą koniec końców najbardziej nawet opornych do wązkiego korytarza „miejscowych wymagań” obywatelskiej poczytności pisma. — Jeśli ma próba oświetlenia „próchna” jego własnym światłem chybila, mam to zadośćuczynienie, żem ją podjął i że znajdzie się może ktoś inny, co ją w twojem piśmie szczęśliwiej ode mnie rozwiąże.

Warszawa, d. 30. III. 1902.

Wacław Berent.

**Od redakcji.** — Niniejsze trzy zeszyty (10, 11 i 12), złączone w jeden, zamykają rocznik pierwszy naszego wydawnictwa. Nieprzewidziane przeszkody nie pozwoliły nam wydać ich w terminie, jaki zapowiedzieliśmy w № 6-ym. Na opóźnieniu tem, równie jak na poprzednich (łatwo zresztą zrozumiałych przy tworzeniu zupełnie nowego — i co do treści, i co do formy — typu wydawnictwa), straciliśmy TYLKO MY JEDNI, zniechęcając sobie niecierpliwych abonentów, przykładających większą wagę do ścisłego dochowywania terminów, aniżeli do wartości samego pisma. Wytrwałych czytelników, którzy pozostali nam wierni, przepraszamy za przykrość, jakiej doznawali niejednokrotnie, oczekując zbyt długo na zeszyty następne; ufamy wszakże, iż, zważywszy bezstronnie winy nasze oraz zalety, łatwo nam ją wybaczą.

Na przyszłość wszelako, w interesie własnym (aby nie dokładać tak dużo, jak dołożyliśmy w pierwszym roku), chcemy zapobiedz stanowczo wszelkim opóźnieniom, doganiamom — i wynikającym z tą niesłownością. W tym celu — ponieważ pierwsze półrocze zbiegło nam na uzupełnianiu pierwszego rocznika — OGŁASZAMY NA ROK BIEŻĄCY TYLKO PRENUMERATĘ PÓŁROCZNĄ (LUB DWUKWARTALNĄ) OD 1-go LIPCA R. 1902 DO 1-go STYCZNIA R. 1903. Wydane w ciągu tego półrocza 6 zeszytów złożą się na tom V-ty i VI-ty wydawnictwa, od 1-go zaś stycznia roku 1903 rozpoczęcie się rocznik trzeci Chimery, obejmujący znowu normalne 12 zeszytów czyli 4 tomy (VII, VIII, IX i X).

Co do treści naszego wydawnictwa w tym dalszym ciągu jego żywota, nie mamy nic do dodania ponad to, cośmy powiedzieli we wstępny prospektie. Celem naszym jest zawsze czysta, wolna od przemijających tendencji, stojąca zdala od jednodniowych kabatyńskich hasł i kierunków, zawsze ta sama, niezmenna, prawa i wielka sztuka. Na imputowane nam z uporem baraniam przez pewne sfery dziennikarstwa warszawskiego „modernizmy” i „secesye” wzruszyć tylko możemy ramionami.

Co do strony zewnętrznej, czytelnicy nasi przekonali się już zapewne w pierwszym roku, że dajemy znacznie więcej, niżśmy obiecywali w prospekcie. Mogą być zatem spokojni, że i nadal nienajmniej dbać będziemy o coraz nowe ulepszenia.

Ponieważ wydawnictwo nasze jest nader kosztowne, prosimy o wcześnie zgłoszenie prenumeraty, gdyż ilość nakładu stosować będziemy scisłe do liczby abonentów.

CHIMERA.



PIS RZECZY, UŁOŻONY  
ALFABETYCZNYM PO-  
RZĄDKIEM WEDŁUG  
NAZWISK AUTORÓW.  
ROCZNIKA PIERWSZE-  
GO TOM IV. — 1901.

H. C. ANDERSEN

(*przet. T. W.*)

Swinie w lesie . . . . . 460

WACŁAW BERENT

Próchno, powieść . . . . . 216

OTOKAR BRZEZINA

(*przet. Z. P.*)

Tajemnicze w sztuce . . . . . 380

CHIMERA

Varia . . . . . 464

STANISŁAW DĘBICKI

Ozdoby . . . . . 131; 289 i 463 (*przerys.*)

AUGUST DONNAY

Zakończenie . . . . . 387

ALBRECHT DÜRER

Z „Apokalipsy” dwa rysunki. Dodatki do № 10—11—12.

JERZY EEKHOUD

(*przet. Marya Komornicka*)

Chwała Lutterathu . . . . . 406

ANDRZEJ GIDE ( <i>przet.</i> I. N.)	
Prometeusz zle spętany . . . . .	37
HIROSHIGE ( <i>przerwys.</i> K. Krzyżanowski)	
Nagłówek. . . . .	422
HOKUSAI	
Rysunki w tekście . . . . .	391, 405, 459
JÓZEF JEDLICZ	
<i>Sny i tęsknoty</i> . . . . .	369
JAN KASPROWICZ	
<i>Judasz</i> . . . . .	143
JOHN KEATS ( <i>przet.</i> Jan Kasprowicz)	
<i>Hyperion</i> (Księga III) . . . . .	422
FERNAND KHNOPOFF	
Stronnica tytułowa . . . . .	187
Zakończenie. . . . .	215
MARYA KOMORNICKA	
Czarne płomienie. . . . .	164
<i>Nasajutrz</i> . . . . .	388
KORIN	
Zakończenie. . . . .	399
STANISŁAW TURBIA-KRZYSZTAŁOWICZ	
Rysunki w tekście . . . . .	216, 218, 221, 233, 236, 237, 238, 239, 243, 246, 247, 251, 252, 253, 255, 259, 262, 267, 272, 273, 278, 283, 287, 288, 293, 295, 297, 301, 303, 305, 307, 308, 309, 311, 315, 320, 324, 330, 333, 334, 335, 341, 348, 351, 356, 357, 360, 363, 365, 367, 368.
JÓZEF MEHOFFER	
Rysunki w tekście . . . . .	428, 455, 456

## TADEUSZ MICIŃSKI

Historya dwojga kochanków i pani Hoan-tho . . . . .	131
<i>Minotaur</i> . . . . .	392

## KOŁO MOSER

Nagłówek . . . . .	164
--------------------	-----

## K. NIEMCZYKIEWICZ

Nagłówek . . . . .	473 ( <i>przerys.</i> )
--------------------	-------------------------

## FRYDERYK NIETZSCHE

(przet. W. B.)

Fragmenty z „Zaratustra” . . . . .	428
------------------------------------	-----

## CYPRYAN KAMIL NORWID

<i>Wanda</i> . . . . .	I
------------------------	---

## EDWARD OKUNI

Rysunki w tekście . . . . .	143, 145, 148, 150, 155, 162, 163, 369, 379
-----------------------------	---

## BRONISŁAWA OSTROWSKA

<i>Z motywów ludowych</i> . . . . .	456
-------------------------------------	-----

## IGNACY PIĘNKOWSKI

<i>Zakończenie</i> . . . . .	421
------------------------------	-----

## EDWARD PORĘBOWICZ

<i>Ballady szkockie i angielskie</i> . . . . .	III
--	-----

## JERZY RODENBACH

(przet. El-ka)

<i>Z cykłów: „Królestwo milczenia” i „Życie zamknięte”</i> . . . . .	187
--	-----

## FELICYAN ROPS

<i>Zakończenie. (Dewiza)</i> . . . . .	476
--	-----

## SHIOKOKU

<i>Zakończenie.</i> . . . . .	186
-------------------------------	-----

<i>Winieta</i> . . . . .	395
--------------------------	-----

## FRANCISZEK SIEDLECKI

<i>Zakończenie.</i> . . . . .	402
-------------------------------	-----

## LEOPOLD STAFF

*Pogoda jesienna* . . . . . 395

## JAN STANISLAWSKI

Rysunek w tekście . . . . . 460  
 Villa d'Este, autolitografia w 5 kolorach. Dodatek do № 10-11-12.

## MARYAN WAWRZENIECKI

Ozdoby w tekście . . . . . 1, 5, 7, 8, 10, 11, 15, 16, 24, 25, 28, 29,  
 36, 111, 115, 116, 121, 122, 124, 125, 127, 128, 130, 392, 427

## MIKOŁAJ WISZNICKI

Nagłówek. . . . . 380

Rysunek na okładce do № 10—11—12.

## KAZIMIERA ZAWISTOWSKA

*Jesienną nocą* . . . . . 398

## HENRYK ZBIERZCHOWSKI

*Wicher rozpięty*. . . . . 400

## MARYAN ZBROWSKI

*Przebudzenie* . . . . . 403





INDEKS ALFABETYCZNY UTWORÓW ZAMIESZCZONYCH W I-YM ROCZNIKU CHIMERY, UŁOŻONY WEDŁUG TYTUŁÓW LUB SŁÓW POCZĄTKOWYCH.

<i>Ach, już nie pojdusem w bór</i> . . . . .	III. 382
<i>Ad Leones</i> . . . . .	I. 34
<i>Angielskie i szkockie ballady</i> . . . . .	IV. 111
<i>Anioł Pański</i> . . . . .	I. 296
<i>z „Apokalipsy“ dwa rysunki. Dodatki do № 10-11-12.</i>	
<i>Apollo. Dodatek do № 4-5.</i>	
<i>Architektura (kron. mies.)</i> . . . . .	I. 542
<i>Attalea princeps</i> . . . . .	II. 156
<i>Axel</i> . . . . .	I. 103, 239, 426; II. 75
<i>Babie lato</i> . . . . .	III. 331
<i>Bajeczki</i> . . . . .	I. 532
<i>Barwy</i> . . . . .	II. 149
<i>Breask</i> . . . . .	I. 297
<i>Chimera. Dodatek do № 1.</i>	
<i>Chwala Lutterathu</i> . . . . .	IV. 406
<i>Chwile</i> . . . . .	III. 433
<i>Czarne płomienie</i> . . . . .	IV. 164
<i>Czasopisma nadesiane</i> . . . . I. 358, 546; II. 351, 511; III. 324	
<i>Czas żarów</i> . . . . .	II. 148
<i>Droga</i> . . . . .	III. 279
<i>Drzeworyt japoński</i> . . . . .	I. 490
<i>Drzewo samotne, obnażone</i> . . . . .	II. 152
<i>z Duńsko-norweskiej poesji ludowej</i> . . . . .	I. 47, 225
<i>Dusza dostojska</i> . . . . .	II. 12
<i>Dusze (z cyklu)</i> . . . . .	II. 169
<i>Dziadek</i> . . . . .	III. 271
<i>Dziękczyñenie</i> . . . . .	I. 487
<i>Ἐσπερε, πάντα φέρεις</i> . . . . .	III. 394
<i>Feconditas</i> . . . . .	III. 455
<i>Filoktet</i> . . . . .	III. 397
<i>Fragmenty</i> . . . . .	III. 460
<i>Glossy</i> . . . . . I. 146, 340, 535; II. 313, 502; III. 300, 477	
<i>Gra</i> . . . . .	I. 96
<i>Gra o stawkę. Dodatek do № 3.</i>	
<i>Grota</i> . . . . .	II. 176
<i>Historya dwojga kochanków i pani Hoan-tho</i> . . . . .	IV. 131
<i>Hymn św. Franciszka z Assyżu</i> . . . . .	III. 103

<i>Hyperion</i>	II.	288;	III.	255;	IV.	422	
<i>I prayszała szara wieczorna godzina</i>					III.	458	
<i>Jesienna</i>					I.	102	
<i>Jesienną nocą</i>					IV.	398	
<i>Judasz</i>					IV.	143	
<i>Kiedy przyjdiesz?</i>					II.	175	
<i>Kiedy rosły spadną</i>					III.	457	
<i>Klinga</i>					II.	170	
<i>Kobieta z lusterkiem. Dodatek № 3.</i>							
<i>Komurasaki</i>					II.	446	
<i>Kościół św. Marka. Dodatek do № 2.</i>							
<i>Królestwo milczenia</i>					IV.	187	
<i>Krucyata dziecięca.</i>					III.	229	
<i>Książki nadesiane</i>	I.	181, 356, 545;	II.	351, 510;	III.	323	
<i>Las</i>					I.	101	
<i>Licencyat Torralba</i>				II.	361;	III.	1
<i>Lilia wodna</i>					II.	309	
<i>List</i>					II.	174	
<i>List do Walentego Pomiana Z.</i>					I.	185	
<i>Los geniuszów</i>					I.	9	
<i>Łkają przeciągle dzwony niesporne</i>					II.	151	
<i>Magdalena</i>					I.	99	
<i>Minotaur</i>					IV.	392	
<i>Modlitwa do duszy (Pani gwiazd...)</i>					III.	459	
<i>Modlitwa do duszy (Przedziwnych baśni...)</i>					I.	293	
<i>Modlitwa przed czynem</i>					III.	397	
<i>Moja pieśń wieczorna.</i>					I.	17	
<i>z Motywów ludowych.</i>					IV.	456	
<i>Mur.</i>					II.	168	
<i>Muzyka (kron. mies.)</i>			II.	335;	III.	321	
<i>Nadchodzi noc</i>					II.	147	
<i>Nadzieja lśni.</i>					II.	153	
<i>Na Synaj</i>					I.	2	
<i>Na wyciągniętych deseczą strunach</i>					II.	150	
<i>Nazajutrz</i>					IV.	388	
<i>Nekrolog (kron. mies.)</i>			I.	550;	III.	330	
<i>Nokturn.</i>					II.	498	
<i>Ocзы. Włosy. Usta.</i>					II.	303	
<i>Ogród zaklęty.</i>					I.	289	
<i>Okladki №№ 1, 2, 3, 6, 7, 9, 10.</i>							
<i>Opętał szat</i>					II.	173	

O przyjdeś, jesienią.	II. 155
O słońcu	I. 421
Oto jest święto sboża.	II. 154
Ozdoby w tekście <i>passim</i> .	
Pamięci Juliusza Zeyera	I. 1
Parno. Ze stawu idzie rechot sabi	II. 171
Pies	I. 94
Pieśń	I. 299
Pieśni saleńca	II. 436
Pięsi o starym żeglarsu	I. 367
Plac Maksymiliana w Monachium. Dodatek do № 6.	
Poezya (kron. mies.)	I. 151, 345; II. 318
Pogoda jesienna.	IV. 395
Pójdź. Stomiany kapelusz w lózku	III. 383
Powieść (kron. mies.)	III. 312
Powrót Tannhäusera na Venusberg. Dodatek do № 9.	
Próchno.	II. 178, 398; III. 123, 339; IV. 216
Prometeusz źle spętany.	IV. 37
Prorok	III. 435
Przebudzenie	IV. 403
Przyjdzie	I. 294
Rimbaud Jan Artur	II. 217
Rondele fantastyczne	I. 307
Ruch etyczny.	I. 142
Rzeźbiarz	I. 98
Salve Regina.	II. 52
Serce	II. 177
Skarby	III. 434
Skok z trampoliny.	III. 384
Skon	III. 273
Skrzydlate ognie	III. 221
Sny i tesknoty	IV. 369
Sonety Królewskie	III. 440
Spisy rzeczy do tomów.	I. 551; II. 523; III. 491; IV. 469
Spokój	II. 461
ze Spuściszny rękopisiennej	II. 1
Strofy	III. 472
Święte	I. 100
Świnie w lesie	IV. 460
Synowie ziemi	I. 62, 194, 390; II. 268
Szara godzina	III. 275

Sztuka dawna (kron. mies.) . . . . .	II. 325
Sztuka stosowana (kron. mies.) . . . . .	I. 174
Sztuki plastyczne (kron. mies.) . . . . .	I. 157, 350, 539; III. 482
Tajemnicze w sztuce. . . . .	IV. 380
Teatr (kron. mies.) . . . . .	II. 503; III. 317
Topole. Dodatek do № 7-8.	
<i>Towarzystwo</i> . . . . .	III. 286
<i>Trey strofy</i> . . . . .	I. 286
Varia (kron. mies.) I. 182, 360, 547; II. 356, 515; III. 328, 488; IV. 464	
Villa d'Este. Dodatek do № 10-11-12.	
Walka ze sztuką . . . . .	I. 313
<i>Wanda</i> . . . . .	IV. 1
<i>Wicher rospętany</i> . . . . .	IV. 400
Wielka lira. Dodatek do № 7-8.	
<i>Wiersby w polu</i> . . . . .	III. 456
<i>Wisza</i> . . . . .	II. 167
<i>Wół i Żóraw</i> . . . . .	I. 335
<i>Wspomnienie</i> . . . . .	I. 97
<i>Wygnanie bogów</i> . . . . .	III. 387
Wyznania . . . . .	III. 444
Zaćmienie słońca podczas boju starożytnych . . . . .	II. 166
Zaklęte skarby . . . . .	I. 95
z „Zaratustra“ fragmenty . . . . .	IV. 428
Zeyera Juliusza portret. Dodatek do № 4-5.	
Zwiastuny . . . . .	III. 282
<i>Zwycięsca</i> . . . . .	II. 172
<i>Żał</i> . . . . .	I. 92
Żart, satyra, ironia i głębsze znaczenie . . . . .	II. 463; III. 41
<i>Życie i śmierć</i> . . . . .	III. 378
<i>Życie zamknięte</i> . . . . .	IV. 202



*Spis rzeczy, według autorów, do tomu IV.*

Inicjal i zakończenie ze starych drzeworytów.

*Indeks alfabetyczny prac zamieszczonych w roczniku I-ym Chimery, podług tytułów lub pierwszych słów ułożony.*

Winieta przerysowana ze starego rękopisu przez K. NIEMCZYKIEWICZA; zakończenie F. ROPSA.

A. DÜRER . . . . . Z „Apokalipsy” dwa rysunki.

J. STANISŁAWSKI . . . . . Villa d’Este (autolithografia w pięciu kolorach, odbijana w zakładzie A. PRUSZYŃSKIEGO w Krakowie.)

M. WISZNICKI . . . . . Rysunek na okładce.

Klisze rysunków wytrawiono w zakładach: B. WIERZBICKIEGO i S-ki, KIPMANA i SZYDŁOWSKIEGO, oraz w Warsz. Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczym.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica.”

Składali: FELIKS DĄBROWICZ i MAKSYMILIAN HECKER.

Lamał FELIKS DĄBROWICZ. Odbijał na maszynie ALEKSANDER TATAROWSKI.

Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

## CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.

7, rue des Princes, Varsovie.

Sommaire du N-ro 10-11-12. — Oct.-Nov.-Déc. 1901.

*TEXTE:* C. Norwid — *Wanda*; A. Gide — *Le Prométhée maïenchainé*; E. Porębowicz — *Ballades écossaises et anglaises*; T. Miciński — *Histoire des deux amants et de madame Hoan-tho*; J. Kasprowicz — *Judas*; M. Komornicka — *Flammes noires*; G. Rodenbach — *Le règne du silence. Les vies encloses. (Extraits)*; V. Berent — *Pourriture*; J. Jedlicki — *Rêves et langueurs*; O. Brzezina — *Le mystérieux dans l'art*; M. Komornicka — *Le lendemain*; T. Miciński — *Minotaure*, L. Staff — *Le temps d'automne*; C. Zawistowska — *La nuit d'automne*; H. Zbierzchowski — *Le vent déchainé*; M. Zbrowski — *L'éveil*; G. Eekhoud — *l'Honneur de Lutteurath*; J. Keats — *Hyperion (III)*; Fr. Nietzsche — *Fragments de „Zarafoustra”*; B. Ostrowska — *Histoire des trois soeurs et du prince-richard*; H. G. Andersen: *Les cochons dans la forêt. — Varia*.

*PLANCHES HORS TEXTE:* A. Dürer — *Deux dessins de l'Apocalypse*; J. Stanisławski — *Villa d'Este* (lithographie originale en cinq couleurs).

*DESSINS DANS LE TEXTE* — de St. Dębicki, A. Donnay, Hiroshige, Hokusai, F. Khnopf, Korin, St. Turbia-Krzeształowicz, J. Mehoffer, K. Moser, E. Okuń, Ign. Pieńkowski, Shioikoku, Fr. Sielecki, J. Stanisławski, M. Wawrzaniecki, M. Wisznicki.

*COUVERTURE* de M. Wisznicki.

# CHIMERA

WARSZAWA — ULICA KSIĘŻECA 7.  
Skrzynka pocztowa Nr. 457.

Dwanaście zeszytów rocznie, każdy objętości  
10 — 12 arkuszy druku.

Redaktor ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM)  
przyjmuje we wtorki i piątki od 1-ej do 3-ej pp.  
Administracyja otwarta codziennie od 11-ej do 3-ej pp.

## Rodzaje wydawnictwa i warunki przedpłaty.

### WYDANIE ZWYKŁE

w Warszawie	z przesyłką pocztową	za granicą
Rocznice	9 rb.	12 rb.
Półroczone	5 rb.	6 rb. 50
Kwartalnie	3 rb.	3 rb. 50

### WYDANIE WYTWORNE

na robionym dla CHIMERY grubym papierze żeberkowym.  
w Warszawie: rocznie, 30 rb., półr. 15 rb., kwart. 7 rb. 50 k.  
z przes. pocztową: „ 35 „ „ 17,50 „ „ 8 „ 75 „  
za granicą rocznie 95 fr., 75 mar., 90 kor.

## Cena zeszytu 10-11-12-go rb. 3.

*Przedpłate przyjmuje administracya (która odpowiada wtedy za regularne dostarczanie pisma), oraz wszystkie znaczniejsze księgarnie w kraju i za granicą. NUMERÓW OKAZOWYCH SIE NIE WYSYŁA. PROSPEKT NA ŻADANIE.*

Wszystkie wydawnictwa nadawane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcje dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiarkowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS (LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.) ADRESSÉES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIE NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.

ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

**RETURN CIRCULATION DEPARTMENT  
TO → 202 Main Library**

LOAN PERIOD	1	2	3
<b>HOME USE</b>			
4	5	6	

**ALL BOOKS MAY BE RECALLED AFTER 7 DAYS**

1-year loans may be renewed by calling 842-5425

Renewals and recharges may be made 4 days prior to due date. Circulation Desk

**DUE AS STAMPED BELOW**

FEB 3 1984

Mar 3 1984

REC. CAR. FEB 17 1984

UNIVERSITY OF CALIFORNIA, BERKELEY  
FORM NO. DD6, 60m, 1/83 BERKELEY, CA 94720

03



U.C. BERKELEY LIBRARIES



C031782354

M123874

185



THE UNIVERSITY OF CALIFORNIA LIBRARY

